

Majgull Axelsson

Daleko od Niflheimu

Przełożyła Halina Thylwe

Wydano z pomocą finansową Svenska Institutet

Tytuł oryginału: Langt borta fran Nifelheim Copyright© Majgull Axelsson, 1994 Copyright © for the Polish edition Wydawnictwo W.A.B., 2003 Copyright © for the Polish translation by Halina Thylwe, 2003

Podziękowania i przeprosiny

W dzieciństwie często przechodziłam koło Bananowego Domu w Nassjó. Przyciągał mnie, oddziaływał na wyobraźnię. Choć wkrótce minie trzydzieści lat, odkąd wyjechałam z rodzinnego miasta, nie potrafiłam o nim zapomnieć.

Nigdy tam nie byłam - ani w domu, ani w ogrodzie - i nie mam pojęcia, kto w nim mieszka lub mieszkał. Dom, który tutaj opisuję, tylko z zewnątrz przypomina Bananowy Dom. Przepraszam jego autentycznych mieszkańców za tę moją okupację.

Inne domy również mają swoje pierwowzory. Postaci i wydarzenia są natomiast od początku do końca wymyślone, a wszelkie podobieństwa do rzeczywistości to czysta konieczność.

Chcę podziękować Sahadorowi „Jerome” Cayuli, świadkowi erupcji Pinatubo w czerwcu 1991 roku, za podzielenie się ze mną swoimi przeżyciami, Asie Kristensson, której przenikliwość pomogła mi dostrzec to, czego sama nie potrafiłam zobaczyć, Christerowi Ahstrómowi za nauczenie mnie tego i owego o karabinach automatycznych i Ingrid Montanaro za opowiedzenie mi pewnej historii.

Książkę tę dedykuję Janowi Axelssonowi. On wie, dlaczego.

W Niflheimie ludzie są dziwni od lat melancholią zżerani,
smutne kobiety i mężczyźni tęsknot kapłanki i kapłani.

Wieczna tam zima i chłód, wulkany otula śnieg,
powłoka szronu i lód mącą ich myśli bieg.

Zamknęli skarby i kosztowności lecz klucze pogubili

-biedni pod płaszczem codzienności królewski pierścień skryli

i patrzą jeden dzieląc stół jak światła wolno dogasają,

ich uśmiech zamarza w pół pokuty nigdy nie zaznają.

Zmrożona ziemia grzebie ich kości. Kołdra śniegu zacierą ślady.

Nie wymówione słowa miłości dopiero z wiosną wyszepcą trawy.

Zanużą pośród domów uszpionych - o Niflheimie pieśń zabrzmie żarliwa,

pieśń o marzeniach niespełnionych, które głęboko ziemia skrywa.

Oscar Levertin

Codziennie po południu przychodzi pomoc domowa i mnie odciąża. Mam wtedy godzinę dla siebie.

We wtorki i czwartki jest to Gunilla, moja szkolna koleżanka. Wiesza kurtkę na mosiężnym wieszaku w maminej garderobie, wsuwa szalik w rękaw i wita się lakonicznie, starannie unikając mnie spojrzeniem.

- Jak ona się czuje? - pyta.

- Bez zmian - odpowiadam.

- Był lekarz?

- Nie, ale zajrzała pielęgniarka. Odleżyny są coraz bardziej rozległe. Gunilla podciąga rękawy swetra, sprawdza, czy rękawiczki są w kieszeni kurtki, nic nie mówi. Wie, o co mi chodzi, ale jest niewzruszona.

Muszę ją zapytać.

- Czy mogę na chwilę wyjść?

- Jasne - mówi. - Idź na tę swoją przechadzkę... Początkowo dziwił mnie jej szydery ton. Potem sobie

przypomniałam: w Nassjó nie wolno używać górnolotnych słów. „Przechadzka” to słowo górnolotne. „Lunch” też. Obecnie mówię: „idę się przejść”, i jem późny obiad w środku dnia, ale ona i tak mi tego nie darowała.

Wkładam futro mamy, brązowe norki, nie mam tutaj swoich ciepłych ubrań, i stoję w drzwiach.

- Niedługo wrócę... Gunilla opiera się o futrynę między garderobą i hallem i krzyżuje ramiona na piersiach.

- Idź. Poradzę sobie.

Zamykam drzwi, napełniam płuca zimowym powietrzem i ruszam Gamlarpsvagen; oddalam się od Bananowego Domu i słodkawej woni choroby.

We wtorki i czwartki nie chodzę daleko, tylko do Eksjöberget i z powrotem. W tym czasie Gunilla ma pracować, ale się nie napracuje. Już odkurzyłam, włożyłam brudne ubrania do pralki i brudne naczynia do zmywarki, posprzątałam w ubikacjach i przygotowałam obiad; prawdziwy obiad, który ona nazywa kolacją.

Nie wiem, co robi pod moją nieobecność, ale się domyślam. Najpierw wchodzi do sypialni, wygładza wygładzoną pościel i słucha ciężkiego oddechu mamy, potem ściera kurze z odkurzonych mebli, od niechcienia, tylko dlatego, że tak trzeba. W hallu na piętrze zatrzymuje się na chwilę, głęboko oddycha i jeszcze raz postanawia spróbować. Szybko podchodzi do drzwi mojego pokoju i naciska klamkę. Zamknięte. Dlatego jest taka zła. Dlatego, że zamykam drzwi na klucz i że nie chcę jej nic powiedzieć.

Boję się Gunilli i jej gniewu. Mimo to zamykam pokój i nic nie mówię. Postoi tam, zawiedziona, wróci z pustymi rękami do ośrodka opieki nad osobami starszymi i chorymi, bez odpowiedzi na pytanie, które szepce za moimi plecami całe Nassjö. „Co się właściwie stało z ButterfielDEM Berglundem?”

Myślę, że znam odpowiedź, że wiem, bo tam byłam. Jak miałabym wytłumaczyć Gunilli Karlsson, że niektórzy ludzie nie ufają własnej pamięci? Ja się do nich zaliczam; to, co widziałam, i to, czego nie widziałam, jest równie wyraźne.

Oto przykład, jak zapamiętałam Gunillę z dzieciństwa: Beżowa dziewczynka o szczeciniastych włosach i spierzchniętej górnej wardze stoi na dziedzińcu szkolnym i opowiada, jak razem ze swoją najlepszą przyjaciółką szpiegowała służącą dyrektora. Wiem, o kim mowa, widuję ją codziennie, kiedy wracam ze szkoły. Wychodzi z kawalerskiego mieszkania dyrektora w jesionce i pilotce, takiej jaką się zawiązuje pod brodą skręconymi pasemkami włóczki. Supeł trudno potem rozplątać, coś o tym wiem, bo miałam taką czapkę wieki temu, kiedy chodziłam do pierwszej i drugiej klasy podstawówki. Teraz jestem za duża na taki fason. Służąca dyrektora też jest za duża, ale nie ma o tym pojęcia. Może w ogóle nie zdaje sobie sprawy, że nosi czapkę. Bo niby jest, a jakby jej nie było. Porusza wargami, ale nic nie mówi, patrzy w dal i nigdy nikogo nie zauważa.

Słuchając opowieści Gunilli, wszystko sobie wyobrażam: Służąca zmywa naczynia w oświetlonej kuchni dyrektora, Gunilla i Mariannę siedzą w kucki w ogródku i chichocą. Służąca patrzy w ciemność za oknem, mówi do siebie, nuci. Nagle podnosi rękę i głaszcze się po policzku. Na brodzie zostaje strzępek piany, ale ona tego nie czuje, uśmiecha się, coś mamrocze.

Mimo że tego nie widziałam, widzę. Nawet teraz - trzydzieści trzy lata później - obraz jest tak samo wyraźny. Tylko siebie nie potrafię zobaczyć, rudowłosej dziewczynki w przyciasnym paletku, która w odpowiedzi na śmiech Gunilli przypuszczalnie cofnęła się o krok, po czym tchórzliwie jej zawtórowała.

Dobrze pamiętam, że przestraszyła mnie ta opowieść. Rozumiałam zachowanie służącej. Marzyła o miłości, o tym, że jest kochana. No a skoro rozumiałam, to znaczy, że na pewno niczym się od niej nie różnię. Czyli muszę się kontrolować, mieć na baczności i nie uzewnętrzniać swoich tęsknot. Gdybym straciła czujność, tak jak ją prześladowałyby mnie na każdym kroku spojrzenia i szyderstwa zwyczajnych ludzi.

Zwyczajni ludzie.

W tamtych czasach, kiedy ciągle byłam dzieckiem, wydawało mi się, że przejrzałam na wylot owe chełpiące się zwyczajnością indywidua. Gdyby ich przekroić, wyglądałoby w środku jak marcepanowe świnki: szarobiała zwarta masa, nie pozostawiająca miejsca na wątpliwości. Poza tym wiedziałam, że są okrutni i że okrucieństwo to choroba zrodzona z niedoboru. Cierpieli na brak wyobraźni. Ale, co najważniejsze, wiedziałam, że nie jestem jedną z nich, i że zawsze będę się ich bać.

Długo myślałam, że to dobry znak. Że jestem lepszym człowiekiem, kimś powyżej przeciętnej. Teraz wiem, jak się sprawy mają, i nie uważam mojego strachu za rzecz chwalebną. Po prostu jest we mnie, i tyle.

Kiedy zobaczyłam dorosłą Gunillę w Bananowym Domu, pierwszą rzeczą, o której pomyślałam, była opowieść o służącej dyrektora. Gunilla, jednolita i zwarta, wciąż przypominała marcepanową świnkę. Sparaliżowana strachem, patrzyłam, jak przekrzywia głowę, uśmiecha się i mówi a propos niczego:

- Na pewno dużo przesłaś...

Milczałam stanowczo za długo.

- Tak, niemało... - odparłam, patrząc w bok.

I właśnie wtedy uznała, że jestem wyniosła. Taka, co to nie chce się spoufalać, bo uważa się za kogoś lepszego. Kobiety pokroju Gunilli myślą, że poufałość stanowi warunek przyjęcia do grona przedstawicielek płci żeńskiej. Zdradź nam jakiś swój sekret, a będziesz jedną z nas...

Mam dużo sekretów. Niejedno przeżyłam. Ale o tym nie opowiadam, nie zabiegam o członkostwo w kobiecej wspólnotce.

Tylko jedna osoba ma prawo wiedzieć i być może tylko ona mogłaby zrozumieć. Marita. Ale nie mam pojęcia, gdzie ona się podziała. Gunilla prawdopodobnie ma, bo dysponuje informacjami o

wszystkich naszych kolegach i koleżankach z klasy, ale nie chcę jej pytać. Byłoby to równoznaczne z poddaniem się, z przegraniem bitwy, którą ze sobą toczymy. Moją jedyną bronią jest milczenie.

Poza tym potrzebuję więcej czasu dla siebie. Zanim podejmę decyzję, muszę pozwolić mamie umrzeć i muszę pochować przeszłość. Może spakuję walizki i pojedę do Canberry. Może zostanę w Bananowym Domu. Może odszukam Maritę i wszystko jej opowiem. Jeśli będzie chciała. I jeśli ja będę umiała to zrobić.

Na dworze jest chłodno, chłodno i cicho. Słyszę jedynie odgłos własnych kroków na chodniku. Mój głos i chód to mój najlepszy kamuflaż. Chodzę ciężko i zdecydowanie, jakbym była świadoma celu, mówię nieco gardłowym altem, z dużą dozą pewności siebie. Głos taty w kobiecej krtani.

Futro jest ciepłe i lekkie. Samcze skórki. „Najlepsze norki są ze skórek samców - mawiał tata i wyszczerzał się w uśmiechu. - Samiczki są za ciężkie”. Chciał mi sprezentować samcze futro, ale ja odkładałam ten zakup, grałam na zwłokę, aż nagle było na to za późno, tata umarł. Mieszkałam wówczas w Delhi, po co mi tam norki?

Teraz wkładam brązowe futro mamy, nigdy go nie zapinam, owijam się nim i przytrzymuję rękoma. Zapinanie nie ma sensu, owszem, jest chłodno, ale nie zimno. Panuje wulkaniczna zima, ciepła, o nieprzyzwoicie czerwonych zachodach słońca. Popiół Pinatubo wisi w powietrzu jak wachlarz, chrupie azot i powstrzymuje zimę od rozwinięcia skrzydeł.

Idę do Eksjórberget, żeby obejrzeć zachód słońca nad Mount Pinatubo. Eksjórberget i Pinatubo to moje góry, które - rzecz jasna - nie są żadnymi górami. Pinatubo zamieniła się w wulkan, a Eksjórberget, bardzo wysoka za czasów mojego dzieciństwa, skurczyła się do rozmiarów pagórka, niepozornej skały w lasku, usytuowanym pomiędzy zlikwidowanym zakładem krawieckim, a kilkoma kamienicami.

Przez chwilę stoję na Eksjórberget. Zachodzące słońce jest ciemnoczerwone, a niebo przybrało takie barwy, których istnienia nawet nie podejrzewałam: złoto-szare i różowo-niebieskie. Wiatr popycha chmury w stronę widniejących na horyzoncie lasów.

Szczelniej opatulam się futrem i półgłosem wymawiam imiona tych, co zostali: „Butterfield, NogNog, Ricky, Dolores”. Magiczna wyliczanka. Tarcza. Pomaga mi wyłączyć myśli.

Kiedy wracam, jest już ciemno. W świetle ulicznych latarni mój cień się wydłuża, kurczy, zanika, po czym stopniowo potężnieje.

Mama umiera, nic nie mówi.

Lekarz nie skąpi morfiny, pielęgniarka nauczyła mnie, jak robić zastrzyki. Teraz już nie drzę. Spokojnie odwracam mamę na brzuch, podciągam koszulę, obnażam uda i pośladki; szarawy

naskórek, chropowaty jak u żaby. Przecieram miejsce wkłucia wilgotnym tamponem, po czym bardzo ostrożnie wbijam igłę.

To jej się nie podoba. Chce, żebym się wkłuła szybko i błyskawicznie docisnęła tłok. Myśli, że to mniej boli. Kiedy byłam dzieckiem, zrywała mi plastry w takim tempie, że odklejały się ze strupami i z otwartych ran sączyła się krew.

To wspomnienie wywołuje we mnie poczucie winy. Przecież moja ostrożność nie bierze się z chęci zemsty.

- Wiem - mówię, ilekroć patrzy na mnie z wyrzutem. - Ale muszę być delikatna, żeby ci nie zrobić krzywdy. Zaraz będzie po wszystkim!

Jęczy, nie ma siły, by się uwolnić. Kiedy wyciągam igłę i przykładam kciuk do śladu po ukłuciu, wzdycha głęboko i zamyka oczy.

Lekarz mówi, że cierpi wręcz niewyobrażalnie. Bardzo wyraźnie akcentuje to słowo: „niewyobrażalnie”. Przez dziesięć lat z powodzeniem ujarzmił jej raka, ale dłużej nie jest w stanie. Zostały jej dni, góra dwa tygodnie życia. Wszędzie ma przerzuty, zaatakowały wszystkie kości.

Słuchając lekarza, widzę maminy szkielet. Pokrywają go duże czerwone grona.

W ministerstwie są bardzo wyrozumiali. Mimo półrocznego urlopu mogę liczyć na posadę w Canberze. Na razie wysłali tam kogoś na zastępstwo. To nadzwyczajne, w pewnym sensie zaszczytne.

W kilka dni po tej decyzji dzwoni Ulf z Nowego Jorku. Rozmawiamy po raz pierwszy od powrotu z Delhi; rozwodem zajęli się adwokaci w Szwecji, wakacje i ferie Sophie uzgodniliśmy listownie.

Jest bardzo uprzejmy. Dyplomatycznie uprzejmy.

- Wzięłaś urlop bezpłatny, Cecylia? Chyba nie wydarzyło się nic przykrego?

Wykrzywiam się do lustra w hallu.

- Skąd wiesz, że wzięłam urlop?

- Słyszałem. Ktoś od nas powiedział, że przeczytał o tym w doniesieniach personalnych z ostatniego tygodnia. Czy to z powodu choroby twojej matki?

Znów się krzywię. Ten człowiek mówi tak, jak lubi: sympatycznie, poprawnie i kompletnie bezosobowo.

- Skąd wiesz, że mama jest chora?

- Parę dni temu dostałem list od Sophie. Odwiedziła was. Napisała, że to coś poważnego. Czy to prawda? Czy mógłbym coś zrobić?

- Tak. Nie.

- Co masz na myśli?

Nareszcie odrobina autentycznego zmieszania, może nawet lęku. Wydaje mu się, że urządę jakąś scenę. Ulf nie znosi scen.

- Tak, to coś poważnego. Nie, nie możesz nic zrobić.

- Sama się nią opiekujesz? Czy nie powinna być w szpitalu?

- Ona nie chce iść do szpitala. Poza tym lekarz mówi, że niczego więcej tam nie działają.

Ulf milczy przez chwilę, po czym wchodzi na pole minowe.

- A co u ciebie? Podobno miałaś kłopoty na Filipinach. Pozbierałaś się?

-Tak.

- Co się właściwie stało? Sophie napisała, że wylądowałaś w centrum oddziaływania wulkanu.

Czy to prawda?

-Tak.

- Jak do tego doszło?

- Było ciemno. Źle pojechaliśmy. A potem nie mogliśmy wrócić.

- A ten człowiek, który z tobą był, ten o dziwnym imieniu...

- Butterfield Berglund.

- Co z nim? Przyzwyczaiałam się do mojego kłamstwa.

- Nie wiem. Nie znaleźli go...

- Był z Nassjó, prawda? Pamiętam, że mi kiedyś opowiadałaś o rodzinie Berglundów...

- A ja pamiętam, że nie słuchałaś. Nareszcie udało mi się do niego dotrzeć. Żegna się, wypowiadając kilka chłodnych fraz; oboje wiemy, że bardzo długo się do mnie nie odezwie.

Dziennikarze przestali dzwonić, ale telefon nie milczy. Przyjaciółki śledzą umieranie mamy na odległość - ze współczuciem, triumfem i przerażeniem.

- Biedna Dagny - wzdykają. - Przecież nie jest jeszcze taka stara, ja jestem dużo starsza, a nic mi nie dolega. Czy ma silne bóle?

- Tak. Ale dostaje morfinę...

- Coś podobnego... Kto by pomyślał, że tak się to skończy. Czy można ją odwiedzić?

- Niestety - mówię. - Jest zbyt słaba. Nie mam nic przeciwko tym starym kobietom, ale nie chcę ich tutaj widzieć.

Co wieczór, punktualnie o dziewiątej, dzwoni Lars Góran, bez względu na to, czy jest w Singapurze, Órkell-jundze, Sztokholmie czy Góteborgu.

- Jak się mama dzisiaj czuje? - pyta. - Jakaś poprawa?

- Żadnej poprawy... - mówię w równie wojskowym stylu.

- Jesteś pewna, że ten lekarz... jak mu tam... wie, co robi?

- Alexandersson. Tak, wie. Mama nie chce nikogo innego.

- Dobrze. Zadzwoń jutro. Postaram się wpaść w sobotę. Nie odpowiadam. Nie mam nic przeciwko mojemu bratu, ale nie chcę go tutaj widzieć.

Rozmowy telefoniczne z Sophie są całkiem inne.

- Cześć, mamó. Co z babcią, wiesz, myślałam, że przyjadę w weekend, ale Ebba Grónwall zapytała mnie, czy nie wybrałabym się z nią do Varmdó, mogę, nie będzie ci przykro...

Jej przyjaciółki to Ebba, Siri, Gudrun i Elsa. Jak postaci z tandetnej komedii filmowej, gdzie alkohol leje się strumieniami. Znowu wyższe sfery przechytrzyły niższe. Kiedy tak zwane pospólstwo zaczęło nadawać dzieciom posrebrzane imiona, na przykład Wiktoria lub Angelika, arystokracja wybierała dla swoich pociech imiona zardzewiałe i proste, przeświadczona, że dziesięć lat później zalśnią szlachetnym blaskiem. I tak się, rzecz jasna, stało.

„Sophie” błyszczy umiarkowanie. W sam raz. Wszędzie pasuje.

Śmieję się z niej i mówię:

- Jedź do Varmdó, dziecinko. Rozumiem cię. Babcia i tak nie ma siły przyjmować zbyt wielu gości.

Kocham moją córkę, ale nie chcę jej tutaj widzieć.

Później wszyscy będą mogli przyjść, przyjaciółki mamy, brat z rodziną, córka i moi sztokholmscy znajomi, ci, których nazywam swoimi przyjaciółmi. Ale nie teraz. Teraz czekam na telefon od Marity.

Tak to jest. Czekam na telefon od Marity, choć początkowo nie zdaję sobie z tego sprawy. Ile razy rozlega się sygnał, natychmiast wyłączam kuchenkę i biegnę do hallu, tak podekscytowana, że potykam się o próg dzielący kuchnię od korytarza serwisowego. Po każdej rozmowie telefonicznej jestem zawiedziona. Nie wiem, dlaczego.

Któregoś dnia dostrzegam w lustrze swoje oczekiwania. Nareszcie rozumiem. Twarz mi jaśnieje, kiedy sięgam po słuchawkę. To ona! Tym razem to na pewno Marita!

Niestety, zawsze jest to ktoś inny.

Logicznie rzecz biorąc, dlaczego miałyby dzwonić? Przypuszczalnie ma w nosie mnie i Butterfielda. Z Butterfieldem rozwiodła się dawno temu, a ze mną nie zamieniła słowa od przeszło dwudziestu lat. Nie wysyłałyśmy do siebie kartek na Boże Narodzenie, nie składałyśmy sobie urodzinowych życzeń.

Chyba nie zapomniała, że urodziłyśmy się w tym samym dniu? Wkrótce ten dzień nadejdzie. Wkrótce skończymy czterdzieści trzy lata.

Ostatnio widziałyśmy się tuż po dwudziestych urodzinach; późniejszy brak kontaktu można wytłumaczyć naszym młodym wiekiem.

Była Wielkanoc i na kilka dni przyjechałam z Lundu do Nassjő. Nie dlatego, że chciałam ani że ktoś ode mnie tego oczekiwał, po prostu uznałam, że tak trzeba. Wszyscy wyjeżdżali na święta do domu, więc wyjechałam i ja.

W Wielką Sobotę przed południem byłam na Sődra Torget; po raz tysięczny szłam do Bőg wie jakiego sklepu, żeby kupić Bőg wie co. Z przeciwka nadchodziła młoda kobieta z wózkiem, jedna z tych, do których jeszcze nie dotarło, że byle jak natapirowane włosy, obcisła spődniczka i buty na wysokich, zdartych obcasach są nie tylko niemodne, ale wręcz godne pogardy. Obrzuciłam ją przelotnym spojrzeniem i przez sekundę poczułam nieklamana radość z powodu mojej fryzury na pazia i mini paletka z prawdziwej wielbłędziej wełny.

- Cecylia - odezwała się. - To przecież ty! Od razu rozpoznałam ten głos.

- Marita!

Objęłam ją. Błyskawicznie się odsunęła, nienawykła do wyuczonych serdeczności, jaką właśnie zaczęto praktykować w kręгах studenckich. Trzecia grupa społeczna - takim terminem z całą powagą posiłkowaliśmy się na socjologii - wymieniała uściski tylko na pogrzebach, odwracając przy tym głowę.

Marita, żywa reprezentantka trzeciej grupy społecznej, a może drugiej z kawałkiem, bo skończyła gimnazjum, w ogóle się nie zmieniła. Wianuszek piegów na perkatym nosie, duże szare oczy i długie czarne, sztywne od tuszu rzęsy, przypominające mysie nogi.

Od dawna się nie przyjaźniłyśmy, od co najmniej sześciu lat. Marita zaczęła wtedy chodzić do gimnazjum o profilu handlowym, miała zajęcia z maszynopisania i stenografii, ja kontynuowałam naukę o profilu ogólnokształcącym, stopniowo przyzwyczajając się do statusu godnego dziewczynki z Bananowego Domu, córki Złotego. Zrezygnowałam z ostrego makijażu, zapraszano mnie do innych, dużych domów na prawdziwe przyjęcia, z kruszonem i tańcami przy gramofonie. Marita się nie zmieniła: nadal wystawała na Sődra Torget, z białymi ustami i czarnymi

oczyrna, żuła gumę i wrzeszczała razem z innymi raggae (młodzi chłopcy, pasjonaci dużych, najczęściej amerykańskich samochodów, preferujący dość luzacki styl życia), kiedy zielonoświątkowcy wychodzili ze swojego filadelfijskiego kościoła.

Nie potrafiłam rozstrzygnąć, czy w wózku leży chłopiec, czy dziewczynka, czy ma roczek, czy dwa latka. Dzieci wydawały mi się czymś obcym, nierzeczywistym. Nie chciało mi się wierzyć, że sama też kiedyś taka byłam, i wątpiłam, czy kiedykolwiek zdecyduję się na własne dziecko.

Ale naturalnie pochyliłam się nad wózkiem i uniosłam kocyk.

-To twoje?

Skinęła głową i uśmiechnęła się.

-Ma na imię Peter.

Nie zdobyłam się na odwagę, żeby zadać jej następne pytanie, które jeszcze pod koniec lat sześćdziesiątych stanowiło niemal o życiu i śmierci, ale Marita niby przypadkiem poprawiła sobie grzywkę lewą dłonią. Szerokie obrączki (jedna - zaręczynowa, druga - ślubna) zajmowały trzecią część palca serdecznego. Zmrużyła pomalowane na czarno oczy, jakby usiłowała zdławić śmiech.

Nagle miałyśmy znowu po trzynaście lat; rozchichotane dziewczynki, najlepsze przyjaciółki.

-Wyszłaś za mąż? Za kogo?

-Za Butterfielda Berglunda.

-Co?! Chyba nie mówisz poważnie? Butterfield?! O rany, nie przypuszczałam, że się ustatkuje... Była zadowolona i zawstydzona.

-Szczerze mówiąc, ja też nie, ale jak zaszłam w ciążę, jego dziadek Aron nie spuszczał z niego oka, no i się pobraliśmy. Wzięłam ją pod ramię. Zawsze tak spacerowałyśmy w młodości; ona była mężczyzną, ja kobietą.

-Chodźmy do „Thimonsa” na kawę, to mi o wszystkim opowiesz. Zwlekała z odpowiedzią.

-Bo ja wiem. Tam są wysokie schody. Nie wniosę wózka.

Zapomniałam, że w kawiarniach w Nassjő obowiązuja rygorystyczne podziały klasowe.

„Thimons” był dla ludzi mojego pokroju, dla dziewcząt o gładkich lśniących włosach i chłopców z grzywkami i fajką. Dla takich jak Marita, dla dziewcząt z tapirem, na zdartych obcasach, i dla chłopców z brylantyną na włosach i smarem pod paznokciami była „Parkhyddan”.

-A „Parkhyddan”? - zaproponowałam. - Tam nie ma schodów. Wzruszyła ramionami. Okej, jeśli mi na tym zależy.

O tej porze, w środku dnia, w kawiarni było pusto. Zamówiłam dla nas kawę i po kawałku marcepanowego tortu, zapominając o dziecku.

Marita ostrym głosem przywołała kelnerkę:

- Jeszcze sok i ciastko z cynamonem. Dziękuję.

- Przepraszam. Myślałam, że on śpi.

- Śpi. Ale niedługo się obudzi. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, a potem, dokładnie w tym samym momencie, pochyliłyśmy się nad stolikiem i powiedziałyśmy:

-Opowiadaj!

Znowu to samo: jak bliźniactwo. Kiedy byłyśmy małe, wyobrażałyśmy sobie, że urodziła nas jakaś nieznana pani i umarła. Zostałyśmy przekazane dwóm różnym kobietom leżącym wówczas na oddziale położniczym, które straciły swoje dzieci. Dodałam do tej opowieści pewien makabryczny szczegół. Otóż tym naszym tak zwanym matkom pozwolono wybrać: albo wezmą nas, albo zabiorą do domu swoje martwe dzieci i będą się nimi bawić jak lalkami. Niewiele wiedziałam o życiu i nic o śmierci.

-Ty pierwsza - powiedziała Marita i zapaliła papierosa, długiego cienkiego looka, którego trzymała w taki sam sposób jak wtedy, kiedy zaczynałyśmy popalać po kryjomu.

Byłam tak dumna z mojego nowego życia, że poczułam zażenowanie. Nie chciałam się przechwalać. Wspomniałam więc o studiach, ale słowem się nie zająknęłam ani o małym mieszkaniu w osiemnastowiecznej kamienicy, które kupił mi Złoty, ani o żółtym garbusie, którego mi podarował w prezencie maturalnym.

- Socjologia - skwitowała Marita i głęboko się zaciągnęła, już pewniejsza siebie, stopniowo odzyskująca swoją dawną, dominującą pozycję. - A kim się po czymś takim będzie?

- To zależy. Ja chciałabym jeszcze studiować ekonomię polityczną i nauki społeczno-polityczne, zrobić magisterium i postarać się o posadę w MSZ albo w SIDA.

-Gdzie?

-W Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Czyli w dyplomacji. Albo pracować na rzecz krajów rozwijających się.

Popatrzyła na mnie z wahaniem.

-W dyplomacji? Jako ambasador? Znów poczułam zażenowanie, wypłam łyk kawy i skinęłam głową.

- A co u ciebie? Pracujesz? Zaciągnęła się.

-Niby jakim cudem? Przecież muszę się zajmować Peterem.

- A co robi Butterfield? Spojrzała w bok.

- Aktualnie siedzi.

- Jest w więzieniu? Myślałam, że się uspokoił... Pokręciła głową i popatrzyła na mnie przenikliwie.

- Znasz Butterfielda?

- Osobiście nie, tylko ze słyszenia. Jak wszyscy... Uśmiechnęła się krzywo i strząsnęła popiół.

Nagle

odniosłam wrażenie, że coś przede mną gra. Piękna zgorzkniała żona gangstera spotyka się z drętwą piłą. Zirytowana, wyjęłam papierosy, zapaliłam i demonstracyjnie położyłam lśniącą markową zapalniczkę obok jej pudełka zapalek.

-Wszyscy znają Butterfielda - powiedziałam. - To fenomen. Usłyszałam o nim już w szóstej klasie.

Jasne, że pamiętałam Butterfielda Berglunda, króla Szkoły Głównej. Miał ponoć swojego niewolnika, mięczaka, który o jeden raz za dużo przestraszył się jego ogromnych pięści. Kiedyś Butterfield zmusił go, żeby się wymknął z lekcji i kupił mu słodycze. Nauczyciel niczego nie zauważył. W połowie semestru jesiennego wszyscy nauczyciele Butterfielda zapadli na krótkowzroczność. Tego nie mogłam powiedzieć. Ale Marita czekała.

-No cóż - zaczęłam niepewnie - podśmiewano się trochę z jego kradzieży... A potem Wallin, ten artysta, nauczył go malować. Podobno był zdolny, ale - jak słyszałam - nie skończyło się najlepiej...

Ogłędnie to ujęłam. Prawda była taka, że kiedy szaleństwa Butterfielda wyszły na jaw, połowa miasta tarzała się ze śmiechu. Co wieczór pojawiał się przed namiotem zbawienia Jeffersona, przyglądał się publiczności i wybierał swoje przyszłe ofiary. Co wieczór dwoje albo troje „mówiących innymi językami” zastawało swoje domy „wolne od tego, co mól i rdza niszczy”. Butterfield Berglund nie wierzył w skarby w niebie, gromadził je na ziemi, a dokładniej w drewnutni dziadka. Właśnie tam, kiedy rozpętało się piekło, policja znalazła złodziejskie łupy.

-Aha - stwierdziła Marita, gasząc papierosa. - A co takiego słyszałaś o Wallinie? Spojrzałam jej w oczy.

-Że Butterfield pociął jego obraz. Obraz ołtarzowy. Mimo że staruszek nauczył go malować. Niczego nie słyszałam, przeczytałam o tym w gazecie...Marita przestała grać. Teraz była autentycznie zła.

-Ach, tak. Więc słyszałaś, że Butterfield kradnie i że ma nóż. Tak się mówi o cyganach. Myślałam, że takie uprzedzenia cię nie biorą! A słyszałaś, jak to było, kiedy miał się urodzić? Co? Jak jego matka musiała jechać do Eksjó, bo ta pieprzona Stlhl nie chciała odbierać cyganioków? Słyszałaś, że kiedy miał sześć lat, to zgraja bachorów z Runnerydu stłukła go na kwaśne jabłko tylko dlatego, że podobno każdy cygan chodzi z nożem? Słyszałaś, że wszystkie baby w Gamlarpie zabroniły swoim szczeniakom się z nim bawić, bo nazywał się Berglund? I niech ci się

przypadkiem nie zdaje, że to jedna wielka bujda! Jak się pobraliśmy i szukaliśmy mieszkania, wystarczyło, żebym wymieniła nazwisko Berglund, i fora ze dwora. Nagle wszystkie były już wynajęte dla pierdzielonych Anderssonów, Petterssonów i Nilssonów...

Spuściłam wzrok i zamieszałam kawę.

-Naprawdę? I nic nie znaleźliście?

-Nie. Butterfield wiedział o tym od początku, mówił mi, żebym dała sobie spokój, żebym się nie poniżała zebraniną. No i dałam spokój.

-To gdzie mieszkacie?

- Z Aronem. To jego dom. Berglundowie zawsze mieli dużo pieniędzy... Ale nie na tym polega problem.

- Wiem. Widziałam zdjęcie Arona w „Expressen”. Ostatni handlarz koni. I reklamówka wypchana banknotami! Uśmiechnęła się.

- Szurnięty. Dostał potem domiar. Do dzisiaj się procesuje. Ale to dobry staruszek.

-Więc Berglundowie są dla ciebie mili? Spojrzała mi prosto w oczy.

- Teraz został tylko Aron. Tak, jest miły. Jeffersona nie ma. Ja też należę do tej rodziny.

Trzymamy się razem. Aron za wszystko płaci. Niczego mi nie brakuje poza Butterfieldem, ale on niedługo wyjdzie.

- Za co siedzi? Uśmiechnęła się i znów weszła w rolę dumnej żony gangstera.

-Za fałszerstwo obrazów. Wallin naprawdę nauczył go malować. Jest niezły...Odwzajemniłam uśmiech.

-No, chyba niezupełnie...

Roześmiała się i oblizła łyżeczkę długim różowym językiem. Widelczyk do tortu leżał nietknięty.

-Nie obraż się - powiedziałam - ale jedno zawsze mnie zastanawiało. Dlaczego oni mają takie dziwne imiona? Dokładnie obejrzała łyżeczkę, czy przypadkiem nie zostały na niej resztki bitej śmietany.

-Ech, to wszystko przez Arona. Kiedy nazywali ich Indianami, no wiesz, Indianami z Gamlarpu, coś mu się ubrdalo, że jego syn powinien nosić imię po amerykańskim prezydencie. Na znak protestu. A potem Jefferson kontynuował tradycję i stąd się wziął „Butterfield”.

-Był jakiś amerykański prezydent Butterfield? Kiedy? Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Ale jak z Petera chcieli zrobić Teodora, powiedziałam „stop”. Chłopak będzie miał normalne imię. No i ma. „Peter Berglund” nikogo nie dziwi, oczywiście z wyjątkiem ludzi z Nassjón. Ale tego nie da się zmienić.

- Możecie się przeprowadzić. W innych miastach „Berglund” to dosyć popularne nazwisko. Nie była przekonana; jakby ta myśl nigdy nie przyszła jej do głowy.

-Yhm. Może tak zrobimy. Zobaczymy, jak to będzie z Peterem. Jeśli i jego zaczną wyzywać od cyganów, wtedy się stąd wyniesiemy. Zebrałam się na odwagę i spytałam o coś, o czym nigdy dotąd nie rozmawialiśmy.

-A mama? Dlaczego nazywali ją Wenus z Gottlósy? Maricie nagle zaczęło się spieszyć; zawięła cynamonowe ciastko w serwetkę i włożyła je do wózka.

-Nie wiem. To nie było za moich czasów, tylko dużo wcześniej. Muszę już iść. Aha, czy twoi rodzice ciągle mieszkają w Bananowym Domu?

- Tak. Zajrzyj któregoś dnia. Mama się ucieszy. A co u twoich rodziców?

- Nie utrzymujemy ze sobą żadnych kontaktów. Tacie się nie spodobało, że wyszłam za Berglunda...

Pokiwałam głową. Przypomniało mi się, jak Marita dostała kiedyś w twarz z powodu Dimitriosa. Jej ojciec usłyszał, że szepczemy w kuchni jego imię, i to mu wystarczyło. Jego dzieciak nie będzie się uganiał za żadnymi cholernymi cyganami. Nie przyjął do wiadomości, że Dimitrios jest Grekiem i że Marita nie zamieniła z nim ani słowa. Widziałyśmy go tylko raz na szkolnej wycieczce do fabryki mebli.

Pamiętam tę wycieczkę i pamiętam Dimitriosa, pierwszego imigranta w Nassjó. Był bardzo ładny i bardzo dorosły. Gdybyśmy go zobaczyły ponownie, pewnie byśmy się zaczerwieniły i uciekły. Ale często szeptem wymawialiśmy jego imię; Marita częściej niż ja.

W parku było rześko, nad nami intensywnie niebieskie niebo. Wiosna. Marita opatuliła synka kocem. Przez parę sekund stałyśmy naprzeciwko siebie w milczeniu, po czym uściśniłyśmy sobie dłonie i pożegnałyśmy się jak dwie dorosłe osoby.

Patrzyłam za nią. Wózek był chyba ciężki, koła zapadały się w żwirze. Pomyślałam o jej obcasach. Teraz będą w jeszcze gorszym stanie.

Bez przerwy jestem czymś zajęta, nie oszczędzam się. Mamę trzeba odwrócić i umyć, codziennie rano włożyć czystą koszulę nocną, co dwie godziny zmienić pieluchy, odkurzyć dom, wywietrzyć osiem pokoi i przynajmniej co drugi dzień przetrzeć podłogę w kuchni.

Jeśli chodzi o sprzątanie, mam wysokie wymagania, ale prawie zapomniałam, jak się to robi. W Indiach i na Filipinach białe kobiety zatrudniają służących. Cieszę się, że sprzątam sama, że taszcze odkurzacz po schodach, wciskam się za muszlę klozetową w poszukiwaniu kłębków włosów i tej lepkiej mazi, którą można zobaczyć jedynie w starych łazienkach. Pewnego dnia

wyjęłam nawet kratkę ściekową, spłukałam gorącą wodą, po czym przeszło godzinę wydłubywałam z niej mokry brud. Zużyłam na to całą paczkę patyczków higienicznych; każdy był w osobnej osłonce. Następnego dnia kupiłam nową paczkę i wyczyściłam wszystkie dziurki od klucza.

Z każdym dniem mam coraz mniej pracy. Brud nie wytrzymuje mojego tempa. Wtedy szukam sobie zajęcia w kuchni, mamie gotuję zupy i robię puree, dla siebie wymyślam wyrafinowane gulasze, zapiekanki i pasty jarzynowe. Zamrażarka szybko się jednak zapełnia i znów stoję z pustymi rękami, dopóki nie przyjdzie mi do głowy, że już najwyższy czas na generalne porządki w garderobie.

Kiedy pracuję, jest przy mnie Dolores, stoi z tyłu, chwytając mnie za dzinsy małymi twardymi dłońmi. Jest szybka. Ile razy się odwróć, żeby ją złapać, objąć, potrząsnąć nią, cokolwiek, zawsze znika. Przelotnie widzę jej czarne oczy i blizny na głowie. Włosy jeszcze jej nie odrosły.

Piekło zaludniają dzieci. Wiem o tym, byłam tam. Nie raz, nie dwa. Pierwsze wspomnienie: fabryka papieru w Indiach. Jestem w niej przez przypadek, jako osoba towarzysząca ambasadorowi właściwie nie muszę nic robić. Zgadzam się jednak dotrzymać towarzystwa kilku paniom, których mężowie prowadzą w tym czasie służbowe rozmowy w Delhi. Ponieważ są głównie z branży celulozowej, ich małżonki powinny odwiedzić fabrykę papieru.

Dyrektor i jego syn mają na sobie zachodnie garnitury, które srebrzyście połyskują w słońcu na dziedzińcu. Mówią po angielsku z brytyjskim akcentem.

W fabryce jest grafitowo, prawie czarno. Robotnicy przyglądają się nam z szeroko otwartymi oczyma, acz powściągliwie, tak jak się w Indiach patrzy na obcokrajowców. W kadziach bulgoce, syczą zardzewiałe kotły. Nagle smród przyprawia mnie o mdłości. Ktoś chce mnie zaprowadzić do toalety dla pracowników kantoru, ale kręcę głową. Przed chwilą byliśmy w biurze. Trafie.

Długo klęczę nad otworem w podłodze. Żołądek wywraca mi się na drugą stronę. Odgłosy potęgują mdłości. Słyszac dźwięki towarzyszące wymiotom, mogłabym rzygać bez końca. Zawsze tak było.

Dziesięć minut później znów jestem sobą, maluję się przed blaszanym lustrem, czeszę i perfumuję, po czym wchodzę do biura i proszę o coś do picia. Jeśli można, to coca-colę lub wodę.

Na dziedzińcu nikogo nie ma, do fabryki prowadzi kilkoro identycznych drzwi, mięsiście czerwonych i dwa razy wyższych ode mnie. Klamki są niemal na wysokości oczu. Kiedy naciskam jedną z nich, czuję się jak dziecko. To nie te drzwi.

W hali o gabarytach hangaru jest ciemno. Ściany pokrywa coś w rodzaju szarawej nie farby. Może to efekt ciemności. Nieliczne okna znajdują się pod sufitem, mniej więcej na wysokości piątego piętra, gdyby tu były jakieś piętra.

Pośrodku piętrzy się góra szmat. Wyższa od Eksjoberget. Kupa łachmanów okolona pagórkami. Góra się rusza. Początkowo wydaje mi się, że to złudzenie optyczne, spowodowane mnogością kolorów. Mrugam oczami, ale ruch nie zamiera.

To dzieci, pełzające dzieci, które sortują szmaty.

Drzwi zamykają się za mną z trzaskiem. Na ten dźwięk mali robotnicy nieruchomieją i patrzą na mnie. A ja na nich. Liczę: dwadzieścia cztery. Chłopcy i dziewczynki. Mają nie więcej niż dziesięć lat.

Wpatruje się we mnie czterdzieści osiem oczu; czterdzieści osiem oczu w dwudziestu czterech twarzach. Myślę, że głód przydaje ludziom szarości. Bezruch przerywa jakaś dziewczynka. Ma zmierzwione, szare od kurzu włosy, które przypominają ptasie gniazdo. Zsuwa się ze szmacianej góry, podchodzi do mnie i wyciąga rękę. Na twarzy otwarta rana. Zainfekowane oczy. Ubranie w strzępach. Jest brudna. Straciła dwa mleczone zęby.

Wyjmuję portfel i daję jej rupię. Dwadzieścia pięć óre. Pozostałe dzieci zamieniają się w lawinę, toczą się po szmacianym stoku, pełzają, czołgają, skaczą, biegną do mnie z wyciągniętymi rękami. Nic nie mówią, nie wydają najmniejszego dźwięku. Są ciche jak owady.

Wkrótce nie mam już ani grosza. Dzieci zbijają się w gromadkę. Patrzymy na siebie. Ja z pustym portfelem, one z monetami i banknotami w zaciśniętych dłoniach. Ciszę przerywa jakiś chłopiec, zanosi się głuchym kaszlem, gra mu w piersiach. I już po spokoju. Ostre krawędzie. Pęknięta szklanka. Inny chłopiec wsuwa pieniądze za pazuchę i chce dotknąć moich włosów. Cofam się, opieram o drzwi i nagle znów jestem wśród szwedzkich pań. Otaczają mnie, zaniepokojone.

I słyszę swój głos, czysty i pewny:

-Wszystko w porządku, moje drogie. To była tylko chwilowa niedyspozycja...

Nic nie mówię o szmacianej hali, nikomu o tym nie mówię, ale często tam bywam w snach. Wdrapuję się na górę, jestem zwinna, wchodzę wysoko i kiedy od szczytu dzieli mnie zaledwie krok, rusza lawina, tracę grunt pod nogami, spadam i walą się na mnie tony łachmanów, spod których nie mogę się wydostać, nie mogę znaleźć wyjścia.

Dolores stoi za mną, odwracam się, żeby ją złapać, łapię powietrze.

Ona nie była z fabryki papieru w Indiach. Pracowała w zakładach włókienniczych na Filipinach.

W garderobie mojej mamy trafiam na Bidulę. Ciągłe tu jest. Nie do wiary! Beżowy karton, w którym schowała wszystko na czarną godzinę. Na wypadek gdyby znowu przyszło jej żyć w nędzy. Zapaliłaby wtedy ogarki świec, pocerowane rękawiczki ogrzałyby jej dłonie, włożyłaby niemodne ubrania.

Ma pięć futer. Złoty nie znosił Biduli i ile razy mama przynosiła karton do sypialni, zawsze częstował go kopniakiem.

-Po co trzymasz to gównno? Po co? A mama wyjmowała pończochy i ogarki świec, po czym wszystko z powrotem wkładała.

-Spokojnie. Któregoś dnia może będziesz mi wdzięczny, że miałam dość rozumu, żeby tego nie wyrzucać. Wcale nie jest powiedziane, że to, co mamy, mamy raz na zawsze...

-Wdzięczny! Nabij mnie na cholernie długi pal! I kto to mówi! Paradujesz w futrach i brylantach, chociaż nigdy nie zhańbiłaś się żadną pracą... Na dokładkę nigdy nie jesteś zadowolona!

- Tak, wdzięczny. Może będziesz mi wdzięczny, że przez te wszystkie lata byłam ci wierna. Niech ci się nie zdaje, że ona też będzie. Dziwka! Wielka mi miłość! Przekonasz się o tym tego samego dnia, kiedy szlag trafi twoją firmę. Zaufaj mi. Wtedy będziesz nas potrzebował, mnie i mojego kartonu...

- Przestań pieprzyć! Ile razy mam ci powtarzać, że to wierutne bzdury, ty...

Jestem w garderobie i widzę siebie w hallu na piętrze. Rudowłosa dziewczynka uczesana w koński ogon stoi na baczność i słucha. I tak mocno zaciska dłonie, że aż bieleją jej kłykcie. Zamykam Bidulę.

Mam dużo pracy. Ubrania trzeba przewietrzyć i wyszczotkować, poprzyszywać guziki, powkładać prawidła do butów. Zapisuję na liście zakupów: „PRAWIDŁA DO BUTÓW”. Jest środa, może uda mi się pójść do sklepu, kiedy przyjdzie pomoc domowa.

I oczywiście, jeśli mama się nie obudzi. Nie zdarza się to często, ale jednak, wtedy siadam przy niej na krześle, karmię ją podgrzaną zupą i staram się nie zwracać uwagi na to, że prawie wszystko wypływa kącikami ust. Potem czytam jej coś z najnowszego numeru „Morgonbris”, stronę lub dwie dziennie, żeby starczyło tej rozrywki na cały tydzień. Zresztą i tak więcej nie byłaby w stanie wysłuchać, bo przeważnie zasypia, zanim skończę. A kiedy śpi, nie wolno jej budzić. To morfinowy sen.

A ja dalej siedzę przy jej łóżku, pogrążona w nagłej apatii. I czekam na telefon.

Powinnam być zmęczona. Mimo to nie śpię. Może nie chcę. Godzinami patrzę w ciemność, poskrabiam myśli i kieruję je na bezpieczne ścieżki. Łudzę się, że będę mogła zapanować nad snami. Rzadko mi się to udaje.

Którejś nocy śni mi się, że ktoś dzwoni do drzwi i Narzucając szlafrok, zbiegam radośnie po szerokich hollywoodzkich schodach Bananowego Domu. Marita!

Tymczasem za progiem stoi kto inny: Wenus z Got losy, rudowłosa wariatka. Tam, gdzie powinno być prawe oko, jest dziura. Uśmiecha się i wolno odwraca. Na potylicy widzę wylot. We włosach odłamki kości, krew i mózg a w głowie siedzi Dolores. Patrzy przed siebie, porusza wargami, ale nie wydaje żadnego dźwięku.

Wenus z Gottłósy znów się odwraca, uśmiecha się jak gad, kładzie palec na ustach i syczy: „Pst!”.

Nikt, żaden człowiek, nie słyszy mojego krzyku.

Pinatubo się przebrał, udawał górę, nawet nie miał krateru.

Później, w samolocie do Bangkoku, zobaczyłam w gazecie zdjęcia zrobione zaledwie kilka dni przed erupcją, Pinatubo wyglądał ponętnie; żyzny, porośnięty palmami i dzikimi bananowcami. Choć dosyć nietypowo. Na wyspie Luzon góry są przeważnie łyse, do cna spustoszone.

Ale na zdjęciu było coś jeszcze: wśród zieleni torował sobie drogę strumyk rozżarzonej lawy. Ze szczelin i rozpadlin z gracją wzbijały się pod deszczowe niebo białe smużki dymu.

Przypomniał mi się krótki pobyt w Pittsburghu wiele lat temu. To samo niebo, ten sam żar i dym. Kuźnia natury podobna jest do naszej, człowieczej. Kiedy robiono to zdjęcie, Aetowie - rdzenna ludność Filipin osiadła na zboczach Pinatubo i wielbiąca tę górę niczym bóstwo - już się stamtąd wynieśli. Tak napisano w gazecie. Chociaż wcale tego nie chcieli. Bardziej od dymów wulkanu bali się pogardy mieszkańców z nizin, Filipińczycy spluwają na widok ciemnych dzikusów z gór. Kiedy od oparów siarki zmarł mały chłopiec, zrozumieli, że muszą uciekać. Jedynie nieliczni postanowili się zmierzyć z bogiem i ogniem.

Na następnej stronie zamieszczono wiele zdjęć wulkanu. Gruzy, ciemności i popiół, spadające kamienie i pierzchający ludzie...

Złożyłam gazetę, wsunęłam ją do kieszeni fotela przywołałam stewardesę i zamówiłam kieliszek wina Natychmiast!

Co bym jej powiedziała, gdyby zadzwoniła? Od czego bym zaczęła?

Od kraju, tej odległej baśniowej krainy, ze złotawymi ludźmi i szarym głodem? Wyspiarski raj, gdzie wszystko jest za półdarmo i gdzie każdy przybysz z Zachodu to bogacz. Więc przyjeżdżają. Fala za falą przetaczają się przez wyspy importerzy i ćpuni, biznesmeni i turyści. Najwięcej jest amatorów seksu. Codziennie pojawiają się setki mężczyzn z bogatego świata - zbyt leniwych, zbyt

cynicznych lub zbyt wystraszonych, żeby się zmierzyć z prawdziwym życiem - którzy wolą kupować to, co inni dostają. A kiedy fale odbijają od brzegu, zabierają ze sobą najważniejszy towar eksportowy w tym kraju: ludzi. Służący i salowe, robotnicy i kurwy trafiają do arabskich pałaców i chińskich fabryk, do niemieckich burdeli i apartamentów lub willi szwedzkiej arystokracji.

A może powinnam zacząć od miasta? Amerykańska baza wojskowa i dwadzieścia tysięcy kurew. Setki tysięcy ludzi i tylko jeden przemysł: R&R, The Resttk Recreation Indust gdzie kobiety i dzieci są maszynami, little brown fuckiri, machines - jak mawiają żołnierze - a ich mężowie i ojcowie to służący, robotnicy albo pomocnicy maszynistów. Miasto, spokojne i ciche za dnia, nocami zamienia się w lśniący tygiel, w którym wszystko może się zdarzyć, kiedy mężczyzna lub kobieta, dziecko lub dorosły zobaczy swoje lustrzane odbicie i własne upodlenie.

A może powinnam zacząć od Butterfielda. Od tego, jaki był, kiedy go spotkałam: cudzoziemiec, który roześmiał się w niewłaściwym momencie i musiał za to zapłacić.

Nie widziałam tego na własne oczy. Stało się to w biały dzień, a ja przyjechałam do Olongapo późnym wieczorem, tuż przed północą.

W hallu hotelowym roіło się od amerykańskich oficerów, co mnie nie zdziwiło. W Olongapo nigdy nie brakuje Amerykanów. Przeciskałam się przez tłum, z kluczem i z tragarzem, nie rozumiejąc, że ci ludzie są uciekinierami.

Był to najlepszy hotel w mieście, jedyny położony z dala od dzielnic uciech i jedyny, w którym nie wynajmowano pokoi na godziny. Mój pokój przypominał salę operacyjną: zamknięte okiennice, jasnozielone betonowe ściany i goła żarówka pod sufitem.

Ledwie tragarz wyszedł, stanęłam przed lustrem i przyjrzałam się swojej twarzy. Ziemista, lśniąca od potu, o rozszerzonych porach i lekko podkrążonych ze zmęczenia oczach. Zniszczona twarz trzydziestoosmioletki. Nie najgorzej, bo miałam czterdzieści dwa lata. Byłam świeżo po rozwodzie, eks mąż wyjechał z nową żoną do Nowego Jorku robić karierę w ONZ, dziecko chodziło do szwedzkiej szkoły z internatem.

Byłam zmęczona i lepka, miałam wrażenie, że moje podbrzusze wydziela kwaskowatą, nieprzyjemną woń. Ohyda pory deszczowej. Po ośmiu latach w Indiach i sześciu miesiącach na Filipinach jeszcze się nie przyzwyczaiałam. Marzył mi się zamek błyskawiczny na brzuchu, żebym mogła wyjść z siebie, pozbyć się własnego ciała.

W pokoju nie było klimatyzacji, pod sufitem, w gęstym ciężkim powietrzu mozolnie obracał się wentylator. Wsunęłam dłoń w uchylone drzwi łazienki, zapaliłam światło, po czym szybko je

zamknęłam i policzyłam do stu, dając czas jaszczurkom i karaluchom na znalezienie sobie kryjówek.

Łazienka prezentowała się lepiej, niż się spodziewałam: ściany wyłożone białymi kafelkami i chłodna woda bez domieszki rdzy. Z niekłamaną przyjemnością nacierałam się gąbką, szorowałam szczoteczką dłonie i stopy, raz po raz nakładałam szampon na włosy. Przez pięć dni odwiedzałam Szwedów w północnej części Luzonu, od pięciu dni tęskniłam za długą kąpielą pod prysznicem, bez konieczności oszczędzania wody.

Usłyszałam sygnał telefonu, odezwał się aż cztery razy, zanim spłukałam szampon i owinęłam się ręcznikiem. Bengt był jak zwykle opanowany i uprzejmy. Czy wyłącznie z powodu dobrego wychowania? A może to ten błysk w jego oczach? Czyżby ciągle miał nadzieję, że pewnego dnia położy na ambasadorskiej kanapie eks małżonkę i odnoszącego sukcesy Ulfa Linda? Jeśli tak, nie był w tym osamotniony. Niejednokrotnie spotykałam się u mężczyzn z tym rodzajem pożądania. Kariera Ulfa wprawiała w pulsowanie ich nozdrza, patrzyli na mnie tak, jakby sądzili, że Ulf czerpie swoją siłę i talent z mojego łona, że je wyłuskuje niczym perły z wnętrza ostrygi. Bezcelnie ich zachęcałam.

-Ale długo nie odbierałaś! Wszystko okej, Cecylio?

- Oczywiście. Brałam prysznic. Przed chwilą przyjechałam. Czemu dzwoniś tak późno? Stało się coś?

- I kto to mówi? Przecież jesteś w środku tego bajzla! Nie słyszałaś, że Amerykanie opuszczają bazę Clark? Przedwczoraj ewakuowali z Angeles do Olongapo czternaście tysięcy ludzi, a dzisiaj tysiąc pięćset...

-Dlaczego? Co się stało?

-Pinatubo. Wulkan. Zaczął pluć popiołem i w każdej chwili może wybuchnąć...

Usiadłam na łóżku, ręcznik się ześliznął.

-Co ty mówisz? Ale Olongapo chyba jest bezpieczne?

-Jasne, że tak, nic ci nie grozi, malutka. Ewakuują wszystkich w promieniu dwudziestu kilometrów, jesteś całkowicie bezpieczna. Nie dlatego dzwonię. Chodzi o tego szwedzkiego więźnia w Olongapo, no wiesz, fałszerza pieniędzy... Nie wiedziałam. Nie słyszałam tego nazwiska od przeszło dwudziestu lat.

-Alleluja! Zabrzmiało to jak orgazm. Dwa krótkie pchnięcia i eksplozja: alleluja. Potem ciężki wydech, z zamkniętymi oczami, i pięciosekundowa cisza. Był w białym garniturze z błyszczącymi wyłogami

I srebrzystych okularach, które ciągle mu się zsuwały, by się w ostatniej chwili zatrzymać na niewielkim arystokratycznym garbku wąskiego nosa. Stworzyciel Jeffersona Berglunda dopilnował, żeby miał wolne ręce, by mógł je składać do modlitwy i wyciągać ku niebu, nie robiąc przerw na poprawianie okularów.

-Bóg jest dobry - powiedział Jefferson Berglund. - Alleluja! Bóg jest dobry. Alabam, ala, niffor, alabam! Miłujcie Jezusa! Alleluja!

Tamtego lata, naszego ostatniego wspólnego lata, w każdy sobotni wieczór wkładaliśmy sukienki do konfirmacji i snułyśmy się po mieście. Chodziłyśmy do Ingsberg parken i na Sódra Torget, przemierzałyśmy Storgata i Langgatan. Szukałyśmy przygód. Ale w mieście panowała absolutna cisza. Czasami słyszałyśmy odległy warkot motoroweru, prostowałyśmy plecy, zapalały się w nas iskielki nadziei i w sekundę później gasły. Staruszek w cyklistówce Na ulicach roilo się od starców na motorowerach i w cyklistówkach. Nigdzie śladu chłopców. W ciepłe dni wypomadowani jeźdźcy wyruszali na motocyklach do Huskvarn i Eksjó. Byłyśmy za młode, żeby im towarzyszyć. Zresztą nikt nam tego nie proponował, właściwie nie znałyśmy ani jednego motocyklisty. To znaczy znałyśmy tylko z widzenia, wiedziałyśmy, jak się nazywają, i marzyłyśmy o nich tak jak się marzy o bohaterach.

Nasze wysokie obcasy stukały na chodniku. Sukienki powiewały. Zzerała nas tęsknota. Nic się nie działo. Miasto i lato zastygły w bezruchu.

Wszystko się zmieniło, kiedy obok hali sportów Jefferson Berglund postawił biały namiot i ciszę przerwała elektryczna wersja „Perłowej bramy”.

Wkrótce zainteresowały się nim popołudniówki. Przyjechali reporterzy i fotografowie z Jónkópingu. Religijni. Przebudzenie w najciemniejszym zakątku Smalandii. Kaznodzieja i muzyka rockowa! Chłopcy z „Butafago Band” drużyny piłkarskiej, która stała się pierwszą w Nassjó kapelą rockową, uśmiechali się do obiektywów i mieli nadzieję na zrobienie kariery. Daremnie. Jefferson Berglund usunął ich w cień. Nic dziwnego, przecież uczynił cud. Dotknął chorego na cukrzycę chłopca i skłonił jego matkę do odstawienia insuliny. Dwa tygodnie później chłopiec nadal żył, a popołudniówki nigdy jednak nie pojęły innego, znacznie większego cudu: że to Berglund, cygan i złodziej, z Biblią w ręku wypędzał demony z uczciwych ludzi. Na dokładkę w mieście, w którym na jednej tylko ulicy było siedem kościołów, a na pozostałych pięć. Mimo tej obfitości, wierzący mieszkańcy Nassjó przychodzili do cygana, klękali i „mówili językami”.

-Odrętwiali! - wołał Jefferson Berglund w namiocie. - Bóg nie chce kólek krawieckich ani letniego samozadowolenia! Bóg chce przebudzenia! Bóg chce nas wszystkich obmyć słodką krwią Baranka, affelogo, hareut, affelogol Alleluja! Chodźcie, chodźcie do Pana!

Marita i ja poszliśmy tam jeden jedyny raz, w sobotni czwarty wieczór, kiedy Sódra Torget ział pustką i nie pojawił się żaden samochód raggare. Marita włożyła tego dnia cztery halki, ja siedem. Ta najbliższa ciała była nowusienka, ze sztywnego paryskiego tiulu. Kiedy próbowałam usiąść, ocierała mi uda i zostawiała na nich kraciasty wzorek.

Staliśmy tuż przy wejściu, w grupie innych nastolatków, kiwnęliśmy głową do kilku starych znajomych z podstawówki i szyderczo uniosliśmy brwi, żeby podkreślić, że przyszliśmy tylko dla zgrywu. Chociaż i tak powinny to zrozumieć. Na kilometr dało się zauważyć, że nie jesteśmy religijne: pomadka na ustach i tapir. Dziewczeta innego pokroju nosiły bawełniane kapelusze i białe rękawiczki. Nie wolno im było chodzić do kina. Miały nie po kolei w głowie. Jefferson Berglund też.

Podniósł ramiona jak ukrzyżowany, w jednym ręku Biblia, w drugim mikrofon, i odrzucił głowę do tyłu. Oczy półprzymknięte, usta na wpół otwarte, wargi wilgotne.

-Alleluja! Chodźcie, chodźcie do Jezusa!

Przez sekundę wyobraziłam sobie, że robię coś niesłychanego: Idę środkowym przejściem, pokonuję trzy schodki prowadzące na scenę i padam przed nim na kolana. Widziałam, jak obejmuję go w pasie i kładę mu głowę na brzuchu, na brzuchu dorosłego mężczyzny. On dotyka dużą dłońią moich pleców i przytula mnie, opiekuńczo i pożądliwie...

Chwyciłam Maritę za ramię.

- Chodź, idziemy - szepnęłam.

- Coś ty. To fajowskie...

Zgromadzeni zaczęli się ożywiać, najpierw szeptali i mamrotali, po chwili coś wykrzykiwali, padali na kolana i wyciągali ręce do nieba, szlochali, jęczeli. Kiedy „Butafag Band” zagrał „Tam wysoko”, Jefferson Berglund wyjął chusteczkę z kieszeni spodni, szybko otarł czoło i zszedł ze sceny. Ekstaza była tuż-tuż. Młodą kobietę odrzuciło w tył, jakby nią powodowała jakaś niewidzialna siła Jefferson przytrzymał ją i pocieszał. Za nimi podniósł się mężczyzna w szarym garniturze i krzyknął, że został uleczony.

Właśnie wtedy po raz pierwszy rozległ się warkot motocykli. Stały przed namiotem i przez pół minuty pomrukiwały na wolnych obrotach. Marita puściła moje ramię i wyjrzała. Po chwili spojrziała na mnie, rozpromieniona Przyjechali ci najgroźniejsi i najważniejsi.

-Lefte i Kometa. I jeszcze paru...

Nagle pomruki zamieniły się w grzmoty. Silniki zawyły z pogardą i motocykliści zaczęli objeżdżać namiot, okrążenie za okrążeniem.

Chłopców z zespołu kompletnie zamurowało. Przecież nie jesteście religijni, a to są nasi kumple, co my tu, u diabła, robimy? Muzyka się rozsypała, najpierw umilkły gitary, potem kontrabas, na końcu perkusja. Zgromadzeni uspokoiли się, opadły ręce, wygładzano spódnice i prostowano plecy.

Jefferson Berglund nadal stał z dłonią wyciągniętą w geście zbawienia. Po sekundzie wahania odwrócił się i wbiegł na scenę.

-Otwórzcie bramy! - zawołał. - Otwórzcie im bramy... Dwóch starszych mężczyzn pospieszyło do wyjścia;

chwycili za poły namiotu, rozsunęli je i podnieśli. Do środka, na lśniącym harleyu davidsonie, wjechał Kometa, skórzany książę na swoim czarnym rumaku. Za nim sunęło siedem motocykli z siedmioma wypomadowanymi jeźdźcami. Na tylnych siodełkach siedziały cztery dziewczyny w zwiewnych spódnicach i czterech chłopców w dżinsach. Pasażer Komety miał chustę na twarzy i czarną, zsuniętą na czoło czapkę.

Kometa wolno podjechał do sceny, dla zachowania równowagi postawił jedną nogę na ziemi i kilka razy groźnie zawarczał silnikiem. Nie spuszczał wzroku z Jeffersona Berglunda, stojącego na tle białej banderoli z czerwonym napisem: JEZUS CIĘ KOCHA".

Jefferson milczał i nie ruszał się, dopóki motocykl nie znalazł się przy scenie. Powietrze było gęste od spalin. Ktoś zakasłał.

-Witajcie - cicho, niemal szeptem przemówił Jefferson. - Witajcie w domu bożym...

Kometa uśmiechnął się krzywo, wyjął z tylnej kieszeni stalowy grzebień i powoli, nie odrywając oczu od Jeffersona, starannie poprawił swoją presleyowską fryzurę. Jefferson podniósł głos:

-Cieszę się, że i wy szukacie Pana. Jego dom jest otwarty dla wszystkich. Niebo jest otwarte dla wszystkich! Jezus umarł także dla ciebie, Kometa, alleluja... – Chwycił Biblię i uśmiechnął się, pokazując białe zęby. - Alleluja, Kometa! Będziesz wierzył, będziesz w niebie! W niebie anioły jeżdżą na białych maszynach o pojemności dziesięciu tysięcy kubików! Silniki są ze srebra, a reflektory z prawdziwych diamentów. Możesz mieć taki motor! Możesz stać się jednym z aniołów niebieskich!

Kometa się zachwiał. Może stracił równowagę, chowając grzebień, a może po prostu osłupiał. To jednak wystarczyło, żeby w zgromadzonych wstąpiło życie, zaczęli się śmiać, chwalić Pana i wołać „amen”. „Butafago Band” z wahaniem wziął akord, po czym dał takiego czadu, że furkotało płótno namiotu.

Kometa chciał zawrócić, nie zsiadając z motocykla. Nic z tego; za dużo ludzi, za dużo ławek. Zaklął i wrzasnął do swoich kumpli, żeby się cofnęli. Jakaś staruszka dotknęła plamistą dłonią jego

skórzanej kurtki i zawołała, żeby się ukorzył przed Jezusem. Odtrącił ją i zsiadł. Silnik zgasł. Rozglądał się, zrezygnowany. Pocił się. Inne motocykle nagle zniknęły.

Kometa i jego pasażer nie mogli się poddać, musieli wyjechać z namiotu. Wyjście ze zgaszonym motocyklem oznaczałoby porażkę.

- Niebo, Kometa! - odezwał się Jefferson Berglund, przekrzykując muzykę i zgiełk. - Pomyśl o białej supermaszynie, która żeglujecie nad chmurami! Może być twoja!

Kometa nareszcie ustawił przednie koło pod właściwym kątem, uruchomił silnik i wolno ruszył ku wyjściu, wyprostowany, z pogardliwie odętą górną wargą.

I wtedy stało się coś niebywałego. Jego pasażer uniósł się, chwiejnie stanął na siodelku, jedną ręką oparł się o plecy Komety, a drugą rozpiął spodnie. Miał na sobie białe slipy, które było widać jedynie przez sekundę, bo błyskawicznie je ściągnął, obnażając różowe młodzieńcze pośladki. W samym wyjściu odwrócił się i zdjął chustę z twarzy. To był Butterfield Berglund.

Dopiero trzydzieści lat później, tysiące mil od domu, dowiedziałam się, kto zapłacił za ten pokaz.

Wnoszę do maminej sypialni łóżko polowe, jej stan się pogorszył, często potrzebuje tlenu. Imelda Marcos też miała tlen w swojej sypialni. Myślała, że dzięki niemu będzie ładniejsza.

Mówię o tym mamie, kiedy zaczyna lżej oddychać, spodziewam się, że się uśmiechnie oczami, co czasem robi, ale tym razem zamyka oczy i chyba będzie spać.

Ja na polowym łóżku śpię głęboko, nic mi się nie śni. Co godzina nastawiam budzik, żeby podać mamie tlen. Nie zawsze słyszę, jak dzwoni. To mnie martwi. Powinnam spać lekko i budzić się na każdy dźwięk, tak jak u siebie w pokoju.

Ostatniego poranka Olongapo błyszczało. Szare domy, szare światło i padający od tygodni deszcz sprawiły, że całe miasto wyglądało jak odlane w metalu. Powietrze było ciężkie, ciepłe i słodkie jak świeżo ugotowany sos waniliowy.

Ricky czekał przed hotelem.

- Dzień dobry, madame.

- Dzień dobry, Ricky. Dobrze spałeś? Uśmiechnął się, wiedziałam, dlaczego. Z początku nie mogłam się przyzwyczaić, że śpi w samochodzie. Podczas naszej pierwszej podróży próbowałam go nakłonić do wynajęcia pokoju w tym hotelu, w którym sama się zatrzymałam. Wzdrygnął się, myślał, że chcę z nim iść do łóżka. Widząc wyraz jego twarzy, przestałam nalegać. Przecież nie o to mi chodziło, chciałam się tylko uwolnić od wyrzutów sumienia. Nie podobała mi się rola bogatej baby, która każe szoferowi spać na parkingu.

Teraz dawałam mu pieniądze na pokój w hotelu, a wybór należał do niego. Zawsze spał w samochodzie. Odkładał pieniądze na inny cel.

-Spałem znakomicie, madame. Wezmę pani walizkę. Niebo było ciemnoszare, a powietrze mokre, mimo że jeszcze nie zaczęło padać. Wilgoć zdefasonowała mi sukienkę, upał pootwierał wszystkie pory. W pokoju hotelowym zrobiłam staranny makijaż, który wkrótce spłynie, jeśli natychmiast nie wsiądę do klimatyzowanego samochodu.

Tymczasem Ricky nie otworzył tylnych drzwi, tylko bagażnik.

-Byłem na targu, madame, mam nadzieję, że mi pani wybaczy...

Kupił mango i papaję, ananasy i świeże orzechy kokosowe, bataty i pomidory, dwa worki cebuli i jabłka, najdroższe ze wszystkich owoców. I żywe kraby, elegancko powiązane w pęczki po pięć i łączące po sobie. Pieniądze na hotel znalazły przeznaczenie. I nie było miejsca na moją walizkę.

-Tu jest dużo taniej niż w Manili - powiedział. Gdyby przyjaźń była możliwa, zostalibyśmy przyjaciółmi. Teraz byliśmy swoimi więźniami.

Kiedy po raz pierwszy przyleciałam do Manili, czekał na mnie na lotnisku; niski gruby mężczyzna o błyszczącym czole i śmiejących się oczach. Może to z powodu tych oczu wydawało mi się, że patrzy na mnie jak przyjaciel i partner. Wtedy pragnęłam przyjaźni, łaknęłam towarzystwa ludzi równych sobie.

Nie byliśmy jednak podobni. Ani trochę. Ricky był prawdziwym Filipińczykiem: praktykujący katolik, w soboty chodził do burdelu, a w niedziele na msze, rozmowny, gustujący w opowieściach o duchach i innych niestworzonych bujdach.

Wtedy na lotnisku wziął moje walizki i powiedział:

-Przysłała mnie ambasada. Byłem kierowcą pani poprzednika. Czy zamierza pani kupić samochód, madame?

-Tak.

-To proszę kupić toyotę. Czerwoną toyotę camry. Są najlepsze.

-Sam wybierz. Nie znam się na samochodach. I tak zostałem zatrudniony.

Miał pięcioro dzieci na utrzymaniu. Wszystkie chodziły do szkoły, wszystkie potrzebowały mundurków i książek, wszystkie ciągle się upominały o nowe buty gimnastyczne. Ricky często mówił o tych butach, czasami miałam wrażenie, że je jedzą, bo tyle ich zużywały.

Od dawna wtedy mieszkałam w Krainie Dyplomacji. Stanowczo za długo. Tęskniłam za ludźmi, którzy potrafią się śmiać, nie patrząc przez ramię, i swobodnie, bez lęku rozmawiają.

Potrzebowałam Ricky'ego i jego śmiechu. Ricky potrzebował mnie i moich pieniędzy. I tak zbudowaliśmy sobie nawzajem kraty.

Kobieta w zielonej sukience była na tyle wstawiona, żeby bez zahamowań oprzeć się na kontuarze i flirtować z barmanem. On był młody i złoisty, ona w średnim wieku, o suchej, opalanej na brąz skórze.

Spełniłam swój obowiązek; odholowałam ją na bezpieczną, nie alkoholową odległość od baru i zażenowanego chłopca. Trudno było ją nakłonić do rozmowy na tematy zaprzatające uwagę kobiet w Dniu Szwedzkiej Flagi w Manili: o szkołach swoich dzieci i o dobroczynności, o wystawach dzieł sztuki i dobrych krawcowych. Milczała, zanurzała palec w drinku i przesuwiała nim po krawędzi kieliszka, choć powinna wiedzieć, że to na nic, bo ten charakterystyczny dźwięk można uzyskać tylko wtedy, kiedy kieliszek stoi na stole, a nie wtedy, kiedy trzyma się go w rękę. Przerwała mi w połowie zdania.

- Twój mąż odszedł od ciebie, prawda? Przełknęłam ślinę.
- Rozwiedliśmy się.
- Ale to on tego chciał, prawda? On? Rozprostowałam plecy.
- To narastało. W końcu oboje chcieliśmy...

Znów zanurzyła palec w drinku, kompletnie nieświadoma ogarniającej mnie wściekłości. Popatrzyłam na nią bez cienia współczucia: żona kramarza, skóra jak na suszonej rybie, obwieszona zdecydowanie za dużymi świecidełkami, ubrana w nietwarzowy tajski jedwab. I falbanki! Ja miałam białą płócienną sukienkę na miarę. Przewiewną i prostą.

-Mój mąż staje się prawdziwym Filipińczykiem - powiedziała ścisłym głosem. - Przygruchał sobie Numer Dwa i nic go nie powstrzyma, żeby jej tutaj nie przyprowadzić...

Wskazała głową mężczyznę stojącego w głębi sali. Wysoki Szwed około pięćdziesiątki, tęgi, ale nie gruby, niemal muskularny. Lubię spać z takimi facetami, ich ciężar i pewność siebie wszystko ułatwiają. Ale ten nie był do wzięcia. U jego boku stał Numer Dwa, młoda Filipinka, łagodna, sympatyczna i uśmiechnięta. Pewnie studentka i z dobrej rodziny. Przypuszczalnie niedawno była w Europie albo w Stanach, bo miała wszystkie atrybuty typowe dla zachodnich intelektualistek: włosy na pazia, prostą sukienkę i kilka oryginalnych srebrnych ozdób. Żadnego makijażu, nawet pomadki. Olśniewająca uroda.

Znów popatrzyłam na kobietę w zielonej sukience, na jej jaskrawo pomarańczowe usta, jasnoniebieskie powieki i zwiotczałą skórę na szyi. Nagle zrobiło mi się jej żal.

-Tak to jest na Filipinach - powiedziałam, wzruszając ramionami. - Trzeba się przyzwyczać. Jesteśmy od nich brzydsze. I na ogół starsze. Wypiła duży łyk. Ulżyło jej, że nareszcie rozmawiam z nią poufale.

-Może. Ale to niełatwe. I nijak nie można się pocieszyć. Filipińczycy są śmiertelnie przerażeni, a obcokrajowcy do niczego. Czasami myślę, że Bóg obwieścił światu jedenaste przykazanie:

„Szurnięci wszystkich krajów - zgromadźcie się w Manili!“. Roześmiałam się.

-Coś w tym jest. Przetaczają się przez ambasadę wartkim strumieniem...

-Wiem. Tłumy pijaczków. Ale spójrz na tę zgraję, wcale nie są lepsi. Milczałam, przypatrując się towarzystwu jej oczami. Szwedzi tworzyli wysepki, uformowali cały archipelag, gdzie każdy garnał się do swoich. Pośrodku byli parlamentarzyści, członkowie jednej z komisji, podróżujący po krajach południowo-wschodniej Azji; mężczyźni w ledwo dopinających się koszulach z tropiku, kobiety w batikowych sukienkach, za luźnych w ramionach i za ciasnych w biuście. Śmiali się głośno i głośno rozmawiali. Udając, że cały czas na siebie patrzą, rzucali pospieszne spojrzenia ku innym wysepkom, jakby chcieli się przekonać, czy na pewno wszyscy ich widzą.

W prawym kącie skupili się misjonarze, wyciszeni panowie z jeszcze bardziej wyciszonymi żonami, o twarzach koloru świeżo wyrośniętego pszennego ciasta, bladzi, ciepłi i miękczy. Częściej patrzyli w podłogę niż na siebie, a jeśli ich spojrzenia przypadkiem się skrzyżowały, czym prędzej odwracali wzrok.

Przy drzwiach na taras stali biznesmeni, siwowłosi i hałaśliwi, młodzi i małomówni - zgodna emanacja dumy i siły. Pokazywali plecy parlamentarzystom, misjonarzy traktowali jak powietrze i otwarcie manifestowali pogardę dla słabych drinków, oferowanych przez ambasadę, i równie słabych dyplomatów.

Wokół wysepki biznesmenów kręcili się właściciele barów. Ilekroć usiłowali się tam dostać, krąg niepostrzeżenie się rozpraszał i po chwili, jak na złość, odradzał kawałek dalej. Nie było ich wielu. Nie można zaprosić do ambasady wszystkich szwedzkich właścicieli barów w Manili. Wybiera się tylko tych w miarę strawnych. Oni też byli do siebie zdumiewająco podobni: chudzi, brązowi, o białych zębach drapieżników.

A dokoła - niczym okalające wyspy wody oceanu - kłębili się Filipińczycy: zamożni goście i biedna służba. Byli zbyt złości i zbyt skośnoocy, żeby mogli cokolwiek znaczyć; nadawali się na posługaczy, dostawców albo kochanki, można ich było pozyskać dla liberalizmu, luterńskiego Boga lub idei kółek samokształceniowych, ale sami w sobie nie stanowili żadnego obiektu zainteresowania. I w tym oceanie pływał Bengt z żoną Lidią; uśmiechali się zyczliwie do wyspiarzy, władczo spoglądali na służbę.

Szwedzi. Europejczycy. Światowe towarzystwo.

-Sama widzisz - skonstatowała kobieta w zielonej sukience.

Dopiłam drinka i lekko się uśmiechnęłam, jakbym nie do końca zrozumiała, co ma na myśli.

-Muszę się trochę poudzielać - powiedziałam. -W przyszłym tygodniu jadę do Szwedów z północnych prowincji, pewnie jacyś tu są, zawsze lepiej sprawdzić, co i jak...Podniosła kieliszek jak do toastu i uśmiechnęła się.

-No to się udzielaj. Ja mam swojego brzdąca przy barze...

Następnego dnia opowiedziałam Ricky'emu o zielonej kobiecie. Był wieczór, staliśmy w cuchnącym korku w Quezon City. Położył rękę na oparciu pustego fotela pasażera i odwrócił się do połowy; jego profil wyglądał jak czarna sylwetka.

- Wiem, madame - odparł. - Kiedyś spotkałem taką kobietę. Australijkę. Bogatą. Chciała za mnie wyjść. Wyjaśniam jej, że jestem żonaty i że mam czworo dzieci, poznałem ją zanim urodził się Danilo, ale ona tylko pokiwała głową. Że to się da załatwić. Że dostanę pieniądze na ich utrzymanie... Więc powiedziałem żonie, co i jak. Rozmawialiśmy całą noc. Postanowiliśmy wziąć rozwód. Miałem pojechać

z tą kobietą do Australii, mieszkać u niej za darmo, znaleźć sobie pracę i przysyłać Zosimie i dzieciakom wszystkie zarobione dolary... A po kilku latach, kiedy starczyłoby nam pieniędzy na wykształcenie dzieci, miałem się rozwieść i wrócić do domu...

Milczałam, powietrze w samochodzie zgęstniało od nie zadanych pytań. Ricky odwrócił się do mnie plecami, przejechaliśmy kilka metrów i znów utknęliśmy.

-Proszę mnie zrozumieć, madame. Mam czterdzieści lat i zawsze byłem biedny. A kiedy jest się biednym, cały czas czeka się na prawdziwe życie. Wierzyłem, że kobieta z Australii nam je da. Ale ona znalazła sobie innego, młodego chłopca, który przesiadywał w hotelowym barze. Nie miał żony ani dzieci, więc wzięła jego zamiast mnie. Odwiozłem ich na lotnisko. Przez całą drogę myślałem o prawdziwym życiu. - Umilkł, a po chwili powiedział cicho, niemal szeptem: - Prawdziwe życie, madame. Przyszłość. Czy ona kiedykolwiek nadejdzie?

Tak więc Ricky i ja mogliśmy sobie powiedzieć wszystko. Z wyjątkiem jednego słowa: „nie”.

Dlatego tamtego ranka w Olongapo popatrzyłam na zawalony zakupami bagażnik mojego samochodu i wzruszyłam ramionami. Walizka może leżeć na tylnym siedzeniu. Jeśli dotrzemy do Manili przed wieczorem, żona Ricky'ego powinna nieźle na tym zarobić. Rozłoży wszystko na ulicy przed domem i sprzeda po manilskich cenach. Raz mnie do siebie zabrał, w pewne poniedziałkowe popołudnie, żeby się pochwalić tym, czego dokonał podczas weekendu. Zerwał starą drewnianą podłogę i położył nową, z cementu. Nie był to jakiś wielki wyczyn, bo mieli tylko jeden pokój. Mniejszy od mojego garażu.

-Znacznie lepiej - stwierdził Ricky, objął żonę ramieniem i patrzył na swoje dzieło. - Dużo łatwiej utrzymać] w czystości... Zosima milczała. Znałam powód. Ricky powiedział mi, że żona jest w trakcie swojej batalii: chce się przenieść do prawdziwego mieszkania z kuchnią. Ale nie było go na to stać. Zosima ciągle gotowała posiłki na kuchence spirytusowej w kącie pokoju i prała dziecięce mundurki w balii na podwórzu. Ricky mówił, że prała je codziennie. Wszystkie pięć-

-Pralki nie wypiorą ubrań do czysta - oznajmił. - Nie ma to jak balia mojej żony...Uśmiechnęłam się i poczęstowałam go papierosem.

-Pleciesz, Ricky...Przez chwilę życzliwie się sprzeczałyśmy.

Jeździliśmy bardzo dużo, ponieważ odpowiadałam za sprawy konsularne; ot, takie babskie zajęcia w dyplomacji. W Manili było trudniej niż w Delhi. Mieszkało tu mnóstwo podstarzałych Szwedów o twarzach gąbczastych od alkoholu, którzy troskliwie pielęgowali swoje marzenia z okresu dojrzewania. Ricky ich nie lubił. Kiedy przychodziliśmy do jakiegoś szwedzkiego baru po kolejnego delirycznego wraka, stawał się sztywny i formalny i przez wiele godzin się do mnie nie odzywał. Ale teraz kilka dni spędziliśmy wśród Szwedów z północnych prowincji i ci ludzie przypadli mu do gustu. Uprzejmi misjonarze zapraszali go do stołu i pozwalali spać w prawdziwym łóżku. Mimo to spieszył się do domu, chciał być z żoną i dziećmi i wysłuchiwać dobrze mu znanego gderania.

~ Przykro mi, Ricky, nie możemy od razu jechać do Ganili, musimy jeszcze zajrzeć do szpitala. Mają tam szwedzkiego pacjenta. Westchnął i wrzucił jedynekę. Postanowiłam go jakoś nakłonić do mówienia.

- Słyszałeś coś o wulkanie, kiedy byłeś na targu? - spytałam.

- Mmmm. Do miasta zjechało mnóstwo Aetów. I Amerykanów z Angeles. Pozamykali szkoły, żeby ich wszystkich pomieścić.

-A Filipińczycy z Angeles?

- Oni nie wierzą w tę gadaninę o następnych wybuchach. Tylko dzikusy się podniecają. Władze mówią, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

- Wiem. Ambasador mi powiedział, że ewakuują lud w promieniu dwudziestu kilometrów od wulkanu. Więc nic nam nie grozi.

- Tak, na pewno. Ale na trasie do Manili może być duży ruch. W razie czego znam skrót...

Zaczęło padać, najpierw cicho i miękko, w sekundę później gwałtownie, ulewnie. Błotnistą ulicą popłynął potok. Ricky zwolnił. Opony wydawały szemrzące dźwięki.

Znałam Olongapo z wcześniejszych wizyt, teraz wyglądało trochę inaczej. Wszędzie było wyjątkowo dużo kobiet nie tylko Filipinek idących na targ, ale także żon amerykańskich oficerów,

w butach na obcasie, z parasolkami. Jeszcze bardziej zdumiał mnie widok przechadzających się prostytutek; plastikowe torebki na głowie i pomarszczone minispódniczki. Mrużyły oczy. Nastoletnie dziewczyny z Olongapo nie nawykły do dziennego światła, nawet tak szarego jak w porze deszczowej.

Poza tym wszystko było po staremu. Mimo deszczu i groźby wybuchu wulkanu na wysypisku przy Santa Ri uwijali się śmieciarze. Chodzili w przemoczonych, oblepiających ciało łachmanach i wbijali w sterty odpadków długie kije. Szlam był tutaj gorszy niż na ulicach, czarny, mazisty, jak rzadka sraczka. Po targowisku wałęsały się skudłacone, głodne psy i obnażały żółte zęby. Na chodnikach siedzieli uliczni handlarze: dzieci o zmęczonych twarzach, sprzedające papierosy i gumę do żucia, i dorośli o podkrążonych z głodu oczach, oferujący warzywa.

Na pierwszą procesję natknęliśmy się tuż przy Fontaine Street. Ksiądz, kilka zakonnic i ubrane w mundurki dzieci ze szkoły klasztornej. Śpiewali i nieśli święty obraz, Madonnę o bladej twarzy, w pelerynie, która - zanim spadł deszcz - była zapewne jasnoniebieska.

Ricky szybko się przeżegnał i wyjaśniająco machnął papierosem.

- Wulkan. Ludzie zanoszą modły, żeby Pinatubo się uspokoił...

Dwa kwartały dalej trafiliśmy na procesję Czarnego Nazarejczyka. Niosło go aż ośmiu młodych mężczyzn, ponieważ Czarny Nazarejczyk waży więcej niż inne święte obrazy. Jest przedstawiony w drodze na Golgotę, w purpurowym płaszczu i koronie cierniowej. Krzyż mu ciąży, ugina kolana. Ma ciemnobrązową skórę, prawie czarną i patrzy w ziemię. Bezbronny człowiek idący na śmierć.

Ricky starannie zgasił papierosa, przeżegnał się i cicho zaczął odmawiać „Zdrowaś Mario”. Czarny Nazarejczyk był jego świętym, tym, do którego zawsze się modlił.

Zatrzymaliśmy się, żeby ich przepuścić. Otoczyli nas rozśpiewani ludzie. Obraz Chrystusa zniknął gdzieś z przodu, widzieliśmy tylko ramiona, tułowia i dłonie uczestników procesji. Jakiś chłopczyk został przyciśnięty do samochodu. Obszarpany, brudny. Popatrzyliśmy na siebie. Miał duże oczy.

Mimo upału zadrżałam i nagle zatęskniłam za Szwecją i chłodem. Jest czerwiec, pomyślałam, kwitnie trybula, zasnuwając cały kraj białymi koronkami...

Czy to sen, czy wspomnienie? Siadam na polowym łóżku i oddycham głęboko. Serce mi wali.

Widziałam siebie w spizarce pani Olsson, dużej staroświeckiej komórce z oknem. Nie sięgam okna, jestem małą dziewczynką, mam na sobie ciepłe zimowe spodnie i rozpinany wełniany sweter. Marita wsunęła kraciastą sukienkę w spodnie narciarskie. Moja mama uważa, że brzydko

w tym wygląda. Mama Marity jest w spranym, niemal pozbawionym kolorów, kwiecistym fartuszk. Ma grube białe ramiona. Uśmiecha się do nas.

-Chcecie zobaczyć?

Marita poważnie kiwa głową, ja skamieniałam. Nie mogę mówić. Nie wiem, co się stanie, wiem jednak, że się tego czegoś boję. Pani Olsson ostrożnie zdejmuję z półki butelkę. Trzyma ją w obu dłoniach, nie widać, co jest w środku. Uśmiecha się do mnie.

-Boisz się, Cecyljo?

Nie mogę się ruszyć, ba, nie mogę nawet przełknąć śliny. Nie odpowiadam. Opuszcza butelkę na wysokość moich oczu. Pływa w niej coś różowego. Pani Olsson zdejmuje rękę, żebym mogła zobaczyć.

To wąż. Jadowity wąż, którego ktoś wepchnął do butelki z różowym płynem. Jest zawekowany i ściśnięty, przypomina szare flaki w słoiku, uśmiecha się martwym pyszczkiem pokazując rozwidlony język. Ma biały brzuch - tego samego koloru i tej samej wielkości co ramiona pani Olsson

-Jest tłusty - mówi pani Olsson i podtyka mi butelkę pod nos.

Chcę się cofnąć. Nic z tego. Świat się skończył. Za mną jest tylko przepaść, duża czarna pustka. Mojej mamy już nie ma, nie ma mojego domu, nie mam lalki o imieniu Elisabeth. Istnieje tylko butelka, zmija i uśmiech pani Olsson.

General Hospital w Olongapo to niski budynek, na zewnątrz pobielony wapnem, w środku szary, cementowy. Ciężkie parne powietrze przesyca przykra woń eteru i jedzenia. Były tam tylko cztery sale i idąc korytarzem, miałam wrażenie, że brodzę w szeptach i jękach. Wszędzie pełno ludzi. Zakonnice w wykrochmalonych welonach, pielęgniarki w białych fartuchach, dzieci i zapłakane matki, młodzi, starzy, chorzy, zdrowi. Ich głosy zlewały się w szum, równie jednostajny i stłumiony jak szelest padającego za oknami deszczu.

Pacjenci leżeli na wysokich żelaznych łózkach, przeważnie na nie powleczonej materacach. Pewnie z pościelą było tak jak z jedzeniem: to sprawa rodziny. Nie wszystkich na to stać. Wiedziałam, że biedni Filipińczycy nie mają ani bielizny pościelowej, ani łóżek, co wieczór rozkładają maty, a rano je zwijają.

Znalazłam go w ostatniej sali, dostał najlepsze łóżko, Pod okratowanym oknem, najbliżej świeżego powietrza. Może pielęgniarkom zrobiło się go żal, bo był samotny, a może brało się to z dosyć typowego przesądu, że biały równa się bogaty, czyli ma władzę. Butterfield Berglund nie miał pościeli.

Leżał na plecach, z zamkniętymi oczami, jedna ręka nad głową. Mogłam mu się spokojnie przyjrzeć. Krzepki, Ciemne szpakowate włosy, biały temblak, t-shirt i szorty. Wysoki. Lekko garbaty nos. Młodsza wersja słynnego ojca Jefferson pewnie sam by się uleczył.

Ledwie musnęłam jego ramię, natychmiast otworzył oczy. Były niebieskie i ciut wyłupiaste.

-Dzień dobry, nazywam się Cecylia Lind, jestem z ambasady... Podniósł wyżej pasiastą poduszkę i podciągnął się do pozycji siedzącej.

-Cześć! - odparł z uśmiechem. - A gdzie jest Fredrik Akare*?

(Cecylia Lind i Fredrik Akare to powszechnie w Szwecji znani postaci z ballady Cornelisa Yreeswijka (przyp. tłum.)

Imiona i nazwiska. Na dworze pada, jest zmierzch uliczne latarnie mają aureole. Tata właśnie kupił Bananowy Dom. Siedzę z Maritą w moim pokoju, ziszczonym marzeniu nastolatki o tapetach w róże i toaletce w kształcie nerki z tiulową zasłonką. Zapisujemy nasze kołonoatniki swoimi imionami i nazwiskami: „Marita Olsson”, „Cecylia Dahlbom”. Strona po stronie. Niebawem skończymy dwanaście lat.

-Wiem, co znaczy twoje imię - mówi Marita, niezbyt wyraźnie, bo ssie kosmyk włosów.

-Ja też wiem - odpowiadam. - Pajęczyna. Podnosi głowę, puszczając wilgotny kosmyk.

-Akurat. Wcale nie. To znaczy ślepa. Pisali o tym w „Hemmetts Journal”...

Jestem zdumiona. Moje imię znaczy pajęczyna, nic innego. To oczywiste, przecież to słyhać, od zawsze o tym wiedziałam. Marita wyczuwa mój sprzeciw.

-Nie wierzysz mi? Tak napisali. „Cecylia” to po łacinie Ślepa - Pajęczyna? Skąd ty to wytrzasnęłaś?

Nie odpowiadam, pochylam się niżej nad kołonoatnikiem. „Cecylia Dahlbom, Cecylia Dahlbom”. Imię wychodzi mi nieźle, „C” jest niezwykle wyszukane, gorzej z nazwiskiem. Duże „d” wygląda jak pańcia z dzieckiem w brzuchu. Marita wstaje, okrąża pokój i przeciąga palcem po tapecie.

- A wiesz, jak nazywają twojego tatę? Podnoszę wzrok. Nie wiem. Jak go nazywają?

- To też jest w „Hemmetts Journal”... Marita się rozkręca, boję się, że zniszczy mi tapetę, bo ma długie różowe paznokcie.

-No, dobra, jak go nazywają? Hetka-pętelka? Kapitan Bałwan? Kapuś Zręda?

Staje na wprost mnie. Milczę i wpatruję się w kołonoatnik. Marita parska śmiechem.

-Oczywiście Złoty boom! Przecież to nowobogacki. Chociaż słyszę to słowo po raz pierwszy, wiem, że

znaczy coś złego. „Nowobogacki”.

-W każdym razie mój tata - mówię bardzo cicho - nie przesiaduje na klatkach schodowych i nie wrzeszczy. Mój tata nie pije. Marita bez słowa zabiera swój kołonożnik i zamyka za sobą drzwi. Jej kroki dudnią na schodach. Palę się ze wstydu i nie jestem w stanie się ruszyć.

-Ulf, na Boga - mówię w wyszukanie prostej restauracji w Limie.

- Nie można się nazywać Cecylia Lind, w Szwecji!

Z uśmiechem ujmuje moją dłoń.

-Nie mamy wpływu na wszystko, co nas spotyka. Możemy jedynie wybrać stosowne formy zachowań. Tobie przypadło nazwisko Lind i proszę cię, żebyś je przyjęła...

Pochyliła się i całuje diamenty na pierścionku zaręczynowym. A w mojej głowie niesie się echem głos Złotego „Nabij mnie na cholernie długie pal!”.

Nie było krzesel, więc przysiadłam na jego jasnoniebieskim, brudnym materacu. Przesunął się, skopał koc jak najdalej od siebie i wyprostował nogi.

Wiedziałam, że mogę się do niego zwracać tak jak do Złotego i Larsa Górana. Z żartobliwą bezczelnością. Szwedzi rodzaju męskiego nie znają innego sposobu okazania życzliwości.

-Bardzo śmieszne. Myślisz, że tego nie słyszałam. A tak między nami, kto jak kto, ale ty masz najmniej powodów, żeby robić sobie jaja z cudzych nazwisk...

Był zachwycony, że posiłkuję się kolokwializmem. Mimo to się wahał. W końcu byłam z ambasady.

-Nie bierz tego do siebie, to tylko żart...

-Wiem - odparłam. - My się prawie znamy, mamy wspólnych znajomych.

-Tak?

Jego twarz zmieniła wyraz. Nie spodobało mu się to,; jestem z Nassjó, że swego czasu przyjaźniłam się z Maritą choć o tym nie wspomniałam, przypuszczalnie wiedziałam co nieco o Jeffersonie i Wenus z Gottlósy.

- Córka Złotego? Ciebie nie kojarzę, ale pamiętam twojego starego. To on skołował sztuczne lodowisko. Pamiętasz termometr na ratuszu?

Skinęłam głową. To był pomysł Złotego. Jeden stopień na termometrze odpowiadał tysiącowi zebranych koron. Przez cały rok szkolny każdy nastolatek dobrowolnie pracował wieczorami przy budowie lodowiska.

Popatrzyłam na Butterfielda. No tak, może niezupełnie każdy.

-Jak się czujesz? - spytałam.

-Kilka siniaków, jedna rana cięta. Nic poważnego. Gorzej z ręką. Muszę się dostać do Manili.

-Dlaczego? Jego głos zabrzmiał jaśniej i nieco płaczliwie. Miał skomplikowane złamanie kości nadgarstka i być może kilku kości dłoni, nie mógł poruszać palcami, miejscowi lekarze nie umieli mu tego poskładać. Powiedzieli, że powinno się go operować, ale popsuł się aparat rentgenowski, więc nie byli pewni. Poza tym tylko dlatego, że nie miał gotówki, oszczędzali na środkach przeciwbólowych. Od wczoraj, nie licząc lurowatej herbaty bez cukru, nie dostał nic do jedzenia.

Deszcz za okienną kratą przypominał ołowianą kurtynę. Lśniły liście bananowców.

Nad górną wargą Butterfielda perlił się pot.

-Jasna cholera, nie chcę mieć sparanej ręki do końca życia tylko dlatego, że te krasnale nie znajdują się na swojej robocie. Chcę pojechać do Manili, do prawdziwego szpitala gdzie mi to złożą do kupy.

Ciekawe, kto za to zapłaci. Odczytał tę myśl z moich oczu.

- Mam konto w banku. Stać mnie na to...Gdyby to był kto inny, przybrałabym współczujący i biurokratyczny wyraz twarzy, wycofała się do drzwi, załatwiła parę formalności związanych z posiłkami i lekarstwami, po czym usadowiła się na tylnym siedzeniu, z Rickym, i pojechała do Manili. Może przez chwilę ogryzałabym paznokcie, ale szybko bym się opamiętała, położyła dłonie na kolanach i patrzyła przez szybę na siwy deszcz, ryżowe pola i bawoły. Może bym nawet przywołała zwyczajową konstatację Ulfa: „Szwedzka mentalność przedszkolaka”. W domyśle: „Zawsze oczekują, że ktoś się nimi zajmie”.

Gdyby to był kto inny, wszystko potoczyłoby się inaczej. Spokojnie żyłabym dalej, nie znając prawdy o sobie. Ale to był Butterfield Berglund, o którym coś tam wiedziałam. Król Szkoły Głównej. Nie mogłam udawać, to nie istnieje.

- A więzienie? - spytałam. - Muszę zadzwonić do więzienia.

- Zadzwon i pogadaj z Somozą. Jest szefem.

- Muszę się skontaktować z ambasadą i porozmawiać z lekarzami. Zrobię, co w mojej mocy.

Między nami krajanami... Wstałam, z uśmiechem ucisnęłam jego lewą, zdrową dłoń i odwróciłam się.

Już na korytarzu nie pamiętałam jego twarzy, ale zapamiętałam owłosione uda i wypukłość niebieskich szortów.

Kiedy wyszłam ze szpitala, Ricky spał na rozłożonym fotelu z gazetą na twarzy.

-Sorry - powiedziałam - jeszcze trochę tu zostaniemy. Musimy pojechać do więzienia...

Popatrzył na mnie tak, jakby zważył w moją poczytalność. Zapomniałam o jego inwestycji leżącej w bagażniku. Jeśli warzywa zwiędną i kraby zdechną, poniesie poważne straty. Przeze mnie. Hm, w pewnym sensie.

- Oj, do licha, twoje zakupy! Słuchaj, jeśli nie dojedziemy dzisiaj wieczorem do Manili, zapłacę ci za nie. Okej? Pokiwał głową i złożył gazetę.

Więzienie mieściło się na terenach wojskowych, na północ od miasta, gdzie stacjonował jakiś pułk. Zdziwiłam się. Przystępstwo Butterfielda nie miało, że tak powiem, militarnego charakteru.

Panował tam wyjątkowo cywilny nastrój. Żołnierze mieszkali ze swoimi rodzinami, pod wysokimi drzewami stały nie tylko budynki służbowe, ale także niepozorne chałupy i wałęsające szopy. W deszczu bawiły się dzieci, a zapchlone psy walczyły o resztki jedzenia.

Więzienie znajdowało się pośród cienistej zieleni; szary nieduży budynek, asfaltowy dziedziniec, ogrodzenie z drutu kolczastego i uzbrojony strażnik. Niemal idylla.

Somoza, który nie zgodził się na załatwienie sprawy przez telefon, miał swój gabinet w domu za drutami. Drobnym mężczyzną w brązowym mundurze, skory do śmiechu i zaskakujący. Nie musiałam wytaczać żadnych argumentów, przekonał sam siebie w pospiesznym monologu, kiedy ściskaliśmy sobie dłonie. Postąpiłby wręcz nieludzko, odmawiając mister Berglundowi opieki medycznej. Nie ma cienia wątpliwości, że szwedzka ambasada zadba o to, by Szwed wrócił do więzienia. Poza tym zostało mu tylko dwanaście dni do zakończenia kary, więc nie ma o co kruszyć kopii. Napije się pani soku, madam i Proszę usiąść, bardzo proszę.

Sprawa była załatwiona, ale Somozie zależało na tym żebym została. Trzeba wypełnić formularze, złożyć podpisy i przystawić na nich odpowiednie pieczętki. Zaordynował calamansi juice i herbatniki w celofanowym opakowaniu. Żołnierz w pokoju obok powoli i starannie wkręcał formularz w maszynę do pisania.

Domyśliłam się, że to trochę potrwa. Pora na odrobinę życzliwości.

-Czy ma pan jakieś nowe wiadomości o wulkanie? Uśmiechnął się.

-Dzisiaj rano była kolejna erupcja, ale zapewne pani o tym słyszała.

-Tak, w radiu. Tutaj się tego nie odczuwa.

-No, no, no i nie odczuje. Nie ma się czego bać, madame. Władze kontrolują sytuację...

-O tak, z pewnością. Czy urodził się pan w Olongapo? Lekko się uśmiechnął i popatrzył gdzieś obok mnie.

- No, madame. Pochodzę z Bohol, z wyspy o brązowych górach...

- A, czekoladowe góry! Czytałam o nich. Bohol jest podobno niesamowicie piękna...

Ciągle patrzył obok mnie. Nie odpowiedział, w zamyśleniu przesunął palcami po wąsach.

Wypiłam kwaśnego soku i otworzyłam paczkę herbatników.

-Jak to się stało, że mister Berglund był w mieście? Ocknął się i spojrzał na mnie.

-Mister Berglund w każdą środę dostaje nadzorowaną przepustkę. Musi przecież kupować żywność, nie ma żadnej rodziny...Uniosłam brwi. Ten przywilej na pewno kosztował Butterfielda sporo dolarów, prawdziwych lub fałszywych Somoza zauważył moje spojrzenie i wstał, wyraźnie poirytowany.

-Może chciałaby pani zobaczyć jego celę? Obraziłam go swoimi podejrzeniami o łapówkę, dlatego musiałam biec w deszczu, bez parasolki. Gnał przodem, szybko minął furtkę i zmierzał ku szaremu budynkowi, przystanął pod ścianą szczytową i schronił się pod dachem. Na haku po lewej stronie wisiała szarobiała tusza o żółtych, wyszczerzonych w szyderczym grymasie zębach i czarnych dziąsłach. Byłam dostatecznie długo na Filipinach, żeby wiedzieć, co to takiego: oprawiony pies, który wkrótce zostanie zjedzony. Somoza wskazał głową na psią tuszę.

-Rodziny więźniów przynoszą jedzenie. Mister Berglund nie ma rodziny i nie je tego, co inni więźniowie... To, wchodzimy. Butterfield dzielił celę z czterema więźniami. Była tak duża, że każdy mógł sobie urządzić własny kąt. Trzech zrobiło przepierzenia z zawieszonych na sznurku i połączonych taśmą klejącą gazet. Butterfielda było stać na więcej. Zafundował sobie pasiastą bawełnianą kotarę ze zmechaconego koca w nieokreślonym, szaroburym kolorze. Za kotarą było zdumiewająco przytulnie: przyzwoicie posłana prycza, prześcieradło, koc, poduszka, lampka nocna na drewnianej skrzynce, wentylator i radio tranzystorowe.

Jak w szafasie, takim jaki się stawia w wieku dziesięciu lat, by się ukryć przed światem. Marita i ja kiedyś coś takiego kleciłyśmy. Coś ciemnego, bezpiecznego i sekretnego. Mister Berglund maluje - powiedział Somoza, zapalając lampkę i wskazując na jedną ze ścian w kąciu Butterfielda.

Wstrzymałam oddech. Namalował cały świat, świat przepołowiony. Po prawej późnojesienny pejzaż nordycki - czerwone niebo, ciemny las i zamrznięta woda, po lewej - krajobraz tropikalny: niebo rozżarzone do białości i góra plująca ogniem. A pomiędzy tymi światami przepaść - czymś połączona. Jakimś ciałem. Albo mostem. Albo całym światem. Kiedy podeszłam bliżej, zobaczyłam bogactwo szczegółów. Ciało olbrzyma pokrywały miasta, lasy i ludzie.

Najlepiej mu wyszedł pejzaż nordycki: nasycona zieleń sosnowego lasu, ciężkie niebo i głęboka ciemność. I tam, w celi Butterfielda Berglunda, po raz pierwszy sobie uświadomiłam, że nordyckie ciemności są inne i że różnią się od pozostałych ciemności świata. One nad nami nie zapadają, tylko wydobywają się z ziemi.

W kuchennej szafce mamy stoi jasnoniebieski kubek z rurką. Jest przeznaczony dla najmłodszego syna Lar -Gorana, ale go rekwiruję, napełniam sokiem jabłkowym i zabieram do sypialni.

Morfina i sok jabłkowy - tyle pozostało mojej mamie

Kubek zdaje egzamin, nareszcie nie muszę zmieniać jej koszuli, ilekroć coś pije. Morfina ciągle działa: czasami mama otwiera oczy i patrzy na mnie błyszczącym spojrzeniem. Odwzajemniam je i milczę. Chciałabym pogłaskać ją po policzku. Nie, nieprawda. Chciałabym chcieć ją pogłaskać. Ale nie chcę.

Wróciliśmy do szpitala po południu. Nieśmiały lekarz sprawiał takie wrażenie, jakby go dręczyło poczucie winy. Rzucił okiem na papiery z więzienia i bez zastrzeżeń użyczył mi telefonu.

Bengta nie było, wiadomość odebrała Annie, jego sekretarka. Niech znajdzie miejsce w którymś z dużych prywatnych szpitali.

-Chirurgia dłoni, powiadasz. Mmm. To da się załatwić, na pewno sobie z tym poradzą w amerykańskim szpitalu...

-Rób, co chcesz, zadzwonię, jak będziemy w Manili.

-Dobrze, jest czwarta, więc będziesz musiała zadzwonić do mnie do domu... Przyjedziecie nie wcześniej niż o dziesiątej wieczorem.

Kiedy odłożyłam słuchawkę, lekarz podsunął mi rachunek: leki, łóżko, badania, telefon.

Wręczyłam mu wizytówkę.

-Proszę to wysłać do Ambasady Szwecji.

Położył wizytówkę na biurku. Czasami o niej myślę. Widzę ją. Rozpulchniła się od deszczu i zakurzyła. Leży pod ruinami, które kiedyś były General Hospital w Olongapo. Wystaje tylko rozek. I powiewa na wietrze.

-Nie masz spodni?

Butterfield siedział na krawędzi łóżka i patrzył na swoje nogi.

- Ech, to bez znaczenia. Wszyscy tu chodzą w szortach...Nie w Manili. A zwłaszcza nie w amerykańskim szpitalu.

- Okej, okej. Jeśli to takie ważne, możemy kupić jakieś spodnie na targu.

- Mają tam tylko dziecięce rozmiary. W tym kraju nie udało mi się kupić nic z gotowych ubrań.

Wszystko za małe.

- Tak, w Manili. I dla dziewczyn. Ale w Olongapo są ubrania dla dużych mężczyzn. W końcu zaopatrują się Amerykanie. Pomóż mi wstać. Chwyciłam go za zdrowe ramię. Był osłabiony, miał zawroty głowy.

- Co ci się właściwie stało?

- O tym potem...

- Nie masz żadnego bagażu?

- Nie, wpadłem tu tylko na chwilę. Po jedzeniu. Muszę wziąć parę rzeczy z więzienia.

- Nie pomyślałam... Poza tym nie byłam w twojej celi tylko w biurze Somozy.

Skłamałam bez zmrużenia powiek. Bo niby jak miałam powiedzieć Butterfieldowi Berglundowi, że widziałam jego ciemności?

Staliśmy na schodach przed szpitalem. Po chwili przyjechał Ricky.

-Ale ciemno - odezwał się Butterfield. - Jakie dziś światło...Popatrzyłam w niebo. Miał rację. To był dziwny zmierzch. Popielaty.

Butterfield zabrał nas do restauracji w dzielnicy prostytutek. Kelnerka miała na sobie cekinowe bikini, w lustrze za plecami Ricky'ego świeciła jak złota rybka. Przy barze inne księżniczki w bikini apatycznie bawiły się słomkami wetkniętymi w puszki coca-coli. Za wcześnie na interesy. Żołnierze pojawiają się dopiero za dwie godziny.

Później często będę myśleć o tym posiłku, o krewetkach z grilla i parującym ryżu, o radosnym śmiechu Ricky'ego, kiedy się odchylił do tyłu i czyścił zęby wykałaczką, o zdrowej dłoni Butterfielda pożądliwie trzymającej kufel piwa, o kawie, ostatniej filiżance kawy. Butterfield i Ricky zaakceptowali siebie na swój męski sposób. Trzeźwy, nie nadęty Szwed i uprzejmy, nie służący Filipińczyk. Wydawało mi się, że słyszę, jak oddychają z ulgą, kiedy już określili swoje pozycje. Teraz śmiali się obaj z tych samych dowcipów. Ricky chyba zapomniał o warzywach i zonie, żuł wykałaczkę i kołysał się na krześle.

Widzi pan - zwrócił się do Butterfielda - w tym kraju nie wolno grać w karty. Nawet u siebie w domu. Istnieje tylko jeden wyjątek: czuwanie przy zmarłym. Kiedy w mieszkaniu leży nieboszczyk, można grać, ile się chce. Wie pan, co ludzie robią? Kupują zwłoki. - Przestał się kołysać, pochylił się nad stołem i powtórzył: - Kupują zwłoki. W San Juan, tam gdzie mieszkam, działa taka banda, która niczym innym się nie zajmuje. Co tydzień zagląдают do przedsiębiorców pogrzebowych i jak tylko się pojawi ktoś o nieustalonej tożsamości, natychmiast go rekwirują. Potem przez tydzień albo i dłużej nieboszczyk, oczywiście balsamowany, krąży od domu do domu. No i gramy w karty, dopóki nie zacznie załatywać... Butterfield roześmiał się, wypił łyk piwa i otarł usta wierzchem dłoni. Poczulałam lekką zazdrość. Ricky nigdy nic nie mówił o nieboszczykach. A co na to twoja żona? - spytałam.

Ricky wyszczerzył zęby w uśmiechu i pokazał mi nie zamykające się usta małżonki.

-Oczywiście zrzędzi. Ale mężczyzna musi przestawać ze swoimi przyjaciółmi, madame.

Butterfield pochylił się do przodu, szykował się do opowiedzenia jakiejś historii, ale go powstrzymałam.

-Słuchajcie, jeśli mamy dojechać do Manili przed północą, musimy się zbierać. Pójdę tylko do toalety i ruszamy...

Ricky wstał i odsunął mi krzesło.

-Wiesz, gdzie tu jest toaleta? - spytałam Butterfielda po szwedzku, ostrym głosem.

- Taka, gdzie nie złapie trypra od samego wdychania...

Z lekkim uśmiechem wskazał mi drogę zdrową ręką.

Było tam w miarę czysto; podłoga mokra i lepka, sedes zachodni i cała umywalka. Zamknęłam drzwi, zdjęłam sukienkę, dokładnie się umyłam, zwilżyłam szyję zimną wodą, umalowałam się i wyszczotkowałam włosy, nieszczęsne skandynawskie włosy niemowlaka, które za nic nie chciały się układać w porze deszczowej.

Przyjrzałam się sobie w lustrze. Pod makijażem ledwie było widać moją twarz. Pamiętam, że pomyślałam o Bengtcie. Powiedział mi kiedyś o pewnym eksperymencie, zgromadził zdjęcia najbardziej przeciętnych ludzi w jakimś kraju, o przeciętnych nosach, przeciętnych policzkach, średniej grubości wargach i tak dalej. I stworzył z przeciętności prawdziwą piękność.

Uśmiechnęłam się do twarzy w lustrze. Przeciętna. I w tym momencie zgasło światło.

Po omacku dotarłam do drzwi. W restauracji też ciemno. Wysokie głosy z podnieceniem mówiły coś po tagalsku, niskie głosy odpowiadały po angielsku. Jedną ręką mocno ścisnęłam torebkę, drugą wyciągnęłam przed sobą.

-Butterfield! - zawołałam. - Ricky! Gdzie jesteście? Przede mną rozbrzysnął płomyk. To Butterfield zapalił

zapalniczkę.

-Chodź, idziemy. Położyłam dłoń na jego zdrowym ramieniu, było bardzo ciepłe, i ruszyłam za nim ku drzwiom. Za plecami słyszałam oddech Ricky'ego.

-Wszystko dobrze, madame, tylko proszę pilnować torebki...

Butterfield pokazał rachunek kelnerowi, który stał przy drzwiach z latarką w ręku. Zapłaciłam i wyszliśmy.

Prąd wysiadł na całej ulicy. Wszędzie panowały ciemności, nie licząc kilku chybotliwych płomyczków, równie wątych jak nasz. I cisza. Żadnych samochodów, muzyki, ludzkich głosów, tylko szum wiatru i deszczu.

Staliśmy niezdecydowani pod restauracyjną markizą. Lekko falowała.

-Pada? - spytał Butterfield i sam sobie odpowiedział: Tak, pada...

Ricky wzdrygnął się i wyciągnął rękę. Na jego twarzy odmalowało się zdziwienie, a po chwili niepewność. Płomyczek Butterfielda zgasł. Ricky zacisnął dłoń i przysunął ją do piersi.

Zapalniczka - powiedział cicho, staliśmy blisko siebie i patrzyliśmy, co oświetla płomyk na ręku Ricky'ego.

to nie był deszcz. To był piasek i popiół.

Lars-Góran jest nieodrodnym synem swojej matki, jego życzliwość nie zna kompromisów.

W końcu przyjeżdżają, mimo wszystko. Nic nie można na to poradzić.

-Zaharowujesz się - mówi Lars-Góran. - Ale przynajmniej w ten weekend będziesz mogła odpocząć...

Yvonne, jego nowa młoda żona, uśmiecha się, nieobecna duchem, i wiesza palto obok brązowych nerek. Odruchowo podnosi rękaw futra i muska go czubkiem nosa. Patrząc w bok, nie chcę jej wprawiać w zakłopotanie.

- Jasne - mówię. - Oczywiście. Ale mamie całą noc trzeba robić zastrzyki...

- Zapominasz, że Yvonne jest pielęgniarką - odpowiada Lars-Góran i rusza do salonu.

Zatrzymuje się na progu, dotyka wyłogów marynarki jakby chciał je poprawić, i obrzuca pokój taksującym spojrzeniem. Krzyżuję ręce na piersi, lekko drzę.

- No tak. Z przyjemnością wyrwę się z domu. Powinam zrobić sprawunki. Nie mam żadnych zimowych ubrań. Nie zdążyłam nic kupić, bo zawsze jest coś innego do roboty.

- Sama widzisz. Teraz zjemy coś dobrego i napijemy wina, a jutro pójdziesz na zakupy. My zajmiemy się mamą.

Manekiny w Domu Mody Grens są takie same jak trzydzieści lat temu: anorektyczne kobiety o długich szyjach i spadzistych ramionach. Dziwnie na nich wyglądają współczesne ubrania, poduszki zwisają, dzinsy są za luźne w talii.

Popycham ciężkie szklane drzwi i przypominam sobie mocny uścisk trzymającej mnie za rękę mamy, kiedy przyszedliśmy tutaj pierwszy raz.

Staliśmy się bogaci tak nagle, że ani mama, ani ja nie bardzo to sobie uświadamialiśmy. Kiedy chodziłam do pierwszej klasy, zajmowaliśmy dwa pokoje z kuchnią w starym budownictwie i mieliśmy nadzieję na trzypokojowe mieszkanie z łazienką. Mama sama szyła mi ubrania, kupowała materiały w Garnboden i kroїła według wzorów ze „Stilmónster”. Pięć lat później rezydowaliśmy w Bananowym Domu i dysponowaliśmy kontem w Domu Mody Grens, najdroższym sklepie w mieście, a może i w całej Smalandii. Brak mieszkań i kilka udanych kontraktów przeobraziły murarza Arnego Dahlboma w przedsiębiorcę budowlanego i pracodawcę. Jego firma tonęła w pieniądzach, czego początkowo nie pojmowaliśmy. Aż pewnego dnia tata przyszedł do domu i powiedział, że się przeprowadzamy.

-Bananowy Dom? - spytała zdezorientowana mama. - Jaki bananowy dom?

Nigdy nie zapomnę jej miny, kiedy dotarło do niej, o który dom chodzi: ogromny biały Dom Hollywoodzki przy Gamlarpsvagen, przyozdobiony czymś, co wyglądało jak dorodne cementowe banany. Zadrżała jej dolna warga i rozbłyły oczy. Mama była zwolenniczką funkcjonalizmu, marzył jej się dom o jednoskrzydłowych oknach bez szczebli, z meblami Brunona Mathsona. Taki dom z przyjemnością pokazałaby swoim przyjaciółkom z kobiecego klubu socjaldemokracji. Pretensjonalny Bananowy Dom był dla niej czymś obcym i wprawiał ją w zakłopotanie.

W kilka tygodni po przeprowadzce chwyciła mnie mocno za rękę i pchnęła drzwi Domu Mody Grens.

Ekspedientka miała antracytowo szary kostium i wiśniowe usta.

-Mmmm. Sukienka na egzamin dla dziewczynki, tędy proszę...

Ciągle pamiętam przymierzalnię i sukienki: biała w różowe tulipany, jasnoniebieska z frędzlą, żółta w niebieskie kwiatki. Wszystkie miały obcisłą górę i marszczoną w talii spódnice. W żadnej nie udało się zasunąć zamka błyskawicznego. Byłam za gruba. Po czwartej porażce oparłam się o lustro i zamknęłam oczy. Usłyszałam głos mamy za kotarą:

-Nie macie nic innego? Coś, co by się nie opinało na brzuchu... Może coś dwuczęściowego.

Ekspedientka wymruczała coś o większych rozmiarach na podłodze zastukały jej obcasy.

Po chwili mama podała mi kraciatą sukienkę a la Bardotka.

-Przymierz. Czy są tu szpilki? Niemo skinęłam głową i włożyłam sukienkę przez głowę; na sekundę świat się zaróżowił. Mama obciągnęła i zasunęła zamek, chwilę mi się przyglądała i ukłękła.

-Musimy ją podnieść w talii i w ramionach i skrócić o co najmniej dziesięć centymetrów. I usunąć zakładki na biuście. Stój spokojnie. Przez dłuższą chwilę w milczeniu wpinała szpilki, potem mnie okręciła i patrzyła na rezultat.

-Hm, nie będziesz w tym zbyt urodziwa, przeróbki zajmą mi tyle samo czasu co uszycie nowej sukienki, no ale to sukienka od Grensa, więc tata powinien być zadowolony. Wrzuciła zbędne szpilki do ośmiokątnego pudełka, odsunęła kotarę i wyszła.

-Zdejmij... Poczekał na zewnątrz. Stałam bez ruchu i patrzyłam w lustro.

-Wygląda jak napoleonka z różowym lukrem - powiedziała mama do ekspedientki. - Ale weźmiemy ją. To się da poprawić. Poczulałam niejasny żal: mogłam polubić tę sukienkę.

Tym razem przymierzam szybko i skutecznie, ledwie patrząc w lustro. Tweedowa kraciatka marynarka, wąska gabardynowa spódnica, sztruksowe spodnie i sweter z jagnięcej wełny. Potem przechodzę do wierzchnich ubrań: kurtka i palto. Plus szalik. Wszystko pasuje. Nic nie trzeba poprawiać.

Kiedy podpisuję dowód sprzedaży na kartę kredytową, uderza mnie, że moje nowe ubrania kosztują tyle, ile wynosi sześciomiesięczna pensja kierowcy na Filipinach. Co do óre. A to jeszcze nie wszystko. Muszę także kupić parę butów.

Wolno przecinam Stora Torget, mijam ratusz i idę Przez Ingsbergsparken do Handskerydu. Jest sobotnie popołudnie, miasto stopniowo zamiera. Tak długo mieszkałam w Azji, że w pierwszej chwili ta cisza wydaje mi się groźna. Po chwili przypominam sobie, że w rezydencji w Delhi też było cicho. Dobrobyt jest siostrą ciszy. Uśmiecham się szyderczo. Czy kochałaby go równie mocno, gdyby nie był ministrem? Czy kochałaby go jeszcze bardziej, zanim jego rząd przegrał wybory? Zazdrość przyprawia mnie o mdłości.

Mama uwielbiała nasz indyjski dom, białą nowoczesną rezydencję ambasadora.

-Cecylia ma wszystko, co tylko można sobie wymarzyć - powiedziała do Ulfa, kiedy oprowadzaliśmy ją po domu. - Willa Alvy Myrdal! Bo to przecież Alva Myrdal poleciła ją wybudować, prawda?

Rozejrzałam się po salonie. Jeśli pokój można porównać do człowieka, to ten uosabiał moją mamę. Duży, biały i racjonalny, bez ani jednego kącika, który kryłby w sobie jakieś mroczne tajemnice. Kazałam powiesić cienkie białe draperie, żeby go nieco zmniejszyć i wizualnie ocieplić, a kiedy mieli przyjść goście, służba wносиła ciężkie donice z kwitnącymi bugenwillami. Wszystko na nic. Salon nadal przypominał salę tronową rozsądku, bez względu na liczbę różowoczerwonych podkwiatków przesłaniających podłogę.

-Masz szczęście - powiedziała mama i poklepała mnie po policzku.

Wracam do domu i widzę coś, czego nie powinnam widzieć. Drzwi do sypialni są uchylone, Lars-Góran siedzi przy mamie i przyciska jej dłoń do piersi. Patrzą sobie w oczy, mama jest całkowicie rozbudzona.

Kochają się. Matka i syn, apostołowie racjonalizmu i życzliwości. Kochają się.

-Miło widzieć, że jesteś taka jak zawsze - mówi Lars-Guran następnego dnia, odsuwając talerzyk deserowy.

-Smaczne jedzenie i dobre wino, cała Cecylia... Uprzejmie się do niego uśmiecham. Klęczę przed kominkiem, ogień nie chce się rozpalić.

- Tak, wasza wizyta mnie ożywiła. Czułam się trochę samotnie... Ale już wyjeżdżacie.

- Dzieci - wyjaśnia Yvonne swoim szepczącym głosem.

-Nie możemy być długo poza domem.

- Rozumiem - odpowiadam. - Ale chyba zdążycie się jeszcze napić kawy?

- Oczywiście - mówi Lars-Góran. - Yvonne się tym zajmie. Prawda, kochanie? Kiedy zostajemy sami, klęka koło mnie, poprawia polana i zgniatą w kulki kawałki gazet. Ogień bucha płomieniem. Zdobywam się na odwagę i pytam:

-Pamiętasz Maritę Olsson? Tę, która mieszkała koło nas... W skupieniu patrzy na ogień.

- Jasne. Twoja stara kumpelka, jasne, że ją pamiętam.

- Czy oni mieli węża w spiżarni? Czy mi się to przyśniło? Wstaje, otrzepuje nogawki spodni i lekko się uśmiecha.

- Nie przyśniło ci się. Mieli węża w spiżarni. W butelce z denaturatem. Olsson znalazł go któregoś dnia

na Eksjöberget, kiedy był kompletnie pijany. Nie pamiętasz?

Tuż przed zaśnięciem to i owo mi się przypomina. Stoję w kuchni i płaczę. Mamy brązową boazerię na ścianach i piec na drewno. Słyszę to swoje wycie; dosyć niski dźwięk jak na małą dziewczynkę.

- Przestań ryczeć! - wrzeszczy Złoty, to znaczy jeszcze nie Złoty, tylko murarz Arne Dahlbom, który siedzi przy kuchennym stole i czyta „Smalands Dagbla

- Martwy wąż w butelce nic ci przecież, u licha, nie zrobi

- Ona chce, żeby się nad nią użalać - mówi mama stojąc przy zlewie. - Przestań! I wtedy przestaję.

Często myślę o przypadku. Przyprawia mnie o zawrót głowy. W jednej tysięcznej wszyscy jesteśmy dziełem przypadku, efektem dziesięciu tysięcy spotkań od zarania dziejów. Gdyby jedno z tych spotkań się nie odbyło, świat należałby do kogo innego. Prehistoryczna jaszczurka kopuluje z inną jaszczurką i zaczyna się historia świata; z jaja rodzi się zwierzę, które będzie nosiło swoje dzieci w sobie. Gdyby ta pierwsza jaszczurka nie wybrała akurat tamtej drugiej jaszczurki, świat byłby pozbawiony ludzi.

Ale istniejemy. I nosimy w sobie swoich przodków. Wszyscy mamy gadzi mózg, małą szarą bryłkę, która tkwi w naszych głowach, osłonięta tą masą, która tworzy z nas ludzi.

Mózg Butterfielda połyskiwał szaro i różowo, jak chmura o wschodzie słońca, ale tego nie chcę pamiętać.

Biegliśmy w deszczu popiołu ramię przy ramieniu, Butterfield z mojej prawej strony, Ricky - z lewej. Ricky wziął ode mnie torebkę i kurczowo ją trzymał, ocierała mu się o uda w rytm jego kroków.

Ulica się ożywiła, z przecznicy wybiegały dzieci i dorośli. Niektórzy z walizkami i tłumokami. Z barów i burdeli wylewały się dziewczęta i żołnierze. Ten i ów tak pijany, że pękał ze śmiechu, większość jednak, podobnie jak my, milczała i podobnie jak my biegła, zaciskając zęby, szybko, wytrwale. Choć nie wszyscy obrali ten sam kierunek, wydawało się, że każdy zmierza do określonego celu.

Oczy wkrótce przywykły do ciemności. Naga dziewczyna, zapłakana, ze służbowym bikini w ręku przecinała ulicę. Beznogi chłopiec siedział na domowej roboty skateboardzie i odpychał się kłykciami. Brodą przyciskał do piersi plastikową torebkę. Przemieszczał się równie szybko jak inni, dopóki nie został zmuszony do nagłego manewru żeby uniknąć zderzenia z zataczającym się białym żołnierzem, który oparł się o ścianę i usiłował rozpiąć rozporek. Czarny żandarm postawił sobie na ramieniu magnetofon i między domami zadudniła muzyka.

Słabe On'youfool i lveyou! Joint hejoyńde! Kłujący odór Słafk załaskotał mnie w nos. Popiół był taki ciepły, setki igiełek na skórze. Ricky'emu łzawiły oczy, pewnie od popiołu, bo Ricky nigdy nie płakał. Zderzali się z nami jacyś ludzie, odzywały się do nas jakieś głosy, nie zatrzymywaliśmy się i nie reagowaliśmy, biegliśmy przed siebie, prześlizgiwaliśmy się pomiędzy czarnymi gromadami ludzi, jakbyśmy tworzyli jedno ciało. Wreszcie ulica się skończyła. Zobaczyliśmy parking, a na nim naszą czerwoną toyotę. Ricky puścił moją rękę i ciągle biegnąc wygrzebał z kieszeni kluczyki. Popiół przywarł do samochodu niczym cieniutka warstwa kurzu. Kiedy Ricky otwierał drzwi, Butterfield i ja przetarliśmy tylną szybę. Wsiadłam z lewej strony, Butterfield z prawej.

-Cholera! - wydyszał po szwedzku. - Cholera, cholera cholera...

Uśmiechnęłam się w ciemności. W samochodzie czułam się swojsko i bezpiecznie, owoce Rickyego przesyciły go słodkimi zapachami. Popiół uderzał w dach. Zdziwiło mnie to, powinien raczej padać równie cicho jak śnieg.

Ricky się guzdrał, dopiero po dłuższej chwili uruchomił silnik. Przesunęłam dłońmi po ramionach i ze zdumieniem stwierdziłam, że już się nie pocę, mimo że upał nie zelżał. Butterfield pochylił się i powiedział coś o samochodzie; w tym samym momencie nareszcie zapaliły się lampki na desce rozdzielczej i silnik zaskoczył. Westchnęłam.

- Śmiertelnie się przeraziłam, Ricky. Myślałam, że nie zapali...

- Wszystko dobrze, madame. Musimy tylko zatankować benzynę, bo na tym, co mamy, nie dojedziemy do Manili.

- Wiesz, gdzie tu jest jakaś stacja?

- Sure, madame. Jedna jest przy wyjeździe z miasta...Włączył światła. Reflektory oświetliły grupkę dzieci. Siedziały skulone na pustym parkingu. Były bardzo małe, mogły mieć pięć, góra sześć lat. Wszystkie w czymś jasnym i nieforemnym, co wyglądało jak worki. Podniósł się jakiś chłopczyk, z plastikową torebką w rękę, i skrzywił się. Może to był uśmiech. Może płakał. Niewiele było widać w deszczu popiołu.

-Biedactwa - powiedziałam. - Co się z nimi stanie?

-Street kids, madame - odparł Ricky. - One zawsze sobie poradzą.

-Jaka jest droga do Manili? - spytał Butterfield. Ricky wrzucił jedynekę. Nagle ogarnęła mnie radość. Roześmiałam się.

-I kto to mówi? Przecież co tydzień jesteś na przepustce.

- Daj spokój! Od trzech lat nie byłem poza granicami tego miasta... Od tamtej pory dużo się zmieniło na drogach. Mieliśmy cztery orkany.

- Droga jest w porządku - poinformował Ricky. Do połowy równa żwirówka, a potem asfalt. Było tylko nie było dużego ruchu...Uśmiechnęłam się i splotłam dłonie na karku.

-Ale w razie czego Ricky zna skrót. Prawda, Ricky?

-Sure, madame. Zaśmiałam się głośno.

-Jesteśmy wolni, Butterfield. Nikt na świecie nie wie, Co robimy i gdzie jesteśmy...

-Upiłaś się? - powiedział Butterfield Berglund.

Nie dzwoni. Nie zadzwoni. A przecież musi się dowiedzieć.

Budzę się któreś nocy i wiem, co jej powiem, w tej sekundzie pomiędzy snem a jawą to oczywiste. Ale kiedy podaję mamie tlen i morfinę, jasna myśl staje się prostacka mrocznieje, zostają tylko słowa. Siadam jednak przy maminy biurku i zaczynam pisać list. Marita, czy nadal wiesz wszystko o mężczyznach? Czy zawsze musimy chodzić z nimi do ich bram? Dlaczego nie mogą przyjść do nas, dlaczego nie chcą zajrzeć do naszych pokoi, popatrzeć na nasze krajobrazy?

Butterfield nic nie chciał o mnie wiedzieć. Mimo to był piękny jak samo życie. A jego sperma była równie cierpka jak miłość, równie gorzka jak żądza..."

Następnego dnia rano jestem wściekła, czytając to, co napisałam. Bełkot i dyrdymały! Mną list, wrzucam do kosza i idę do łazienki umyć zęby. Ale słowa listu nie dają mi spokoju. Moje odbicie w lustrze patrzy na mnie szyderczo. Więc jego sperma była cierpka jak miłość, Cecylia? Gorzka jak żądza? A sperma Nog Noga?

Wypluwam spienioną pastę do umywalki i z udreką sobie odpowiadam: Sperma Nog Noga była mocna jak krew i słona jak ocean.

Na peryferiach Olongapo był prąd, w slumsach nad rzeką świeciły się pojedyncze żarówki. Płonęły wieczorne ogniska. Domy kołysały się na wysokich krzywych palach: dziwnie wyglądały, jakby się szykowały do drogi. Zaczęła się migracja, ale na razie nie było paniki. Na ulicach roilo się od ludzi i samochodów, wózków i rowerów, kwiecistych jeepów i zardzewiałych trójkołowców. Nie obowiązywały żadne przepisy, ten, komu nie udało się włączyć do ruchu prawostronnego, sunął lewą stroną

Nie miało to jednak znaczenia, bo nikt nie jechał z naprzeciwka, wszyscy zmierzali w tym samym kierunku, na południe, ku Manili.

-Shit - Ricky uderzył pięścią w kierownicę. Byliśmy niedaleko stacji benzynowej.

-Co jest? - spytał Butterfield.

-Widzicie, jaka kolejka? I tylko jeden cholerny dystrybutor...

-Rzucę okiem - powiedziałam.

Zerwał się wiatr, ledwie uchyliłam drzwi, podmuch otworzył je na oścież. Zwiało mi włosy na twarz, przytrzymałam je ręką i policzyłam samochody przed nami. Osiemnaście! Czternaście skorodowanych rzęchów, takich, które palą dwa i pół litra na dziesięć kilometrów, i cztery jeepy. Plus rozmaici ludzie z wiadrami i kanistrami. Pochyliłam się.

-Benzyna się skończy, zanim będzie nasza kolej. Musisz popertraktować, Ricky...Ricky przekręcił kluczyk w stacyjce i wysiadł. Porywisty wiatr wtargnął mu pod koszulę, wydał ją na plecach i przycisnął do okrągłego brzucha.

-Spróbuję z luzakami - powiedział, odwracając się do mnie. - Czy mogę zaproponować podwójną cenę?

-Możesz zaproponować potrójną. Musimy dojechać do Manili...Podszedł do dystrybutora. Jakiś mężczyzna właśnie napełniał dwa plastikowe wiadra. W słabym świetle zobaczyłam, jak Ricky gestykuluje i przekonuje. Mężczyzna nie odpowiedział, popatrzył na wiadro i opuścił końcówkę węża, może dlatego, żeby nie pryskało.

- Coke, madame

Jakiś chłopiec ciągnął mnie za sukienkę. Lekko odchylony, żeby utrzymać równowagę, przyciskał do piersi trzy duże butelki coca-coli. Mimo wiatru miał popiół we włosach; przykrywał mu głowę jak mała czapeczka.

-Coke?

Zdecydowałam się natychmiast. Przyda się nam coś do picia podczas podróży.

- Ile chcesz?

- Dwa dolary za butelkę, madame. Pięć dolarów za trzy

- Co za cena! Wzruszył ramionami na tyle, na ile mu pozwalał ciężar butelek.

-No to cztery i pół.Nie odpowiedziałam i natychmiast opuścił. Cztery dolary.

- Okej. Masz tego więcej?

- Mogę załatwić...

-To załatw jeszcze dwie, tylko migiem, bo się spieszymy. Wyciągnął rękę.

-Najpierw pieniądze za te trzy. Wcisnęłam mu kilka pogniecionych banknotów i dokonałam szacunkowych obliczeń. Zostało mi jeszcze około dwustu dolarów, co powinno wystarczyć na jedzenie i benzynę nawet w razie katastrofalnej inflacji. Kładąc butelki na podłozie w samochodzie, pomyślałam o kosztorysie, o różowych formularzach, które leżały w ambasadzie na moim biurku z IKEI.

- No i jak? - spytał Butterfield.

- Dobrze. Ricky znakomicie negocjuje... Chłopiec przyniósł butelki i miał następną ofertę.

- Owoce, madame. Świeże kokosy? Czekolada?

Okej, trochę czekolady. Tylko szybko!

Kiedy zniknął w ciemnościach, po raz pierwszy zauważyłam, że w popiele widać ślady stóp.

Tyle go spadło. Schyliłam się i wzięłam szczyptę, był szaro-czarny i ostry jak piasek.

Gdzieniedzie połyskiwały pojedyncze srebrne ziarenka. Rozchyliłam dłoń, wiatr zdmuchnął popiół.

Ricky'emu się powiodło. Mężczyzna z wiadrami szedł pierwszy, za nim Ricky, jak strażnik.

-Chce sto dolarów, madame. Sto dolarów za półtora wiadra... I ani centa mniej.

- Ile litrów jest w jednym wiadrze?

- Nie wiem, może ze trzy galony.

- Dojedziemy na tym?

-Do Quezon City na pewno, madame. A stamtąd to już bardzo blisko.

-Wspaniale. Ricky odkręcił korek wlewu, a ja otworzyłam portfel.

- Mamy jakiś lejek? - spytał Ricky.

- Lejek? Nie, przecież wiesz, że nie mamy...

- To jak wlejemy benzynę do baku?

Przez chwilę staliśmy bezradni. Nagle ożywił się milczący dotąd i czekający na pieniądze mężczyzna. Odezwał się do Ricky'ego po tagalsku. Ricky zrobił powątpiewającą minę, otworzył bagażnik, wysypał bataty z plastikowej torebki i podał ją mężczyźnie. Ten szybko ją wywrócił na drugą stronę, wygładził i wygryzł otwór na dole. Potem wsunął koniec torebki do baku i otworzył górną jej część.

Ricky uśmiechnął się.

-Teraz już mamy lejek, madame.

- Dobrze - powiedziałam - tylko lejcie ostrożnie. To najdroższa benzyna, jaką ludzka istota kiedykolwiek

kupiła... W tym momencie przy dystrybutorze rozległy się krzyki i protesty. Ktoś groźnie potrząsał wężem. Ricky roześmiał się.

-Benzyna się skończyła, madame. Mimo wszystko zrobiła pani dobry interes.

Trzech mężczyzn, pokazując w naszą stronę, z wściekłością wyrzaskiwało coś.

-Daj spokój... Wygląda na to, że rozżaliliśmy ludzi. Pospiesz się!

-Już niedużo zostało. Wsiadłam do samochodu, mężczyzna z wiadrami popatrzył na mnie niespokojnie.

-Dosyć, wystarczy - powiedział.

Ricky wlał jeszcze trochę benzyny do plastikowej torebki i opuścił wiadro.

- Półtora wiadra, madame. Gotowe... Opuściłam szybę i podałam pieniądze.

- Dziękuję, mister. Bardzo sobie cenimy pańską pomoc. Mężczyzna nie odpowiedział, przeliczył banknoty, potem starannie je złożył i zacisnął w dłoni. Mógł mnie nie usłyszeć w tym wyjąłym wietrze. Ricky uruchomił samochód, cofnął i zręcznie lawirując, ominął kilka wózków i jeepy. Znow byliśmy na ulicy. Pochyliłam się, wycesałam palcami popiół z włosów, a potem się odwróciłam i spojrzałam przez tylną szybę. Ludzie na stacji skakali sobie do oczu, ktoś strzelił w powietrze, jakiś mężczyzna krzyczał, z obładowanego jeepa wyszła kobieta z małym dzieckiem na ręku.

Wtedy dotarło do mnie, że zapomniałam o czekoladzie. I zrobiło mi się potwornie smutno. Jakbym była dzieckiem. Albo jakbym wiedziała, że niebawem spotkamy dziecko.

Popełniam błąd. Nie opróżniam kosza w pokoju mamy. Leży w nim mój list do Marity. Aż do wtorku.

Kiedy wracam z Eksjöberget, Gunilla stoi w drzwiach korytarza serwisowego i uśmiecha się. Odpowiadam uśmiechem, zdejmuję botki i wieszam palto, nieco zdziwiona jej nieoczekiwaną promiennością.

-Zimno na dworze?

-Nie. Właściwie nie. W tym roku chyba się nie zanosi na prawdziwą zimę. Chcę ją wyminąć, żeby wejść do kuchni, ale mi w tym przeszkadza, zagradza drogę. Zatrzymuję się i patrzę jej w oczy.

-Wiesz, że skończyliśmy szóstą klasę trzydzieści lat temu? - mówi rozwleknie.

-Owszem.

-To niesamowite, że tak dobrze się wszystkich pamięta. Marianne. Ove. Bosse Lindgren. Maritę Olsson.

Nie odpowiadam, stanowczym gestem daję Gunilli do zrozumienia, że ją odepchnę, jeśli mnie nie wpuści do kuchni mojej mamy. Usuwa się, pozwala mi przejść, ręce ma nadal skrzyżowane na piersiach. Aleś ty beżowa, myślę, beżowa, brzydka i nudna. Idzie za mną do kuchni, opiera się o futrynę i patrzy na mnie, kiedy nastawiam wodę i wydaję kawę.

- A, pijesz zoegas. Chyba jest droga.

- Jest. I smaczna. Lepsza od innych.

-Wiem. Kiedyś kupiłam luksus w promocji, ale nie była dobra. Cierpka i gorzka. Bardzo cierpka i gorzka.

Okręcam się i patrzę jej w oczy. Spuszcza wzrok, ale nie Przystaje się uśmiechać. Zbiera niewidzialne pyłki kurzu ze swetra.

-Ja i jeszcze parę osób - mówi - myślimy o zorganizowaniu przyjęcia, na które byśmy zaprosili wszystkich z naszej klasy, z podstawówki. Przyszłabyś? Odwracam się do niej plecami.

- Nie wiem. To zależy.

- Od czego?

- Oczywiście od mamy. Od tego, jak się będzie czuła,

- Jasne. Ale na pewno byłoby miło spotkać się z ludźmi ze szkoły. Ty i Marita byłyście najlepszymi kumpelkami... Jesteście w kontakcie? Chowam kawę do szafki, odwracam się, wbijam w nią wzrok i mówię bardzo wyraźnie, tak, żeby do niej dotarło, że wiem, o co chodzi:

-Nie. Nie jesteśmy w kontakcie. Żadnym. Bezczelnie się uśmiecha i wzrusza ramionami. Wchodzi na piętro, nie czekając, aż zamknie za sobą drzwi wejściowe. List leży w koszu, ale nie jest zmięty. Wyglądziła go i zapomniała zgnieść.

-Zapalisz? Butterfield skinął głową. Wetknęłam mu papierosa do ust i przypaliłam, jakby miał niesprawne obie ręce. Z irytacją podniósł lewą dłoń i lekko mnie od siebie odsunął. Zdążyłam się jednak zorientować, że ma pot nad górną wargą.

-Boli cię? -Tak.

-Nie chcesz proszku? Doktor dał mi je dla ciebie. Są w torebce. A gdybyś chciał popić, mam colę. Jeszcze jeden gest irytacji.

-To nie to. Jeszcze trochę wytrzymam. Położyłam butelkę coli na podłodze.

- Nie to? A co?

- Czy zdajesz sobie sprawę - powiedział po chwili milczenia - że na stacji benzynowej zachowałeś się jak świnia? Najpierw się zmieszałam, potem ogarnął mnie gniew. Biała gorączka.

- O co ci chodzi? O co ci, do jasnej cholery, chodzi?

- O to, że zachowałeś się jak świnia. Wepchnęłaś się bez kolejki, pomachałaś dolarami, wykorzystawałaś ich nędzę.

- Pieprzysz, Butterfield! Nikogo nie wykorzystawałam, to mnie wykorzystano. Zapłaciłam złodziejską stawkę za benzynę i za colę tylko dlatego, żeby cię na czas dowieźć do szpitala. Mnie to wisi! Ja mogę się zaszyć na kilka dni w jakimś bezpiecznym hotelu. Ale ty musisz jak najszybciej dotrzeć do Manili, jeśli w ogóle chcesz mieć jakiś pożytek ze swojej ręki! A może nie? Co? Może nie chcesz? Może wolisz wrócić do tutejszego szpitala? Albo do więzienia. Milczał. Ricky skulił się za

kierownicą. Na Filipinach unika się kłótni i publicznych awantur, z wrogiem rozmawia się uprzejmie do samego końca, dopóki się go nie zastrzeli.

-No?! - wrzasnęłam. - Zawracamy? Mamy podarować samochód ubogim? Mamy umrzeć, żeby oni mogli żyć? Butterfield odwrócił się do mnie; miał całkowicie bezbronną twarz.

- To było podłe! Zatkąło mnie.

- Co?! Co masz na myśli?

- Cytat z Biblii. Nie drwij sobie ze mnie! Ja nie jestem taki jak Jefferson!

- To śmieszne! Nie udawaj głupszego, niż jesteś. Nie miałam pojęcia, że to z Biblii. Chromołą Biblię i Jeffersona. Możesz się wypchać, Butterfieldzie Berglund! To ty fałszowałeś pieniądze w tym kraju, ty oszukiwałeś tych ludzi. Nie ja. Oddychałam gwałtownie. Odwróciłam się od niego, pochyliłam ku szybie i próbowałam się skupić na tym, co było za nią. Zaciągałam się raz po raz, żar się wydłużał, miał blisko dwa centymetry, ani śladu popiołu. Zaprawdę, pomyślałam, dzisiaj stałaś się kimś innym. Oto zdystansowana, chłodna Cecylia Lind, pierwszy sekretarz ambasady, złorzeczy fałszerzowi pieniędzy. Orkan jest tuż-tuż. Wulkan, który od dawna powinien być nieczynny, wyrzuca popiół. To jakiś absurd, to nieprawda, to nie może być prawda.

Mimo że przeszło trzydzieści minut temu opuściliśmy stację benzynową, ciągle byliśmy w Olongapo. Posuwaliśmy się w zółwym tempie, nie mogliśmy przyspieszyć, bo na drodze były tłumy. Wszędzie biegli ludzie, z plastikowymi workami i tobołkami. Niektórzy pootwierali parasolki, żeby się osłonić przed popiołem, ale wiatr sobie z nich kpił, wywracał na drugą stronę. Poklepałam Ricky'ego po plecach.

-Jak myślisz - powiedziała drżącym głosem - czy uda nam się tędy przejechać? Może powinniśmy się zastanowić nad inną drogą...Położył ramię na oparciu pustego fotela pasażera, jak to miał w zwyczaju, i odchylił się do tyłu.

- Myślę, że pojedziemy skrótem, madame. Ale nie jestem pewien. To zależy. Jeśli i tam będzie dużo ludzi, to chyba nie ma sensu... Bo droga jest węższa, trudniej będzie się przebić.

- A poradzisz sobie w ciemnościach? Głos Butterfielda też nie brzmiał zbyt pewnie.

- O, tak, w jednej z tamtejszych wiosek, wysoko w górach, mieszka mój kuzyn. Byłem u niego setki razy. Robi się łuk, duży łuk, do Floridablanki, a potem zjeżdża do głównej szosy, tam gdzie zaczyna się asfalt...

- Ale czy nie będziemy bliżej wulkanu?

- Spokojnie, madame. Nie sędzę...

- „Sędzę”! - powiedział Butterfield po szwedzku. - Wie czy nie wie? Zachichotałam. Przeszła mi złość.

-Nie mam pojęcia. Musimy mu zaufać. Na ogół wie, co robi. Butterfield uśmiechnął się do mnie.

- Kurde, ale się wkurzyłaś...

- No. Wkurzam się, kiedy ktoś mówi mi to, czego nie chcę słyszeć.

Pochylił się i po raz pierwszy mnie dotknął; musnął mój policzek wierzchem dłoni.

-Rozumiem - powiedział. - Trudno znieść ten cały szajs.

Pielęgniarka z rejonu ma na imię Berit. Wszystkim współczuje. Mnie także. Wykorzystuję to i proszę, żeby pomogła mi zmienić mamie pościel. Nie ma tego w obowiązkach, ale dzisiaj jest czwartek i nie chcę się z tym zwracać do Gunilli. Berit zgadza się, z tą samą co zwykle, zakłopotaną miną. Potem proponuję jej kawę w kuchni.

-Coś takiego - mówi. - Mieszkać w Indiach. I na Filipinach...Uśmiecham się. Za każdym razem się dziwię, że według innych to bardzo daleko.

-Lata temu mieszkałam też w Peru i w Wietnamie. Z wahaniem moczy sucharek w kawie. Masło się rozpuszcza, tworząc na czarnej powierzchni złotawe smugi,

-Ja bym nie mogła mieszkać w żadnym kraju Trzeciego Świata. Chyba bym nie zniosła cierpienia.

Myślę: Więc cierpienie nie istnieje, jeśli go nie widzisz. Nic nie mówię, mruczę tylko potakująco.

- Ludzie umierają na ulicach - kontynuuje Berit. - To straszne. Powinno się coś zrobić.

- Cierpienie jest wszędzie. Po jakimś czasie człowiek się uczy, że nie ma jednego sposobu życia...

Nawet w ubóstwie można dobrze żyć. Kłamię, żeby ją pocieszyć. Jeśli Ricky czegoś mnie nauczył, to tego, że bogaty nic nie wie o biedzie. Zamyka oczy i kultywuje własną obojętność. Początkowo daje pieniądze żebrakom i ma łzy w oczach na widok trędowatych, ale dosyć szybko przechodzi obok umierających na ulicy, w ogóle się nimi nie przejmując. Nie warto wzywać karetki, bo nie ma karetek. Nie dla tych ludzi. Nagle nie mogę się powstrzymać, coś mi się przypomina.

-W Indiach widziałam małego chłopca - mówię. - Przez cały tydzień stał w tym samym miejscu, na rogu ulicy, i płakał. Miał na sobie tylko jakąś płachtę, którą zawiązał na brzuchu, był bardzo chudy i szary. Przejeżdżałam obok niego cztery razy dziennie, woziłam Sophie do szkoły i ze szkoły.

Zastanawiałam się, dlaczego on płacze. A kiedy w końcu postanowiłam się zatrzymać, żeby coś zrobić, chłopca nie było...

Berit wypija łyk kawy.

- Nie wrócił?

- Nie.

- Może ktoś go zabrał do domu dziecka. Uśmiecham się. Na pewno.

- Raczej do kamieniołomów, do fabryki albo do burdelu. Żeby się zaharował na śmierć.

- To okropne. Że można coś takiego robić dzieciom...

- Bardzo dużo można im robić. Poznałam swego czasu pewną kobietę, naukowca, która przeprowadziła wywiady z setkami pracujących dzieci. Kiedyś przyszła do huty szkła, gdzie było mnóstwo chłopców. Nie chcieli z nią rozmawiać, wyglądało na to, że się boją. Wieczorem odwiedziła jednego z nich w domu i wszystko jej opowiedział... Otóż tydzień wcześniej inny chłopiec zmarł od poparzeń masą szklaną. Jego rodzice nie mogli odebrać ciała, bo go nie było. Pracodawca wrzucił je do pieca...

-Dlaczego?

-Żeby nie płacić odszkodowania. Bez ciała rodzice nie mogli udowodnić istnienia chłopca...

Chce mi się płakać. Dolores. Dolly. Czy ona kiedykolwiek istniała? Berit patrzy na mnie i kładzie swoją dłoń na mojej. Nagle jest mi potrzebna, ona i jej bezrefleksyjna uprzejmość. Odchrząkuję.

- Za mało jest przyzwoitości na świecie...

- I dobroci - dodaje Berit. Są pewne granice. Robi mi się niedobrze od jej czułościowości i zabieram rękę. Berit podnosi filiżankę.

-A twój mąż, twój były mąż? Czy on nie jest gdzieś wysoko...

- Ulf. Tak. Pracuje dla sekretarza generalnego ONZ.

- Świetnie. Przynajmniej on może coś zrobić. Wstaję i zanoszę filiżankę do zlewu. Nie chcę, żeby zauważyła grymas na mojej twarzy. Uprzejmość nie usprawiedliwia głupoty.

-Nie mam bladego pojęcia, po jaką cholere tak się tłoczą - powiedział Butterfield, patrząc przez szybę.

-Bo chcą się stąd wydostać, tak jak my - odparłam.

-Nie, nie oni. Handlarze. Dlaczego mają te swoje stragany na kupie?

Przy wyjeździe z Olongapo było co najmniej pięćdziesiąt kramów, wszystkie oferowały to samo: owoce, warzywa, napoje orzeźwiające i papierosy. „Rosa's Store”, „Nancy's Store”, „Jenny's Store”

- i tak bez końca. Wiatr szarpał brezentowe daszki, zerwał jakiś ręcznie malowany szyld i uniósł go w powietrze. Mimo wszystko zaczęłam się przyzwyczajać. Od blisko godziny słuchałam lekkich uderzeń o dach samochodu, chrzęstu wycieraczek, szyderczego chichotu wiatru. Wiedziałam, że gorzej nie będzie. Trzeba się tylko uzbroić w cierpliwość. Odwróciłam się do Butterfielda.

- Jak długo jesteś na Filipinach?

- Osiem lat.

- Długo... Dlaczego tu przyjechałeś? Nie odpowiedział. Wzruszył ramionami.

-Dojeżdżamy do bocznej drogi, madame. Musimy coś postanowić...Głos Ricky'ego brzmiał jak zwykle.

- Okej, Ricky. Jestem za skrótem... A ty?

- Youre the boss, madam.

- Tak - powiedział Butterfield, przysuwając się bliżej drzwi. - Zrobimy tak, jak szef chce. Ricky skręcił i wjechaliśmy w głęboką ciemność. Przez pierwsze pół godziny było wspaniale. Ricky dodał gazu, wrzucił trójkę, musnął czwórkę i prześliznął się na piątkę. Z każdą zmianą biegów silnik pracował inaczej, jaśniej i lżej. Niemal frunęliśmy, niedługo będziemy całkowicie bezpieczni.

Butterfielda zaniepokoiła tak duża szybkość, nie chciał jednak tego okazać. Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

-Poradzisz sobie, Ricky? - spytał.

-Spokojnie - powiedziałam. - Ricky zawsze szybko jeździ. Poradzi sobie...

Droga była wąska i kręta, okolona zaroślami. Wydawało się, że krzaki i bambusy tańczą, mknęliśmy aleją zmizerowanych balerin, które z gracją wyciągały ku nam ramiona, cofały je i klękały. Popiół zgęstniał, w snopach reflektorów wyglądał jak śnieg.

-Nie mieliśmy do tej pory równie dobrej nawierzchni - stwierdził Ricky. - Jest idealnie sucho...

Pochylił się nad kierownicą, chyba myślał o żonie, chciał być w domu i słuchać jej zrzędzenia. Nagle ich zobaczyłam. Ricky siedzi na zniszczonej brezentowej kanapie, jedynym meblu w ich pokoju; na podłodze, na matach, leżą dzieci. Zosima beszta go przytłumionym głosem, on się uśmiecha, przeciąga, przytula ją do siebie, kładzie jej głowę na swoim okazałym brzuchu, uspokaja i wycisza miękkością i ciepłem...Tak będzie, kiedy dojedziemy do Manili. W jego wypadku. A w moim: przyjemnie chłodne łóżko w klimatyzowanym pokoju i moje własne suche palce. Przesunęłam dłonią po czole, żeby odpędzić te myśli.

- Dać ci teraz proszek, Butterfield?

- Tak. Boli mnie jak cholera...

Wsunęłam mu rękę pod szyję, kiedy pił. Zakręciłam butelkę. - A teraz powiedz, co się stało.

Tamtego dnia obudził się wcześniej rano, wiedział, że jest środa. Przez chwilę leżał na pryczy i patrzył na obraz, potem usiadł i włożył t-shirt. Śniadanie było nędzne. Miał tylko kawałek suchego chleba sprzed tygodnia. Od strażników na dziedzińcu dostał odrobinę ryżu i kubek letniej wody. Wrócił do celi, wyjął kawę w proszku i cukier. Tam zastali go więźniowie, którzy przyszli ze

swoimi zamówieniami. Czy mógłby im kupić lekarstwa, jeden ołówek, jeden używany t-shirt? Przytaknął, sporządził listę, wziął od nich pieniądze i przeliczył. Strażnicy zamontowali plandekę na dżipie, była przecież pora deszczowa. Jak zwykle miało mu towarzyszyć dwóch ludzi. Nie wymienił ich imion. Powiedzmy, że nazywali się Cesar i Mario. W tym samym czasie w górach wił się wąż, rzecz jasna, nieprawdziwy. Ostatni Amerykanie opuścili bazę lotniczą w Angeles i zmierzali na południe do bazy marynarki wojennej Subic Bay, tuż pod Olongapo. Konwój wolno posuwał się naprzód, żołnierze siedzieli w milczeniu na platformach ciężarówek, niespokojni, lekko urażeni, że muszą uciekać przed popiołem i kamieniami, wrogiem, którego nie można pokonać za pomocą broni.

W kościołach w Olongapo zgromadziły się tego ranka tłumy ludzi. Po mszy zaczęto czynić przygotowania do procesji mających zażegnać groźbę erupcji, w którą nikt wydawał się nie wierzyć. Kilku mężczyzn wsunęło pod Czarnego Nazarejczyka długie drągi, żeby można go było nieść, i odeszło. Procesja miała wyruszyć dopiero po południu.

-Co wiesz o Czarnym Nazarejczyku? - spytał mnie Butterfield.

-To Chrystus ubogich - odparłam.

-Nie tylko. To Chrystus Trzeciego Świata. Chrystus odrzuconych. Chrystus samotności.

-Nie sądziłam, że jesteś religijny...

-Nie jestem. Ale potrzebne nam obrazy. Butterfield chciał jak najszybciej coś zjeść, skromne śniadanie nie zaspokoilo jego głodu. Cesar i Mario nie mieli nic przeciwko temu, przeciwnie, była to ich jedyna przyjemność na służbie. Raz w tygodniu mogli dotrzymywać Szwedowi towarzystwa w restauracji. Zawsze zamawiał tyle jedzenia, że to, co zostawało, wkładali do swoich doggy bags i zabierali do domu, dla rodziny. Zamawiał także whisky, którą na Filipinach pije się do posiłku, ale jej nadmiarem nie dzielił się ze strażnikami. Tamtego dnia wyszedł z restauracji z na wpół opróżnioną butelką w ręku. Poszli na bazar przy Santa Rita. Butterfield oglądał używane t-shirty i tanie szorty i kupił tylko to, o co prosili go więźniowie. Kiedy zaczął padać deszcz, podjechali pod halę targową i ponad godzinę krążyli pośród gór mięsa. Podeszwy ich sandałów stopniowo zabarwiały się na czerwono.

Po deszczu nad targowiskiem unosiły się delikatne smugi pary i mgły. Butterfield kupił chleb i ryż, owoce i warzywa. Pozostało tylko jedno: drink w dzielnicy uciech. Wybrali bar na Magsaysay Avenue, gdzie serwowano prawdziwą szkocką whisky i amerykańskiego Burbona, a nie jakieś tam zalatujące naftą podróbki na licencji. Podkreślił to bardzo wyraźnie. Ale w ogóle nie wspomniał o panienkach, które na pewno go obstąpiły, nastoletnich dziewczynkach o słodkich, lalkowatych buziach i drobnych, miniaturowych ciałach. Na pewno tam były i na pewno miały na sobie bikini.

W barach w Olongapo wszystkie dziewczęta noszą bikini. Te, które niedawno przyjechały z prowincji, wkładają na wierzch białe t-shirty z napisem: „CHERRY GIRL”. Znaczą to, że są dziewicami i że ich cnota jest na sprzedaż. Są bardzo drogie. Butterfield i strażnicy opuścili bar po trzecim drinku i Magsaysay Avenue ruszyli w kierunku ronda. Pośrodku, na skwerze, stał jedyny pomnik w Olongapo, posąg wodza który według legendy poświęcił życie i głowę za swoje plemię. „Ulo ngapol”, „głowa wodza!” - zakrzyknęli współplemieńcy, widząc, co z niego zostało, i te słowa - „Ulo ngapo - są na cokole.

Było tam bardzo dużo ludzi, przeważnie Filipińczycy, prawie żadnych amerykańskich żołnierzy. Butterfield ze strażnikami przeciął ulicę i wszedł na skwer, tam gdzie stał posąg.

-Domyślaliśmy się, że na coś czekają, ale nie wiedzieliśmy, na co.

-A strażnicy nie bali się, że uciekniesz?

-Nie. Dobrze się znaliśmy, wiele razy jeździliśmy do miasta, poza tym niewiele mi zostało do końca odsiadki... Ucieczka byłaby głupotą.

Wdrapał się na cokół, usiadł i czekał. W końcu pojawiły się dwie procesje. Z lewej - amerykański konwój z Angeles, dżipy, broń, biali i czarni, z prawej - Czarny Nazarejczyk, duchowni, złotawi mężczyźni, czarnookie kobiety i dzieci, czyste głosy i dym kadzideł.

-Zaklinowali się. Jakiś nieduży ksiądz podszedł do pierwszego dżipa, zamachał rękami i krzyknął, żeby się wycofali. Ale oni nie chcieli się wycofać. Wszystkim Amerykanom się zdaje, że jak komuś ustąpią, to im korona z głowy spadnie. Z dżipa wysiadł duży pieprzony porucznik i zaczął się wydzierać na księdza, w chwilę później przybiegł kapelan wojskowy i kilku żandarmów...Nie było już poszczególnych ludzi, był dziki tłum. Kołysał się i syczał, z miłości i nienawiści do Amerykanów pozostała wyłącznie nienawiść. Żołnierze zbili się w grupę, ale nie wszyscy, nieliczni, stojący na chodnikach, nie mieli broni i patrzyli błagalnie na kolegów. Kilku w odpowiedzi wycelowało karabiny w tłum.

-A ja - powiedział Butterfield Berglund - wdrapałem się jeszcze wyżej, oparłem o głowę posągu i ryczałem ze śmiechu...

Widzę go, jak tam stoi i szczyrzy białe zęby. Podnosi rękę, w której trzyma plastikową torebkę, wyjmując z niej butelkę whisky, odkręca zębami, wypija solidny łyk i częstuje strażników.

A potem woła głośno, pojedynczy głos pośród setki innych głosów:

- Angeles kontra Olongapo, Sodoma kontra Gomora!

- Co ci odbiło? - zapytałam.

-Byłem pijany - odpowiedział z typową dla Skandynawów wymówką. Dla tłumy był prawdziwym zrzędzeniem losu: biały, bez munduru i bez broni. Szydził z ich miast, Sodoma i Gomora, Angeles

i Olongapo. Zrobił z Filipińczyków alfonsów i kurwy, zapomnieli, że właśnie z tego powodu nienawidzą Amerykanów. A z Amerykanów zrobił klientelę kurew i prostytutek, o czym w biały dzień nie chcieli nic wiedzieć. Zmusił pobożne niewiasty do rozpamiętywania swojej hańby. Mieszkańcy innych miast traktowali je z pogardą, wszystkim kobietom z Angeles i Olongapo przyczepiono etykietę kurew.

Butterfield był biały, był cywilem i mężczyzną. Czyli wrogiem wszystkich.

Błyskawicznie ściągnęli go z pomnika. Jakiś Filipińczyk drasnął go nożem w pierś, inny uderzył w twarz. Butterfield upadł. Wtedy przez tłum przecisnął się amerykański żandarm w nieskazitelnym białym mundurze i ciężkich buciorach i głośno dysząc, zaczął powoli i rytmicznie miażdżyć mu dłoń.

Mówiąc mi o tym, popatrzył na bandaż.

- Bolało jak cholera - powiedział, nadąsany. - Darłem się wniebogłosy... I bałem się, bo nie było tam żadnego normalnego człowieka. Jedna wielka zgraja szaleńców! Cesar i Mario, którzy przyglądali się temu z rozdziawionymi ustami, w końcu oprzytomnieli. Wyciągnęli broń, wylegitymowali się, pokazali jakieś glejty, po czym go podnieśli i zaprowadzili do dżipa. Tymczasem bitwa trwała w najlepsze, ludzie krzyczeli, tłum wił się jak w konwulsjach. Czarny Nazarejczyk zakołysał się, kiedy mężczyźni postawili go na ziemi, żeby dołączyć do tej kotłowniny, ale nie podniósł wzroku, jak zawsze patrzył w dół, obnażając swoją smukłą szyję.

Butterfield umilkł i przesunął dłonią po włosach. Na zewnątrz szeleścił popiół, chichotał i śpiewał wiatr, powietrze w samochodzie było ciężkie i pachnące.

Tym razem nie pokazałeś tyłka, pomyślałam. Z całych sił uderzył pięścią w oparcie fotela, jakby usłyszał moją myśl.

Mama czuje się gorzej. Szczeka jej opadła, nie ma siły zamknąć ust. Oddycha chrapliwie. Siedzę przy jej łóżku, poprawiam koc, staram się ją rozweselić. Jakby można było umrzeć radośnie. Jej dłoń drży lekko. Delikatnie ją głaszczę, ale to nie pomaga, dłoń się zaciska, napina się całe ciało. -Zaraz przyjdzie doktor, dzwoniłam po niego, zaraz tu będzie... Ciągłe zaciska szaro-białą dłoń. Rzęzi. Nie płaczę. Z tym też sobie poradzę. Ale powinien być przy niej Lars-Góran albo ktoś inny, kogo kochała i nadal kocha.

Pierwszy kamień był wielkości pięści i spadł na dach. Niczego nie stłukł, od razu sturlał się na drogę, ale narobił hałasu. Ricky zahamował zbyt gwałtownie i wpadliśmy w poślizg. Od przeszło godziny nie widzieliśmy żadnego domu, ani jednego człowieka i śladu zwierząt. Mknęliśmy w

ciemnościach, nie mówiąc słowem o tym, że wciąż gęstnieją, że popiół oddziela nas od reszty świata jak ściana i że wiatr przybiera na sile.

-Co jest, do cholery?! Co to było? - piskliwie wrzasnął Ricky. Chciałam go uspokoić, ale nie zdążyłam nic powiedzieć, bo na maskę spadł następny kamień. Odbił się lekko od szyby. Głos Ricky'ego podniósł się o oktawę.

-Ktoś rzuca w nas kamieniami! Butterfield dotknął ramienia Rickyego.

-To Pinatubo. Uspokój się. Poradzimy sobie. To dobry wóz, wytrzyma...Ricky oddychał ciężko, pochylił się i położył głowę na kierownicy.

-Nie ma co ukrywać, że nie dojedziemy dzisiaj do Manili - powiedziałam niemal szeptem. - Może byśmy się gdzieś zatrzymali i przespali, dopóki to nie minie. Jeszcze jeden kamień spadł na maskę.

-To byłaby głupota - odparł Butterfield. - Jutro na drodze będzie pełno kamieni, nie przejedziemy. Jesteśmy na pustkowiu, wysoko w górach.

- Skąd wiesz, że to się nie skończy? Może to tylko chwilowe. Wulkany na ogół wyrzucają lawę, a nie kamienie.

- Ten wulkan wyrzuca kamienie. Tak czy inaczej, musimy się stąd wynieść jak najdalej...Ricky wyprostował się.

-Sorry, madame. Bardzo mnie to zaskoczyło. Przepraszam. Jedźmy, tak będzie lepiej. Może uda nam się dotrzeć do wioski mojego kuzyna, moglibyśmy tam przenocować. To już niedaleko. Ruszył ostrożnie. Kamieni przybywało, wynurzały się z popiołu jak spadające gwiazdy i rytmicznie uderzały o dach. Droga już była nimi usłana, samochód podskakiwał, mocniej przywarliśmy do foteli.

-Patrz! - Butterfield chwycił mnie za ramię i pokazywał coś z przodu. - Błyskawice! W pierwszej chwili mu nie uwierzyłam, to coś nie przypominało błyskawic. Niebo przecinały żółte kreski, które zmieniały kolor, stawały się białe, potem niebieskie i znikwały w obłoczkach dymu. Błyskawice nie dymią.

-Nie, to fajerwerki - powiedziałam. Twarz Butterfielda rozjaśniło żółte światło, a po chwili niebieskie. Mrówki przebiegły mi po skórze, zbiły się w gromadkę i uwiły sobie gniazdo w gardle. Dotknęłam dłonią szyi. Butterfield zapalił papierosa. Mechanicznie, sztywno, jak marionetka. Ricky wziął głęboki wdech i wrzucił trójkę. Podskakując, jechaliśmy naprzód, za szybko jak na możliwości samochodu.

- Chyba już czas - mówi doktor Alexandersson.

- Zadzwoń do brata?

-Nie jestem oczywiście pewien, ale tak byłoby najrozsądniej.

Dzwonię do Yvonne i Sophie. Yvonne szeptem, że postara się złapać Larsa-Görana, w każdym razie dzisiaj jest w Szwecji, przypuszczalnie w parlamencie. Sophie milczy, jest zmieszana.

-Chcesz, żebym przyjechała, mamó? - pyta po chwili.

-Nie, będzie Lars-Göran. Chciałam tylko, żebyś wiedziała. Ale najpierw przychodzi Berit. Wydaje się bardziej ożywiona niż zwykle, niemal radosna. Robi mamie zastrzyk, poprawia poduszkę. Stoję w drzwiach i patrzę na nią.

-Napij się kawy - mówi. - Dobrze ci zrobi. Długo siedzę w kuchni nad filiżanką i wodzę palcem po obrusie. Myślę o tacie, o jego hałaśliwym śmiechu i smalandzkim akcencie, którego mimo najszerszych chęci nigdy się nie pozbył. Nagle staje przede mną.

- Dobra gwiazda. - Śmieje się. - Wystarczy się urodzić pod dobrą gwiazdą i wszystko się ułoży. A ty się urodziłaś, Cecylio.

- Wiem. Dzięki tobie. Ale czy możesz mi powiedzieć, po co mi twoje pieniądze?

-Żebyś je miała. Miej je i bądź szczęśliwa.

- Tak szczęśliwa jak ty z mamą? Tak szczęśliwa jak ona z tobą?

- Daj spokój. Nie wolno gardzić pieniędzmi. Pieniądze nie miały nic wspólnego z naszymi kłótniami, chodziło o politykę i inne duperele. I tak byśmy się kłócili z Dagny nawet gdybym do końca życia pracował jako zwykły robotnik budowlany... Byliśmy uczciwymi i prostymi ludźmi, Cecylio, niczego nie przemilczaliśmy, jak ty i twoi eleganccy znajomi.

- A kiedy już skończyliście z tą waszą uczciwością, ja byłam prawie martwa. Nigdy to do was nie dotarło? Czy to nic nie znaczyło?

- Co „nie znaczyło”? - pyta Berit, pospiesznie wchodząc do kuchni. Złotego nie ma. Nie żyje od czterech lat.

-Nic - odpowiadam, wstaję i uśmiecham się, speszona. - Mówiłam do siebie. Chyba dostaję kręćka. Spotykamy się przy zlewie. Berit podnosi rękę, chce mnie dotknąć. Szybko się odsuwam. Muszę iść do mamy.

W Peru miałam kochanka o imieniu David. Byłam młoda, jedwabście miękka na zewnątrz i szorstka w środku. Ulfa znałam jedynie jako uprzejmego kolegę, zajmującego wysokie stanowisko w ambasadzie. Nie rozumiałam, co znaczą spojrzenia jego jasnoniebieskich oczu, myślałam, że jest na mnie zły.

David nigdy się nie złościł. Był Anglikiem, miał połyskliwe wąsy, uśmiechnięte brązowe oczy i dobrze skrojone garnitury. Pieścił mnie i całował moje palce u nóg. Tym mnie uwiódł, rzuciłam

mu się w objęcia z takim impetem, że niemal go przewróciłam. Spaliśmy ze sobą tylko trzy razy. Za pierwszym razem byłam lekko skrepowana, bałam się, że moje ciało wyda mu się brzydkie, że się nie sprawdzę. Ale się sprawdziłam. Po fakcie roześmiał się, wylał na moją prawą pierś odrobinę szampana i zlizął. Za drugim razem czułam się pewniej. David był bardziej namiętny, mocno chwycił mnie za włosy i zatopił się w swoim pożądaniu, a ja mogłam mu towarzyszyć, dotrzymać kroku, co nigdy wcześniej mi się nie przytrafiło, lewitowałam, oszołomiona i zdumiona. Za trzecim razem, ledwie go dotknęłam, wychłódkł.

-Nie bądź taka porywcza - syknął. - Za bardzo ci się spieszy...Nie mogłam się powstrzymać, przytuliłam się do niego, pieściłam, rozorywałam paznokciami plecy, całowałam piersi. Wstał i usiadł w fotelu w drugim końcu pokoju.

-Rany boskie - powiedział, zapalając papierosa.

- Najpierw zachowujesz się jak dziewczica, a potem jak facet... Opanuj się!

Kłęczałam na łóżku, pościel nawet nie była pomięta, pod wpływem jego spojrzenia zwiędłam i zasłoniłam się kocem. Wtedy odłożył papierosa i wrócił. Kiedy się kochaliśmy, miałam szeroko otwarte oczy, patrzyłam w sufit i myślałam o murach i płotach, o tym, jak za nimi jest niebezpiecznie i strasznie, i że nie ma żadnej mapy tych terenów.

Wiedziałam, że muszę zostać tam, gdzie jestem, bez względu na chłód i ciasnotę, żeby nikt nigdy nie zechciał mnie uczyć czegokolwiek o życiu po drugiej stronie.

Zapomnieliśmy o Manili, po prostu byliśmy w drodze. Wjeżdżaliśmy w coraz głębszą ciemność. Bambusy i krzaki już nie tańczyły, przypominały wzburzony ocean. Wiatr potrząsał całym światem, rozłupywał smukłe palmy i obojętnie ciskał nimi o ziemię. Wyjąc, dobierał się do coraz potężniejszych drzew i zmagał z coraz silniejszym oporem.

Butterfield siedział w swoim kącie i trzymał się uchwyty nad drzwiami. Zerkałam na niego, on na mnie, najczęściej jednak patrzyliśmy przed siebie, na czerń, popiół i kamienie, na kolorowe błyskawice. Ale nie wszystko mogliśmy zobaczyć: siedem kamieni odbiło się od przedniej szyby, pozostawiając delikatne pajęczyny. W samym środku katastrofy nie ma paniki, jest tylko czujny spokój. Przypomniałam sobie poród, jak przez minutę balansowałam na krawędzi, tam gdzie śmierć jest równie kusząca i pełna obietnic jak życie. I przypominałam sobie, jak krzyczałam z bezsilności i jak głos Ulfa ściągnął mnie na powrót do realnego świata.

Ale Butterfield się nie odzywał, Ricky też, w ogóle się nie ruszaliśmy. Plecy Ricky'ego były sztywne, niemal leżał na kierownicy i wiózł nas w coraz głębszą ciemność. I tam spotkaliśmy Dolores.

Najpierw była tylko twarzą w popiele, jasną buzią z czarnym otworem zamiast ust, po chwili wyłoniły się rozpostarte ramiona i stała się przeraźliwym krzykiem, który zagłuszył ryk orkanu, a na koniec zamieniła się w głuchy odgłos na masce samochodu. Jej dłonie przywarły do popękanej szyby. Były bardzo małe, więc szyba się nie stłukła.

Chodzę tam i z powrotem po sypialni. Jest wieczór, Larsa-Görana jeszcze nie ma. Mama i ja chcemy, żeby przyjechał jak najszybciej; to się kiedyś musi skończyć. Dzisiejszego wieczoru jestem bezsilna, nie potrafię się obronić przed wspomnieniami. Stoję na brązowych schodach, zawsze w tym samym miejscu, na zakręcie.

Tup-tup-tup, ktoś zbiega na dół. To mama. Mam dziewięć lat, jest jesień.

-Tu jesteś, Cecyljo? Lars-Göran włączył radio, będzie Carl-Gustaf Lindstedt. Idź do niego, wróć przed dziewiątą, nie mamy dzisiaj wielu spraw...Stoję dalej, nie ruszam się, jej już nie ma.

Ktoś wbiega po schodach. To tata. Zauważa mnie dopiero wtedy, kiedy wyciągam rękę i lekko go dotykam. Mam osiem lat, jest wiosna.

-Co ty tu robisz? Masz chyba jakieś lekcje, no, rusz się, do roboty. Druga uczennica w klasie to za mało.

Daje mi klapsa i prowadzi przed sobą, ale kilka stopni wyżej zapomina o mnie. Roztapiam się w brązie.

Ktoś zbiega po schodach. To pani Olsson. Zgrzyta wiadrem. Mam siedem lat, jest wczesne lato.

-Tu jesteś, Cecyljo. Chcesz pójść ze mną do piwnic i popatrzeć, jak będę topić kocięta? Nie możemy ich dłużej trzymać, za dużo z tym zachodu...Kręcę głową, nie chcę. Zdejmuje ręcznik z wiadra i zmusza mnie, żebym zajrzała do środka. Widzę pręgowaną Maję, tę, która byłaby moja, gdybym mogła mieć kota. Otwiera pyszczek, ale nie miauczy, ma łososiowo różowe gardło i białe, malutkie jak szpileczki zęby. Ktoś ciężko wchodzi po schodach. Stoję z Maritą. Mocno szczypie mnie w ramię, ale nie krzyczę. Mamy po sześć lat, jest późne lato. Przechodzi obok nas pan Olsson. Chwieje się, śmierdzi mu z ust. Chichoce, chwyta się poręczy, śmieje się. Nie widzi nas. Niesie białą torbę. Nie ma w niej bułek. Bo bułki się tak nie ruszają ani nie ocierają o siebie.

Marita i ja wchodzimy po schodach, nasze buty stukają, mamy po pięć lat, jest zima. Smarkam i pociągam nosem, Marita ma bladą twarz i błyszczące oczy, jakby ją męczyła gorączka.

-To prawda - mówi. - Najprawdziwsza prawda. W śniegu jest pełno jajek węża. Jak się zje śnieg, to się będzie miało węże w brzuchu...Ja jadłam śnieg, oblizyłam rękawiczkę. Zatrzymuję się, łapię poręczy, pochylam i zmuszam do wymiotów. Nic z tego. Bez przerwy je widzę, już się wykluły, są we mnie, do dzisiaj czuję, jak się ruszają.

-Komisja trzeźwości! Złoty nie wierzy własnym uszom, chwieje się lekko i opiera kłykciami o biurko. Ma duże biurko z ciemnego mahoni, na którym leży podkładka z prawdziwej skóry. Mama śmieje się, zdejmuje kapelusz i wykonuje piruecik na jego prawdziwym dywanie.

- Przewodnicząca komisji trzeźwości! Zostanę przewodniczącą, jeśli wygramy wybory... Pierwsza w naszym mieście kobieta na czele komisji!

- I z kimś takim się ożeniłem! Nie dość, że jesteś socjaldemokratką, to musisz robić za babę z socjału. Tymi waszymi podatkami i komisjami trzeźwości doprowadzicie cały kraj do ruiny.

Mama kręci głową, słowa taty odbijają się od niej i układają w kupkę na podłodze. Siedzę w fotelu przed kominkiem i niemal je widzę.

- Tacy jak ty na pewno na tym nie ucierpią! Ale inni mają gorzej, podobno Olsson znowu jest w zakładzie dla alkoholików.

- Obibok... Niech sobie tam będzie, ale to ja muszę płacić za jego babę i dzieciaki! Ja i inni podatnicy.

Mama unosi brwi, kołysze kapelusz na palcu i mówi cicho, jak to ma w zwyczaju, ilekroć zaczyna się robić groźnie:

-Ach, tak. Może potrzebujesz pieniędzy na co innego... Dla Inger, tej nowej dziewczynki w biurze. Dobrze to rozumiem: młoda cipka dla starego capa! Zatykam uszy, mam trzynaście lat i nie chcę tego słuchać. Ale oni o mnie zapomnieli. Złoty, purpurowy na twarzy, podnosi rękę i rusza na mamę. Mama mówi jeszcze ciszej:

-Jeśli mnie uderzysz, przysięgam, że zawiadomię policję. No, spróbuj. Tylko mnie tknij, a wsadzę cię raz na zawsze! Złoty zatrzymuje się tuż przed nią i opuszcza dłoń. Dopiero teraz widzę, jak się bała, bo kiedy się rozluźnia, jest dużo mniejsza. Z kapeluszem w ręku idzie do drzwi, staje w progu i lekko się uśmiecha.

-Przewodnicząca komisji trzeźwości składa na policji doniesienie na kasjera związku przedsiębiorców - mówi.

- To by dopiero wyglądało. Pomyśl o tym, Arne, pomyśl o tym! Złoty zaciska pięści. Przygarbił się. Nie jest już duży, on też na swój sposób się kurczy.

Jeden jedyny raz widzę, jak się obejmują. Właśnie się wprowadziliśmy do Bananowego Domu, nie ma jeszcze wszystkich mebli. Stoją w salonie przed białym kominkiem. Pokój jest pusty, siwy zmierzch sączy się oknem, a oni się obejmują jak para topielców. Ona mocno trzyma go za koszulę, on kładzie głowę na jej jasnych włosach. Patrząc na nich z hallu, czuję, że powinnam się

cieszyć. Jest tak jak w kinie, dziewczynki w filmach zawsze się cieszą, kiedy ich rodzice się przytulają. Ale ja już straciłam nadzieję...Mają tyle lat co ja.

Kiedy przecieram jej czoło wilgotnym frotowym ręcznikiem, otwiera oczy i patrzy na mnie przytomnym spojrzeniem.

-Mamo - mówię - Lars-Góran będzie niedługo... Lekko porusza głową, co znaczy „nie”. Ujmuję jej rękę,

jest mlecznobiała, skóra się rozciąga, wygładza. Przyciska nasze dłonie do piersi. Znow jestem małą dziewczynką, biegnę z mamą i tatą po plaży, piasek łaskocze mnie w stopy, świeci słońce, rodzice trzymają mnie za ręce i nagle unoszę się, leczę. Ręcznik zsuwa się na podłogę, głaszczę mamę po czole.

-Mimo wszystko - mówię.

Kiwa głową twierdząco. Mimo wszystko.

Tup-tup-tup. Lars-Góran wbiega po schodach, oddycha ciężko.

- No i jak? - pyta chrapliwym głosem.

- Już po wszystkim. Stoi przy jej łóżku, ramiona opuszczone, w jego twarzy jesteśmy my wszyscy: mama, Złoty i ja. Kiedy wstaję, żeby go objąć, coś z łoskotem spada na podłogę. To Bidula. Jestem zdumiona, nie wiem, skąd się wzięła u mnie na kolanach.

Nie żyje, pomyślałam. Zabiliśmy ją. To była chłodna myśl, konstatacja, nawet nie zadrżałam. Prawa ręka rutynowo wśliznęła się do torebki, odsunęła portfel i chwyciła pudełko papierosów. To mnie wykończy, pomyślałam po raz nie wiadomo który. Kiedyś muszę wreszcie rzucić palenie. Ale nie teraz. Teraz spokojnie się zaciągnę, a potem wyjdę i przeniosę zwłoki. Ciało wzięło nade mną górę. Popłynęły łzy, gardło jęknęło, prawa ręka wypuściła paczkę papierosów, lewa odszukała klamkę.

Wróciłam do rzeczywistości.

- Ricky, zamek centralny! Muszę wyjść, nie mogę wyjść! Nie odpowiedział. Grzmotnęłam go w plecy, tak jakbym biła śpiącego pijaka, i płacząc, przypominałam sobie, że kiedyś naprawdę uderzyłam śpiącego pijaka. Olssona. Spał na brązowych schodach. Przyszłam po Maritę. Byłam nastolatką, zaczynałam się przeobrażać w panienkę z Bananowego Domu, miałam żółtą falującą spódnicę, białe spiczaste buty i nową złotą bransoletkę z wisiorami. Zadźwięczały jak

dzwoneczki rusalki, kiedy poczęstowałam pięścią plecy Olssona. „Z drogi, zgredzie!” Był sflaczały, nie stawiał oporu, lekko się tylko zakołysał od ciosu.

Olssona nie można było obudzić, nie wtedy, kiedy był pijany.

Ale Ricky nie był pijany, tylko sparaliżowany, poruszył się i wcisnął guzik.

Popiół kłuł i palił, jeden kamień spadł mi na ramię, drugi na szyję. Ale najgorszy był wiatr. Wyjąc, powalił mnie na kolana. Stałam się bardzo mała, ktoś dorosły okładał mnie pięściami. „To - trzask - dla - trzask - twojego - trzask - dobra! Żebyś - trzask - zrozumiała!”

Podpełzłam do maski. Widziałam tylko ciemność i słyszałam wycie wiatru. Za mną pełzł Ricky, którego zauważyłam, a raczej poczułam, dopiero wtedy, kiedy - wsparłszy się o błotnik - wstałam i jego dłoń musnęła moją stopę. Mała poruszyła się, kiedy jej dotknęłam. Żyła. Chwyciłam ją za rękę i przysunęłam do siebie, Ricky ujął ją za nogi i ostrożnie położyliśmy dziewczynkę. Ricky coś krzyknął, ale wiatr go zagłuszył, wzruszyłam ramionami i gestem dałam do zrozumienia, że nic nie słyszę. Dźwignęliśmy ją za ramiona. Nie była ciężka.

Usiadłam na swoim miejscu, Ricky podniósł ją i posadził mi na kolanach.

-To dzieciak? Twarz Butterfielda tonęła w ciemnościach, jego głos brzmiał tak jak zwykle.

-Tak, dziewczynka. Prawda, Ricky?

-Nie wiem. Prawie nic nie widziałem... - Obrócił się na fotelu i patrzył na nią. - Yhm, chyba dziewczynka. Chociaż diabli wiedzą...Leżała jak niemowlę, głowa na mojej lewej piersi, oczy na wpół przymknięte, nos szeroki i perkaty, usta wiotkie, otwarte.

Ricky przechylił się przez oparcie, nasze głowy dotknęły się.

-Co się stało z jej włosami?

Pogłaskałam ją. Krótkie, zmierzwiłone włosy, nad uchem cienka chropowata skóra.

- Ma mnóstwo blizn...

- Czy jest poważnie ranna?

- Nie wiem.

- Co robimy, madame

- Nie wiem. Butterfield zapalił lampkę nad moim siedzeniem i obmacywał jej stopy.

-Krwawi? Badałam ją dłońmi. Podarte szare ubranie: sprana spódniczka z gumką w talii, koszulka, która kiedyś była różowa, wyświechtane majtki. Przez skórę prześwitywały żebra, brzuch był wzdęty i nabrzmiały, ręce i nogi chude jak patyki, policzki leciutko zaokrąglone.

-Nie krwawi. Zgasłam lampkę, nie chciałam widzieć nic więcej. Ricky uruchomił silnik, samochód się zakołysał.

-Powinniśmy znaleźć jakiś dom - powiedział. - Jeśli natykamy się na dzieciaka, to w pobliżu na pewno jest wioska albo kilka chałup. Tam będą wiedzieć, kim ona jest, i tam ją zostawimy.

Kiedy oglądałam Dolores w świetle samochodowej lampki, wydawało mi się, że już ją gdzieś widziałam. Ale dopiero później, w ciemnościach, zrozumiałam, skąd takie wrażenie.

Od osoby towarzyszącej oczekuje się dobroczynności. Co robi i jak, jest mniej ważne. Jeśli serce jej się kraje na widok bezpańskich kotów w Rangunie, może się zająć działalnością charytatywną na rzecz bezpańskich kotów. Może organizować wyprzedaje, robić kotom kapcie na drutach, dyżurować przy telefonie i tak dalej, byle nie zajmowało to za dużo czasu. Ot, takie życie na niby. Stwarzanie pozorów, że tych parę nędznych godzin w tygodniu ma ogromne znaczenie, że koty potrzebują jej kapci, jakby mogły dzwonić na ten numer dyżurny, choć wszyscy wiedzą, że nawet im łapka nie wejdzie w otwór tarczy.

Na każdym przyjęciu w ambasadzie znajdzie się co najmniej jedna taka kobieta. Obnosi się ze swoim krwawiącym sercem jak z klejnotem: poświęca się dla domu dziecka albo przedszkola, angażuje w wiercenie studni na północy albo projekt edukacyjny na południu. Wiem o tym, byłam jedną z nich.

Przez kilka lat obchodziłam slumsy w Delhi, co tydzień inne, i rozdawałam matkom, które czerpały wodę pitną ze ścieków, torebki z roztworem cukru i soli, mającym zapobiegać bieguncce ich niemowląt. Towarzyszyły mi indyjskie kobiety w sari za tysiąc dolarów. Mówiły głodującym krajankom i ich niedożywionym dzieciom, że podstawą dobrego zdrowia jest właściwa higiena. Matki patrzyły na nas szeroko otwartymi oczami i chciwie wyciągały ręce po torebki. Dopiero po pewnym czasie zrozumiałam, że równie zachłannie wyciągałyby ręce po cokolwiek; wzięłyby nawet puste torebki. Biedni biorą wszystko, co im się da, dlatego że wszystkiego potrzebują. Ale nigdy nie dostaną tego, czego im trzeba najbardziej, bo chce to mieć kto inny.

Szybko zrezygnowałam z udziału w tym projekcie. Ktoś poprosił mnie o wygłoszenie w porze lunchu przemówienia dla kobiet. Stałam na niewielkiej mównicy w luksusowym hotelu w centrum Delhi i poraził mnie mój głos. Usłyszałam, że mówię tym samym tonem co mama o wodzie i wodociągach, o zapotrzebowaniu na rury i hydraulików. Dlaczego podaje się jedynie liczbę lekarzy na tysiąc mieszkańców? Dlaczego w ogóle się nie wspomina o liczbie hydraulików? Czysta woda, ladies, i zamknięty system kanalizacyjny mają podstawowe znaczenie dla zdrowia mieszkańców slumsów i ograniczenia śmiertelności wśród dzieci. Czułam, że coś jest nie tak, ledwie zesłam z mównicy. Aplauz był umiarkowany, uśmiechy sztywne. Po powrocie do rezydencji poznałam przyczynę. Ulf nie krył niezadowolenia. Zadzwoiła do niego jakaś wysoko

postawiona osoba. Nie wszystko zrozumiał z tej długiej i pokrętej rozmowy, w każdym razie wygłosiłam mowę polityczną, wmieszałam się w sprawę, która jest bardziej zainfekowana niż woda w ściekach. Czy ja nie wiem, że establishment Delhi od dwóch lat spiera się o wodę i wodociągi? W takiej sytuacji żona szwedzkiego ambasadora nie może sobie pozwalać na polityczne wypowiedzi. Żony ambasadorów w ogóle nie powinny wygłaszać politycznych przemówień. To chyba oczywiste. Poza tym to było śmieszne. Hydraulicy!

I spotkała mnie kara: dwutygodniowe milczenie. Po dwóch dniach musiałam przyznać sama przed sobą, że się rzeczywiście ośmieszyłam. Zawstydzona, wycofałam się z projektu, ale to nie pomogło. Tym razem wyjątkowo trudno było mi wybaczyć.

Poznałam Dolores. Ma tysiąc siostr w slumsach Delhi. Stały po kostki w glinie, z młodszym braciszkiem lub siostrzyczką na ręku, w wianuszkach osób, które zawsze się gromadziły wokół mnie i bogatych Hindusek. Starsze, ośmioletnie siostry o prastarych twarzach, obarczone odpowiedzialnością i ciężką pracą, wycieńczone głodem i biegunkami. Ich młodszy bracia podchodzili bliżej, chcieli dotknąć moich rudych włosów i białej skóry. Śmiali się. Siostry Dolores nigdy tego nie robiły. Ich ciekawość umarła, piły wodę ze ścieków, nie miały się z czego śmiać.

Chyba przysnęłam. Kiedy otworzyłam oczy, zaczął padać deszcz, wycieraczki zmagają się z cementową mazią. Dziewczynka siedziała na moich kolanach w tej samej pozycji co przedtem. Ricky jechał bardzo wolno. Hop-hop--hop. Jeszcze chwila, a droga będzie nieprzejezdna.

- Jak tam, Ricky? Miał zmęczony głos.

- Ledwie widzę drogę, madame. Wszędzie popiół...

- Nie słyszę kamieni. I wiatr chyba ucichł... Już po orkanie.

- Ale popiół, madame. Popiół i deszcz!

- Nie ma domów?

- Nie, ani jednego. Podniosłam colę z podłogi i położyłam obok niego na przednim siedzeniu.

- Napij się, Ricky. Ale się nie zatrzymuj, bo jak staniemy, to już nie ruszymy.

Odkręcił butelkę zębami i pił. Przed nami był zakręt, nie zauważył go i pojechaliśmy prosto. Krzyknęłam, w połowie krzyku zorientowałam się, że jesteśmy u kresu tej podróży. W popiele majaczyły schody.

Miałam jeden jedyny sekret, którego nikomu nie zdradziłam, nawet Maricie.

W lesie koło Eksjöberget rosły wysokie świerki. Miały długie zielone spódnice, pod które nigdy nie udawało się bezboleśnie wejść. Nagie brązowe gałązki drapały skórę, łamały się i ledwie się

ich dotknęło, kłuły. Szybko zrezygnowaliśmy ze świerków; nie nadawały się na szałas ani kryjówki.

Jest późne lato, Cecylia ma sześć lat. Pędzi przez las, ucieka, może gonią ją duzi chłopcy i psy, może tylko jej się wydaje, że ktoś ją goni, dyszy ciężko, musi się schować. Po lewej stronie ścieżki widzi paprocie, Cecylia za nic tamtędy nie pobiegnie, Boże, jeśli jesteś, zbaw mnie, na szczęście po prawej rosną najzwyklejsze borówki i jakieś krzaki, dzięki ci, dobry Boże, za ten świerk na wprost, nic nie szkodzi, że kłuje i drapie, byle tylko mnie ukrył.

Wturlałam się pod gałęzie i położyłam na brzuchu. Nie draśnięta. Dywan z brązowych igieł pachniał, był miękki, ani trochę nie kłuł. Długo mu się przypatrywałam, rozcierałam w palcach. Serce przestało kołatać, minęły mdłości. Nagle drzewo przemówiło. Głębokim, melodyjnym szeptem.

- Tutaj nie ma węży. Ja je przepędzam i kłuję, straszę i potrząsam nimi. Ale nie zabijam. W mojej sali możesz się czuć bezpiecznie, nikogo nie zabijam, nawet tych, którzy zasługują na śmierć, bo nikt nie zasługuje na śmierć.

Uklękałam. Wszystko się zgadzało: to rzeczywiście była sala. Podniosłam się, wspierałam na palce i wyciągnęłam ręce; nie dostałam nawet do najniższych gałęzi. Były wysoko nade mną i łagodnym łukiem opadały do ziemi.

- Tutaj nie ma węży, nikt tu nikogo nie dręczy - szeptał świerk. - Ja cię osłaniam i bronię, ukrywam i pocieszam...Przyklękałam, przytuliłam policzek do pnia. Świerk szeptał i śpiewał, kilka jego słów zamieniło się w obrazy, które na zawsze zapadły mi w pamięć. Pachnąca żywica jest spokojem, blade igielki pnia - pocieszeniem, a spódnica z zielonych gałęzi - bezpieczeństwem. Po wielu godzinach usłyszałam Larsa-Górana. Wołał mnie. Niechętnie wysunęłam się z objęć świerku. Kiedy wyłoniłam się z ciemności, wzdrygnął się i wstrzymał oddech. Zdumiałam się, nie sądziłam, że tacy duzi chłopcy mogą się bać.

Był pięć lat starszy, nigdy nie zwracał na mnie uwagi, byłam mała i nie do końca rzeczywista. Ale teraz wziął mnie za rękę i mocno trzymał, dopóki nie doszliśmy do domu. We wszystkich czterech kuchniach paliło się światło, najjaśniej w naszej, dzięki szklanemu kulistemu kloszowi. Olssonowie mieli małą lampkę w oknie, z czerwonym abażurem. Krwistoczerwonym. Jeśli chciałam, mogłam go usunąć jednym mrugnięciem oka.

Tata siedział przy kuchennym stole i nie odrywał oczu od gazety. Mama zrobiła mi awanturę, że się spóźniam na kolację i że znowu się zsikałam. Powiedziałam „przepraszam” i zdjęłam mokre majtki; nie próbowałam niczego zmyślać ani się bronić. Ale kiedy mnie spytała, gdzie byłam, nie

odpowiedziałam. Zresztą nie mogłam mówić z pełnymi ustami, przecież jadłam kanapkę. Następnego dnia miałam ten mój sekret na końcu języka, chciałam się zwierzyć Maricie, ale nic z tego nie wyszło. Nie wiedzieć czemu była zła i opryskliwa, waliła kijem w trawę i wyzywała mnie od szczyli. Nie zaprzeczałam. Miała rację, byłam szczyłem. Ale szczyłem z sekretem.

Ricky zostawił włączone reflektory, potrzebował światła. Pogoda się poprawiła, mógł iść prosto, a raczej na w pół bieca, osłaniając głowę skrzyżowanymi rękami. Szybko straciłam go z oczu, przednia szyba zszarzała od wilgotnego popiołu.

Butterfield ciągle spał. Przechylony na bok, leżał na moim ramieniu. Wspaniale. Śpiący ludzie są niegroźni.

-Dom jest pusty. Nikogo nie ma. Koszula Ricky'ego była mokra i pokryta gliną. Może się pośliznął.

-Myślisz, że będziemy tu bezpieczni?

-Całkowicie, madame, to dobry dom. Jest dużo mebli i różnych rzeczy, może jest i woda...

-W porządku, zabieramy dziewczynkę. Bez zbędnych słów wiedzieliśmy, co robić. Ricky chwycił ją pod ramiona, ja za stopy i puściliśmy się biegiem do domu. Przypominała szmacianą lalkę, ręce dyndały, głowa opadała do tyłu. Nie mieliśmy czasu na ceregiele. Do drzwi prowadziło dwanaście stopni, pod mokrymi zaspami popiołu czułam drewno.

W pokoju było ciemno, nic nie widziałam, domyślałam się, że jest duży. Położyliśmy małą na podłodze i wróciliśmy do samochodu. Butterfield nie spał, wydawał się zmieszany, kiedy usiadłam obok niego i szukałam po omacku coli i torebki.

- Proszę! - powiedziałam, wtykając mu trzy butelki. Znaleźliśmy dom. Zanieś to, Ricky i ja zabierzemy żywność...Ricky wziął cztery torby plastikowe i po kokosie pod każdą pachą, ja - trzy torby i apteczkę. Zapomniałam o jej istnieniu, leżała w bagażniku i dodawała otuchy swoim czerwonym krzyżem.

Wszystko się odmieniło, kiedy zamknęliśmy drzwi. Tutaj mogliśmy udawać, że nic się nie stało. Jest pora deszczowa - dlatego to bębnienie o dach. Jest noc - dlatego dziecko śpi. Nie ma się czym martwić.

Butterfield pstryknął zapalniczką. Pośród chybotliwych cieni zamajaczył duży stół, przykryty - zgodnie z filipińskim zwyczajem - koronkowym obrusem i zastawiony najróżniejszymi ozdóbkami. Ale nie było krzesel. Płomyk zgasł. Podeszłam tam w ciemnościach, jak ślepiec wymacywałam porcelanowe, plastikowe i drewniane przedmioty, powoli je podnosiłam i jeden po

drugim kładłam na podłodze. Starannie złożyłam obrus i wsunęłam pod stół. Teraz dziewczynka miała łóżko, wszyscy mieliśmy łóżko.

Kiedy ją niosłam, Butterfield oświetlał mi drogę zapalniczką. Ricky, wyraźnie wyczerpany, usiadł na podłodze i zbierał siły, żeby się napić coli. Położyłam małą, podpełzłam do niego i chwyciłam za ramię. - Chodź! Z irytacją pokręcił głową, po czym dobrowolnie wszedł pod stół.

W końcu byliśmy tam wszyscy. Po mojej lewej stronie leżał ciepły i przytomny Butterfield, po prawej ciężko oddychała dziewczynka, a obok niej spał głębokim snem Ricky. Stół nas chronił; miał niemal dziesięciocentymetrowej grubości blat i był bardzo szeroki. Gdyby runął dach, zmiażdżyłby jedynie nasze wystające stopy...

Z obowiązku przez kilka sekund martwiłam się o stopy Ricky'ego i Butterfielda. Potem wzięłam dziewczynkę za rękę i usnęłam.

Nie wiem, kiedy to się stało. Nie wiem, gdzie. Może byliśmy daleko od wulkanu, a może tuż-tuż. Jechaliśmy całą wieczność. Może to była noc, może ranek, może upłynęła co najmniej doba, a może zaledwie godzina. Bez światła nie istnieje ani czas, ani topografia.

Przez trzy dni wokół Pinatubo panowała noc. Tego poranka, kiedy ciągle spałam w zielonym pokoju hotelowym w Olongapo, góra się zatrzęsała i eksplodowała. Po sześćsetletnim milczeniu i po kilku tygodniach ziania siarką otworzyła usta i zaryczała.

Niewielu widziało erupcję z bliska. Pewien lekkomyślny chłop był na polu u podnóża Pinatubo. Chciał zasadzić ryż i nie zgodził się na ewakuację. Oberwał kamieniem w głowę, jego ziemię pokrył pumeks i obsuwająca się glina. Spanikowany, przebiegł ponad piętnaście kilometrów, ani razu się nie zatrzymując. Dotarł do swojej wioski - zdaniem władz, bezpiecznej - jednym ramieniem objął żonę, drugim matkę i patrzył na Pinatubo. Nowo powstały krater buchał gazem, popiołem i gliną, miał siłę rozjuszonego drapieżnika albo rannego smoka, wymiotującego własnymi wnętrznościami. Pod niebo wzbijał się dwudziestokilometrowy słup zielonego i szarego popiołu, białej pary, czarnego dymu, rozżarzonej gliny i kamieni, dużych bloków skalnych i małych, lśniących jak diamenty, kryształów górskich.

Może wybuch był parodią, ironicznym komentarzem natury do aspiracji ludzkości, bo tuż pod niebem słup popiołu przeobraził się w dobrze nam znaną, grzybokształną chmurę. Na ten widok zachichotały okoliczne równiny i ziemia odpowiedziała krótkimi wstrząsami. Nad oceanem wiatr przybrał na sile i donośnie zarechotał; chciał się przyłączyć do zabawy.

Wulkaniczny popiół, o czym nie mieliśmy pojęcia, przegnał dzienne światło aż do Manili. Dowiedziałam się o tym później. W naszym domu zalegały ciemności. Lewitowaliśmy w czerni, zawieszeni między snem a jawą, oddychaliśmy, marzyliśmy i próbowaliśmy nie myśleć.

Jadłam we śnie. Raz obudził mnie smak papai. Siedziałam i obierałam ją zębami. Była duża i ciężka jak dynia, przejrzała i soczysta. Upaprałam sobie nią twarz. Nasyciłam się niecałą połówką, to, co zostało, położyłam na stole i udałam się na poszukiwanie coli.

Ricky nie zakręcił butelki, bąbelki wywietrzały, rozkosz. Pijąc, przypomniałam sobie o małej, wróciłam pod stół, wlałam kilka kropli do nakrętki i uniosłam głowę dziewczynki. Przełknęła. Ożywiłam się. Ona po prostu śpi, jest wyczerpana, nie straciła przytomności. Wlewałam w nią nakrętka za nakrętką, dopóki nie zamknęła ust i nie westchnęła. Wtedy odstawiłam butelkę i zasnęłam.

Drugim razem obudziła mnie potrzeba fizjologiczna, tak nagła, że aż bolesna. Gdybym się ruszyła choćby o milimetr, zsikałabym się. Jak nic. Zamknęłam oczy, zacisnęłam dłonie i zaczęłam się koncentrować. Napnij właściwy mięsień, Cecyljo. Nie, nie ten. Ten! Teraz możesz wstać, nie puszczaj, nie popuszczaj, podnieś się i oprzyj o stół.

Popiół i deszcz nieustannie bębniły o dach, wiatr wdzierał się do pokoju, rozwiewał mi włosy. Bałam się wyjść, ale niby gdzie mam się załatwić? Boże, dlaczego nie mogę nasikać do butelki! Torba plastikowa! Przecież mogłabym wykorzystać jedną z plastikowych toreb Ricky'ego.

Leżały przy drzwiach. Wijąc się, ruszyłam w tamtą stronę. Dlaczego ty nigdy nie dorośniesz, szczyłu, dlaczego to, co oczywiste, nigdy nie stanie się oczywiste? Torby zaszeleściły. Wzięłam najmniejszą i przykucnęłam w kącie.

To wcale nie było takie proste, jak myślałam. Zanim udało mi się wcelować, obsikałam sobie rękę i podłogę. Potem starannie zawiązałam torbę i w nieskończoność, raz po raz wycierałam majtkami dłoń i podłogę.

Mama jest zrozpaczona. Powtarza to bez przerwy. Kilka miesięcy później idzie ze mną do lekarza. Jest duży, białowłosy i nie patrzy na mnie.

- Nie moczyła się, odkąd skończyła półtora roku, a teraz codziennie robi w majtki. Czy to może być zapalenie pęcherza? Wyglądam przez okno, jesteśmy wysoko, widzę dach domu naprzeciwko.

Rano nasikałam do miseczki, mama nie będzie już miała z niej żadnego pożytku w kuchni. Przełała moje siki do butelki i oddała pielęgniarce w pokoju obok. Nigdy nie myślę o siuškach. Inni myślą, pływają w nich i nurkują, zanurzają się i parszczą. Mama:

-Cecylio, no nie, znowu, i co ja mam z tobą zrobić, jestem zrozpaczona...

Tata:

-Musisz się wreszcie nauczyć, jak sobie radzić z dzieciakiem. Dostyc tego, słyszysz, jeśli jeszcze raz to zrobisz, oberwiesz na goły tyłek...Lars-Góran:

-Mamo, schowała zasikane majtki za książkami na półce, obrzydliwy bachor...

Pani Olsson:

-Niech chodzi w mokrych majtkach, wtedy się nauczy. Na początku jest ciepło i przyjemnie, ale później okropnie, ha-ha.

Marita:

-No, chodź, szczyłu, tylko nigdzie u nas nie siadaj, bo potem krzesła śmierdzą. Chyba że się przyznasz. Jak powiesz: „jestem szczyłem” - to usiądziesz. Nie słyszysz? Ogłuchłaś?

Doktor w radiu:

-...jeśli chodzi o dziewczynki, sprawa wygląda inaczej. Jeśli nie istnieją po temu żadne powody natury fizycznej, mamy na ogół do czynienia z przekorą...

Wracając od lekarza, wstępujemy do księgarni, gdzie przeglądam książkę z obrazkami i sylabizuję całą stronę, podczas gdy mama robi zakupy. Nie wie, że umiem czytać, nikt nie wie prócz Marity, która mi nie wierzy. Mama wychodzi z jedną książką i w domu od razu rzuca się do lektury. Siadam naprzeciwko niej i rysuję. Blok mi się skończył, a ponieważ nie zasłużyłam na nowy, coś tam bazgrzę na papierowej torebce. W środku są okruszki, ołówek podskakuje, zamiast prostej linii robi się zygzak. Zerkam ukradkiem na maminią książkę i próbuję przeczytać tytuł..

„Psyche..”, nie, nic z tego, słowo jest za długie. Mama podnosi wzrok.

- Nie pójdziesz się pobawić? Ale najpierw zrób siusiu.

Mijają trzy dni i znowu jest zrozpaczona. W ciągu tych trzech dni nic nie mówi o sikaniu, nawet wtedy, kiedy wychodząc z toalety, zadzieram spódniczkę, żeby widziała, co i jak. Wzdycha, wysuwa szufladę mojej komody, daje mi czyste majtki i zabiera te zasikane. Są cieliste, połyskliwe i mokre. Jakby trzymała polec mięsa. Na przykład pieczeń cielecą.

Czwartego dnia moczę nowe spodnie; są wełniane i nie można ich prać w wodzie. Mama, mimo moich łez i zapewnień, że się nie zsikałam, mocno uderza mnie w ucho. Przewracam się i siadam w kałuży. To tylko woda, mamo, naprawdę! Jest zrozpaczona. Potem nie udaje mi się wymyślić sensownego kłamstwa, więc przestaję kłamać. Wstydzę się i przytakuję. W końcu się poddaję.

Mamie odechciewa się wiecznego prania i kontrolowania mnie, tata już nie musi oglądać moich majtek suszących się nad piecem i o wszystkim zapomina, ja przyzwyczajam się do chodzenia w mokrych, a pozostali przyzwyczajają się do zapachu. Z wyjątkiem Marity. Ciągłe mi przypomina, kim jestem. To ona ma głos decydujący, ale ciągle bawi się ze mną, bo nie ma nikogo innego.

Szkoła wszystko zmienia, już pierwszego dnia wychodzi na jaw, że jestem najlepsza w czytaniu. I nie boję się rozmawiać z nieznanymi dziewczynkami; pytam, jak im na imię, a one mi odpowiadają. To mama mnie tego nauczyła. Marita stoi obok i milczy, nie odzywa się i nie umie czytać. Kiedy jestem przeziębiona i zostaję w domu, nie chce iść do szkoły, beze mnie nie ma odwagi. Leżąc w łóżku, wysłuchuje jej wrzasków na klatce schodowej i triumfalnie się uśmiecham.

W pierwszym semestrze rozkwitam. Marita już mi nie rozkazuje, obie wiemy, że nie muszę być posłuszna. Ale przed feriami dokonuję przykrego odkrycia: Moje krzesło nie wygląda tak jak krzesła innych dzieci. Siki wytrawiły pokost i środek błyszczącej powierzchni znaczy matowa plama. Krzesło Marity, z którą siedzę w jednej ławce, bo przecież jesteśmy najlepszymi przyjaciółkami, lśni jak lustro. Idzie za moim spojrzeniem, widzi plamę i uśmiecha się.

Tamtego dnia wracam do domu trzynaście kroków za nią. Odmierza odległość. Muszę iść, kiedy ona idzie, i zatrzymywać się, kiedy ona się zatrzymuje. A zatrzymuje się często, podnosi kamienie, wpatruje się w żwir i papierki po cukierkach. Wtedy nie wolno mi się ruszyć, bo zacznie wykrzykiwać na szkolnym dziedzińcu wiadome słowo i wszyscy się dowiedzą, kim naprawdę jestem.

Nieruchomieję, czuję spływające po udach siuski i piekące zimno między podwiązkami a różowymi majtkami. Mimo to jestem i będę posłuszna.

-No i jak? - szeptem, po szwedzku spytał Butterfield, kiedy wpełzłam pod stół. Speszylam się. Może wszystko słyszał?

-Dobrze. Ale jest przeciąg, zauważyłeś?

-Nie szkodzi, specjalnie tak budują domy, żeby przetrzymały orkany...

- Oby. Co z ręką? Boli cię?

- Nie bardzo. Jak mała? Obróciłam się i dotknęłam jej. Zdziwiłam się, że ma tak szorstką i twardą skórę, przecież to dziecko, sześć, góra osiem lat.

-Przesunęła się i oddycha spokojnie - odparłam może trochę zbyt ufnie. - Przed chwilą się napiła. Śpi, nie sądzę, żeby straciła przytomność. W samochodzie była w szoku, poza tym jest wyczerpana.

Butterfield oparł się na rękę, pochylił nade mną i pogłaskał dziewczynkę po brzuchu.

- Obudzimy ją?

- Nie, niech śpi. Sama się obudzi. Opadł na plecy. Jego silnie owłosione przedramię przywierało do mojego, drugą rękę położył na czole; czułam ten ruch, ale nie widziałam.

-O czym myślisz?

-O wszystkim - powiedział z uśmiechem w głosie. - O tym, jak mogliśmy się w to wpakować i jak się z tego wykaraskamy. O tym, że świat jest mały, i o tym, że byłaś kumpelką Marity.

- Świat wcale nie jest mały. I nigdy nie będzie.

- Jak zostałam kumpelką Marity?

- W dzieciństwie mieszkaliśmy w tym samym domu i byliśmy jedynymi równolatkami na całej ulicy. Właściwie nie miałyśmy wyboru.

- Czy nie mówiłaś, że jesteś córką Złotego? Przecież on był bogaty i chyba nie mieszkał tam, gdzie Olssonowie.

- Bogaty... Zaczynał jako zwykły robotnik na budowie, dorobił się dzięki własnej pracy.

Przesłałam tacie pozdrowienia do jego nieba. „To twoje słowa, drogi ojczu. Kiedy opuścisz moje gardło? Kiedy zacznę mówić własnym głosem i własnymi słowami?”

Złoty zaśmiał się w przestworzach. „Nigdy, droga Cecylia. Po co, według ciebie, spłodziłem dzieci?”

Butterfield milczał przez chwilę i nie ruszał się, szykował się do następnego zdania.

-Jeśli dorastałaś w Nassjów, to chyba wiesz, kim był mój ojciec. Starłam się przybrać maksymalnie neutralny ton. -Tak.

-A mama? Przytaknęłam. Jak można o niej zapomnieć? Tylko co tu powiedzieć?

-Była bardzo ładna.

- Może. Tak, chyba tak. Aż do samego końca. Wzięłam głębszy oddech.

- Ciągłe ją opłakujesz? Taki masz głos...

-Tak. Teraz ją opłakuję. Tu, na Filipinach. Ale w Szwecji byłem zły, wydaje mi się, że nienawidziłem jej jeszcze dwadzieścia lat po jej śmierci... Jej nienawidziłem bardziej niż Jeffersona. Potrafisz to zrozumieć?

-Owszem. Widziałam ją ostatniego wieczoru. Uderzył pięścią w blat stołu.

-Dlaczego nazywali ją Wenus z Gottlósy? - spytałam. - Kto to wymyślił? Pytanie sprawiło mu mniej przykrości, niż przypuszczałam. W jego głosie pojawił się śmiech.

-To ten popieprzony Aron wymyślał te wszystkie głupawe imiona. Matka pochodziła z Gottlósy, to taka wioska w Skanii. Tam się chajtnęła z moim starym. W dniu ślubu Aron wparował do kuchni i zobaczył matkę w kąpieli. Stała naga w balii. Był lekko podcięty i kompletnie go замуrowało. Na pewno była zgrabna, bo opowiadał że, musiał się cofnąć, żeby go ten widok nie oślepił...

-I tak została Wenus z Gottlósy.

- Nie, jeszcze nie wtedy. Babcia i dziadek byli prostymi dzierżawcami, ale wiodło im się znośnie i zaprosili go na weselny obiad. Myślę, że Aron się tym gryzł, bo był cholernie skąpy, ale lubił błyszczeć. I wygłosił mowę, to przecież nic nie kosztuje. Powiedział, jak to w czasach swojej młodości jeździł po Europie - oczywiście kłamał, nigdy nie był dalej niż w Kopenhadze - i w Rzymie zobaczył najpiękniejszy obraz na świecie, „Narodziny Wenus” Botticellego. Opisał go bardzo poetycko; muszla pod stopami, biała skóra i złote włosy, krągły brzuch i jędrne piersi...

- I co dalej?

- Potem powiedział, że miał przyjemność widzieć swoją synową nago i uznał, że to wykapana Wenus, doskonała kopia Botticellego. Dlatego powinna nosić imię bogini. Nie będzie żadną zwykłą Anną, tylko Wenus. „Chrzczę cię i nadaję imię Wenus z Gottlósy”. I pokropił wódką koronę panny młodej...

- O rany. A co na to Jefferson?

- Nic nie powiedział, podniósł się i dał Aronowi w mordę. Myślał, że stary się do niej dobierał. Pewnie do dzisiaj tak myśli, jeśli jeszcze żyje. Tego o Botticellim nie zrozumiał. Aron zobaczył „Narodziny Wenus” w Blekinge, kiedy jeździł w końskich interesach. Czyjś syn miał ten obraz nad łóżkiem. Wmówił swojej religijnej mamusi, że to wniebowzięcie; anioły zabierają Matkę Boską do raju. Aron się z tego śmiał, uważał to za świetny dowcip. Przeklęty staruch.

- Marita go lubiła.

- Ach, tak. Możliwe. Zawsze miał podejście do kobiet. Na chwilę zaległa cisza, potem coś uderzyło o dach. Raz, drugi, trzeci. Deszcz kamieni. Przypomniały mi się Pompeje; za dwa tysiące lat będziemy dziurą w ziemi, którą się wypełni gipsem, i zostaną nasze odbicia...Odetchnęłam głęboko i przegnałam tę myśl z czoła.

- A potem byli nieszczęśliwi do końca swoich dni. Butterfield drgnął, może już zasypiał.

- Kto?

- Twoi rodzice. Aron oblał koronę wódką i Jefferson był zazdrosny.

- Wcale nie. Przez pierwsze lata dobrze im się żyło. Mieszkali w Gottlósie u rodziców matki. Jefferson miał przejąć gospodarstwo po dziadku i nauczyć się pracy na roli. Ale nic z tego nie

wyszło. Był cholernie nadęty. Nie potrafił się zamknąć na dłużej niż dwie minuty i słuchać, co się do niego mówi.

-Czy już wtedy był religijny?

-Chyba nie. Nie wydaje mi się, żeby kiedykolwiek był naprawdę religijny. Chociaż świetnie znał Biblię. Ciągłe głądził o lilijach Saronkich. Ale przeważnie kończyło się na głądzeniu. Słowa. Myślę, że on lubił słowa...Znowu milczenie. Chciałam, żeby mówił dalej.

-I jak się to potoczyło?

-Dziadek umarł. Gospodarstwo przepadło. Jefferson i matka przeprowadzili się do Nassjó. Aron tak chciał. I w Nassjó matka odkryła, że wyszła za cygana. Wcześniej nie miała o tym pojęcia. W okolicach Gottlósy właściwie nie było cyganów, nie bardzo wiedziała, co to takiego. Ale się dowiedziała.

-A co to takiego? Co to znaczy być cyganem? Odwrócił się do mnie plecami

- Powinnaś wiedzieć, Cecylio Lind. Przecież urodził się w Nassjó. A teraz chcę spać.

Ciągle było ciemno. Obudził mnie jęk dziewczynki. Podniosłam ją, przytknęłam do ust butelkę coli i zastanawiałam się sennie, kim ona jest. Piła łąpczywie, chciała więcej i szukała czegoś po omacku.

Zdjęłam papaję ze stołu, odgryzłam kawałek, roztarłam zębami na miazgę, nałożyłam odrobinę na czubek palca i dałam jej possać. Uspokoila się, chwyciła owoc kościstymi dłońmi, przycisnęła do twarzy i zamlaskała. Szybko się nasyciła i zasnęła, z papają w objęciach.

Nie mogłam już dłużej spać, wpatrywałam się w ciemność. Butterfield się przekreślił, leżeliśmy twarzami do siebie i oddychaliśmy w tym samym rytmie. Kiedy szeptał, jego głos brzmiał całkiem inaczej, był jak ciepły wiatr. Opowiadał o swoich dłoniach i moim ciele, o wargach, piersiach i skórze, o gorącej wilgoci i gorącej sztywności. Dostosowałam się do obrazu, który stworzył, wśliznęłam się weń i pozwalałam sobą powodować. Po chwili w moim podbrzuszu zapalił się płomyk, obudziły się moje obrazy, rosły, nabrzmiewały. Usłyszałam swój własny szepc i upajałam się nim. Mówiłam swoim głosem, niepodobnym do żadnego innego. Nie dotykaliśmy się. Ten pierwszy raz kochaliśmy się za pomocą słów i oddechów.

Nachtund Nebel. Noc i mgła.

Dotykam czołem okna w salonie, widzę, jak się zapalają tylne światła karetki i znikają. Doktor Alexandersson stoi przez chwilę na ogrodowej ścieżce, jakby nie do końca wiedział, co robić, po czym wyjmuje z kieszeni kluczyki do samochodu i wychodzi na chodnik. W myślach towarzyszę

mamie w jej ostatniej podróży przez Nassjó, ten brzydki mały raj. We wszystkich oknach jest ciemno, mieszkańcy śpią w swoich ciepłych łóżkach w tę zimną noc. Może kogoś obudzi dźwięk silnika, kilka razy zamruga oczami w ciemnościach, poczuje głód albo pragnienie. Bose stopy suną po podłodze w kuchni, idą do lodówki. Ktoś się pochyla nad blatem, je kanapkę albo pije mleko. Jedzenie. Woda. Ciepło. Prąd. Jakby to było oczywiste.

Dokonywałaś cudów na swoich nudnych zebraniach, mamó. Twój młotek przewodniczącej był różdżką czarodziejską, czarodziejską różdżką obfitości, która przemieniała głód w sytość, a chorobę w zdrowie.

A teraz? Co się teraz stanie, kiedy spoczniesz w kostnicy, a potem w grobie? Twój syn i spadkobierca nie umie czarować. Nawet tego nie chce.

Lars-Góran staje za mną.

-Nie położysz się?

-Później. Teraz nie zasnę.

- Nie wzięłaś tych proszków nasennych, które dostaliśmy?

- Wzięłam. Ale jeszcze nie działają... Chciałabym wyjść. Przejść się do Eksjóberget.

Ale to tylko przelotny impuls. Już kiedy to mówię wiem, że wcale tak nie jest. Tęsknię za mgłą i nocną wilgocią w płucach, a nie za Eksjóberget. Nagie gałęzie krzaków wyglądają w ciemnościach jak szepty. Przerazają mnie.

-Nie możesz wychodzić o tej porze - konstatuje Lars-Guran.

-Wiem - przyznaję z rezygnacją. - Nie mogę.

Kładę się posłusznie do łóżka, gaszę lampę i poddaję się działaniu chemikaliów doktora Alexanderssona. Oczy się zamykają, serce bije coraz wolniej, mięśnie są raptem tak ciężkie, że nie mogę się ruszyć. Mimo to nie śpię: mózg żarzy się od wspomnień i obrazów.

I wtedy go słyszę; tego, którego od dawna się obawiałam. Jestem bezbronna, sparaliżowana, i wtedy przychodzi NogNog. Ma piskliwy, drwiący głos.

-Oh, madame - skrzypi. - Oh, madame Watch out! Beware of the darkness...

Teraz go widzę. Stoi boso na oszronionej trawie przed Bananowym Domem. Wtulam twarz w poduszkę, żeby go przepędzić.

-Idź swoją drogą - mówię bez tchu. - Idź swoją drogą!

-Oh, madam - odpowiada NogNog, tym razem ciszej, niemal szeptem. - Oh, madam! Oczywiście, że pójdę. Ale nie swoją drogą, tylko twoją..Trzyma kałasznikowa za lufę, kolba chrzęści na zmarzniętej ziemi. Nagle jestem przy furtce pod Bananowym Domem i przyciskam do piersi jakieś pudełko.

- Co tam masz? - szepce NogNog. - Co tam masz?

- Nie twoja sprawa!

- Moja! Co tam masz? Odwracam się do niego plecami i idę do Eksjöberget. Naturalnie idzie za mną.

- Co tam masz? Powiedz prawdę: w tym pudełku nosisz moje wspomnienia...

- Nie można nosić cudzych wspomnień. To pudełko mojej mamy. Mama umarła i idę je zakopać. NogNog łapie mnie, głęboko wbija kościste palce w moje ramię.

-Pierdolona biała dziwko! To moje wspomnienia, nie masz prawa ich zakopywać!

Dźwigam ciężką od krwi rękę i zapalam lampę, potem przez minutę leżę nieruchomo i wsłuchuję się w ciszę, czujnie jak zwierzę. Naturalnie nic nie słyszę. Krzywię się, myśląc o niedorzeczności snu, i powtarzam słowa na swoją obronę: „Nie można nosić cudzych wspomnień”. Nie zgadzam się. Odmawiam. Gaszę lampę i reżolutnie zamykam oczy.

Odmowa to moje jedyne wyjście. Mogę pamiętać mamę psy, ulicę i głód, ale nie chcę myśleć o nożu na jego gardle, ognikach papierosów i drzewie, na którym wisiał. Wykluczone. To się nie wydarzyło.

-Dowód - szepce NogNog w przestworzach. - Chcesz dowodu? Chcesz mnie zobaczyć na tym drzewie? Chcesz zobaczyć, jak się kołyszę na wietrze? O, Cecyljo, nie ukrywaj prawdy sama przed sobą. Nie widziałaś, ale widzisz!? Widziałaś piętno niewolnika na mojej piersi, śliczny znak, wypalony papierosami białych mężczyzn...Przykrywam głowę poduszką, żeby go nie słyszeć.

-Nic ci to nie pomoże - szepce NogNog. - Nie będę cicho. Nigdy. Wiem, że chcesz tylko jednego, że wy, biali, chcecie tylko jednego: żebyśmy umierali w ciszy. Nie chcecie niczego słyszeć, widzieć ani wiedzieć. Ale ja nie będę milczał i zmuszę cię do mówienia! Widziałaś piętno niewolnika na mojej piersi! Wiesz, że byłem dzieckiem, kiedy mi je wypalono. Widziałaś, wiesz i będziesz mówić! Ale ja odmawiam. Odmawiam. Odmawiam.

Nazajutrz jest dzień wolny. W domu panuje absolutna cisza, za oknem wisi mgła. Niedzielny, świąteczny spokój. Wspaniale obudzić się w ciszy. Świat pod powiekami jest mętnawo zielony i pomarańczowy. Moja poranna ślina ma słodki smak, a ciało, które stopniowo przejmuję we władanie, jest ciepłe, miękkie i tylko moje. Wystrzegam się NogNoga, myśl zatacza duży i zgrabny łuk wokół tych mrocznych odcisków mojej pamięci.

Otwieram oczy. Mama umarła tej nocy. Nie ma żadnego świątecznego dnia, jest czwartek i czeka mnie dużo pracy. Powinnam zrobić śniadanie, napisać nekrolog, zadzwonić do zakładu

pogrzebowego i do banku, przejrzeć mamy notes z telefonami, zawiadomić krewnych i przyjaciół. Tymczasem mało mnie to obchodzi. Mama już nie cierpi, nie potrzebuje zastrzyków ani tlenu, nie może się rozłościć. W moim pokoju jest święto i spokój.

Kiedy urodziła się Sophie, też było święto. W ogóle się tego nie spodziewałam. W szary powszedni dzień Ulf pojawił się na korytarzu oddziału położniczego. Blady i spięty, pozbawiony zwykłej pewności siebie. Słyszając płacz Sophie w taksówce, przestraszył się, przestraszył i zniesmaczył, a w windzie, widząc, że rozpinam bluzkę, żeby ją nakarmić, pobiełał z tłumionej irytacji. Kiedy ją nakarmiłam i zapięłam bluzkę, stanęliśmy naprzeciwko siebie w salonie. Za oknem w nikłym jesiennym słońcu mienił się kolorami klon: żółto, czerwono, pomarańczowo. Spokój i cisza. W nosidełkach na podłodze spała nasza córka, trzecie dziecko, pierwsze, które przeżyło. Miałam przed sobą męża w dyplomatycznym uniformie: znoszona biała koszula z wyświechtanym kołnierzykiem, szykowny flanelowy garnitur, jedwabny krawat od Diora i skórzany pasek Yves Saint-Laurenta. Umiarkowana doza elegancji, nabyta w którymś ze sklepów taxfree, plus przyzwoite krawiectwo starej daty. Ulf wiedział, co znaczy „styl i klasa”, choć te słowa nigdy nie przeszłyby mu przez usta.

Ale jego oczy i usta należały do kogoś innego, kogo nie znałam i nigdy wcześniej nie spotkałam. Przesunęłam palcem po tej obcej mi twarzy, po nosie i policzkach, musnęłam górną wargę. Przytulił mnie, włożyłam ręce pod marynarkę, głaskałam go po plecach; były ciepłe, swojskie. Nie powiedzieliśmy ani słowa, mogliśmy być wobec siebie wyłącznie uprzejmi, a sytuacja wymagała chyba czegoś więcej.

Na przykład uczciwości. A jak my, nic o sobie nie wiedzący, mielibyśmy się zdobyć na uczciwość? W każdym razie się obejmowaliśmy i myślę, że w tamtym momencie kochaliśmy.

Nie mógł się zwolnić na cały dzień, miał ważne zebranie. Ulżyło mi. Mimo wszystko. Kiedy wyszedł, wzięłam Sophie na ręce, usiadłam z nią na kanapie i słuchałam, jak śpi. Leżała w odwróconej pozycji embrionalnej, dno miednicy zastąpiła szyja i broda, czerwone piąstki zaciśnięte na obojczyku. Od czasu do czasu odchylałam głowę i leciutko dmuchałam na jej meszek; falował jak letnia łąka na wietrze.

Byliśmy całkowicie bezpieczne, świat nie miał do nas dostępu, za oknem czuwał czerwieniący się klon, a w naszym domu pachniało świerkowym igliwem i żywicą.

Lars-Góran płacze w łazience. Powinnam wstać i zająć się nim, pocieszyć, zaparzyć kawę. Mimo to leżę, chcę spać. Niech sam się pociesza.

Zostałam dyplomatą, Marita, tak jak chciałam, a raczej myślałam, że chcę. Udało mi się z umiarkowanym powodzeniem, ale jestem wystarczająco uprzejma, dostatecznie elokwentna i dobrze ubrana, żeby ktokolwiek wziął mnie za osobę z zewnątrz. Lęk przeszkadzał mi w karierze. Bałam się innych dyplomatów, ich szorstkiej życzliwości i wyniosłej pokory, ich głosów, gestów i ubrań, kryjących w sobie dużo tajemnic i sprzeczności. Ale najbardziej bałam się słów: ilekroć na moim biurku lądował jakiś sprachreglung, ze zdenerwowania robiło mi się niedobrze. Nigdy nie opanowałam ich pamięciowo, nosiłam po kieszeniach, jakby sama bliskość papieru miała mi ułatwić przyswojenie sobie tego, co wolno mówić. Jak wyjaśnić ludziom wolnym, czym jest sprachreglung? To najzwyczajniej w świecie replika używana w rozmowach na szczeblu międzynarodowym, której sformułowanie zajmuje kilka dni lub tygodni. Najpierw kleci ją pocący się i ambitny sekretarz w ministerstwie - na tyle dobrze wychowany, żeby nie posilkować się własnymi słowami - który ma w biurku pełną szufladę gotowych fraz. Następnie sprawdza ją i cyzeluje rada ministerialna, podsekretarz stanu nadaje jej nową formę, a ostatecznego szlifuje dokonuje minister, i on to akceptuje. W rezultacie powstaje plwocina, lepki i bezbarwny frazes, pozbawiony rytmu i niezrozumiały. Nic nie szkodzi: mętność stanowi jego istotę. Sprachreglung jest bowiem zawsze kłamstwem, kłamstwem tak zręcznie sformułowanim, że nigdy nic nie można mu zarzucić. To, co dobre, jest złe, to, co złe, jest dobre, a to, co okropne, nigdy nie miało miejsca.

Po sporządzeniu sprachreglungu wszyscy z działu zagranicznego przypominają chórzystów; każdy, kogo to dotyczy, uczy się tych słów na pamięć. Prawdy się pamięta. Kłamstwa trzeba wkuć.

Kiedy wyszłam za Ulfa i urodziłam Sophie, zostałam zwolniona z tego obowiązku. Miałam z głowy sprachreglungi, byłam osobą towarzyszącą. Dzielna żona i kochająca matka, cierpliwa podpora i wytrawny ekspert od drinków. Musiałam kłamać tylko w drobnych sprawach, nic nieznaczących drobiazgach. Co mi na przykład szkodzi powiedzieć, że brzydka suknia jest ładna? Co mi szkodzi udawać zadowoloną i pewną siebie? Żyłam u boku Ulfa własnym życiem. Trzy lata w Pen asystowanie, zaręczyny, małżeństwo, dwa poronienia. Cztery lata w ministerstwie w Sztokholmie: ciąża, statystyki handlowe, poród, żłobek. Trzy lata w Wietnamie: samotność, upały, infekcje, absurdalne pokazy mody. Osiem lat w Indiach: szkoła, kolacje, przyjęcia, rozwód.

Dopiero pod koniec znów miałam posadę: zostałam sekretarzem ambasady kierowanej przez męża. Przydzielono mi biurko i podrzucano sprachreglungi. Nie musiałam jednak zawracać sobie nimi głowy. Zajmowałam się sprawami konsularnymi, odsyłałam do domu trzęsących się narkomanów i polecałam dobrego lekarza szwedzkim turystkom cierpiącym na rozwolnienie.

Dziwiło mnie, że nikogo nie męczyły te papiery ze Sztokholmu, że nikt nie widział nic zdrożnego w mówieniu cudzymi słowami. Ulf był nieodmiennie gładki, nawet wobec mnie, czysty arkusz papieru czekający na pióro. Czasami gardziłam jego posłuszeństwem, choć niejednokrotnie wątpiłam we własne odczucia. Ulf był bystry. Może za tymi małymi kłamstwami dostrzegał jakąś wielką prawdę.

Już kiedy wróciłam do pracy, próbowałam z nim o tym porozmawiać. Tamtego wieczoru dopisywał mu humor. Obchodziliśmy świętą Łucję w dużej białej sali Alvy Myrdal, przyjęcie było bardzo udane, z grogiem, piernikami i szafranowymi ciasteczkami. Zjawiła się niemal cała kolonia szwedzka i - co niezwykle - czterech dyrektorów, którzy przylecieli aż z Puni w towarzystwie odzianych w jedwabie żon. Poza tym przyszło więcej Hindusów niż rok wcześniej, ludzi ważnych, między innymi jakiś minister. Oczy Ulfa lśniły nadzieją; może wkrótce pójdzie w zapomnienie handel bronią.

Leżał w łóżku i patrzył na mnie, kiedy wkładałam nocną koszulę. Była z jedwabiu; w grudniu w Delhi nie jest zbyt ciepło na jedwabie.

- Dobrze się spisałaś, Cecylio. Bardzo dobrze. Właśnie tego było nam trzeba.

- Miło mi to słyszeć. Jak ci poszło z ministrem? Porozmawiałeś z nim w spokoju?

-Tak. Zamieniliśmy kilka słów...

Weszłam do łóżka i zgasiałam światło. Położył mi dłoń na biuście; było to coś w rodzaju objęcia. Wzięłam go za rękę, żeby zmniejszyć jej ciężar.

- Co mu powiedziałaś? Westchnął.

- To, co powinienem...

- Że szwedzki rząd robi wszystko, by dociec prawdy? Tak jak to zostało napisane w sprachreglungu.

- Mmmm. Dostałaś to?

- Jasne. Wszyscy dostali.

- Nie było tego w planach. Kto to rozdzielał?

- Nie wiem. Ale wierzysz w to?

- Co masz na myśli?

-Wierzysz, że rząd zrobi wszystko, żeby dociec prawdy o łapówkach? Zdjął rękę.

-O rzekomych łapówkach, Cecylio. Nikt tego nie wie na pewno. Nie ma żadnych dowodów.

Przewróciłam się na bok, plecami do niego. Ja wiedziałam. Mimo że niczego nie można było udowodnić. Widziałam tych mężczyzn z Bofors, słyszałam ich. Aroganccy, rehotliwi, cyniczni i

tak pewni siebie, że nawet nie próbowali się kryć ze swoimi kłamstwami. Ale istoty kłamstwa nie ujawnili.

-Nie musisz mówić jak sprachreglung we własnej sypialni...Ulf westchnął ciężko za moimi plecami.

-Zarzucasz mi kłamstwa, Cecylio?

- Tak. - W swoim głosie słyszałam głos Złotego, stanowczy, z gardłowym „r”. - Myślę, że kłamiesz każdego dnia. To leży w naturze tej profesji. Wszyscy kłamiemy.

- A twój brat minister, Cecylio? Czy on też kłamie? Co on wie o łapówkach?

Nie odpowiedziałam. I tak posunęłam się za daleko. Wstał, łóżko się zakołysało i zaszeleścił jedwab jego szlafroka. Nie odzywał się do mnie przez pięć dni i spał w pokoju gościnnym. Szóstej nocy poszłam do niego, by bez słów błagać o wybaczenie.

Ktoś idzie po schodach. Śni mi się, że pani Olsson się uśmiecha. Siadam na łóżku i nasłuchuję. To nie jest Lars-Góran, znam jego kroki. Chodzi jak ja, ciężko, stukając obcasami. Ten ktoś się skrada i waha, jest już w hallu i kieruje się do sypialni mamy. Marita. Nareszcie przysła. Narzucam szlafrok i wychodzę.

-Halo! Jest tam kto? Sylwetka w drzwiach maminego pokoju. Gunilla.

-To tylko ja. Dzwoniłam, ale nikt nie otwierał, więc weszłam. Mam przecież klucz. Czy ona jest w szpitalu? Czy jej stan się pogorszył? Opieram się o futrynę i całkowicie wybudzam, odgarniam włosy z twarzy i przepraszam.

-Powinniśmy byli zatelefonować, ale doktor dał nam środki nasenne. Larsowi-Góranowi i mnie. Mama zmarła tej nocy. Kiedy to mówię, zaczynam płakać, jest we mnie otchłań rozpacz i irytacja. Już popołudnie, przespałam cały dzień, a tyle mam zajęć. Gunilla skubie rękaw bawełnianej bluzki. Nagle ogarnia mnie przeczucie, że boi się mnie tak samo jak ja jej. Dała się nabrać na mój stanowczy głos i równie stanowcze kroki, myśli, że wiem, co robię i czego chcę. To ją napawa niepokojem.

-Ach. To straszne. No to ja już pójdę. Przepraszam. Pojednawczo pociągam nosem, wyjmuję chusteczkę

z kieszeni szlafroka i wycieram nos.

-Nic nie szkodzi. Skąd mogłaś wiedzieć...

Lars-Góran wchodzi do kuchni, kiedy kawa jest już zaparzona, ma zaczerwienione oczy, mało mówi. Zdążyłam napisać nekrolog. Czyta go głośno, nie zauważa pustych, martwych słów. „Nasza droga matka”. „Po długich cierpieniach”. „Ukochana”. „Żal”. Ale oczywiście musi coś zmienić.

-Wydaje mi się, że chciałaby też jakiś wiersz. Mówiła o tym po śmierci taty, coś Dagermana.

- Co?

- Nie pamiętam, nie przypominam sobie. Chowa twarz w dłoniach i płacze, beczy z otwartymi ustami, jak dziecko. Patrzę na niego przez chwilę, nie wiem, co począć z jego smutkiem, w końcu przynoszę mu papierowy ręcznik i nieporadnie klepię po ramieniu. A potem zabieram się do tego, co musi być zrobione.

„Fonus”, to oczywiste. Musi być „Fonus”. Kiedy umarł tata, zwróciliśmy się do prywatnego zakładu pogrzebowego, teraz wchodzi w grę tylko spółdzielczy. Konflikt przetrwał aż do śmierci. Odszukuję właściwą linijkę w książce telefonicznej. „Fonus” jest na Storgatan...

Już mam podnieść słuchawkę, kiedy dzwoni telefon. W moim odbiciu w lustrze dostrzegam isierkę nadziei. Marita! Ale to ktoś młody, dobrze wychowany, bez cienia miejscowego dialektu.

-Przepraszam, że przeszkadzam, jestem ze „Smalands Dagblad”. Nazywam się Katarina Söderberg.

Właśnie dowiedzieliśmy się o śmierci Dagny Dahlbom. Czy to prawda?

-Tak.

-Proszę przyjąć moje kondolencje. Przepraszam, że dzwonię, ale musimy się upewnić, żeby nie popełnić żadnego błędu. Przestań przepraszać, myślę. To pierwszy warunek powodzenia: nigdy nie przepraszać. Musisz się tego nauczyć, dziecino, jeśli chcesz coś w życiu osiągnąć.

- Rozumiem. Tak, to prawda. Mama zmarła tej nocy. Od dawna chorowała.

- W jutrzejszym numerze chcemy zamieścić wspomnienie pośmiertne. Chciałabym też spytać, czy mogłabym przeprowadzić wywiad z panią i z Larsem-Góranem Dahl-bomem?

- Wywiad? O czym?

- W związku z pogrzebem zamierzamy opublikować obszerniejszy tekst o pani matce, o jej korzeniach, pochodzeniu, karierze politycznej i tak dalej...Jestem zdziwiona. To niepodobne do „Smalands Dagblad”. Informacje o Nassjó ograniczają się zazwyczaj do krótkich notek na temat działalności Szwedzkiego Związku Misyjnego i prelekcji organizowanych przez Rotary Club.

-No, nie wiem...

-Ona dużo znaczyła dla miasta. A syn jest parlamentarzystą i ministrem, i w ogóle...

Nagle widzę mamę w lustrze. Jest w eleganckim, ciasno opinającym talię, służbowym kostiumie, szybko przesuwając grzebieniem po blond włosach, oczy wydają się nieobecne, zapewne myśli o wodociągach i oświetleniu ulicznym, o szkołach i stołówkach dla dzieci. Uśmiecha się do mnie,

odwzajemniam uśmiech. Moja mama: nieskończenie dobra w swoim żarliwym poczuciu sprawiedliwości i autentycznej trosce o innych i nieskończenie zła w braku szacunku i empatii wobec nas. Publikacja w „Smalands Dagblad” na pewno by ją ucieszyła.

-Oczywiście - mówię. - Spytam brata, chwileczkę... Staję w drzwiach kuchni, kładę rękę na futrynie, Lars-

-Göran podnosi wzrok. Już nie płacze.

-Ale ja muszę wracać do Sztokholmu - odpowiada z wahaniem. - Nie możesz sama się tym zająć?

Uzgadniamy, że Katarina ze „Smalands Dagblad” może przyjść jutro.

-Ale będę tylko ja - mówię. - Mój brat musi być w Sztokholmie. Poniewczasie uświadamiam sobie, że zabrzmiało to jak przeprosiny.

Odprawiam Larsa-Görana do samochodu, idziemy blisko siebie. Zaczęło się zmierzchać, powietrze jest rześkie i wilgotne, niebo ma odcień lawendy.

- Czuć już wiosnę - mówię. - Wisi w powietrzu... Lars-Göran patrzy w ziemię i milczy.

- Smutno ci? Kopie jakiś kamyk.

- No pewnie...Nie wiem, co powiedzieć, stoję przy nim i patrzę, jak kładzie torbę i palto na tylnym siedzeniu. Potem opiera się o otwarte drzwi.

-Poradzisz sobie ze wszystkim, Cecyljo? Zaproszenia i dobór hymnów, i cała reszta...

- Tak, tak, spokojnie. Przywykłam do organizowania różnych rzeczy. Poza tym mam na to przeszło tydzień.

- Może Yvonne mogłaby przyjechać, jeśli jej rodzice zajmą się dziećmi...

- Wszystko będzie dobrze. Przesuwa dłonią po włosach.

- A ja nawet nie zdążyłem... - mówi niewyraźnie.

Samochód Larsa-Görana skręca w Gamlarpsvägen. Jest zimno, krzyżuję ramiona na piersiach.

Zapłonęły latarnie, rzucają blade niebieskawe światło.

Odwracam się, żeby wrócić do domu, i widzę, że zapomnieliśmy zamknąć drzwi. Są półotwarte, do ogrodu przenika żółta poświata.Co to było? Cień w drzwiach?Ktoś tam jest. Albo coś.

Wrastam w alejkę, nieruchomieję. Bananowy Dom uśmiecha się zachęcająco swoim żółtym uśmiechem. Nagle owiewa mnie dobrze znany zapach. Potu i amoniaku. Z domieszką eteru. Lęk.

Pojawia się we mnie wspomnienie, pytanie bez kształtu i konturów. Nie wiem, co się stało ani co się stanie, wiem tylko, że przeszłość niepokoi mnie bardziej niż przyszłość. Ale najbardziej lękam się tego, co mnie czeka w domu rodziców.

Jaszczurki wróciły przed pojawieniem się światła.

Nie spałam od wielu godzin, próbowałam sobie przypomnieć, co się naprawdę stało. Zabłądziliśmy? Znaleźliśmy dziecko? Czy Butterfield rzeczywiście pieścił mnie słowami i szeptem? Wiatr zelżał, już nie potrząsał ścianami, tylko je delikatnie głaskał. Kamienie nie bębniły o dach, popiół nie grzechotał, szeptał, nucił, śpiewał.

Wróciło światło. Przezroczyta jaszczurka złapała muchę. A więc jaszczurki i muchy przeżyły.

Pierwszej nocy w Manili nie mogłam spać. Przyzwyczaiałam się do indyjskich jaszczurek, które szukały ciemności i cienia, żeby bezgłośnie robić swoje. Filipińskie jaszczurki były bezwstydne i hałaśliwe, wlażyły na ściany i połykały muchy z potrójnym cmoknięciem. Za każdym razem się wzdrygałam i szczelniej otulałam prześcieradłem, ale następnej nocy już do tego przywykłam. Cmokania jaszczurek towarzyszą życiu na Filipinach dzień i noc; nie ma na to rady. Cmok-cmok-cmok.

Pokój zaczynał się zmieniać, do środka wpadało światło. A może to tylko moje oczy przyzwyczaiały się do ciemności? Wypełzłam z posłania i wstałam. Dom się zakołysał. Zawrót głowy. Za długo leżałam.

Smugi porannego światła sączyły się przez szczeliny w deskach, a dom był drewniany, starej daty. Nie należał jednak do biedaków; duży wysoki pokój o spadzistym jak dach suficie wypełniały ciemne zarysy mebli. Okna odcinały się od szarości czarnymi plamami, przed opuszczeniem domu właściciele pozamykali okiennice. Dotknęłam stopą butelki coca-coli, podniosłam ją, ale nie śmiałam się napić, zostało jedynie kilka kropli. Powinnam poszukać jakiejś studni albo pompy. Czemu nie? Wokół panowała absolutna cisza, śladu wiatru, żadnego szumu deszczu ani popiołu. Podeszłam do drzwi i otworzyłam je.

W dzieciństwie podobały mi się barwne powiedzonka Złotego. Trafiały mi do wyobraźni.

„Nabij mnie na cholernie długi pal” - mówił, a ja widziałam go, jak siedzi okrakiem na gładkim i lśniącym mahoniowym palu.

„Trzeba się urodzić pod dobrą gwiazdą” - mówił, a ja zadzierałam głowę do góry i widziałam go wysoko na niebie, tuż pod uśmiechniętą, świecącą gwiazdą.

„Będzie, jak ty chcesz, kiedy w piekle spadnie śnieg” - mówił, a ja, rozczarowana, widziałam śnieg w piekle; śnieżynki syczały w płomieniach, a diabeł wyciągał swój spiczasty jęzor dla ochłody.

Piekielny śnieg. To były pierwsze słowa, które przysły mi do głowy. W piekle spadł śnieg.

Przystanąłam na najwyższym stopniu, gdzie popiołu było mniej, i patrzyłam na odmieniony świat. Szary. Popiół pokrywał miękkimi zaspami dom i ziemię, kamienie i drzewa. Pod pochyloną palmą kokosową zamiast samochodu zobaczyłam łagodnie zaokrąglony pagórek.

Niebo miało ten sam, spłowiały i nieokreślony kolor, jak nocą nad dużym miastem, jakby odbijało tysiące odległych świateł. Nadal widoczny księżyc przecinało kilka pasemek szybko sunących chmur. Niedługo się rozwidni. Byliśmy w wiosce lub w niedużym miasteczku. Równa szara płaszczyzna pomiędzy domami mogła stanowić główną ulicę. Parterowa chata naprzeciwko ledwie wystawała z popiołu, widziałam może pół metra ściany. Inne miały wysokie cementowe fundamenty, jak nasza, albo stały na palach; i te lepiej zdały egzamin. Ucierpiał tylko jeden dach i kiedy tak stałam, usiłując zrozumieć, co widzę, na innym, nieco dalej, popiół drgnął, zaczął się sypać i opadać: najpierw niemrawo i niemal bezgłośnie, po kilku sekundach błyskawicznie i hałaśliwie. Jakby dom nie wytrzymał moich spojrzeń. Dach runął, wraz z nim jedna ściana, wszystko zniknęło w chmurze pyłu. W chwilę później zaległa cisza. Usiadłam i objęłam kolana dłońmi. Popiół palił w uda, gorące powietrze paliło płuca. Niebo poczerwieniało.

Po obu stronach schodów rosnęło po jednym drzewie. Widziałam już takie drzewa, zastanawiałam się nad ich nazwą, ale sobie nie przypominałam, nie pamiętam do dzisiaj. Są bardzo piękne. Mają szare nagie pnie, wyglądają jak martwe, ale każdego ranka zakwitają na ich gałęziach duże różowe dzwonki, jak z wosku, które żyją tylko jeden dzień.

Tamtego poranka zobaczyłam pączki. Mimo wulkanicznego popiołu, mimo długotrwałych ciemności wypuściły pąki i rozkwitły. A kiedy słońce wzniosło się nad dachy domów, pierwszy kwiatek oderwał się od gałęzi i powoli wirując, usiadł mi na kolanie.

Gdyby tak można było wyciągnąć rękę w czasie...

Widzę, jak moja ręka, biała, upstrzona bladymi piegami, pokonuje minione miesiące i niemal dotyka Cecylii z bezimiennego miasteczka, która siedzi gorąca i sucha jak popiół tamtego pierwszego poranka.

Papierosy, myśli. Jeden sztach. Czy ja nie miałam całego kartonu w samochodzie?
Chcę ją potrząsnąć za ramię i szepnąć:

- Nie rób tego, Cecyljo! Jeszcze przez kilka godzin zostaw samochód w spokoju... Daj Butterfieldowi życie, a dziewczynce przyszłość, ocal przyjaźń z Rickym i własne iluzje. Zostaw samochód w spokoju!

Ale moja ręka tam nie sięga, Cecylia niczego nie zauważa, wstaje, przeciąga się, kwiatki zsuwają się z kolan. Schodzi po dwunastu stopniach i brodząc w popiele, rusza do samochodu. Cecylia! Ty idiotko!

Samochód skamieniał. Górną warstwę sypkiego popiołu łatwo dało się usunąć, ale pod spodem deszcz, popiół i brud zamieniły się w gruzelkowaty cement. Zdrapałam porowaty kawałek, żeby zlokalizować zamek. Okej, otworzy się. Jeśli zerwę tylko tyle cementu, żeby uchylić drzwi, wsunę się do środka i wezmę papierosy.

To była ciężka praca. Najpierw usuwałam popiół stopami. Przyniosło to mierny rezultat, więc uklęknęłam i zaczęłam ryc cement dłońmi. Pociłam się i klęłam, ale nie dałam za wygraną. Cholernie chciało mi się palić.

W końcu zrobiłam trochę miejsca dla drzwi. Z pewnym wysiłkiem może bym się precisnęła. Szpara miała około dziesięciu centymetrów. Mało, ale wystarczająco dużo, żeby mogła się przez nią wysunąć jego ręka. Ręka!

Gwałtownie się cofnęłam i usiadłam na tyłku, przerażona jak dziecko w domu strachów. Ręce zanurzyły się głęboko w popiół i jego żar spotęgował moją panikę. Pochrzakując, czym prędzej odpełzałam kilka metrów dalej i dopiero wtedy dotarło do mnie, jak się zachowuję. Z trudem przypominałam sobie, że jestem człowiekiem i że niektóre dźwięki tudzież ruchy mi nie przystoją. Mozolnie się podniosłam, równie mozolnie odwróciłam i popatrzyłam na to, co przed chwilą zobaczyłam.

Ręka. Z samochodu rzeczywiście wystawała ręka. Ciemnobrązowa i koścista, miała kolor i połysk palisandru. Drzwi powoli się przymknęły i ścisnęły ją.

Wczołgałam się pod stół i potrząsnęłam nimi.

-Ricky! Butterfield! Ktoś jest w samochodzie... Obudźcie się! Ktoś jest w samochodzie!

Ricky drgnął, usiadł, po czym bez słowa wygramolił się z posłania, chwycił butelkę coli, opróżnił ją jednym haustem i wstał.

-Ricky, do cholery! - Mój głos zabrzmiał piskliwie. - To była ostatnia butelka! Nie odpowiedział, nawet na mnie nie spojrzał, cisnął pustą butelką z taką siłą, że się odbiła od podłogi i wyturlała za drzwi. Za jego plecami opadła chmura różowych kwiatków. Usiadł. Miał zmierzwiłone włosy i ciężkie powieki. Popatrzyliśmy na siebie jak obcy sobie ludzie.

- Co jest? - zapytał sennie. - Stało się coś?

Następne godziny były chaotyczne. Butterfield i Ricky klęczeli przy samochodzie, żeby usunąć trochę więcej popiołu. Bez przerwy coś do siebie mówili, Ricky z podszytą niepokojem ostrością, Butterfield głucho i mamrotliwie; nic nie słyszałam. Ale usłyszałam dziewczynkę. Obudziła się z głębokim westchnieniem.

Leżała pod stołem, ze wzrokiem utkwionym tuż obok mojej twarzy, nie chciała na mnie patrzeć. Ciągle trzymała w objęciach na wpół zgniłą papaję, ledwie widziałam jej palce; tkwiły głęboko w brązowo-żółtym mięszu. Była brudna tak, jak mogą być brudni prawdziwi nędzarze. Wydają się zakurzeni, ich skórę, włosy i ubrania powleka jasnoszare sproszkowane ubóstwo. Zapamiętałam kilka tagalskich słów i fraz. Tylko tyle, żeby jak cekinami przyozdabiać nimi nudne rozmowy w Manili. Zazwyczaj wywoływały uśmiech i nawiązywało się coś w rodzaju kontaktu. Teraz postanowiłam wykorzystać tę wiedzę.

- Magandang umaga... - powiedziałam. - Dzień dobry. Nie zareagowała. Miała kamienną twarz i nieobecne spojrzenie. Na pewno jest głodna.

-Pagkain? Prutas? Jedzenie? Owoce? Poglaskałam ją po policzku, pomyślałam o wszach, świerzbie i pchłach i żeby zagłuszyć poczucie winy, musnęłam opuszkami palców bliznowatą skórę nad uchem. Jakbym dotykała lalki.

-Prutas? Nic. Mocno zaciskała szczęki. Nie zastanawiając się, przeszłam na angielski. Na Filipinach niemal wszyscy mówią po angielsku, nawet najbardziej obdarte dzieci ulicy.

-Hungry? Are you hungry? Do you want food? Wyraz jej oczu zmienił się, zadrgały powieki, spojrzała na mnie, ale nie zdobyła się na odpowiedź. Pochyliłam się i delikatnie wyjęłam papaję z jej lepkiej dłoni.

-Are you in pain? Does it hurt? Miała głos bardzo starego człowieka, cichy i chrapliwy.

Powiedziała tylko dwa słowa:

-Pain, drink.

Szukając czegoś do picia, znalazłam kuchnię. W głębi pokoju były cienkie masonitowe drzwi, których wcześniej nie zauważyłam. Otworzyłam je i zdębiałam. Wszędzie pełno półek, szafek, skrzynek, talerzy i salaterek. Zobaczyłam pół skrzynki ryżu i dwie konserwy; corned beef. Ale, co najważniejsze, była tam duża amerykańska lodówka z lat pięćdziesiątych i kran: niepozorny kranik nad okazałym zlewem.

Mój stosunek do Boga jest nieskomplikowany: nie wierzę w jego istnienie, dlatego ciągle z nim rozmawiam, zupełnie otwarcie, bez wstydu i zahamowań. Podchodząc do kranu, zdążyłam

odmówić „Ojciec nasz” i kiedy miałam odkręcić kurek, pomyślałam: Dobry, kochany Boże, spraw, żeby kran był w porządku. Ale nie był. Zacharczał, zasyczał i nic. Boga przy mnie nie było, nigdy go nie ma. Nie czułam się przesadnie zawiedziona, odmawiając modlitwę, wiedziałam, co będzie. Uchyliłam drzwi lodówki i natychmiast je zamknęłam. Cokolwiek zostawili w niej właściciele, kiedy opuszczali dom, zdążyło się popsuć i zgnić podczas długich ciemności.

Dziewczynka zajęczała. Wzięłam blaszany kubek, wsunęłam pod pachę konserwy i poszłam do niej. Miała wilgotne czoło, leżała z zamkniętymi oczami. Schowałam konserwy do apteczki i wygrzebałam aspirynę.

Ciągle nie mogłam jej dać nic do picia. Włożyłam tabletkę do ust, ugryzłam kawałek jabłka Ricky'ego - było soczyste i słodkie, nagle zdałam sobie sprawę, że ja też jestem spragniona - wypłułam białawy mus na opuszki palców i weszłam pod stół. Dziewczynka potulnie otworzyła buzię. Nie wiem, jak dużo przełknęła, w każdym razie po chwili rozchyliła zaciśniętą piąstkę w mojej dłoni i otworzyła oczy.

-Hej. Lepiej się czujesz? Zamrugnęła powiekami. Było to coś w rodzaju odpowiedzi.

-Jak masz na imię?

Spięła się, ale słowo uwięzło jej w krtani i nie chciało się wydostać. Dałam jej jabłko, natychmiast je ugryzła i długo rozkoszowała się sokiem.

-Dolly...Głos brzmiał jaśniej, niemal dziecięco.

-Dolly? Dolores? Gdzie cię boli? Skrzywiła się, jakby się miała rozplakać, opanowała się jednak i przesunęła dłonią po nogach. Ostrożnie podniosłam jej lewą nogę pod kolanem. Żadnej reakcji.

Potem podniosłam prawą.

Najbardziej przeraził mnie dźwięk. Przypominał wewnętrzny krzyk. Dolores zasysała powietrze, wciągała je z sykiem. Twarz jej pobladła, grymas obnażył zęby, kęs jabłka i dziąsła. Prawa stopa kołysała się pod nienaturalnym kątem, jak w komiksie. Gdzieś w środku miała złamane i zmiażdżone kości.

Popiół sięgał mi po kolana, był ciepły, ale już nie parzył. Szłam po śladach Ricky'ego i Butterfielda, przyciskając do piersi kokos.

-Ricky, musisz mi pomóc go rozłupać.

-Nie teraz, madame. Nie teraz. Najpierw musimy wyciągnąć tego człowieka z samochodu.

- Sorry, Ricky, ale to konieczne. Mała się obudziła. Musi się czegoś napić, a zostało nam tylko mleko kokosowe. Wypileś resztki coli!

- Nie teraz...

Wstał, odwrócił się do mnie plecami i mocno szarpnął drzwiami samochodu. Odchrząknęłam.

-Sorry, Ricky, musisz. Ona cierpi i jest spragniona. Butterfield machnął ręką, jakby chciał mnie przepędzić.

-Zostaw go, teraz z nim nie porozmawiasz... Ilekroć znajdę się w sytuacji przymusowej, mój angielski jest wręcz perfekcyjny; piskliwy oksfordzki.

-Muszisz. Przykro mi, Ricky, ale to jest teraz ważniejsze... Musisz! Obrzucił mnie przelotnym spojrzeniem i rytmicznie szarpał drzwiami.

-Zosima myśli, że nie żyję - powiedział. - Dzieciaki myślą, że nie mają już ojca, może przestaną chodzić do szkoły, może są ranne. Musimy wyjąć tego człowieka i uruchomić samochód... Wtedy otworzę kokos, madame. Nie teraz. Później. W tym momencie popiół puścił i drzwi rozwarły się na oścież. Wypadła górna część ciała; twarz z czarną dziurą zamiast ust zwróciła się ku niebu. Wypuściłam kokos.

Znowu Ricky i ja wlekliśmy człowieka. Ale ten był cięższy, musieliśmy go chwycić za ramiona obiema rękami i mocno się zaprzeć w popiele, żeby go w ogóle ruszyć z miejsca.

Dociągnęliśmy bezwładne ciało do schodów i spojrzeliśmy na siebie apatycznie. Jak je teraz wniesiemy?

-Żyje? - spytał Ricky, ocierając pot z czoła.

-Jest półżywy - odparłam, ocierając pot z czoła. - Tak czy inaczej, musimy go wtaszczyć do środka...

Opadliśmy na czworaki i wciągaliśmy go stopień po stopniu. Kościste kolana nieznajomego uderzały głucho i rytmicznie o drewno, z każdym uderzeniem pojękiwał. Poza tym dał się słyszeć jedynie głośny oddech Ricky'ego. Nie odzywaliśmy się do siebie, dopóki nie położyliśmy go na brzuchu pośrodku pokoju. Oparłam się o stół, zaczerpnęłam tchu i rozcierałam obolałe kolana.

-Odwróćcie go - powiedział Butterfield.

Stał w drzwiach jak cień, z kokosem w objęciach. Udało mu się zrobić w nim dziurę. Na samą myśl, że się wkrótce napiję, poczułam rozkoszne ssanie w żołądku.

Ricky wsunął stopę pod pierś nieznajomego i przewrócił go na plecy. Ręka pacnęła o podłogę. To go chyba otrzeźwiło. Zamrugał powiekami, patrzył na nas przez sekundę, po czym wyrócił białkami i stracił przytomność.

- Jak myślicie, co to za jeden? - spytał Ricky.

Jak opisać NogNoga, żeby Marita mogła go zobaczyć?

Najpierw zapamiętałam nadgarstki. Miał smukłe ramiona i wyjątkowo długie nadgarstki. A może powinnam zacząć od żyłastej szyi i wydatnej grdyki, która była w nieustannym ruchu, kiedy milczał i kiedy mówił, kiedy krzyczał i kiedy szlochał? Albo od ogolonej na zero głowy, gdzie po włosach został tylko cień? Nie. Zacznę od tego, co Marita zna, co obie znamy. Od okrucieństwa rozpacz. NogNog nosił w sobie okrucieństwo zrodzone z wielkiej rozpacz.

Chłopiec czy mężczyzna? Nie potrafiłam tego rozstrzygnąć. Był wysoki, wyższy od większości Filipińczyków, ale miał chłopięco chude ręce i nogi. Jego ciemna karnacja w niczym nie przypominała złotawej cery Ricky'ego i Dolores.

Uklękałam przy nim i przesunęłam dłonią po t-shircie, w maskujących kolorach, i podartych szortach. Na policzku poczułam jego oddech: szybki, ciepły, pachnący. Miał poranione wargi, poza tym nie odniósł chyba żadnych obrażeń. Ale kiedy go obmacywałam, jęczał z bólu. Moje dłonie wydały mi się nagle chłodne.

- Ależ on jest rozpalony - powiedziałam. - Na pewno ma gorączkę...

- Mmmm - potwierdził Ricky. - Poczułem. To denga. Moje dzieciaki miały to w zeszłym roku, też były półżywe i obolałe... Spojrzałam na niego.

- I jak je leczycie? Wzruszył ramionami.

- Wcale ich nie leczylimy. Nie było mnie na to stać. Ale się z tego wylizali, cała piątka. To nic groźnego, ma się tylko cholernie wysoką gorączkę i wszystko boli. Przechodzi po kilku dniach, potem jakiś czas jest dobrze i znowu wraca... Ale nawrót jest łagodniejszy. Butterfield podszedł bliżej.

- Denga. Od tego można umrzeć. Pewien gość z więzienia zmarł na dengę rok temu. Zaraziłem się od niego, przeżyłem koszmar, jeden z najgorszych w moim życiu...

- To co robimy? - spytałam.

- Niech się napije - odparł Butterfield, podsuwając orzech.

Nie cierpię mleka kokosowego, na samą myśl o tłustej mazi, jaką po sobie zostawia na podniebieniu, robi mi się niedobrze. Ale teraz patrzyłam zachłannie, jak spływa z kokosu do blaszanego kubka, i wmawiałam sobie, że chorzy mają pierwszeństwo. Podniosłam nieznajomemu głowę i przytknęłam kubek do ust. Pierwsze krople wypłynęły kącikiem, ale wkrótce zaczął pić równie łapczywie jak Dolly.

- Butterfield - powiedziałam - możesz chyba dać trochę mleka dziewczynce...

Butterfield wpełzł pod stół i wsunął w otwór orzecha zrolowany kawałek papieru.

Dolores otworzyła oczy, zobaczyła go i krzyknęła Butterfield dostrzegł przerażenie na jej twarzy, wahał się przez sekundę, po czym położył kokos na podłodze, zawołał Ricky'ego i wyszedł.

Zbiegam po brązowych schodach, jestem zadowolona, niedzielna kłótnia rodziców przynajmniej raz zakończyła się śmiechem.

-Chcesz gruszki na deser? - po długim milczeniu spytała mama, stojąc przy kuchence.

- Tak - odburknął tata i zaszeleścił gazetą.

- To zejdź do piwnicy i przynieś...

Wtedy Lars-Góran zaczął się śmiać; najpierw cichutko zachichotał, potem, kiedy z miny ojca wywnioskował że można, roześmiał się na cały głos.

-Ładne rzeczy - powiedział tata i parsknął śmiechem.

- W życiu nie słyszałem czegoś równie bezczelnego...Mama przyłączyła się do nich; niepewnie, z wahaniem, w jej śmiechu pobrzmiwały wszystkie słowa, które padły tego przedpołudnia na temat winy, łajdaczenia się i niewierności. Po chwili rozbawiła ją jej mimowolna bezczelność i kuchnię zalały kaskady perlстого, promiennego śmiechu. Podniosłam głowę znad książki i zobaczyłam, że wszystko lśni.

Tata otarł łzę z kącika oka.

- Cecyljo! - powiedział. - Marsz do piwnicy po słoik gruszek. Właśnie dlatego, że się śmiali i zadali sobie tyle trudu, by udawać szczęśliwą rodzinę, radośnie zbiegałam po schodach. Cecylia jest szczęśliwą dziewczynką: ma siedem lat i czyta książki, mieszka w promiennej kuchni i jej rodzina się śmieje.

Jest listopad, już się ściemnia, mimo że to środek dnia. Ciężkie drzwi do piwnicy skrzypią. Żeby się otworzyły, Cecylia musi na nie naprzeć całym ciałem. Stoi na najwyższym stopniu i sięga do dużego czarnego kontaktu. Trudno go przekręcić, ale za to światło nie gaśnie po trzech minutach, jak na klatce.

Tup-tup-tup. Odświeżne buciki Cecylii dudnią na schodach, radość ją opuściła, została na podwórku, ale jak tylko wyjdzie z piwnicy, znów wypełni wszystkie zakamarki jej ciała.

Tup-tup-tup. Cecylia się spieszy. W prawym ręku trzyma kluczyk do kłódki. Kłódka jest duża i ciężka, tata przyniósł ją z budowy, ale ona wie, jak się ją otwiera, bo często przychodzi tutaj z mamą.

W piwnicy zawsze ładnie pachnie; drewnem, ziemią i zimowymi jabłkami. Ale dzisiaj w powietrzu wisi coś jeszcze, może dlatego, że Cecylia jest sama, że pierwszy raz sama ma coś

przynieść z piwnicy. To ostra woń, woń biesiadna, tak pachną panowie, którzy grają w karty i hałaśliwie się śmieją...

Cecylia zdążyła wziąć duży słoik, kiedy gaśnie światło. Nie upuszcza go, tylko mocno przyciska do piersi i mruga oczami. Czerń ma dużo odcieni. Boi się, ale da sobie radę, promienna kuchnia i śmiech są bezcenne. Jedną rękę wyciąga przed siebie, w drugiej trzyma słoik. Z tym też sobie poradzi. Cecylia zniesie wszystko: ciemności, słoiki gruszek i sekrety.

Ostry zapach staje się coraz intensywniejszy, coraz wyraźniej słychać odgłos kroków. Cecylia zastyga w bezruchu, z wyciągniętą ręką. No i staje się to, co nieuniknione: przed nią pojawia się duch, połyskują w ciemnościach żółte wyszczerzone zęby.

Cecylia krzyczy i upuszcza słoik, krzyczy i sika na odłamki szkła i gruszki. Wie, że jej się za to dostanie, ale jak miałyby temu zapobiec?

Krzyczy, kiedy duch znika, krzyczy, kiedy zapala się światło, krzyczy, kiedy zdrowy rozsądek nakazuje jej zdjąć z półki drugi słoik, i krzyczy, kiedy biegnie piwnicznym korytarzem. Nie przekręca kontaktu i nie zamyka za sobą drzwi.

Radość nie czeka na nią na podwórku. Zrobiło się jeszcze ciemniej, las pod Eksjöberget zamienił się w czarną plamę.

Na brązowej klatce schodowej stoi pan Olsson. Opiera się o ścianę, w rękę trzyma coś podłużnego. To latarka. Cecylię po raz ostatni owiewa ostra woń, omija Olssona i człapie po schodach. Olsson coś do niej mówi. Cecylia zatrzymuje się w pół kroku.

-Co?

-Nie znasz się na żartach, głupolu? - bełkocze Olsson, po czym odwraca się do niej plecami, popycha drzwi i znika. „Głupolu?” Już nie krzyczałam. Cicho weszłam po schodach, cicho otworzyłam drzwi do mieszkania, nie mogli mnie zobaczyć z kuchni, postawiłam słoik na podłodze i ściągnęłam mokre majtki. Drżała mi ręka, zamiast ciała miałam galaretę, wysunęłam szufladę komody, wyjęłam czyste majtki, włożyłam, a te zasikane schowałam za kaloryferem.

Potem podeszłam do drzwi wyjściowych, trzasnęłam nimi i zuchowato obwieściłam:

-Gruszki, zgodnie z zamówieniem! Ale oni już się nie śmiali.

Silnik dławił się i kasłał, Ricky raz po raz przekręcał kluczyk w stacyjce i wciskał pedał gazu. Nie chciał przyjąć do wiadomości oczywistej prawdy, ciągle wierzył, że w jakiś cudowny sposób dotrzemy do Manili, że uwolnimy koła z zastygłego popiołu i znajdziemy przejezdne drogi. Butterfield i ja próbowaliśmy z nim rozmawiać, ale nie chciał nas słuchać, więc przestaliśmy się nim przejmować.

Nieznajomy leżał pod ścianą, plecami do nas; trawiła go gorączka. Dolly spała pod stołem, oddychała spokojnie, z ręką nad głową; chyba nic jej nie bolało.

Krążyłam chaotycznie po pokoju, usiłując wyrobić sobie jakieś zdanie o właścicielach tego domu. Może mieszkał tu lekarz albo adwokat? Był tu regał z książkami i mały telewizor, który nie działał, skrzynia przykryta błyszczącym obrusem z długimi frędzlami i nieduża twarda kanapa z czerwonym szorstkim obiciem.

Może powinnam po nas posprzątać? Jeśli stanie się cud i Ricky uruchomi samochód, na nic nie będzie czasu. A może napisać parę słów do właścicieli? Podziękować za wszystko, wyjaśnić, że panika zmusiła nas do wtargnięcia do ich domu, że nic nie ukradliśmy, jedynie z paru rzeczy skorzystaliśmy... Przypomniała mi się bajka o Złotowłosej i trzech niedźwiadkach i uśmiechnęłam się. Kto spał pod moim stołem?

Ozdoby ciągle leżały na podłodze. Podniosłam je i ustawiłam na stole. Plastikowa Madonna, drewniany świątek, zdjęcia poważnego chłopca. Otrzymał dyplom; na jednej z fotografii był w płaskiej czapce amerykańskiego college'u i czarnej pelerynie. Nareszcie miałam o czym rozmawiać.

- Amerykańskie dyplomy, amerykańskie piosenki, amerykańskie marzenia... Dlaczego ludzie w tym kraju nie cenią tego, co mają? Narodowościowo rzecz biorąc, mniej jest na Filipinach wiary w siebie niż w Szwecji. A to coś mówi... Butterfield siedział pod ścianą i palił. Omiótł mnie spojrzeniem. Milczał.

- Nawet nie mają swoich imion - kontynuowałam. - Tylko hiszpańskie i amerykańskie. A podobno nienawidzą Amerykanów... Poznałam kiedyś dziennikarza w Manili, który mi powiedział, że typowy Filipińczyk to taki gość, co chodzi przed ambasadą amerykańską z plakatem: Yankee go borne! But take me withyou!

Butterfield podniósł wzrok.

- Nie możesz być przez chwilę cicho? Nie mogłam. Stałam przed nim, zmieszana.

- Znalazłeś papierosy?

- Tak. Były w schowku koło deski rozdzielczej. Prawie cały karton... Zapomniałam, że chciało mi się palić, teraz ochota na papierosa wróciła. Usiadłam obok Butterfielda i oparłam głowę o ścianę. Rozsiadanie się na krześle nie wchodziło w grę; uważałam to za swoisty nietakt.

- Mała śpi?

Zaciągnęłam się głęboko. Poczułam w żyłach przyjemny szmerek zaspokojenia.

- Mmm. Ma na imię Dolly. Przypuszczalnie Dolores, ale nikt tu nie używa swoich prawdziwych imion...

- Mogłaś się z nią dogadać?

- Tak sobie. Ona rozumie po angielsku, ale nie wiem, czy mówi. Boi się ciebie, pomyślałam. Dlaczego? Butterfield wskazał gestem na nieznajomego pod ścianą.

-Jak myślisz, co to za typek? Wzruszyłam ramionami.

-Nie mam pojęcia. Chłop albo mieszkaniec jakiejś wioski... Chciał się schronić przed popiołem, uciekał, przypadkiem trafił na nasz samochód... tak jak my trafiliśmy na ten dom...

Butterfield wydmuchał chmurę dymu i milczał. Z zewnątrz dochodziły porykiwania silnika.

Kiwnęłam głową w stronę drzwi.

-Sądziś, że Ricky uruchomi samochód?

-Nie ma szans. Nie w ten sposób. Nie warto mu tego mówić, bo jest w hysterii... Trzeba poczekać, aż się trochę uspokoi. Butterfield oparł się o podłogę i wstał.

-Rozejrzemy się za wodą? Wyciągnął do mnie rękę i spojrzał mi prosto w oczy. Nagle uświadomiłam sobie, że jestem nie umalowana, brudna, wymięta i cuchnąca. Odpychająca. Wręcz odrażająca. Mimo to chwyciłam jego dłoń i powiedziałam: „tak”.

Nic mnie nie czeka w domu rodziców.

Powtarzam to sobie raz po raz, dźwięcznym i pewnym głosem, a mimo to nie jestem w stanie się ruszyć, boję się wejść. Marznę, mam na sobie tylko cienki sweterek, wiosna co prawda już w drodze, ale ciepło nie jest. Nic mnie nie czeka w domu rodziców. Jeśli zacznę stawiać jedną stopę przed drugą, szybko się rozgrzeję. Mogę się napić kawy, zapalić mamie świeczkę, mogę sporządzić listy wszystkich spraw do załatwienia, mogę odbyć ważne rozmowy telefoniczne. Ba, nawet więcej: powinnam, muszę.

Ale nie jestem w stanie. Stopy zapuściły korzenie w żwir alejki, jeśli którąś podniosę, rozerwę się i zacznę krwawić. Będę drzewem, chcę tutaj stać w nieskończoność, wyciągać gałęzie ku niebu i połyskiwać czarnymi owocami i lodowato białymi kroplami, jak inne drzewa.

Nic mnie nie czeka w domu rodziców. No, postawże jedną stopę przed drugą!

Nie. Coś mnie czeka w domu rodziców.

-Cecylia! Dlaczego tu stoisz? Głos Gunilli i chrzęst roweru na żwirze.

-Źle się czujesz? Moje korzenie usychają, mogę się odwrócić.

-A, cześć, to ty...Opiera rower o biodro i szeleści czymś, co leży na bagażniku.

-Wpadłam tylko na chwilę, z kwiatami. Na przeprosiny. Naprawdę nie miałam zamiaru się narzucać.

No i chciałam ci złożyć kondolencje. Dosyć długo opiekowałam się Dagny...

W odpowiedzi siąkam nosem. Wyciąga w moją stronę białą papierową tutkę, po sekundzie dociera do mnie, że chce mi ją dać.

-A - mówię. - Dziękuję. Nie musiałaś...Stoi przez chwilę, z białą rękawiczką w dłoni, nie odzywa się i nie patrzy na mnie. Znów jestem sobą: mam pewien plan. Głos mnie słucha, myślę jasno.

-To bardzo miłe, Gunilla. Dziękuję! Wkłada rękawiczkę.

-My zwykle tego nie... Ale od dosyć dawna opiekowałam się Dagny. Na długo przed twoim powrotem.

A kiedy przepadłaś na Filipinach, często rozmawialiśmy... Bardzo się o ciebie martwiła.

Błyskawica irytacji przeszywa mi mózg. Ach, to tak!

-Wiem. - Kłamię ciepłym głosem. - Wspominała, że ogromnie jej wtedy pomogłaś. Może napiłabyś się kawy?

-No, nie wiem. Chyba wolelibyście być sami...

-Lars-Góran wyjechał do Sztokholmu. Właśnie go odprowadzałam do samochodu, dlatego tu jestem... W towarzystwie będzie mi przyjemniej. Proszę...Obrzuca mnie przelotnym spojrzeniem.

-No, jeśli tak...

Uśmiecham się triumfalnie do Bananowego Domu. Teraz spróbuj mi cokolwiek zrobić!

Gunilla zachowuje się tak, jakby nigdy tu nie była, stoi niepewnie koło garderoby.

- Wchodź - mówię. - Napalimy w kominku... Zmuszam ją, żeby usiadła w fotelu przed paleniskiem.

- Kawa za chwilę będzie gotowa. Zaraz wracam... Wpadam do kuchni, wrzucam kilka zamrożonych

drożdżówek do mikrofalówki, nastawiam wodę, potem zgarniam gazety, biorę trochę owoców i kilka paczek blendów,(blend - marka szwedzkich papierosów (przyp. tłum.)zerkam na timer, upłynęło zaledwie osiem sekund, mam jeszcze przeszło minutę. To wystarczy. Wbiegam po schodach, ciskam gazety, owoce i papierosy na podłogę w łazience, pędzę do swojego pokoju, ściągam z łóżka materac z pościelą, wlekę to przez hall i wrzucam do łazienki, gaszę światło, zamykam drzwi, oddycham z ulgą. Mikrofalówka jeszcze się nie odezwała, nie minęła nawet minuta. Mam czas, żeby pozapalać wszystkie światła na piętrze.

Woda na kawę nie zaczęła szumieć, kiedy znów jestem w kuchni. Drożdżówki już się podgrzały. Ładnie wszystko ustawiam na tacy i wkładam białe goździki Gunilli do wazonu. Nie słyszę, że

przez cały czas klepię tę moją wyliczankę: „Butterfield i NogNog, Ricky i Dolores, Butterfield i NogNog...”.

-Mogę w czymś pomóc? Gunilla staje obok mnie. Podnoszę wzrok, uśmiecham się, prawie ją lubię.

-Nie, nie trzeba, kawa będzie za moment.

- Co powiedziałaś?

- Że kawa będzie za moment.

- Nie, przedtem. Mówiłaś coś o Butterfieldzie i kimś jeszcze...Wyjmuję filtr z dzbanka i odwracam się do niej plecami.

- NogNog. To ktoś z Filipin, o kim myślałam...

- Dziwne imię.

-To właściwie nie jest imię, tylko przydomek. Albo przezwisko. Wszyscy na Filipinach mają dodatkowe imiona...

-A co to znaczy?

- NogNog? - Udaję, że się zastanawiam. - Chyba „czarny”. Albo „ciemny”. Dokładnie nie wiem.

No, kawa gotowa. A wiesz, co znaczy „Gunilla”?

- Do niczego w życiu nie doszłam - mówi Gunilla. - Teraz tego żałuję, ale już za późno...

Dmucham na kawę i obrzucam wzrokiem zdjęcie mamy, które stoi na gzymsie kominka.

- Mama powtarzała, że nigdy nie jest za późno...

- No tak, ale ona była wyjątkowa...

- Wszyscy jesteśmy na swój sposób wyjątkowi. Wzdycha.

-Ale nie ja. Ja jestem zwyczajna. Dwoje dzieci, chłopiec i dziewczynka, mąż, który pracuje w fabryce mebli, mały domek i duży samochód, dom letniskowy w Hasterumie. Mam wszystko, czego chciałam, ale teraz już nie chcę... Patrzę na nią i marszczę czoło. Niepotrzebne mi twoje zwierzenia, ani myślę się rewanżować. Ale ona niczego nie zauważa, patrzy w ogień i monotonicznie mówi dalej:

-Z wyjątkiem dzieci, to najlepsze, co mam. Niedługo córka zostanie matką, bardzo się cieszę... Ale poza tym wszystko jest beznadziejne. Człowiek żyje, rodzi dzieci i umiera, żeby te dzieci mogły żyć, mieć dzieci i umrzeć., Po co?

Wstaję i zapalam świeczkę przy fotografii mamy. Milczę.

-Są takie dwa słowa, o których czasami myślę. Usłyszałam je w radiu. „Morze ludzi”. Morze, w którym tonę. Morze ludzi. Nie ma we mnie nic nadzwyczajnego, jestem tylko kroplą w tym morzu. Nigdy nie byłam dalej niż na Wyspach Kanaryjskich, zawsze będę pomocą domową.

- Patrzy na mnie. - Czemu nic nie mówisz? Czemu ty nigdy nic nie mówisz...

Przyglądam się swoim dłoniom; jedna na drugiej, rozczapierzone palce.

-Ty masz wszystko. Mnóstwo widziałaś, tyle przeżyłaś. Dlaczego gardzisz takimi jak ja?

- Nie gardzę tobą, Gunilla - mówię ochryple.

- Gardzisz, gardzisz.

Patrzę jej prosto w oczy. Najwyższy czas powiedzieć prawdę.

-Ja tobą nie gardzę, ja się ciebie boję.

Wywiązałam się ze swoich obowiązków wobec Ulfa i działu zagranicznego. Podjęliśmy decyzję o rozwodzie, Sophie pojechała do Szwecji, do liceum w Sigtunie, zostawiając po sobie szarą pustkę. Zaczęłam się pakować, kiedy przyszła wiadomość ze Sztokholmu o nagłej wizycie ministra do spraw pomocy krajom rozwijającym się. Polecono mi zorganizować kolację dla szwedzkich gości i indyjskich adresatów pomocy. Wypakowałam sukienkę z surowego jedwabiu, dopilnowałam, żeby ją uprasowano, ustaliłam menu, napisałam zaproszenia i po raz ostatni zmusiłam służbę do wniesienia donic z kwitnącymi bugenwillami do białego salonu. Ulf stał przy kominku, z drinkiem w ręku, i patrzył, jak dyryguję ludźmi. W jego twarzy było coś nowego, jakiś obcy grymas wokół ust.

-Że też ci się chce - powiedział, podnosząc kieliszek.

- Nie rozumiem. Nie zareagowałam, nigdy przedtem nie kłóciliśmy się o takie rzeczy, teraz było za późno, żeby cokolwiek zaczynać.

Ale on nie dawał za wygraną.

-To nie jest jakaś szczególna kolacja. Nie musimy robić nic ponad to, co konieczne. Kwiaty nie są konieczne... Popatrzyłam na niego. Może był na lekkiej bani. Nigdy nie widziałam Ulfa pijanego.

-Tak czy inaczej, jest w randze ministra.

-Owszem, do spraw pomocy krajom rozwijającym się. Pani minister świetnie wie, jaką ma rangę. Polityczny kopniak w dół. Powinnaś o tym wiedzieć, jesteś przecież spokrewniona z socjałami...

-Nie bądź wulgarny. Postawił kieliszek na gzymsie kominka; służba właśnie wychodziła.

-Jestem wulgarny... Jasne. Zawsze tak uważałaś. Autentycznie się zdziwiłam. Ja? Ja, dźwigająca przez

całe nasze małżeństwo plecak wyładowany kompleksami klasowymi, miałabym uważać, że Ulf jest wulgarny?

-Naprawdę?

-Myślisz, że tego nie widziałem? Tak to jest z wami proletariuszami... Gardzicie takimi jak my.

Mówił poważnie. Najpierw byłam zaskoczona i zaciekawiona, w sekundę później - żądna zemsty i triumfująca. Miał rację! Rzeczywiście gardziłam nim przez te wszystkie lata; po prostu tego nie dostrzegałam. Gardziłam nim za jego pogardę, pod gładką powierzchnią wyczuwałam pulsującą wulgarność. Roześmiałam się.

-Aha. Mówisz, że jestem proletariuszką, powinien to usłyszeć twój teść...

Nabrał powietrza, był kompletnie rozkojarzony, nigdy dotąd go takim nie widziałam.

- Twój ojciec był najgorszym proletariuszem, jakiego w życiu spotkałem. Chodził jak proletariusz, myślał jak proletariusz, mówił jak proletariusz. To niczego nie zmienia, że miał forsy jak lodu...

- Ojoj, co za szczęście, że przynajmniej ty jesteś z dziada pradziada reprezentantem duchowej szlachty, czy jak to się tam nazywa.

-Droga Cecylio, nie wyskakuj z insynuacjami o moim rzekomym samozadowoleniu. Moim i mojej rodziny. Jeśli ktoś tu reprezentuje szwedzkie samozadowolenie, to z pewnością ty i twoi najbliżsi. Twój tata, który uważał, że może bekać przy stole tylko dlatego, że dorobił się fortuny własnymi rękami. Twoja mama, która ze śmiertelną powagą twierdzi, że wszyscy biedni mają moralne przywileje, co daje im przewagę nad tymi, którzy zarabiają. A twój brat sądzi, że socjaliści górują moralnie nad całą resztą. Czasami wydaje mi się, że Lars-Góran myli najwyższe władze partii socjaldemokratycznej z Watykanem. To tam zapadają decyzje o tym, co słuszne, a co nie, to Kościół i duchowieństwo społeczeństwa przemysłowego... Poza tym to bystry sukinsyn. Czy może być coś gorszego od bystrych socjałów?

Przesunął dłonią po twarzy, wyraźnie udęczonej własną szczerością; nie mógł się jednak powstrzymać. Z uśmiechem zrobiłam sobie drinka. Bawiło mnie, że jest roztrzęsiony i powodują nim emocje, a ja zachowuję chłodny spokój i wyniosłość. Pomyśleć, że trzeba było wystąpić o rozwód, żebyśmy się znaleźli w takiej sytuacji.

-Czyżby? A czy przypadkiem nie jest tak, że ty i tobie podobni troszkę się nas boicie?

-Boimy się? Niby dlaczego?

-Boicie się naszej siły. Podejrzewacie, że naprawdę mamy moralne przywileje. Sądzicie, że my wiemy coś, czego wy nie wiecie. Rzeczywiście wiemy. Na zdrowie! Podniosłam kieliszek, Ulf poskromił swoje odruchy i uparcie trzymał drinka na wysokości piersi. Staliśmy kilka metrów od siebie.

-Ach, tak. A cóż to takiego wiecie, czego my nie wiemy? Uśmiechnęłam się, odwróciłam do niego plecami i poszłam przywitać pierwszych gości. Obcasy uderzały o kamienną posadzkę. W ogóle nie pomyślałam o absurdalności mojego rozumowania: że ja, Cecylia Lind, w sukni z surowego

jedwabiu i butach z wężowej skóry, mówię o sobie jak o kimś biednym. Ale przecież byłam biedna. Przecież jestem biedna.

- Boisz się mnie? - mówi Gunilla i odchyła się do tyłu, trzymając filiżankę kawy opuszkami palców.

- Ha. Ty się mnie boisz? To śmieszne. Ty, z twoimi eleganckimi ciuchami i eleganckimi znajomymi, z wytwornymi ruchami i przechadzkami...

-Wiem, że to się wydaje śmieszne. Ale taka jest prawda...

-A co ja mogłabym ci zrobić?

-Nie wiem. Mówić różne rzeczy. Wydać mnie. Jak w dzieciństwie. Wypija łyk kawy.

-Ty też byś mogła... Nie pamiętasz, jak rozpowiadałyście z Maritą, że jestem obrzydliwa, bo mam zajady? Zdumiona, podnoszę wzrok.

- Naprawdę? Nie pamiętam.

- Na pewno pamiętasz. Nazywałyście to „świńską zarazą”. „Nie dotykajcie jej, bo dostaniecie świńskiej zarazy!” W szóstej klasie byłyście okropne, ty się akurat wprowadziłaś do tego domu i zadzierałaś nosa...

Stawiam filiżankę kawy na stole między nami. Nie powinnam była jej zapraszać, powinnam zostać w ogrodzie i przegonić ją szumem moich gałęzi.

Wypija kolejny łyk.

-Chociaż to oczywiste, że jak się ma taką koleżankę jak Marita, to trudno się nie bać. Czasami była dla ciebie ostra. Jak wtedy, w czwartej klasie...Ta kobieta jest szalona. Nie wiem, o czym mówi.

- Co masz na myśli?

- No, kiedy się zsikałaś na wycieczce. Podjudziła wszystkich, żeby cię wyzywali od szczyła... W autokarze. Nigdy tego nie zapomnę. Miałaś bordowe dzinsy z podwiniętymi nogawkami i jakąś bluzkę z kory. Byłaś mokra aż do kolan, stałaś i gapiałaś się, ani drgnęłaś, i wtedy Marita krzyknęła: „Znowu to zrobiła, ona bez przerwy sika w gacie, to szczył!”. Potem zachorowałaś, długo cię nie było.

Już pamiętam. W czwartej klasie dostałam zapalenia wyrostka, wiem, że pojękiwałam i miałam operację, pamiętam zapach eteru i zawrót głowy, zanim straciłam świadomość. Ale za nic nie mogłam sobie przypomnieć bólu, nie wiem, czy rzeczywiście byłam chora, czy tylko testowałam taką ewentualność. Ale wiem, że ominęły mnie wycieczki do Granny i Visingsó. Ogromnie byłam rozczarowana.

- Źle pamiętasz, Gunilla. Nie było mnie na tej wycieczce. Bardzo żałowałam, mama zrobiła mi naleśniki na drogę, ale rozbolał mnie brzuch i nie mogłam pojechać... Kręci głową.

- Byłaś. Dobrze pamiętam. Patrzymy sobie przez chwilę w oczy. Ja pierwsza odwracam wzrok.

- Hm. Nie wiem. Wszystko jest takie rozmazane... Wzdycha.

- Tak. Poza tym nie wiadomo, przez co Marita przechodziła. Może nie było jej łatwo. Zdaje się, że jej ojciec nieźle popijał... Kiwam głową, ale nie myślę o Olssonie. Widzę jego żonę; stoi w kuchni, z woskowanym papierem w ręku. Kupiła u rzeźnika surowy boczek, chwytając palcami jeden plaster, trzyma na wysokości twarzy, uważnie mu się przygląda, odchyła głowę i otwiera usta. Różowe mięso powoli znika, wygląda to tak, jakby połykała żywe stworzenie. Widząc mój wyraz twarzy, śmieje się jak jaszczurka. „Surowy boczek jest smaczny, nie wiesz o tym, Cecyljo?” Marita też się śmieje, ale jest blada i ma dziwnie błyszczące oczy. Dlaczego zawsze sprawia takie wrażenie, jakby miała gorączkę?

- Na pewno masz dużo spraw na głowie - mówi Gunilla. - Teraz, po śmierci mamy i w ogóle...

- Patrzy na fotografię na gzymsie kominka. - Lubiłam Dagny. Chciałabym mieć taką mamę, taką, która niczego się nie boi... Moja ledwie miała odwagę wyjść do sklepu. A twoja siedziała w radzie gminy i przewodniczyła, nie dała sobie w kaszę dmuchać. To była dobra kobieta. Idę za jej spojrzeniem. Tak. To była dobra kobieta. Na swój sposób.

Gunilla stawia filiżankę na stole i szykuje się do wyjścia. Napinam wszystkie mięśnie; trzeba to szybko załatwić. Wstaję i gaszę świeczkę przy fotografii mamy.

- Będziesz na pogrzebie? - pytam, kiedy stoimy w hallu.

- Może. Zwykle nie chodzimy na pogrzeby naszych podopiecznych, ale w tym wypadku jest trochę inaczej... A jaki to będzie dzień?

- Sobota, w przyszłym tygodniu. Będzie mi miło, jeśli przyjdiesz. Potraktuj to jako zaproszenie.

Patrzy na mnie z lekkim uśmiechem.

- Zobaczymy. To zależy... - Wkłada rękawiczkę.

- Czy kiedyś opowiesz o tym, co się stało z Butterfieldem Berglundem?

Mogłabym obstawać przy tym, że już powiedziałam. Każda gazeta zamieściła oficjalną wersję. Nie ma jednak sensu dłużej kłamać.

- Nie - mówię. - Nigdy o tym nie opowiem.

Przekręcam zamek, ledwie zdążyła zamknąć za sobą drzwi, czterema susami pokonuję schody, wpadam do łazienki, przekręcam jeszcze jeden zamek i oddycham z ulgą.

Nic mi nie grozi. Jestem bezpieczna. W tym pomieszczeniu bez okien nie dopadną mnie. Zostanę tutaj na noc. Mam wszystko, czego mi trzeba: wodę do picia, owoce do jedzenia, gazety do

czytania, papierosy do palenia i materac do spania. Starannie ścielę sobie na podłodze. Głowa musi być pod umywalką. Znakomicie. Tak jest bezpieczniej. Kładę się i lustruję łazienkę. Jest coś przyjemnego w białych kafelkach i białym oświetleniu. Twardo tu, czysto i nieprzenikalnie. Jakbym przymarzła do dna oceanu; nie ma nic bezpieczniejszego.

Najpierw pojawia się mama. Wbiega i zbiega po schodach, coś papła, sprowokowany Złoty gniewnie jej odburkuje z sypialni. Na parterze śmieje się Ricky, wtóruje mu Butterfield. Chyba nie słyszą NogNoga, który głośno krzyczy w ogrodzie. Ktoś skrada się na bosaka w hallu. To Dolores. Skrobie twardymi spracowanymi rączkami w drzwi łazienki. Wstrzymuję oddech, żeby się nie zorientowała, że tu jestem.

Telefon dzwoni bez przerwy. To Marita, nic mnie to jednak nie obchodzi, ani myślę odbierać. Nie rozmawiam ze zdrajcami.

Słońce schowało się za chmurę, niebo i ziemia zlały się w jedno. Nordyckie listopadowe odcienie. Zatrzymaliśmy się na minutę przy Rickym, chcieliśmy, żeby nas wysłuchał ale on nawet nie spojrzął w naszą stronę; przekręcał kluczyk w stacyjce i wciskał pedał gazu.

Szliśmy skrajem drogi, Butterfield pierwszy, uznaliśmy bez słów, że lepiej nie niszczyć gładkiej powierzchni podwójnymi śladami stóp. Z wierzchu popiół był suchy i jasnoszary, pod spodem - czarny, wilgotny i kamienisty. Musieliśmy się przemieszczać lekko i szybko, czająca się w głębi czerń wsysała, czyhała na nasze stopy.

Butterfield był szeroki w barach. W Olongapo wydawał mi się niższy i szczuplejszy. Kręcone włosy na szyi przypominały włosy na jego udach. Z trudem utrzymywał równowagę, chwiały się, ilekroć natrafiał na kamienie w popiele, i podnosił zdrową rękę, żeby nie upaść.

Miasteczko nie było duże. Centrum składało się z jednej alei wysadzonej zmęczonymi drzewami - to krocienie, takie same mieniły się czerwienią, żółcią i zielenią w maminy oknie - rynku, komisariatu policji i kilku sklepów. Jak zwykle największe i najokazalsze domy stały przy rynku, a mniejsze wokół. Oczywiście i tutaj nie mogło zabraknąć sari-sari-stores. Klapy były opuszczone i przykręcone, szyldy ciągle wisały. Bezwietrzna cisza. Nie szczekały psy, nie śpiewały ptaki.

Nagle uderzyło mnie, że od samego początku wiedziałam, że w miasteczku nie ma żywego ducha. Ani przez moment, nawet podczas tej długiej nocy, nie pomyślałam, że mogliby tutaj zostać jacyś ludzie.

W mieście były dwa kościoły, jeden zwyczajny, drugi - mała cukierkowa kaplica w kolorze różowym i jasnoniebieskim. Butterfield przystanął i odwrócił się.

-Gdyby w Disneylandzie były kościoły, wyglądałyby właśnie tak. To Iglesia ni Kristo, znasz je? Był daleko przede mną, goniłam go, zadyszana. Roześmiałam się.

-Oczywiście. Są wszędzie. W Quezon City mają katedrę. Rzeczywiście, ten też wygląda jak z Disneylandu...

- Byłaś kiedyś w środku?

- Nie. Ricky mówi, że tylko członkowie mogą tam wchodzić.

-On jest członkiem? Nareszcie do niego dołączyłam; słyszałam, jak sapię.

- Nie. Ricky jest zwykłym katolikiem. Mówi, że to coś w rodzaju wolnomularstwa, członkowie załatwiają sobie pracę wśród swoich, w swoim gronie. Ale prawie połowę pensji muszą łożyć na kościół...

- Praca to cholernie dobry argument w tym kraju - powiedział Butterfield. - Nic dziwnego, że stać ich na te plastikowe kościoły w każdej wsi... Mój stary nie wymyśliłby tego lepiej.

Mówiąc to, podszedł do kościoła katolickiego; miał żółte tynki, czarny dach i witraże. Nacisnął klamkę ciężkich ciemnych drzwi, obejrzał się przez ramię i cierpliwie na mnie czekał.

Ricky uosabiał w moich oczach Filipiny, jego wiara fala wiarą Filipińczyków. Nie rozumiałam jej, próbował mi wyjaśniać, ale daremnie. Nie mówił o jednym Chrystusie tylko o wielu. Santo Nino, Dzieciątko Jezus, było kimś innym niż Ukrzyżowany, Czarny Nazarejczyk kimś innym niż Mesjasz zdjęty z krzyża, ten, który umarł i czekał na zmartwychwstanie.

Tutaj byli wszyscy. W szklanej gablocie przy drzwiach leżał Mesjasz. Stara, popękana figurka, drewno wyschło, przydając jego twarzy nowych zmarszczek. Santo Nino, tłuściutki i uśmiechnięty, stał na ołtarzu pod ścianą, aureola przypominała talerz, złoty talerz dla spalonego księcia. Nad głównym przejściem wisiał Ukrzyżowany, miał zamknięte oczy, a w głębi, pod głównym ołtarzem, stał Czarny Nazarejczyk, w purpurowym płaszczu, jak zwykle uginający się pod ciężarem krzyża. Ludzki Bóg, król żebraków.

Stopy Butterfielda zaszurały na marmurowej posadzce. Podszedł do Nazarejczyka, dotknął jego płaszcza, po czym przesuwając palcami po stopach.

- Chodź - powiedział. - To fantastyczna robota...Nie bardzo chciałam. W Manili widziałam Czarnego Nazarejczyka, który miał paznokcie z macicy perłowej. Coś obrzydliwego, nie wiedzieć czemu, zebrało mi się wtedy na mdłości. Ta rzeźba nie miała błyszczących paznokci, cała stopa

była z ciemnego drewna - palisandru albo mahoni - ale wyraźnie się odcinały, wyrzeźbiono je z pietyzmem, półksiężycy u nasady zrobiono z innego, jaśniejszego gatunku drewna.

Butterfield cofnął się o trzy kroki i zapalił papierosa. - Fantastyczny. Najlepszy, jakiego widziałem... Poszłam za jego spojrzeniem. Ciemnobrażowy kark, wyjątkowo szczupły, chłopięcy, oczy półprzymknięte, wargi lekko rozchylone. Piękny. A mimo to mi się nie podobał, był zbyt nachalny i rzeczywisty, z tymi wszystkimi żyłami i napiętymi ścięgnami. Kogoś mi przypominał. Tak. Tylko okazałym strojem różnił się od nieznajomego w naszym domu.

Nie chciałam na to patrzeć. Odwróciłam się, podeszłam do okna i przyglądałam się jednej z opowieści biblijnych. Zwiastowanie: biały, błękitny, niebiański anioł i klęcząca przed nim Maria w czerwonej szacie.

Butterfield nie zauważył, że odeszłam, mówił dalej, jakbym ciągle stała obok niego.

-Żeby tak mógł go namalować. Odkąd tu przyjechałem, chciałem namalować Czarnego Nazarejczyka...Nie odwróciłam się, mój głos odbił się echem.

-To dlaczego tego nie robisz? Krzesło zaszurało na podłodze. Usiadł.

-Bo nie umiem. Nie potrafię znaleźć właściwej formy. Wszystko, co robię, jest martwe...

Pomyślałam o obrazie w jego celi i odwróciłam się.

-Dlaczego? Roześmiał się i głęboko zaciągnął.

-Martwe i słodkie, nieżyjące i czarujące. Może dlatego, że jestem ze Szwecji. Nosimy w sobie martwy i słodki kraj. Głos drżał mu lekko, co mnie zirytowało. Źle znoszę rozczulanie się nad sobą u innych, bo mi przypomina moje własne.

- Szwecja nie jest ani martwa, ani słodka - powiedziałam ostrzejszym tonem. - Nie podoba mi się taka rutynowa pogarda dla Szwecji. Spotykałam dyplomatów, którzy planowali międzynarodową przyszłość dla swoich dzieci, ledwie się urodziły. Jakby niebycie Szwedem było gwarancją kariery. Dlaczego? Bo za czysto na ulicach? Za niska śmiertelność wśród niemowląt, zbyt niewinna przestępczość? - Nabrałam tchu, w gardle zaroilo się nagle od niecierpliwych słów. - Nie rozumiem tej pogardy dla bezpieczeństwa i schludności, nie powinno się szydzić z tych, którzy usiłują zaprowadzić porządek w chaosie. Jest w tym coś, co zasługuje na głęboki podziw. Tam i tu. Niedbalstwo i obojętność są groźne, są jak wielka czarna dziura. To się kończy slumsami, a nie ma nic gorszego niż slumsy...

Zapaliłam papierosa i czekałam na odpowiedź. Nie doczekałam się. Patrzył na mnie z uniesionymi brwiami i iskierkami śmiechu w oczach. Ale ja mówiłam poważnie, uważałam, że udało mi się sformułować coś istotnego.

- Nie rozumiesz, Butterfield? Cieszę się, kiedy widzę, jak z tych swoich ruder wychodzą wyszorowane filipińskie kobiety w czystych ubraniach. One przewyciężyły slumsy, mimo że ciągle w nich żyją. Wiem, ile je to kosztowało pracy, wiem, ile dla nich znaczy higiena. Oczywiście nie chroni ich przed chaosem, to tylko złudzenie, ale chroni przed osądem. Przed pogardą i współczuciem... Śmiech spelzł z twarzy Butterfielda. - Kurde, aleś ty nadgorliwa. Wszystko wiesz, wszystko umiesz. Powinnaś się zamknąć, zamiast pleść o czymś, o czym nie masz pojęcia...A potem zaczął mówić o swojej mamie.

Wenus z Gottlósy długo przyzwyczajała się do Nassjó; upłynęło kilka lat, zanim zrozumiała, że nigdy nie zostanie zaakceptowana. Wtaczała się ze swoim dużym brzuchem na spotkania przy kawie w Kółku Gospodyń Domowych i myślała, że pustka wokół niej bierze się z nieśmiałości przychodzących tam kobiet. Nie rozumiała wykrętów pielęgniarki na oddziale położniczym. Była zdrowa i silna, dlaczego poród miałoby odbierać specjaliści z dużego szpitala w Eksjó? Ale się z tym pogodziła i wmawiała sobie, że powodem jej osamotnienia jest skanski akcent, okrągłe samogłoski i gruchające, gardłowe dźwięki. Dopiero kiedy trzyletniego Butterfielda uznano w sklepie spożywczym za złodziejskie, cygańskie nasienie, uświadomiła sobie, że to wszystko nie miało sensu. W Nassjó nie wolno się nazywać Berglund.

-Musimy się stąd wyprowadzić - powiedziała do Jeffersona. - Tu nie da się mieszkać. Nie jestem żadnym cyganem, ty też nie musisz nim być.

Jefferson siedział z Aronem przy kuchennym stole, byli zaledwie metr od niej, ale jej nie słyszeli. Mieli klapki na uszach. Wcześniej nauczyli się nie reagować na słowo „cygan”.

-Nie wytrzymam tego - powiedziała kilka lat później, widząc Butterfielda na zaśnieżonych schodach przed domem jego kolegi. Butterfield jej wyjaśnił, że kolega je obiad i jego mama nie chce go wpuścić, bo mógłby coś ukraść.

-Ech - burknął Jefferson podczas kolacji - nie marudź! Przecież Butterfieldowi nie dzieje się krzywda.

-Dzieciaki takie już są - skwitował Aron, wyjmując tytoń z ust.

Przez chwilę przyglądał się prymce, po czym wytarł palec o rant talerza.

Wenus z Gottlósy wzdrygnęła się. Nakrycie było dokładną kopią tego ze zdjęcia w tygodniku „Vi”: kraciasta cerata, porcelana z Gustavsberga i miseczka z nierdzewnej stali z pomidorami, żeby mężczyźni mieli na co wybrzydzać. Przez osiem miesięcy upominała się o nowe talerze, przez osiem miesięcy musiała znosić docinki i wysłuchiwać głupawych rechotów, ilekroć o tym napomknęła, przez osiem miesięcy godziła się na prezenty z łaski i pozwalała szczypać w pośladki, kiedy Jefferson był w dobrym humorze. Ale nie dała za wygraną. Nakrycie było ważne, elegancko

podana kolacja stanowiła jedną z kilkuset niezbędnych przepustek do Domu Ludowego, gdzie Wenus z Gottlósy ponad wszystko pragnęła się znaleźć. Tymczasem Aron, ze swoim tytoniem i brązowymi zębami, uzmysławiał jej, że ciągle są w cygańskim mieszkaniu, w Gamlarpie, z czarnym piecem opalonym drewnem i starej daty podłogą, którą trzeba szorować.

Nic jednak nie powiedziała. Już w Gottlósie przekonała się, jak to boli, kiedy mówiła, co jej leży na sercu. Nie chciała znowu iść do dentysty, siedzieć w gabinecie z rozdziawionymi ustami i wymyślać powody, dla których właśnie ten ząb zaczął się ruszać. Poza tym był styczeń i potrzebowała nowego palta, a miała tylko płaszcz przeciwdeszczowy. Wszelkie rozsądne kalkulacje kończyły się tak samo: powinna milczeć.

Kiedy Butterfield był mały i pozwalał się sadzać na kolana, wszystko wydawało się prostsze. Stawiała na kuchennym stole zapaloną świeczkę, ciemności się rozpraszały, zdejmowała mu skarpetki i bawiła się jego palcami. „Ta świnka pójdzie na targ, ta świnka zostanie w domu”. Cieszył ją jego śmiech, też się śmiała. Teraz Butterfield śmiał się rzadko, a z małych świnek wcale, nie chodził jeszcze do szkoły, ale nie był już mięciutki i przylepny. Wbijał ostre łokcie w jej piersi i wrywał się z jej objęć, uciekał od jej tłumionych szlochów i współczucia, które nazywała miłością, a które na dobrą sprawę było niczym innym jak litowaniem się nad sobą. Gdyby udało jej się go przytrzymać, na pewno by złagodniał i uległ.

Butterfield Berglund potrzebował ostrych łokci i twardych mięśni. Miał misję do spełnienia. Za każdym razem, kiedy jakieś dziecko musnęło językiem lub myślą słowo „cygan”, musiał ruszać do ataku, bić się, nurzać kurtki w kałużach, rzucać czapki na gałęzie drzew i wciskać zasmarkane twarze w zasy, tak głęboko, żeby kryjący się pod nimi lód porysował policzki do krwi. Poza tym powinien milczeć i patrzeć w bok, dokładnie tak jak ojciec i dziadek, gdyby matka się zapomniała i wymówiła to zakazane słowo.

Wenus z Gottlósy pragnęła drugiego dziecka. Dziewczynki. Takiej w spódniczce w szkocką kratę Algotsa i we wspaniałych kauczukowych bucikach z Oscarii. Bez proszenia wchodziłyby jej na kolana, śmiała się, szeptała, zadawała pytania i słuchała. W niedziele wkładałyby identyczne sukienki. Wenus z Gottlósy wybrała już odpowiednie fasony w tygodniku „Allers” i po kryjomu zamówiła wykroje. Bo kiedy dziewczynka przyjdzie na świat, ona dostanie maszynę do szycia. Mała wszystko odmieni. Aron rozplynie się we mgle, Jefferson będzie zwyczajnym, małomównym mężczyzną. Może zostanie elektrykiem. Byłoby świetnie. Mógłby podłączyć do maszyny niewielki silniczek; czytała o tym w „Allersie”.

Raz po raz cudowna dziewczynka z Domu Ludowego zapuszczała korzenie w brzuchu Wenus z Gottlósy i raz po raz stamtąd uciekała. Coś uderzało w macicę - pięść, but albo przekleństwo -

przerażało ją i dawała za wygraną. W takich warunkach najwyraźniej nie zamierzała się urodzić. Wymykała się czerwonym przesmykiem, płynęła w rzece krwi i roztopiała w wieczności, zanim zlepek komórek wylądował w wychodku. Udawała się tam, gdzie nienarodzone dzieci czekają na swoją kolej. Czasami słyszała płacz Wenus z Gottłósy i jej błagania, żeby została, ale na ogół przebiegało to dużo sprawniej; uciekała, zanim matka zdążyła sobie uświadomić jej istnienie. Wenus z Gottłósy nie wiedziała, że dziewczynka z Domu Ludowego w niej jest, dopóki nie zobaczyła krwi. Miała inny odcień i inną konsystencję niż krew menstruacyjna, była czerwiejsza, bardziej lepka, plastyczna. Wenus z Gottłósy widziała bardzo szczegółowe mapy na swoich udach. I to przesądziło o wszystkim.

Znowu, a dokładniej po raz siódmy, leżała na wyłożonym kafelkami korytarzu szpitalnym w Nassjó i czekała na skrobankę. Zabrali już ręczniki, które wetknęła między nogi, wymyli ją i przygotowali, wygolili i naszpikowali spokojem, jaki może zapewnić wyłącznie odpowiednia dawka chemikaliów. Widząc przechodzącą obok pielęgniarkę w wykrochmalonym czepku i błękitnym uniformie, Wenus z Gottłósy zapomniała się. Chciała się zwierzyć i opowiedzieć o swoim wielkim przeżyciu. Chwyciła za fartuch.

- Mam Afrykę między nogami... - szepnęła. Pielęgniarka zatrzymała się i zmarszczyła czoło.

- Słucham?

- Mam Afrykę między nogami. Kongo to biała plama, ale Kilimandżaro jest na swoim miejscu...

Pielęgniarka bojaźliwie dotknęła broszki spinającej kołnierzyk. Afryka między nogami? Co to za świństwa?

- Dzisiaj rano - mówiła w rozmarzeniu Wenus z Gottłósy - miałam Afrykę między nogami.

Wszyściutkie góry i rzeki, setki pustyń, tysiące placówek misyjnych, a w każdej Albert Schweitzer. Schweitzerianie robią dobre uczynki. Tylko Kongo jest białą plamą! Biedne Kongo! Bardzo biedne Kongo...

Wenus z Gottłósy zaczęła łkać, pielęgniarka stała przy niej jak skamieniała.

- Ani jednego Alberta Schweitzera w Kongu, tylko duża biała pustka. Oj, nieszczęśnicy, wiem, jak im jest, małe biedne samotne dzieci... Kiedy moja córeczka będzie duża, zostanie pielęgniarką, tak jak pani, i pojedzie do Konga, żeby nieść pomoc, a ja pojedę razem z nią, żeby się nią opiekować, będę chodziła w upale pod palmami i troszczyła się o nią i wszystkie inne dzieci... - Mocniej chwyciła fartuch, materiał zgniótł się pod palcami; głośno szlochała. - Proszę mi pomóc, mam Afrykę między nogami, dziewczynka nigdy nie przyjdzie... Ona nigdy nie przyjdzie! Ona też mnie nie chce...

Pielęgniarka uwolniła się, cofnęła o krok i przemówiła kafelkowym głosem:

- Niech się pani Berglund uspokoi. Niedługo będzie doktor, pani Berglund musi spokojnie i grzecznie leżeć, proszę się uspokoić i zachowywać rozsądnie...

Stukając obcasami, pospiesznie ruszyła korytarzem, żeby o wszystkim donieść przełożonym.

Dwa dni później Wenus z Gottlósy była inną kobietą. Szarą i apatyczną, pozbawioną nie tylko błon śluzowych i krwi. Lekko zgarbiona, jak staruszka, dreptała za salową która prowadziła ją do ordynatora.

Ordynator, w białym fartuchu, miał proste plecy, opuszczone kąciki ust i długie białe palce. Formularz był już wypełniony, musiała się tylko podpisać.

- Tutaj! Na samym dole, kobieto! - mruknął, naburmuszony.

To dla jej własnego dobra. On na siebie żadnej odpowiedzialności brał nie będzie. Jest taka sterana. Tyle poronień. Nie, nie.

Nie płakała i nie opierała się, nawet nie spytała, dlaczego on tak dużo mówi i co to za formularz. Okrągłymi, lęklivymi literami wpisała na dole imię i nazwisko. Może były to litery dziecka?

Pożegnalne słowa dziewczynki z Domu Ludowego

Podpis lekarza był równie kanciasty jak sformułowania, które zawarł w piśmie do Zarządu Lekarskiego. Opis: „Kobieta pochodzenia cygańskiego. Miernie uzdolniona, z urojeniami. Tchórzliwa i przymilna w sposób typowy dla cyganów”. Uzasadnienie: „Sterylizacja byłaby aktem miłosierdzia dla niej samej, dla naszej gminy, która od wielu lat ma kłopoty z rodziną Berglundów, i dla potomków, których mogłaby wydać na świat”.

Dziewczynka z Domu Ludowego westchnęła i udała się na poszukiwania odpowiedniejszej matki.

Głos już mu nie drżał, mówił spokojnie, konstatująco. Kiedy skończył, głęboko wciągnął powietrze.

- Podobno Szwecja istniała obok historii. Podobno nie było u nas pogromów. Gówno prawda. Były pogromy schludności i poczucia bezpieczeństwa. Nikt się nie cackał trupami i grobami. Wystarczy obciąć cyganowi jaja, tak żeby tego nie zauważył, i wypruć flaki cygańskiej babie, dla finansowego dobra gminy. Odwróciłam się do niego plecami i sięgnęłam do torebki.

- Przepraszam. Miałaś rację. Byłam nadgorliwa, nie wiedziałam...

-Jasne, skąd miałabyś wiedzieć? Nikt nie wiedział, a mimo to wszyscy byli za. W latach pięćdziesiątych odsysali dwa tysiące cyganek rocznie, dwa tysiące cyganek, które w ciągu dziesięciu lat urodziłyby co najmniej trzy tysiące cygańskich dzieci, z czego minimum połowa wyrosłaby na złodziej, alkoholików, marzycieli i oszustów. Trzydzieści tysięcy nieistniejących

cyganów. Czysty zysk! Społeczny i ekonomiczny. A jeśli przy okazji kilka bab szlag trafi - so whao.

Poczęstowałam go papierosem, nie mogłam użyć portfela jako tarczy, przecież był Szwedem.

-Przepraszam, Butterfield. Nikt nie wie wszystkiego o swoim kraju, zwłaszcza kiedy w nim od lat nie mieszka, jak ja...

-Dorastałaś w Nassjów. Widziałaś, co z nami robią! Skinęłam głową. Przypomniała mi się dziewczynka,

która goniła inną dziewczynkę po dziedzińcu szkolnym. „Cygan! Cygan!” Okrzyki odbijały się jak ślepe wrony od żółtych cegieł budynku. Berglundowie nie byli jedyni. Butterfield zaciągnął się i nagle sobie uświadomił, gdzie jesteśmy: w bezimiennym kościele w bezimiennym mieście.

- Woda - powiedział. - Chce mi się pić. Musimy znaleźć wodę...

Zrobiło się jeszcze cieplej. Kiedy opuściłam przyjemnie chłodny kościół, miałam wrażenie, że kleszcze upału, rozpięte między chmurami i popiołem, skróciły mnie o kilka decymetrów. Było niesamowicie parno. Żeby się w ogóle posuwać naprzód, musiałam głęboko oddychać i bardzo wolno się poruszać. Butterfield był szybszy. Trzymał w ręku coś podłużnego, nie widziałam, co, piekły mnie oczy.

Zawołałam głośno, żeby usłyszał:

-Butterfield, zaczekaj, co masz w ręku?!

-Lichtarz. Musimy mieć coś do wyważania drzwi. Nie martw się, nie zamierzam go ukraść. Odniosę do kościoła jak tylko znajdziemy wodę. Z irytacją kopnęłam w popiół.

-Nie o to mi chodziło. Po prostu byłam ciekawa. Pot zalewa mi oczy, nic nie widzę...

Wzruszył ramionami i brnął przed siebie. Zatrzymał się przy kiosku i uważnie przyglądał. Pośrodku, z przodu, była drewniana kłapa, obok drzwi zamknięte na kłódkę. Żadnej szyby.

-Masz gwóźdź? - zawołał. Gwóźdź? Moja irytacja rozkwitła w całej pełni. Czy głupota nie zna granic?

-Nie, nie mam gwoździa. Tak się składa, że nie chodzę z gwoździami w kieszeniach...

Spojrzał przez ramię i uśmiechnął się.

-A powinnaś. Gwóźdź zawsze się przydaje.

-Ach, tak? To co zrobiłaś ze swoim? Roześmiał się, nagle był rozluźniony.

-Ale coś ostrego chyba masz? Pilniczek do paznokci. Albo nożyczki. Podeszłam do niego, usiadłam w popiele i podałam mu torebkę. W potylicy zaczął sobie wic gniazdko ból głowy.

-Gdzieś powinno być etui z przyborami do szycia... Nożyczki nie były większe od jego kciuka. Obejrzał je.

-Przytrzymaj kłódkę, Cecyljo. Mam tylko jedną rękę... Ból głowy eksplodował, kiedy się podnosiłam. Jęknęłam, usiadłam i skrzyżowałam ramiona nad głową.

-Co ci jest? Kiedy coś mnie boli, odejmuje mi mowę. Posługuję się wyłącznie formą telegramu.

-Boli!

-Boli cię głowa? Niedobrze ci? Przytaknęłam. Słyszałam, co mówi, ale nie mogłam odpowiedzieć.

- Codziennie pijesz kawę?

- Mmm.

-No to masz objawy abstynencji kofeinowej. To cholernie nieprzyjemne, ale niegroźne. Dopada wszystkich Szwedów. Wydobrzejesz, jak się napijesz kawy...

Zaśmiała się i zmierzwiła mi włosy. Chciałam krzyknąć, ale nie mogłam, bo gdybym krzyknęła, to bym zwymiotowała. Poczułam się dotknięta. Żałoba po kawie? Śmieszne!

Butterfield zazgrzytał kłódką nad moją głową, zaklął i znów zgrzytnął.

Nie wiem, czy kiedykolwiek istniałam dla Butterfielda. Czy my w ogóle istniejemy dla mężczyzn? Wydaje mi się, że wszyscy, ledwie się znajdą tuż obok mnie, dostają lekkiego zeka. Jakby się wpatrywali w jakiś punkt nad moim prawym ramieniem. Ale tam mnie nie ma. Nic tam nie ma.

A jednak: przez chwilę krzątał się w kiosku, po czym wyszedł, uklęknął i coś mi przytknął do warg.

- Pij! Otworzyłam usta. Po języku spłynął gęsty płyn Obrzydlistwo. Odsunęłam go.

- Co to jest?

- Skondensowane mleko z nescafe. Nic innego nie ma, pij! Wiem, że to paskudne... Jak wrócimy, zrobimy prawdziwą kawę, ale nigdzie nie dojdiesz, dopóki nie zaspokoisz głodu kofeinowego.

To nie boli, no, raz-dwa, pij! Miał rację. Poszło raz-dwa. Po minucie otworzyłam oczy i mogłam mówić, ból głowy przeniósł się wyżej.

- Znalazłeś wodę?

- Nie ma tu kranu, ale jest od cholery woda mineralnej i coli. Wystarczy nam na tydzień. Jest nawet tanduay...

-Co to takiego? Roześmiała się.

-Rum. Weźmiemy jedną butelkę dla Ricky'ego, może się uspokoi...

Uśmiechnęłam się i wypiliśmy łyk tak zwanej kawy. Tym razem smakowała ciut lepiej, można się przyzwyczaić.

-A czym się umyjemy? Chciałabym się umyć... Znowu się roześmiał i wśliznął do kiosku. Tak, może.

Może istniałam dla Butterfielda, kiedy wziął mnie pod ramię, podniósł, wprowadził do kiosku i zaczął rozbierać. Odruchowo skrzyżowałam ręce na piersiach. On tego nie komentował, pozwolił mi być sobą i ukryć to, co chciałam ukryć.

- Najpierw włosy. Pochyl się, o tak...

Woda mineralna była chłodna, szampon pachniał perfumami. Nalał mi odrobinę na głowę i zaczął masować zdrową dłońią.

-A teraz spłukujemy... Wokół moich stóp zapienił się dwutlenek węgla, pokiwałam dużymi palcami, poczułam się radośniej. Ból głowy minął, jak ręką odjął, mdłości też. Zostało tylko lekko rozedrgane powietrze, które się zawsze pojawia po ustąpieniu dolegliwości. Roześmiałam się.

-Już w porządku. Dalej mogę się umyć sama. Czy mydło też znalazłeś?

-Oczywiście, madame. Prawdziwe palmolive! To komnata skarbów, tu jest wszystko...

Namydliłam się i rozejrzałam. Sięgające sufitu półki uginały się pod ciężarem. Zobaczyłam pięć słoików nescafe, siedem butelek rumu, mnóstwo mydeł, szamponów i past do zębów, konserwowane owoce, olej i skondensowane mleko, herbatę ekspresową i sypaną, cukier, zapałki, papierosy i czekoladę. I litry wody mineralnej, i coli.

- Weźmy trochę czekolady dla Dolly... Właśnie zdejmował t-shirt.

- Jasne. I tanduay dla Ricky'ego, dla mnie i tego tam...Od razu się ocknie.

-Ugotuję ryż na wodzie mineralnej. W domu jest ryż. Stał plecami do mnie i ściągał szorty, pod spodem nie miał slipek.

- Świetnie.

- I mogę usmażyć cebulę i pomidory.

- Bardzo dobrze. Jestem głodny jak cholera... Woda mineralna z sykiem spływała mu po nogach. Podeszłam bliżej i namydliłam mu plecy. Odwrócił się, patrzyłam mu prosto w oczy, nie miałam odwagi spuścić wzroku. Ale mój głos zabrzmiał normalnie: - Chyba powinniśmy się opłukać na zewnątrz, bo zalejemy całą podłogę...

Milczał. Jego usta miały smak mydła, potu i wody mineralnej i robiły wszystko to, o czym mnie zapewniał. Ale mimo to najlepiej zapamiętałam dłonie: tę okaleczoną, która nas dzieliła, drgała i poruszała się, i tę zdrową, spoczywającą na moim biodrze, jak rozkaz. W życiu nie byłam równie skora do posłuszeństwa.

Butterfield. Pole jaskrów. Łąki usłane jaskrami. Patrzyłam na niego i myślałam o kwitnącym rzepaku

o niebieskich zmierzchach w noc świętojańską i o złocistobrazowym blasku smalandzkich bajerek.

Cementowa posadzka podrapała mi kolana, kiedy uklęknęłam przed nim i przytuliłam się do jego łona. Na sekundę mnie do siebie przycisnął, pogłaskał po szyi i włosach, po czym położył mi dłoń na czole, odchylił głowę do tyłu i wstrzymał oddech. Później, kiedy leżałam na posadzce z rozrzuconymi ramionami, jak ukrzyżowana, uniósł się na łokciu i popatrzył na mnie.

- Aleś ty ładna - powiedział. Uśmiechnęłam się, nie otwierając oczu. Nigdy dotąd nie było to prawdą i nigdy nią nie będzie, ale wtedy, w tamtej chwili, zapewne byłam bardzo ładna.

Zastaliśmy Ricky'ego na schodach, z twarzą w dłoniach. Szłam bardzo wolno, nie z powodu popiołu ani upału, ale dlatego, że miałam na głowie ciężki karton. Znaleźliśmy go w kiosku i wyładowaliśmy wodą mineralną, nescafe, mydłem, szamponem, tanduayem i czekoladą. Butterfield nie mógł dźwigać. Nie uniosłabym kartonu w rękach, był za ciężki, ale na głowie to co innego. Butterfield szedł obok i podtrzymywał go, żebym nie straciła równowagi.

Postawiłam karton na ziemi, usiadłam obok Ricky'ego i po raz pierwszy go objęłam.

-Jak się czujesz? Mówił zza dłoni.

-Benzyna się skończyła. Nigdy się stąd nie wydostaniemy...Butterfield położył mu rękę na ramieniu.

-Znaleźliśmy jedzenie i wodę. Poradzimy sobie. Ricky płakał głośno.

-Nigdy się stąd nie wydostaniemy! Dzieci i Zosima zginą! Aynaku, Zosima!

Oparłam głowę na jego ramieniu, lekko je odsunął, ale po chwili się rozluźnił i zaakceptował tę bliskość.

-Wydostaniemy się, Ricky. Jesteś głodny i zmęczony, zjemy coś, odpoczniemy, a potem się zastanowimy, co dalej. Na pewno coś wymyślimy... Butterfield otworzył butelkę rumu.

- Proszę, Ricky. Napij się! Ricky opuścił dłonie, spojrzął na butelkę, przetarł twarz i przytknął butelkę do ust.

Poruszałam się ostrożnie, żeby nie obudzić chorych. Nieznajomy leżał w tej samej pozycji. Mimo otwartych oczu wydawał się nieprzytomny. Nie zareagował na mój dotyk; nawet nie drgnęła mu powieka.

Dolores nadal spała spokojnie. Pogłaskałam ją po policzku. Miała szorstką skórę, mięśnie nie były napięte.

-Jak się obudzi, damy jej twój proszek przeciwbólowy - szepnęłam do Butterfielda.

-Czy one nie są za silne?

-Właśnie dlatego. Ona straszliwie cierpi. Poza tym musimy jej założyć łubki, to powinno uśmierzyć ból.

-Daj jej pół tabletki.

-Okej. Teraz przygotuję coś do jedzenia. Pogładziłam go po policzku, zadowolona z tego, co czułam pod dłonią.

Ricky zapalił kuchenkę spirytusową i poszedł do samochodu po warzywa. Wsypałam ryż do blaszanego garnka i zatrudniłam Butterfielda do ubijania wody mineralnej w innym naczyniu. Przyjął to z wahaniem. Roześmiałam się.

- Tak jakbyś mieszał szampana, żeby się pozbyć bąbelków. Musująca kawa jest niesmaczna, chcę się napić prawdziwej...Uśmiechnął się w odpowiedzi, wzruszył ramionami i zaczął ubijać wodę drewnianym widelcem.

-Ciekawe, czy nie znalazłoby się gdzieś piwo - zastanawiał się na głos.

- Były tam jeszcze trzy inne sari-sari-stores, w którymś powinno być...

Wszedł Ricky i położył przede mną torby z warzywami. Rum zrobił swoje, bo się zaśmiał.

-Wygląda pani jak prawdziwa proviciana, madame, siedzi pani na podłodze i przygotowuje jedzenie. Pan też, mister Berglund...Butterfield popatrzył na niego.

-Poszukamy piwa? Ricky się rozpromienił.

-Bezwzględnie. Musi tu gdzieś być piwo... Tylko przyniosę resztę warzyw.

Słyszałam po jego krokach, że coś się stało; ciężko wbiegł po schodach.

-Madame! Mister Berglund!

Oburącz trzymał broń, kolbę w lewej dłoni, prawą zaciskał na lufie.

-Była w samochodzie. Na tylnym siedzeniu. Natychmiast rozpoznałam karabin automatyczny, ale nie potrafiłam rozstrzygnąć, czy to kałasznikow, czy M16. Broń zawsze mnie obezwładniała.

Skutecznie udało mi się zapomnieć to, czego musiałam się nauczyć w ramach obowiązkowych zajęć dla przyszłych dyplomatów. Usłyszałam, że siedzący za mną Butterfield wstaje i wyciera ręce w koszulkę.

-Jasna cholera! Żeby to szlag trafił! Zamknęliśmy drzwi i rozmawialiśmy przyciszonymi głosami.

-Żołnierz - powiedział Butterfield. - Popyrtani z NAL-u. Jak na mój gust są trochę trigger-happy...

Próbowałam zdławić strach. Jeśli to prawda, to kto zginie pierwszy, no kto? Ilu cudzoziemskich dyplomatów zlikwidowała partyzantka w ostatnich latach, podkładając bomby w samochodach?

Francuz, włoski attache i...

- Nie wiemy tego - odparłam. - Równie dobrze może być strażnikiem... Albo pracuje w prywatnej armii jakiegoś obszarnika...

-Albo jest rabusiem - dodał Ricky. - Wysoko w górach grasują bandy rabusiów, kuzyn mi opowiadał...

Mówiąc to, podał broń Butterfieldowi.

-Co to jest? - spytałam. - M16? Butterfield pokręcił głową i zaczął wyjmować magazynek.

-Nie, to kałasznikow. Broń NAL-u. Musimy go ukryć...Ricky się zaniepokoił.

- Nie możemy tego zrobić, mister Berglund. Bo będzie zły... A jeśli jest w NAL-u, ludzie z jego grupy zaczną go szukać.

- Właśnie dlatego. Czy w samochodzie nie było więcej amunicji?

-Nie zauważyłem, ale tam jest kompletnie ciemno.

-To weź zapalniczkę i sprawdź. Musimy go przeszukać. Ty to zrobisz, Cecylia. Pod pozorem, że ocierasz mu pot albo coś w tym rodzaju...

Nieznajomy miał zamknięte oczy, leżał nieruchomo, wciąż był rozpalony, oddychał szybko i chrapliwie. Bez entuzjazmu obmyłam go szmatką zwilżoną wodą mineralną. Kilka razy cicho zajęczał, kiedy przecierałam mu twarz, spragniony, szukał ustami wilgotnej szmatki, zbyt jednak byłam wystraszona, żeby mu ją dać do ssania. Butterfield stał za mną z magazynkiem w jednym ręku, z karabinem w drugim.

- Sprawdź w szortach - powiedział po szwedzku.

- Nie sięgnę.

- To go odwróć! Nylon zeszywniał z brudu. Dawno temu te szorty były żółte, pomyślałam, wsuwając palce do kieszeni. Nic. Ale kiedy go przekręcałam, żeby zajrzeć do drugiej, pod lewym biodrem wyczułam magazynek. Póleżał na nim, musiałam go obrócić, żeby to wyjąć. Absurdalnie intymne uczucie.

-Daj to - powiedział Butterfield.

Nigdy się nie dowiedziałam, gdzie ukrył broń. Zauważyłam, że zdjął ze skrzyni ozdoby i jedwabny obrus i włożył do środka magazynki, ale słowem nie pisał, co zrobił z karabinem. Zniknął z nim w obłoku różowych kwiatków.

Kiedy zostałam sama z nieprzytomnym nieznajomym, uklękłam, żeby mu się dokładniej przyjrzeć. Nie wyglądał na żołnierza. Ani na rabusia. Ale jak wyglądają żołnierze i rabusie? Jedzenie i leki. Nic lepiej nie tłumi niepokoju. Dolores spała z otwartymi ustami. Wsunęłam jej do buzi kawałek czekolady. Zareagowała natychmiast: zamknęła usta i zaczęła ssać. Po chwili otworzyła oczy i spojrzała na mnie.

-Cześć - powiedziałam. - Dobrze spałaś? Coś wymruczała, chciała usiąść, ale od razu opadła na plecy, z grymasem bólu.

-Otwórz buzię, dostaniesz lekarstwo. A potem dam jeszcze trochę czekolady. No, otwórz...

Rozpląkała się; głuchy, monotony lament. Przestraszyłam się, mnie też zbierało się na płacz.

Wrócił Butterfield i Ricky, znaleźli piwo, dużo piw. Przemokli do suchej nitki; deszcz znowu się rozpadał mimo wczesnej pory w domu panował mrok.

-Płacz? - spytał Butterfield. Skinęłam głową. Gdybym się odezwała, sama zaczęłabym płakać.

-Woła babcię - wyjaśnił Ricky. Postawił kilka butelek na stole, potem się pochylił i powiedział coś po tagalsku. Dolores natychmiast umilkła. Osłupiałam.

-Coś ty powiedział, Ricky?

-Powiedziałem, żeby przestała płakać i żeby była grzeczną dziewczynką. Zmarszczyłam nos, nie spodobało mi się to.

-Powiedz jej, że według mnie jest grzeczna i że musi wziąć lekarstwo, żeby przestało ją boleć.

Ricky przemówił w moim imieniu i Dolores posłusznie otworzyła buzię.

Wlaliśmy nieznanemu do ust wodę mineralną, żeby się zbudził. Daremnie. Przełknął, ale to go nie zachęciło do powrotu do teraźniejszości.

Patrzyliśmy na niego przez chwilę, staliśmy obok siebie w milczeniu i próbowaliśmy przeniknąć jego tajemnice. W końcu Butterfield wzruszył ramionami, a Ricky znów stał się sobą, wszedł pod stół i podniósł Dolores. Położyliśmy ją na szorstkiej kanapie, ze swetrem pod głową, przesunęliśmy stół i zastawiliśmy talerzami i kubkami. Ryż miał dobrą konsystencję, warzywa były gorące i pożywne, nie brakowało piwa.

Usiadłam przy Dolores i karmiłam ją. Miała jasne spojrzenie. Proszki Butterfielda przyniosły jej ulgę, mogła się poruszać, nie krzywiąc z bólu.

-A więc jednak mówi po tagalsku - zwróciłam się do Ricky'ego. - Ciekawe, czemu mnie nie rozumiała.

Powiedział coś do dziewczynki. Odpowiedziała. Roześmiał się.

-Mówi, że nie słyszała, żeby pani rozmawiała po tagalsku, madame. Ma pani trochę inny akcent...

Uśmiechnęłam się.

-Poproś, żeby opowiedziała o sobie.

-Później, madame. Teraz jedzmy. Wszyscy jesteśmy głodni...

Deszcz za oknem, kawa w blaszanych kubkach, jeszcze trochę czekolady dla sytego dziecka i płonąca świeczka. Butterfield przyniósł z kościoła świece do lichtarza. Teraz wyciągnął nogę pod stołem, dotknął nią mojej kostki i uśmiechnął się. W tym momencie czas powinien był się zatrzymać.

Sama jednak do tego nie dopuściłam.

- Musimy unieruchomić dziecku stopę... - powiedziałam.

Dolores nie płakała, wykrzywiła się tylko i pocila. Nie bardzo mieliśmy z czego zrobić łubki. W kuchni były cztery drewniane łyżeczki, na regale Butterfield znalazł kilka cienkich deszczulek. Jedną położyłam pod stopą i zaczęłam owijać bandażem.

-Opowiedz jej bajkę, Ricky - poprosiłam. - Żeby zająć czymś jej myśli.

- Nie znam żadnych bajek.

- E, coś tam chyba znasz... Przez chwilę milczał, patrzył w bok, głęboko się zaciągnął papierosem, po czym odezwał się do niej po angielsku.

-Chciałabyś czegoś posłuchać, Dolly? Czy mogę mówić po angielsku, żeby nasi kanos też posłuchali? Dużo rozumiesz po angielsku? Skinęła głową, była poważna. Uśmiechnęłam się do niej, ulżyło mi, że rozumie. Dzięki temu zmniejszyła się dystans między nami. Żeby go zmniejszyć jeszcze bardziej, dokonałam czegoś w rodzaju prezentacji.

- Nie jesteśmy Amerykanami. Pochodzimy z Europy.

- Dla nas wszyscy biali to kanos - skwitował Ricky, patrząc w bok. - To będzie o tym, jak się wszystko zaczęło. Na początku było tylko niebo i ocean. Nad oceanem latał jeden jedyny ptak, który po pewnym czasie bardzo się zmęczył i nie miał gdzie odpocząć. Ale był sprytny. Wiedział, czego chce, i wiedział, jak to osiągnąć... Pofrunął do nieba i powiedział: „Ocean zamierza cię utopić!”. A niebo na to: „Niech tylko spróbuje! Spuszczę na niego skały i kamienie, jeśli mnie opryska choćby jedną kroplą!”. Wtedy ptak poleciał do oceanu i powiedział: „Niebo chce cię zniszczyć deszczem kamieni i skał”. A ocean na to: „Niech tylko spróbuje! Zaraz je utopię!”. I zaczęła się walka. Ocean ciskał w niebo ogromne fale, a niebo rewanżowało się gradem skał. W końcu skał było tak dużo, że ocean nie miał już szans na atak. A ptak się cieszył: teraz mógł odpoczywać na najróżniejszych wyspach i blokach skalnych... Umilkł. Dolores nie spuszczała z niego wzroku, czekała na dalszy ciąg.

-To wszystko? - spytał Butterfield. - A skąd się wzięli ludzie? Ricky uśmiechnął się niepewnie.

-Hm, kiedy ptak odpoczywał na jednej z wysp, ocean wyrzucił na ląd kawałek bambusa, który ułożył się na jego pazurach. Ptak się odsunął, ale bambus znów mu się wturlał na łapki...

Dolores zaśmiała się ochryple. Wzdrygnęłam się na ten nieoczekiwany dźwięk. Ricky zrobił pauzę.

-Ptak ciągle się odsuwał, ale za każdym razem bambus toczył się za nim i układał na pazurach. W końcu się zezłościł i zaczął go dziobać. Wtedy ze środka wyszedł mężczyzna. Miał na imię Malakas i był pierwszym człowiekiem. W chwilę później ocean wyrzucił na ląd drugi kawałek bambusa. Mężczyzna położył go na ptasich pazurach, ptak się wściekł i zaczął dziobać bambus.

Wtedy ze środka wyszła pierwsza kobieta. Miała na imię Maganda i była bardzo piękna...Podziwialiśmy przez chwilę jej urodę. Każde z nas stworzyło sobie jej własny obraz.

- Malakas zbudował dom na wyspie, a Maganda urodziła dużo dzieci. Ale nie były grzeczne, leniły się, chciały się tylko bawić, ani myślały pomagać rodzicom. Wymykały się z domu, kiedy trzeba było pracować, i wracały dopiero w porze posiłku. Malakas miał ich w końcu dosyć. Najpierw próbował po dobroci przemówić im do rozsądku. Ale go nie słuchały. Więc przyniósł z lasu kij, żeby sprawić im lanie. Wtedy się przestraszyły i rzuciły do ucieczki. Kilkoro wybiegło z domu i przepadło, kilkoro schowało się w sypialni, kilkoro w dużym pokoju, a reszta stłoczyła się w kuchni. Wszyscy stali się praprzodkami ludzi. Ci z sypialni - wodzów i czarnoksiężników, ci z dużego pokoju - ludzi wolnych, ci z kuchni - niewolników. A ci, którzy się ukryli między saganami i garnkami i byli czarni od sadzy, stali się przodkami Aetów. Dlatego dzikusy mają taką ciemną skórę...Opowieść dobiegła końca. Ricky spojrzął na nas.

-A ci, co nie wrócili? - spytałam. - Co się z nimi stało? Uśmiechnął się do mnie.

-To wasi przodkowie, madame. Stali się praprzodkami wszystkich cudzoziemskich narodów.

Zawiązałam bandaż na kokardkę, usiadłam na kanapie i położyłam głowę Dolores na kolanach. Butterfield wskazał butelkę rumu. Pokręciłam głową. Już próbowałam, smakował jak terpentyna. Ricky przytaknął i wziął kieliszek.

-Teraz wasza kolej - powiedział, kołysząc się na krześle. - Jak, waszym zdaniem, powstał świat? Wzruszyłam ramionami.

- E tam, my mamy tylko Adama i Ewę...

- Wcale nie - zaprzeczył Butterfield, patrząc w stół. - Mamy coś jeszcze... - I dodał po szwedzku: - Opowiedział mi to Wallin. Mimo że malował obrazy ołtarzowe, bardzo się interesował czasami staronordyckimi... Dolores usiadła, położyła łokcie na stole i podparła twarz dłońmi. Popatrzyła na Butterfielda i po raz pierwszy w jej spojrzeniu nie było nieśmiałości ani lęku.

-Tell me story! - powiedziała. Roześmiałam się z radości.

-No, tak - zaczął Butterfield, opierając się o rzeźbione oparcie krzesła - zanim powstał ten świat, istniały dwa inne światy: Niflheim i Muspellsheim. Niflheim leżał na północy i był królestwem mrozu i mgieł. Panował w nim wieczny brzask i głęboka cisza. Płyęło tam jednaście rzek. Wszystkie kończyły swój bieg w przepaści, która nazywała się Ginnungagap i oddzielała Niflheim od Muspellsheimu. W Ginnungagap wody zamieniały się w lód. Muspellsheim leżał na południu i był królestwem ognia i spiekoty, z gór buchały czerwone płomienie, ziemia pękała i otwierały się rozżarzone szczeliny. Z Muspellsheimu wpadały do Ginnungagap strumienie gorących iskier. Całą wieczność przepaść była tylko pustą przestrzenią, ale pewnego dnia iskry z Muspellsheimu zaczęły

topić lody Niflheimu. Krople wody spływały na dno Ginnungagap i wtedy wyłonił się z niej olbrzym. Nazywał się Imir. Woda zamieniła się w krowę i Imir żywił się jej mlekiem. Ricky skrzywił się w grymasie obrzydzenia i wypił łyk tanduaya.

-Tell more - powiedziała Dolores swoim ochryplym głosem. Butterfield przesunął dłonią po ustach, nagle dużo bardziej opanowany niż zaledwie kilka minut wcześniej; już nie pieścił stopą mojej kostki.

-Pewnego dnia, kiedy Imir spał, krowa zaczęła lizać bryłkę lodu. I okazało się, że w lodzie siedział człowiek. Był to mężczyzna o imieniu Buri. Miał syna, Borra, nikt nie wiedział, jak do tego doszło, i Borr ożenił się z olbrzymką o imieniu Bestia. Urodziła trzech synów: Odyna, Vilego i Ve. Zostali bogami i zabili Imira. - Butterfield przeciągnął palcem po stole. - A potem przetrzucili martwe ciało Imira nad Ginnungagap i ukształtowali z niego świat. Z krwi powstały morza i jeziora, z ciała - ziemia, z kości - góry, z zębów - skały i kamienie. Z czaszki zbudowali sklepienie nieba, a potem rzucili w niebo mózg, dmuchnęli i mózg Imira zamienił się w chmurę. Na końcu schwytali skryz nad Muspellsheimu i stworzyli z nich słońce, księżyc i gwiazdy...Zamilkł, napił się rumu.

Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu. Myślałam o Niflheimie i Muspellsheimie i o starym, steranym ciełe Imira, które można było rozpiąć pomiędzy północą i południem, mrozem i spiekotą.

- Więc świat wisi nad przepaścią? - spytał Ricky. Butterfield położył zdrową dłoń na środku stołu.

- Tak. Świat wisi nad przepaścią. Dolores pochyliła się i położyła rączkę na dłoni Butterfielda. Bez namysłu położyłam swoją rękę na jej dłoni. Ricky zwlekał, wahał się, po czym położył swoją rękę na mojej. Pod ścianą nieznajomy jęczał z bólu.

Leżę przymarznięta do dna białego oceanu łazienki i przypomina mi się pewna kobieta w Indiach.

Wszyscy o niej słyszeli, nikt jednak nie wiedział na pewno, czy rzeczywiście istnieje. Tymczasem zmarł jej ojciec i zostawił jej spadek. Rodzina zwróciła się do nas o pomoc. Próbowali się z nią skontaktować, ślali listy i telegramy, ale bez powodzenia. Znaliśmy tylko nazwę wioski i stanu. W wiosce nie było telefonu ani żadnej godnej zaufania obsługi pocztowej. Musiałam więc udać się tam osobiście. Co mnie nawet ucieszyło, bo często o niej myślałam, starając się zrozumieć motywy jej zachowania.

Ale Ulfowi się to nie spodobało.

-To może być niebezpieczne. Chyba lekceważysz ryzyko, Cecylio. Naprawdę nie wiem, czy mogę ci na to pozwolić...Uniosłam brwi.

-Jak to „pozwolić”? Nie proszę o pozwolenie, informuję cię jedynie, co zrobię. Siedzieliśmy przy stole i jedliśmy śniadanie. Uśmiechnął się.

-Sama chciałaś wrócić do pracy. Nie zdawałaś sobie sprawy, że będę twoim szefem? Mam wątpliwości nie jako twój mąż, co chciałbym dla świętego spokoju podkreślić, tylko jako szef ambasady. Moja żona może robić, co jej się podoba, ale nie mogę narażać personelu na ryzyko.

-Nawet jeśli ktoś ze mną pojedzie? Na przykład Suhan Lal. Pochodzi z Uttar Pradeś, zna drogi i warunki...

-Ale jest z niższej kasty, nie ma dość autorytetu, nic nie wskóra. Na Boga, to bardzo zacofana część kraju, pięć lat temu, kiedy pojechałem tam pierwszy raz, prawie wcale nie było samochodów. Niewiele brakowało, żeby nasze dżipy stały się powodem zamieszek...

-To przecież obywatelka szwedzka i powinniśmy chyba sprawdzić, jak jej się żyje, jej i dzieciom. Zmarszczył czoło: mentalność przedszkolanki.

- Sama dokonała wyboru, nigdy nie prosiła ambasady o pomoc. To sprawa rodziny...

- A gazety? Jeśli się nie dowiemy, czy ona żyje, jej mama zamierza z tym pójść do „Expressen”... Chwyciło. Zastanawiał się przez chwilę.

-Tylko jedna osoba mogłaby chyba temu podołać. Radju. Gdybyś wzięła Radju i Suhana Lala, może by się udało. Oni pojechaliby do Uttar Pradeś dżipem, a ty byś poleciała. Inaczej zajęłoby to tydzień. Co najmniej. A masz chyba inne sprawy służbowe, prawda?

-Nie przepadam za Radju...

-No to co? Będzie siedział z przodu, z pasem naboju na brzuchu, i groźnie wyglądał. Nie musisz się z nim zadawać. Oczywiście stało się tak, jak chciał. Radju i Suhan Lal pojechali dżipem, ja cztery dni później poleciałam samolotem. Radju czekał na mnie na lotnisku w swoim jaskrawym uniformie: turban z pióropuszem, czerwony kaftan, zielone spodnie i błyszczące mosiężne guziki. Tak wyglądają w Delhi wartownicy ambasad. Radju najbardziej z nich wszystkich zadzierał nosa. Wszystko wiedział, wszystko umiał i nie wahał się o tym mówić, pod warunkiem że nie było w pobliżu Ulfa.

Od razu ruszyliśmy do celu, siedziałam z tyłu sama i milczałam, żeby zmusić do milczenia Radju. Szkoda, bo chętnie bym porozmawiała z Suhanem Lałem. On myślał jednak o czym innym, miał odnaleźć drogę do wioski. Nie było żadnej mapy. W Uttar Pradeś jest mnóstwo wsi i nikt ze stuprocentową pewnością nie wie, gdzie są te najmniejsze. Udało nam się tam dotrzeć dopiero późnym popołudniem. Droga dawno się skończyła, przez godzinę jechaliśmy czymś, co najbardziej chyba przypominało step. Wioska była mała i biedna, malutkie poletka, piaskowożółte domy i brązowe chaty. Na dachach trajkotały małpy, poza tym panowała całkowita cisza.

Wysiadłam z samochodu i rozejrzałam się. Nigdzie śladu człowieka, gościniec - nie licząc wychudzonej krowy, która przyglądała się nam, przeżuwając - ział pustką. Suhan Lal wyłączył silnik i razem z Radju wyszedł z dżipa.

-Madame - odezwał się Radju - tam chyba jest herbaciarnia. Czy mam pójść i zapytać? Kobiety nie są w takich miejscach mile widziane...Pokręciłam głową, co w Indiach jest równoznaczne z przytaknięciem, i Radju poszedł. Suhan Lal stanął przy mnie; jego ciemną twarz rozjaśnił uśmiech błyszczących jak kość słoniowa zębów.

-Creepy place! Okropne miejsce! Bardzo cicho. Niepewnie odwzajemniłam uśmiech i włożyłam ręce

do kieszeni spódnicy. Rzeczywiście okropne, zwłaszcza dla kogoś z niskiej kasty, niemal pariasa.

Czerwony kaftan Radju pojawił się w drzwiach herbaciarni i w tym samym momencie gościńcem nadbiegło kilkoro dzieci. Na mój widok wydały głośny okrzyk i błyskawicznie mnie okrążyły, śmiały się i coś mówiły, ale nie miały odwagi mnie dotknąć.

Za Radju szedł jakiś gruby mężczyzna. Trzymał w ręku kij. Zbliżył się do dzieci, podniósł go i świsnął w powietrzu, żeby je przegonić. Mały chłopiec oberwał w skroń zachwiał się, podtrzymała go trochę starsza dziewczynka.

-Madame, on jest chyba tutejszym sołtysem. Nie mówi po angielsku i trudno mi go zrozumieć.

Zwróciłam się do Suhana Lala:

-Możesz z nim porozmawiać?

Suhan Lal odchrząknął, cofnął się o krok i zaczął mówić. Sołtys słuchał z kwaśną miną. Mnie ani razu nawet nie musnął spojrzeniem. To dosyć niezwykle, bo w Indiach kobieta z Zachodu zawsze jest ze wszystkich stron oglądana i często wyśmiewana. Ale tego mężczyzny najwyraźniej nie rozbawił mój widok. Z kamienną twarzą wysłuchał Suhana Lala, po czym wyszczeakał kilka krótkich fraz i odmaszerował do herbaciarni.

-Co on powiedział? Suhan Lal przełknął ślinę.

-Powiedział, że ona mieszka na obrzeżach wsi, po drugiej stronie...Czekałam. Sołtys powiedział coś jeszcze. Suhan Lal wbił wzrok w ziemię.

-Obok pariasów. Powiedział, że mieszka tuż obok pariasów...

Szliśmy przez wieś blisko siebie. Nagle poczułam ogromną wdzięczność dla Ulfa, który nalegał, żeby mi towarzyszyły dwie osoby. To nie było przyjazne miejsce. Idące za nami dzieci już się nie śmiały, dorośli odwracali głowy i znikali w swoich domach, nawet starcy leżący na pryzkach na werandach nie okazywali nam życzliwego zainteresowania.

Zobaczyliśmy ją z daleka. Siedziała w kucki na zwirowym podwórku przed szopą i robiła pranie w małej cynkowej balii. Wykręcała ubranie po ubraniu i wkładała do emaliowanej miednicy. Miała popielate włosy upięte w indyjski kok, na szyi, i beżowe bawełniane sari, najtańsze z możliwych. Nie była ładna. Kobietom z Zachodu rzadko jest do twarzy w sari. Wyglądają jak sprane, jakby ktoś uprał je w pralce w za wysokiej temperaturze.

Nie podniosła wzroku, dopóki do niej nie podeszliśmy. W ogóle nie zareagowała, zupełnie jakby się nas spodziewała.

-Birgitta? - spytałam. - Czy pani Birgitta? Wstała, otarła wilgotne dłonie o biodra i popatrzyła na mnie z lekkim uśmiechem. Potem złożyła dłonie i skłoniła się po indyjsku.

-A jak pani myśli?

Wyciągnęłam rękę na powitanie, ale zaraz opuściłam. Ta kobieta nie zamierzała niczego robić na szwedzką modłę. Zaprosiła mnie do środka. Radju i Suhan Lal musieli usiąść w kucki na podwórku i poczekać. Nie mogła narażać swojej reputacji, wpuszczając do domu obcych mężczyzn.

- Nie jest duży - powiedziała. - Ale lubię go... Sama go zbudowałam. Z trudem zdobyłam materiał.

Zauważyłam. Szopa była z gałęzi i desek, powiązanych sznurami i drutem. Połowę jednej ściany stanowiły stare drzwi, a otwór w drzwiach przesłaniała podarta kotara. Sufit był tak nisko, że musiałam się schylać; ona była niższa ode mnie i zapewne to jej wzrost przesądził o wysokości mieszkania. Z powodu zalegających ciemności dopiero po kilku minutach zorientowałam się, że nie jesteśmy same. W kącie siedziała trzyletnia dziewczynka; cichutko, prawie nie oddychając.

-To najmłodsza - wyjaśniła Birgitta, podając mi szklankę herbaty. - Niestety, nie mam mleka ani cukru, od jakiegoś czasu mnie nie stać...Próbowałam przyjść do siebie i mówić normalnym tonem.

-Niedługo się to zmieni. Przykro mi, że muszę to powiedzieć... zmarł pani ojciec... Rodzina panią poszukuje, dostała pani w spadku dosyć dużo pieniędzy...Kucnęła i przesunęła palcem po klepisku.

- Aha. Nie żyje. Oby się smażył w piekle! Milczałam. Wypiłam łyk gorzkiej herbaty.

- Ile jest tych pieniędzy? Dokładnie.

- Pięćset sześćdziesiąt trzy tysiące koron i dom w Norrtälje. Pani mama chce, żeby go pani obejrzała. Mówi, że byłby idealny dla pani i dzieci.

- Mama jest niemądra. Nigdy nie była mądra. Przecież mam tutaj męża, tutaj mieszkam, tutaj dorosną moje dzieci.

- Ile ma pani dzieci?

- Piątkę. Same dziewczynki, więc pieniądze się przydadzą. Będzie na wiano...

- A gdzie jest pani mąż?

- W Delhi. Sprząta w dużym hotelu. Osłupiałam.

- Dlaczego nie mieszka pani z nim?

-Nie da rady. On chce, żebym była w wiosce. Z jego rodzicami-

- Milczała chwilę. - Ale oni nieszczególnie mnie lubią

- Wyrzucili mnie i dziewczynki. To bramini i uważają nas w pewnym sensie za pariasów. Czy pani wie,

że dla nich wszyscy biali to pariasi? Pokręciłam głową, co mogła zinterpretować jako „tak” lub „nie”.

- Kiedy mieszkałam u nich, musiałam siedzieć z dziewczynkami przy osobnym stole. I miałyśmy nasze rzeczy w osobnej szafce. Nie mogłam zmywać w tej samej wodzie co oni, ani nawet w tej samej balii. Moje jedzenie było nieczyste, wszystko, co się z nim zetknęło, raz na zawsze stawało się nieczyste. Mimo że nie jem mięsa. Od piętnastu lat nie kupuję mięsa. Dało się to zauważyć.

Była niesamowicie wychudzona, poniżej obojczyków kładły się głębokie cienie.

- Ale radziłam sobie dość dobrze. Kupiłam owce za własne pieniądze, które z sobą przywiozłam. I krowę. Bardzo się starałam być dobrą synową, ciągle się staram. Prawie codziennie pomagam im w zajęciach domowych, a starsze dziewczynki pomagają w polu. Sami nie mogą ciężko pracować, teść ma na głowie obowiązki religijne...Dziewczynka podpełzła do matki. Nadal była poważna i spokojna. Miała wydęty brzuch i ogromne oczy. Nie mogłam milczeć.

-Pani córka jest niedożywiona. Szybko spojrzała na dziecko.

- Tak, pewnie tak. Ostatnio nie jadłyśmy zbyt dużo. Nie znam się na rzemiośle, uczę się tkać, ale upłynie sporo czasu, zanim nabiorę wprawy. Więc nie najlepiej zarabiam.

- Co się stało z owcami?

- Teść sprzedał je na targu. A krowę zatrzymali sobie.

- I co na to pani mąż?

-Mój mąż jest dobrym synem. Sprzeciwił się rodzicom tylko raz, kiedy rzucił uniwersytet i ożenił się ze mną. Nie chce ich jeszcze bardziej martwić. Ale teraz znów będę mogła kupić owce, chyba go tym nie zdenerwuję. Jeśli sama zapłacę, nie powinien chyba tego uznać za nieposłuszeństwo... I kury, kupię kilka kur. Będziemy mieć jajka, są dobre na niedożywienie, chyba pozwolą dziewczynkom jeść jajka... - Milczała przez chwilę, po czym spojrzała na mnie! - Myśli pani, że zwariowałam, prawda? Nie rozumie pani dlaczego to wszystko robię? Nie odpowiedziałam, odwróciłam wzrok. Ciągle się we mnie wpatrywała. Chwyciła mnie za ramię.

- Myśli pani, że zwariowałam, o, nie, dobrze wiem, co robię. Luksus i nadkonsumpcja w krajach wysoko rozwiniętych, i nędza, i cierpienie w krajach Trzeciego Świata nie będą trwały wiecznie. Nadejdzie dzień Sądu Ostatecznego! Nie chciałabym wtedy być z dziećmi w bogatym świecie. Wszyscy się usmażycie, udusicie od tych waszych spalin, sześcicie w ogniu zemsty... A ja przeżyję, ja, mój mąż i moje dzieci, my przeżyjemy. I będziemy żyć z pracy naszych rąk, z tego, co rodzi ziemia. W harmonii! Wie pani, co to takiego? Wie pani, czym jest prawdziwa harmonia? Postawiłam szklanę na klepisku i wręczyłam jej wizytówkę.

- Proszę powiedzieć mężowi, żeby się zgłosił do szwedzkiej ambasady. Będzie się musiał wylegitymować. A potem załatwmy przelew pieniędzy do indyjskiego banku. Czy chciałaby pani coś przekazać mamie? Podniosła się i zacisnęła pięści.

- Mam nadzieję, że umrze, zanim nadejdzie dzień zemsty. Niech jej pani to powie. Mam nadzieję, że nie będzie musiała patrzeć na żadnych zemsty ludzi z Afryki, Azji i Ameryki Łacińskiej, od których się zaroją ulice Norrtalje! Życzę jej śmierci! Wyjęłam z portfela kilkaset rupii.

- To dla pani. Proszę kupić dzieciom coś do jedzenia. Jeśli się nie najedzą do syta, nie starczy im sił na odwet w Norrtalje... Spuściła głowę - przegrała bitwę, ale nie wojnę i po chwili wahania wzięła banknoty. Schyliłam się i wyszłam przez wąski otwór. Słońce zachodziło, niebo było różowe, chaty pariasów pociemniały. Wszystko się we mnie gotowało. Początkowo myślałam, że pali mnie wstyd, taki jaki zazwyczaj odczuwam, ilekroć zdarzy mi się zaatakować słabszego. Dopiero w dżipie, kiedy podskakiwaliśmy na drodze, jadąc w kierunku zachodzącego słońca, uświadomiłam sobie, że to gniew. Dobrze znany gniew. Doświadczałam go już wcześniej, ale nigdy dotąd nie analizowałam. Teraz zobaczyłam, co w sobie kryje nienawiść do tych, którzy są bardziej lojalni wobec abstrakcji niż ludzi. Gniew na dorosłych, którzy pielęgnują swoje idee z większą czułością niż własne dzieci. Strach przed ludźmi gotowymi poświęcić dzieci...

Przywołując to wspomnienie, wstaję, żeby zapalić papierosa. Widzę swoje odbicie w lustrzanych drzwiczkach szafki. Uśmiecha się nieco szyderczo. Co myślałaś o wtedy, co myślałaś o ludziach „zasłaniam lustro (r^tem^ ""^ ""^ S,a^"">><<) Dolores skrobie w drzwi UML' • L telefon. 1 łazienki i bez przerwy dzwoni

Wydaje mi się, że jest rano. Z wywietrznika dobiegają odgłosy ruchu ulicznego, więc na zewnątrz pewnie już widno. Albo świta.

Ale pewności nie mam. Powoli przekręcam zamek i leciutko uchylam drzwi łazienki. Jeśli będzie ciemno, błyskawicznie je zamknę.

Ktoś rzucił Bidulę w hallu; ogarki świec i stare łachy poniewierają się na podłodze. Jest jasno, przez okno maminej sypialni wpada słońce. Szybko obchodzę pokoje na piętrze, otwieram okna, robię przeciąg. Potem biorę prysznic, sprzątam łazienkę i schludnie nakrywam kuchenny stół do śniadania. Sok i mocna kawa, żółty ser na szklanym talerzyku, w miseczce marmolada. W mikrofalówce rozmraża się chleb. Idę do skrzynki po gazetę; wracając, zostawiam drzwi wejściowe otwarte, chcę, żeby dzisiaj w Bananowym Domu hulał wiatr. I hula. „Smalands Dagblad” trzepoce, muszę się szczelniej owinąć szlafrokiem. Wiatr pachnie zimą. Gdyby udało się go zamknąć w butelce, cieszyłby się ogromnym powodzeniem w Krainie Dyplomacji. W każdym razie ja bym kupiła, myślę, przewracając stronę w gazecie. Mama patrzy na mnie poważnie. Wspomnienie pośmiertne opatrzyli jej starą fotografią: ma blond włosy, jest kompetentna i silniejsza od raka. Nagle w zimowym wietrze przenikającym kuchnię przeczuwam obecność Butterfielda.

- Pogromy w imię schludności - szepce. - Trzydzieści tysięcy nieistniejących cyganów...

Szybko odwracam stronę i, nie wiedzieć czemu, przypomina mi się, że Olssonowie mieli tylko jedną szczoteczkę do zębów. Zawsze tę samą. Była szaro-brązowa i zużyta. Widziałam taką szczoteczkę na filmie o higienie zębów który nam pokazała nasza pani w szkole. Była przekreślona dużym czarnym krzyżykiem. Z pogardą wrzucono ją do kosza na śmieci. Razem z krzyżykiem. Popatrzyłam na Maritę. Napotkała moje spojrzenie.

Tamtego roku w mieście Bruksela zorganizowano międzynarodową wystawę. Maminy tygodnik „Folket i Bild” zamieścił zdjęcie, które mnie zafascynowało. Ważni naukowcy zbudowali przed wejściem ogromny model atomu.

-Co to jest atom, mamó? Właśnie myła kuchenne okno; szybko przesunęła po czole ręką, w której trzymała ścierkę.

-To coś najmniejszego, co istnieje, jądro rzeczy...Podeszła do mnie i zerknęła mi przez ramię, zadowolona z chwilowej przerwy. Zawsze przedkładała teoretyczne dyskusje nad mycie okien, ale niczego to nie zmieniało, bo i tak musiała je myć. Gdyby nie lśniły najjaśniej na całej ulicy, sąsiedzi okrzyknęliby ją flądą, której w głowie tylko polityczne zebrania i narady. Ale teraz miała powód, żeby zrobić sobie przerwę. Mama uwielbiała uczyć. Usiadła na krześle obok mnie.

- Wszystko składa się z atomów - powiedziała. - Ty, ja, okna - wszystko składa się z maciupeńkich piłeczek, które unoszą się w ogromnej i pustej przestrzeni, tak jak Ziemia, Słońce i Księżyc unoszą się we wszechświecie...

Tego dnia rzeczywistość się zmieniła. Musnęłam spódniczkę i pomyślałam o światach, które w sobie kryje, przesunęłam dłonią po kuchennym stole i widziałam jego przestrzenie.

-Na co się gapisz, szczyłu - powiedziała Marita, kiedy wracałyśmy ze szkoły.

-Nie gapię się.

-Gapisz. I śmierdzisz. Fuuuuj, ale śmierdzisz. Oskarżała mnie niesprawiedliwie; wytrzymałam cały dzień.

-Nie śmierdę. Nie zsikałam się. Marita raptownie się zatrzymała i odwróciła.

-I tak śmierdzisz, cuchnąca świni! Milczałam, przełknęłam te słowa, ale coś się zmieniło, obie o tym wiedziałyśmy. Podeszła do mnie dwa kroki bliżej i zatoczyła łuk tornistrem.

-I tak śmierdzisz! Zawsze będziesz śmierdziec! „Sprzeciw”. To słowo majaczyło na obrzeżach mojej

świadomości, nie dawało się pochwycić ani nazwać, ale nagle zobaczyłam, że Marita nie jest większa ode mnie. To tylko mała dziewczynka.

-Nie śmierdę. W każdym razie nie bardziej niż ty. Ty i te twoje żółte zęby! Puściła tornister, z łoskotem wylądował na chodniku. To mnie zachęciło.

-Jak często myjesz zęby, co? Tą waszą obrzydliwą szczoteczką... No? Raz w tygodniu? A może raz w roku? Nie słyszałaś, co pani powiedziała? Zęby trzeba myć dwa dziennie. Ja zawsze tak robię. I mam swoją szczoteczkę. Zjeżyła się, zaraz przejdzie do ataku. Nieważne.

- Jedna szczoteczka dla wszystkich - mówiłam dalej - to ohyda... Fuj! W dodatku zalatuje wódką. U was zawsze zalatuje wódką, uee...

Dopadła mnie jednym susem, rzuciła się jak dzikie zwierzę, wyrznęłam plecami o zasępę, spadł mi tornister. Chciała mnie podrapać, ale chwyciłam ją za włosy i ciągnęłam, ile sił, podniosła bladą twarz ku niebu i zawyła, nie puszczałam, wywinełam się i nagle siedziałam na niej okrakiem, tak jak chłopcy zwykli siadać na swoich wrogach kiedy się bili na szkolnym dziedzińcu.

- Ty śmierdzieliu - wysyczałam, szarpiąc ją za włosy. - To ty jesteś obrzydliwa!

Spojrzała na mnie rozgorączkowanymi oczami i przez chwilę wydawało mi się, że się ze mną zgadza. Spłoszyłam się, po chwili wahania puściłam ją, wstałam i zaczęłam otrząpywać spodnie.

Zaszła mnie od tyłu i tym razem nie mogłam jej pokonać. Wepchnęła mnie w zasępę, wbiła kolano w plecy i tłukła tornistrem po głowie; każde uderzenie wprawiało mnie w drgania. Nade mną przewalał się lód i śnieg, może chciała mnie w nim pogrzebać na tej cichej ulicy. Wpadłam w panikę. Nagle ucisk zelżał, Marity nie było. Podniosłam się. Naprzeciwległym chodnikiem szła jakaś pani w brązowym kapeluszu. Dlatego moja przyjaciółka ziała. Pani patrzyła na mnie, kiedy

wycierałam rękawiczką smarki i łyzy, ale nic nie powiedziała. Podniosłam tornister i otrzepałam ze śniegu. I wtedy mnie olśniło.

W tornistrze jest przestrzeń, pomyślałam. Przestrzeń i Ziemia. Jedna piłeczka w jednym z atomów tornistra jest taka jak Ziemia i jest tam dziewczynka o imieniu Cecylia, która przed chwilą oberwała od Marity. A ziemia, ta, na której stoję, to tylko piłka w atomie tornistra innej dziewczynki. Też nazywa się Cecylia i jest ogromna, ale i ona mieszka w atomie tornistra jeszcze większej dziewczynki. A ta dziewczynka... Nie, myśl nie była w stanie tego ogarnąć.

- Nie jestem sama - szepnęły wszystkie Cecylie we wszechświecie. - Nie jestem sama i dzisiaj się nie zsikałam.

Jest piękne przedpołudnie, niespodziewanie wrócił ziąb i drzewa w ogrodzie przy Bananowym Domu roziskrzyły szron. Od pół godziny jestem gotowa do spotkania z Katariną Söderberg; ubrałam się, włożyłam czółenka i umyłam włosy, albumy czekają, zaparzyłam kawę.

Powoli obchodzę dom ze ściereczką w rękę i sprawdzam, czy wszystko gra. Gra. Bidule wcisnęłam w najdalszy kąt garderoby i usunęłam plamę po kawie na biurku taty.

Kiedy się pojawia, stoję przy oknie w sypialni mamy. Katarina Söderberg jest bardzo młoda, bardzo blada i dziwacznie ubrana: czarna skórzana kurtka, czarny golf i coś w rodzaju wzorzystych trykotów. Z krótkich cholewek wystają szare grube skarpety. Przypomina chuligana. I jak ona będzie mogła zrozumieć moją mamę?

Ale się obczytała. Wie więcej, niż myślałam. I jest dużo pewniejsza siebie niż podczas naszej rozmowy telefonicznej.

- Mam jako taką jasność co do spraw służbowych - mówi, kiedy siadamy przed kominkiem.

- Czym i w jakim okresie się zajmowała, i tak dalej. Pomyślałam, że mogłaby pani o niej opowiedzieć coś od siebie, no, wie pani, jakim była człowiekiem. I mamą.

-Oj.

Podnosi wzrok znad notatnika i przekrzywia głowę.

-Nic osobistego. Nie chodzi mi o zwierzenia w stylu tych z tygodnika „Hant i Veckan”. To przecież, jak pani! wie, „Smalands Dagblad”.

Podnoszę filiżankę kawy i wypijam łyk.

-Pani jest tutaj nowa? - pytam.

-Jasne. Chwilowe zastępstwo. Mieszkam w Göteborgu, tam mam chłopaka.

- Aha. Też jest dziennikarzem? Omiata pokój spojrzeniem.

- Nie. Będzie architektem. Spodobałby mu się ten dom. Śmieję się.

-Wątpię. Zaprzyjaźnieni architekci uważają, że jest odstręczający. Kicz w najgorszym wydaniu. Uśmiecha się.

-Mój chłopak lubi kicz. Ja też. Ale, szczerze mówiąc, nie takiego domu się spodziewałam. Jakoś mi nie pasuje do socjaldemokratycznego polityka. Czuję do niej sympatię. I niech sobie wygląda jak młodociany przestępca. Opuszczam gardę.

-Owszem, ale to nie mama go kupiła, tylko tata, Arne Dahlbom. Umarł kilka lat temu. Był przedsiębiorcą budowlanym. Zapisuje to.

- Arne Dahlbom? Też socjał? Chichoce.

- Niezupełnie. Był tuż po lewej od Dżingis chana. Śmieje się, nie widzi, że gryzę się w język.

- I mimo to byli szczęśliwym małżeństwem? Popijam kawę, przetykam.

- Tak. Bardzo. Ale czy mogłybyśmy się trochę sprężyć? O pierwszej muszę być w zakładzie pogrzebowym... I proszę nie wspominać o Dżingis chanie. To taki nasz rodzinny dowcip, który wolelibyśmy zachować tylko dla siebie. Zwłaszcza teraz, w związku z pogrzebem. Mam łzy w oczach, dyskretnie wycieram nos.

-Jasne - mówi. - Jasne.

Opisuję mamę jako pracowitą i prawdziwie ideową, taką, której nie zniechęcały żadne trudności, pełną humoru i współczucia dla innych.

-Była ciepła? - pyta Katarina Söderberg, podnosząc pióro.

Myślę o pięciu futrach. Pięć razy z rzędu Złoty dawał jej na gwiazdkę futro. Nie wiedzieliśmy, dlaczego: ani ja, ani Lars-Góran, ani mama. Ale kogoś, kto ma pięć futer, można chyba nazwać „ciepłym”.

- Bardzo ciepła - odpowiadam zgodnie z prawdą.

- Czy urodziła się w Nassjó?

-Nie. W Malmbacku. Jej ojciec był kimś w rodzaju robotnika rolnego. Wcześniej zmarł i babcia została sama z czwórką dzieci.

-Niewesoło.

-Owszem. Mama zaczęła pracować, kiedy miała trzynaście lat. Jako pomoc domowa w rodzinie pewnego nauczyciela, tutaj, w Nassjó... W latach trzydziestych.

Spizarkę zamykali na kłódkę, ale tego nie mówię. Za mało o tym wiem, wiem tylko tyle, że po sześciomiesięcznym pobycie w tym wspaniałym świecie mama nie miała siły wstać z łóżka. Niedożywienie. Profesora Dahlberga nie bardzo było stać na służącą, ale jego młoda żona przywykła jadać śniadanie w łóżku i pokazywać palcem kłębki kurzu. Była jednak oszczędna i dobra. Dziewczynka dwa razy dziennie dostawała owsiankę, rano gotowaną, na kolację

podsmażaną. Kiedy niedobór białka zrobił swoje, została wysłana na odkarmienie do babci, do Malmbäcku, a jej! miejsce zajęła inna, krągłszy służąca.

Mama rzadko wspominała te czasy, ale kiedy Złoty wstąpił do Rotary Club, cisnęła mu w twarz ścierką do mycia naczyń.

-Rotary! - krzyknęła w telegraficznym stylu. - Gdzie przewodniczącym jest Dahlberg! Że też ty się nie wstydzisz zadawać z taką hołotą! Ten sukinsyn mnie głodził! On mnie głodził! Złoty odrzucił ścierkę i wrzasnął tak głośno, że zadrżały szyby w oknie:

-Jeśli byłaś nabzdyczona i gderałaś, to ci się należało! Na pewno nie pracowałaś porządnie. Ci, z których jest pożytek, jedzą do syta. Zawsze i wszędzie. Rozplakała się, co mnie wystraszyło, bo nigdy tego nie robiła. A dokładniej: nie tolerowała płaczu. Ani swojego, ani cudzego.

- Halo - mówi Katarina Söderberg.

- Oj, przepraszam, zamyśliłam się. Co pani mówiła?

- Pani tata pochodził z lepiej sytuowanej rodziny?

- Bynajmniej. Dziadek, jego ojciec, był kolejarzem, babcia nie pracowała. Nie, nie powodziło im się za dobrze. Całe swoje życie mieszkali w pokoju z kuchnią...

- Aha. Więc pani tata sam się tego wszystkiego dorobił?

- Tak. Ale to były inne czasy. Katarina Söderberg w zamyśleniu ssie pióro.

- To interesujące, że każde poszło w swoją stronę. Politycznie. Mogłoby się wydawać, że powinni wzajemnie na siebie wpływać, bo obojgu się udało, że powinni się znaleźć po tej samej stronie.

- Hm. - Odstawiam filiżankę na stół. - Nie wiem. Ludzie wyciągają różne wnioski z własnego powodzenia. Niektórzy mówią: „Mogłem ja, to mogą i inni, a jeśli nie mogą, niech mają pretensję do samych siebie”. Niektórzy mówią: „Nie wolno zapominać, kim się jest i skąd się pochodzi”.

-Mmmm. A co pani mówi? Podnoszę filiżankę i uśmiecham się do niej.

-Nic. Mnie się niespecjalnie powiodło, więc nie muszę się nad tym zastanawiać. Obydwie opinie są nieco protekcyjne. Wsuwa pióro do ust i patrzy na mnie.

-Yhm. Ale pani brat wziął stronę mamy...

-Politycznie tak. Polityka więcej znaczyła dla mamy niż dla taty. Tata podchodził do tego spokojnie i oczywiście był bardzo dumny, kiedy Lars-Góran został ministrem. Miło, że tego doczekał. Zmarł wkrótce potem. Katarina Söderberg coś notuje, a ja chcę po prostu zniknąć. Zmęczył mi się język od tylu łgarstw.

Co jest prawdą?

Że moja mama stawiała w obronie dzieci, ale nigdy nie przytulała własnych?

To prawda i nieprawda: zdarzało się, że wyciągała rękę i próbowała, tyle że nigdy się to porządnie nie udawało. Brakowało jej słów, cierpiała na coś w rodzaju zaburzeń językowych. Czy mogę ją o to oskarżać?

A tata? Czy był jedynie dziwkarzem i karierowiczem? Czy chciał czegoś więcej, kiedy przynosił futra i dywany? I dlaczego miałby nie dawać akurat tego i tylko tego, co mógł?

A ja ich oskarżyłam. Widzę siebie w tym pokoju, mam dwadzieścia cztery lata, drzę, jestem sina z wściekłości! Przerwałam milczenie, coś we mnie pękło, ale jeszcze nie umiem mówić głośno.

-Przestańcie! - syczę. I rzeczywiście przestają. Mama błyskawicznie się odwraca i unosi brwi. Mój głos przybiera na sile.

-Ani jednego przekleństwa więcej, słyszycie! Ani jednego świńskiego słowa! Mam tego dosyć, dostatecznie długo to znosiłam. Zrujnowaliście mi życie tymi waszymi wrzaskami. Jestem niezdolna do życia! Nie wiem, co jest normalne, a co nienormalne, boję się komukolwiek zaufać, zrobiliście z życia coś obrzydliwego i cuchnącego...

Tata siedział tutaj, gdzie ja teraz. Patrzył na mnie z otwartymi ustami, potem się pochylił i objął kolana rękami.

-Co ja takiego zrobiłem? - z płaczem, nie, z bekiem wyraził swój żal. - Co ja takiego zrobiłem? Przecież się starałem... Mama, która go przed chwilą nienawidziła, klęknęła obok fotela i położyła mu rękę na szyi. Spojrzałam na nią z niesmakiem. Napotkała mój wzrok.

-Powinnaś wyjść - powiedziała. - I tak nigdy tego nie zrozumiesz... Pociągnęłam nosem, wzięłam torbę i ruszyłam do drzwi. Odwróciłam się i popatrzyłam na nich. Przytuliła się policzkiem do jego karku i głaskała po wstrząsanych płaczem plecach. Poczułam piekące współczucie, ale nie zamierzałam im wybaczać.

- Dorastałam w teatrze działań wojennych - oznajmiłam. - Co się stało, to się nie odstanie. Nigdy nie będę człowiekiem. Dziewiętnaście lat później wzdycham z rezygnacją w fotelu taty. Może właśnie stałam się człowiekiem.

Nieznajomy zajęczał, po czym znieruchomiał i znów zanurzył się w swoim bólu.

Siedzieliśmy przy stole równie nieruchomo. Dłoń Ricky'ego leżała na mojej, moja na dłoni Dolores, a dłoń Dolores na dłoni Butterfielda. Płomień świecy migotał od naszych oddechów. Ricky poruszył się pierwszy: zabrał rękę i podniósł kieliszek. My też cofnęliśmy dłonie, nastrój przysł, milczeliśmy.

Dolores powoli położyła głowę na moich kolanach, była poważna, chyba nie dokuczał jej ból. Poglaskałam ją po czole i nawinęłam na palec kosmyk grzywki. Drugą dłonią mimowolnie dotknęłam gołej skóry nad uchem. Nie zareagowała, popatrzyła tylko w sufit swoimi dużymi oczami. Pochyliłam się nad nią i spytałam stłumionym głosem: - Who are you, Dolly? Where do you come from? I zaczęła opowiadać.

Ricky był naszym tłumaczem. Przekładając niektóre moje pytania na tagalski i niektóre odpowiedzi Dolores na angielski, mówił pustym, bezdźwięcznym głosem. Unikał patrzenia na mnie; przyglądał się kieliszkowi i czasami nim potrząsał, jakby studiował ruchy rumu.

Miała osiem lat, tak jej się wydawało. Nie знаła swojego nazwiska, nawet nie wiedziała, co to takiego. Twarz jej pobladła, pojawił się na niej lęk, chciała jak najlepiej, ale nie bardzo rozumiała, o co mi chodzi. Imię ojca? Tata. Imię matki? Mama. A babcia, lola, to po prostu babcia.

Babcia przyszła do fabryki. Tylko ona jedna przyszła I mister Carubian był miły, pozwolił jej przez chwilę posiedzieć z babcią na dziedzińcu. Przyniosła dwa ryżowe placki i namówiła Dolores, żeby je od razu przy niej zjadła. Tyle powiedziała sama z siebie. Resztę musiałam z niej I wyciągać, zadając tysiące niełatwych pytań.

- Żyją twoi rodzice? -Tak.

- Gdzie?

- We Floridablance.

- Czy tam jest fabryka?

- Nie.

- A gdzie jest fabryka?

- Daleko. Nie wiem, jak się to miejsce nazywa.

- A co to za fabryka?

- Textilemill.

- Jak się nazywa fabryka?

- Paradise TextileMill.

- Co się tam robi?

- Nie wiem. Materiały.

- Jak długo tam pracowałaś?

- Nie wiem. Sześć tygodni. Albo dwa lata. Tak, dwa lata.

- Ile dni ma tydzień? Nie wiem.

- Umiesz czytać?

- Nie.

- Co robiłaś w fabryce?
- Pracowałam w przędzalni. Nosiłam motki, pełne motki, puste motki. Czasami obsługiwałam maszynę. Czasami sprzątałam.
- Gdzie spałaś?
- W fabryce. Na kocu.
- Dlaczego nie mieszkałaś z rodzicami?
- Bo dużo dzieci. Nie ma miejsca, nie ma jedzenia. Daleko.
- Czy mama urodziła więcej dzieci, kiedy byłaś w fabryce?
- Nie wiem. Tak, babcia powiedziała, że mam jeszcze jedną siostrę. Nie widziałam jej. Nie wiem.
- Gdzie pracuje twój tata?
- Jest sprzedawcą ulicznym. Sprzedaje placki ryżowe babci.
- A mama?
- Też sprzedaje placki ryżowe.
- Ile zarabiałaś w fabryce?
- Nie wiem. Tata dostawał pieniądze.
- Skąd brałaś jedzenie?
- Mister Carubian dawał dzieciom jeść raz dziennie. Najczęściej papkę ryżową. Rzadko prawdziwy ryż. Czasami dorosłym robotnikom było nas żal i częstowali nas swoim jedzeniem. Czasami.
- Kim jest mister Carubian? Czy jest właścicielem fabryki?
- To big boss.
- Gdzie się nauczyłaś mówić po angielsku?
- Mister Carubian mówi tylko po angielsku. Złości jak się go nie rozumie. Ale ja rozumiem.
- Co się stało z twoimi włosami? Dlaczego jesteś łysa nad uchem?

To pytanie obudziło Ricky'ego. Spojrzał znad kieliszka i powiedział swoim zwyczajnym głosem:

- Proszę tak nie pytać, madame. Bo się rozplacze. Ale Dolores nie płakała. Utkwiła wzrok w suficie i zaczęła cicho, ochryple opowiadać.

Stało się to na początku jej pracy w fabryce. Zanim się czegokolwiek nauczyła. Zanim poznała Emmę.

- Kim jest Emma? To duża dziewczynka. Przyjaciółka. Też pochodziła z Floridablanki i od dawna była w fabryce. Pracowała wtedy w tkalni, dlatego się nie spotkały od razu.

Dolores była w przędzalni. Bała się. Duże wrzeciona bez przerwy świszcząły, świszcząły i dudniły, nie słyszało! się własnego głosu. Kobieta obsługująca maszynę była zła - chciała mieć doświadczoną dziewczynkę, która szybko zbiera motki, a nie niezdarną nowicjuszkę. Zezłościła się

jeszcze bardziej, kiedy się okazało, że Dolores za późno dobiega do pełnych motków. Naprawdę bardzo się starała - „naprawdę, madame” - ale nie nadała. Maszyna była długa, jak z przodu motek był pełen, musiała jednocześnie pomagać w związywaniu rwącej się przędzy z tyłu, w końcu nie wiedziała, gdzie ma iść, poza tym nie potrafiła dobrze wiązać, nigdy się tego nie uczyła, nie miała pojęcia, że powinna to umieć...

Kobieta wyzwala ją od leni i uderzyła w ucho. Dolores spieszyła się, jak mogła, ale maszyna była szybsza. Nie radziła sobie, chociaż biegała tak prędko, że chwycił ją kaszel. Miała długie włosy, warkocz się rozplótł, włosy furkotały, „ona naprawdę się starała, madame, naprawdę starała się nadażyć ze wszystkim”. Kiedy kobieta zobaczyła, że ona zajmuje się włosami, rozwścieczona kopnęła kilka pustych motków pod maszynę. Dolores musiała je podnieść, nie mogły tam leżeć. Mister Carubian wyraźnie powiedział: „Żadnych śmieci na podłodze”. Bała się jego głosu, dlatego weszła pod maszynę.

Nie widziałam tego, ale widzę. Szary cement fabrycznych ścian, drzwi otwarte na słoneczne światło i rozedrgane gorące powietrze na dziedzińcu, małe i duże cienie w półmroku, robotnicy i maszyny, zlewają się i dzielą, łączą i rozchodzą. Hałas tak ogłuszający, że nikt go już nie słyszy.

Wrzeciono obraca się i świszczy, sto dwadzieścia obrotów na minutę, przędza się skręca, motek rośnie. To się dzieje bardzo szybko, trwa może trzydzieści sekund, sześćdziesiąt obrotów wrzeciona: włosy dziewczynki, uniesione nagłym podmuchem wiatru, wkręcają się w maszynę. Na białej nici pojawia się czarna smuga, rzemień zapętla się i wolno, bardzo wolno maszyna dźwiga dziewczynkę z podłogi, zrywa skalp z połowy jej głowy, jeszcze chwila, a wciągnie wszystkie włosy.

Kobieta widzi to i krzyczy; krzyczy i wciska guzik, a kiedy wszystko się zatrzymuje, wchodzi pod maszynę, łapie Dolores za bezwładne nogi i ciągnie. Pasemko skóry, na którym wisi dziewczynka, pęka. Oskalpowana Dolores opada na cementową posadzkę.

Nic nie czuje. Krwawi, ale nic nie czuje. Ból pojawia się później, kiedy kobieta wynosi ją na dziedziniec i obmywa ranę wodą z kranu i kiedy nadbiegają inne kobiety, z kłakami nieprzerobionej bawełny z gręplarni. Zwilżyły je whisky mister Carubiana i głowa Dolores płonie. Czuje ogień whisky. Na zawsze to zapamięta. Cały dzień leży na kocu, zbyt obficie krwawi, żeby mogła pracować. Krwawienie jeszcze nie ustało, kiedy przychodzi sam mister Carubian. Sadza ją na stołku i obcina resztę, jej długich włosów. Dostała nauczkę: w fabryce nie wolno się zajmować swoimi włosami. Tutaj się pracuje. Ten, kto tego nie rozumie, nie może nosić warkoczy.

Wieczorem do oskalpowanej dziewczynki zaglądają dzieci z tkalni. Jedno ma dla niej mango. To pierwszy prezent, jaki Dolores kiedykolwiek dostała. I tak poznała i Emmę...

Urwała w połowie zdania i trochę to potrwało, zanim się zorientowałam, że uciekła w sen. Oddychała ciężko, jej broda opadła.

Ricky przestał chlupotać rumem w kieliszku i spojrzał na mnie.

- Czy teraz pani rozumie, madame, dlaczego chcę pojechać do domu, do moich dzieci? To się właśnie dzieje, kiedy człowiek jest bardzo biedny. A beze mnie Zosima i dzieci będą bardzo biedne...

- Rozumiem - odpowiedziałam po dłuższej chwili. - Naprawdę staram się rozumieć, Ricky. Butterfield stał odwrócony do nas plecami i milczał.

To mogłaś być ty, Marito. To mogłam być ja. Przypadek sprawił, że nasze życie potoczyło się inaczej. Nie zasłużyliśmy na nie, po prostu miałyśmy szczęście.

Pamiętaj o tym. Miałyśmy szczęście, mimo naszych narzekań. A dokładniej: mimo moich narzekań. Bo przecież nie wiem, czy narzekasz, czy nadal zaciskasz zęby i milczysz.

W każdym slumsie, w każdej zafajdanej szopie jest ktoś taki jak Dolores, kto ma wszelkie powody do narzekań. Takie dziecko ukryte w najgłębszych cieniach, nie najmłodsze ani nie najstarsze, boi się, ale nie najbardziej, jest chore, ale nie śmiertelnie, jest głodne, ale nie najgłodniejsze. Nikt jej nie pragnął. Sama musi zasłużyć na swoje życie.

Kiedy ma cztery lata, opiekuje się młodszym rodzeństwem, tak jak nią się opiekowała starsza siostra. Bije ich, tak jak ją bito, i kradnie im jedzenie, tak jak starsze siostry kradły jej. A kiedy skończy sześć lat, ktoś bierze ją za rękę - matka, ojciec, ciotka albo kuzyn - i prowadzi do fabryki. Nie ma innego wyjścia. Je za dużo. A pieniądze za jej pracę mogą uratować życie albo zapewnić naukę w szkole małemu bratu.

Kilka lat później, kiedy ma sterane zdrowie i siły, nikt się po nią nie zgłasza. Przypomina przerdzewiałą maszynę. Jest pokrytą bliznami staruszką, z awitaminozą i gruźlicą. Trudno jej wyżyć na ulicy: fabryka tak ją oszpeciła, że nawet nie może żebrnąć. Ci, co mają pieniądze, cofają się na widok jej zniszczonej twarzy. Żebrzące dzieci powinny być słodkie, powinny budzić współczucie i elegancko płakać, z kamiennymi twarzami. Dzieci sterane pracą trzęsą się, są kościste, robią brzydkie grymasy. Odstrasza ją.

Czasami udaje im się znaleźć dom. Czasami udaje im się wyżebrnąć pracę w innej fabryce. Czasami gubią drogę w popiele.

-Zawsze bała się biedy - mówię Katarinie Sóderb - Proszę to napisać. Moją mamą powodował lęk przed ubóstwem. Zmienia się wyraz jej twarzy. Nie rozumie, że mówię poważnie.

-Ale dlaczego tak się bała? Co jej się przytrafiło?

-Nie znam szczegółów. Wiem tylko tyle, że nie spotkałam nikogo, kto tak jak ona bał się biedy. Wiedziała, co znaczy, i chciała ochronić przed nią innych. Zapada cisza, Katarina Söderberg notuje.

-Chwileczkę - mówię. - Pomyliłam się...

Podnosi pióro i czeka. Nie potrafię tego wyartykułować. Krtań się zaciska, nie pozwala się wydostać zakazanym słowom. A chcę powiedzieć, że to nie mama bała się najbardziej, tylko tata.

Rozglądam się po dobrze mi znanym pokoju. Żyrandol i dywany, mahoń i bordowy plusz. Wybierał głównie tata przynosił do domu drogie przedmioty, jak trofea, i kładł je mamie u stóp. Ale ona patrzyła przez okno i marzyła o meblach Brunona Mathsona i litografiach z Towarzystwa Krzewienia Sztuki. Czasem ulegał i godził się na jej zachcianki. W kącie salonu majaczy fotel „Pernilla”, a na ławie stoi wazon Alvara Aalto i gardzi swoim otoczeniem. W hallu wisi cykl rzewnych ludowych litografii, zmęczonych i zrezygnowanych po trwającej dziesięciolecia walce z barachłem taty w pozłacanych ramach. Bananowy Dom jest twierdzą, fortecą moich rodziców przeciwko biedzie. Chcieli ją zostawić na zewnątrz. Ale się nie udało. Zamknęli ją w środku. Nareszcie przychodzi płacz, nareszcie mogę opłakiwać rodziców: nie tylko ich śmierć, ale także ich życie.

Przez trzy dni NogNog leżał pod ścianą, cicho i nieruchomo. Trzy szare dni. Dni popiołu i deszczu.

Szary to kolor zniesławiony, obrzydzony i oszpecony cementowymi i betonowymi wytworami ludzi. Szarość w naturze jest zupełnie inna; to połyskliwy piasek przesypujący się przez palce, jesienne mgły, padający nocą letni deszcz.

Rozkoszowałam się spokojem tych szarych dni, chłonełam ich szarość, chciałam, żeby przesyciły mnie jej wszystkie ciepłe odcienie. Wstawałam wcześniej, bezszelestnie wślizgiwałam się do kuchni i gotowałam ryż na śniadanie. Potem, kiedy Butterfield i Ricky powoli wynurzali się z otchłani nocy na powierzchnię dnia, bawiłam się cichutko z dopiero co obudzoną Dolores.

Miałam niewiele obowiązków i dużo czasu na przyjemności. Regularnie aplikowałam pojękującemu nieznanemu aspirynę i wodę mineralną i trzy razy dziennie musiałam pamiętać o gorącym ryżu.

Bardzo często bawiłam się z Dolly. Znalazłam kawałek sznurka i nauczyłam ją starej gry: jedna osoba rozpina sznurek na palcach i robi z niego koszyk, druga osoba odpowiednio go chwyta i robi z koszyka łóżko, potem ta pierwsza zdejmuje łóżko i tak powstaje sieć rybacka...

Kiedy zmęczyła ją ta zabawa, poświęciłam jabłko, wycięłam w nim oczy, nos i usta, nabiłam na patyk i ubrałam w płomienny jedwabny szal Kenzo, jeden z wielu prezentów Ulfa kupionych w tca-free w innym czasie i w innym życiu. Dolores przyglądała się temu z powagą i ledwie lalka była gotowa, przytuliła ją do piersi. Dużo spała, może dlatego, że Butterfield odstąpił jej swoje środki przeciwbólowe. Dawałam jej po pół tabletki! dwa razy dziennie, dzieliłam je nożem, bardzo ostrożnie, żeby się nie pokruszyły. Trzeba je było oszczędzać. Zasypiała w moich ramionach. Kiedy zapadała w głęboki sen i nie słyszałam już jej oddechu, układałam ją delikatnie na podłodze i wymykałam się do kuchni, żeby zrobić pranie. Suszyłam je na regale. Pokój pachniał mydłem.

Ricky i Butterfield znikali na wiele godzin. Codziennie wyprawiali się do bezimiennego miasteczka i włamywali do domów i sklepów. Wracali w porze obiadowej, obładowani łupami: ryżem i piwem, konserwami i napojami orzeźwiającymi. Po jedzeniu ucinali sobie drzemkę pod stołem, a ja siadałam na schodach z filiżanką kawy. Nad miasteczkiem wisiały ciężkie chmury, stopniowo ciemniały, zbierały się przed deszczem. Kiedy czułam na ciele pierwsze krople, ostrożnie wносиłam do domu kwiatki, które zdążyły mi sfrunąć na spódnicę. Wkładałam je do miseczki z wodą i stawiałam na stole, zadowolona, że udało mi się je ocalić od deszczowej chłosty i zagłady.

Tak, Marito. Przyznaję. To było głupie.

Podczas tych szarych dni byłam bezgranicznie głupia. Otwarta na wszystko i wszystkich, bezbronna wobec miłosnych uniesień i matczynej czułości, kompletnie obnażona i niepomna, że ów szary błogostan nie może trwać wiecznie.

Popiół kurczył się na deszczu, zamieniał w ciężką błotnistą maź. Przedpołudnia spędzałam w domu, nie miałam ochoty brodzić w lepkiej papce, a kiedy Butterfield budził się z poobiedniej drzemki i uśmiechał do mnie, porywczo chwyciłam go za rękę i towarzyszyłam mu wszędzie tam, gdzie chciał.

Chyba przemilczę te chwile, Marito, bo opowiadając o nich, nie uniknęłabym szyderstwa. Patrzcie na Cecylię: w wieku czterdziestu dwóch lat nagle stała się dziewczicą!

Czy kiedykolwiek dobrze się razem bawiliśmy? Tak, naturalnie. Czasami. Często. Dobrze się bawiliśmy, zbierając w lesie świerkowe gałęzie i budując szałas. Dobrze się bawiliśmy, kiedy wszyscy tatusiowie, nawet ojciec Marity, zrobili na podwórku estradę do tańca, a my zrywałyśmy kwiaty do przybrania drzewka świętojańskiego. Dobrze się bawiliśmy, ślizgając się na zboczu Eksjoberget. Moje policzki czerwieniły się jak zimowe jabłka, bladeść Marity nabierała różowego odcienia i jej oczy traciły gorączkowy blask. A potem, kiedy byliśmy starsze? Owszem, dobrze się

bawiłyśmy ostatniej jesieni, zanim wydarzyła się ta historia z Wenus z Gottlósy. Dobrze się bawiłyśmy, tłocząc się w sobotnie wieczory w budce telefonicznej, żeby dokonać przemiany. Czułam się jak Clark Kent. Mięczak, krótkowzroczny reporter z „Metropolis”, wślizguje się do środka, a w dziesięć minut później drzwi się otwierają i wychodzi Superman w błyszczącym trykocie. Dwie piegowate uczennice z Nassjó przeobrażały się w odpicowane panienki raggare.

Odbywało się to według ściśle określonych rytuałów. Wczesnym wieczorem wychodziłyśmy z domu w niemal identycznych ubraniach: obcisłe czarne spodnie, zamszowe kurtki i białe chusty. Tylko nasi rówieśnicy mogli dostrzec minimalne różnice. Kurtka Marity była na zamek błyskawiczny, moja na guziki, czyli mniej szpanerska. Ja miałam kurtkę z prawdziwego zamszu, ona - z lichej imitacji, czyli moi rodzice byli zamożniejsi albo bardziej mnie kochali.

Istniała jeszcze jedna, istotna różnica. Marita wiązała chustę na czubku brody. Świadczyło to o luzackiej bezczelności, na którą nie bardzo mogłam sobie pozwolić. Złoty opowiedział mi ze szczegółami, co mnie czeka, jeśli węzeł zanadto się przesunie do przodu. Lars-Góran był jego gorliwym szpiegiem. Mógł się pojawić w każdej chwili i w dowolnym miejscu tylko po to, żeby mnie przyłapać na gorącym uczynku. Żadne z nas nawet nie udawało, że ten nadzór bierze się z miłości i troski o mnie. Złoty, Lars-Góran i ja wiedzieliśmy, o co chodzi, w Bananowym Domu wszyscy wiedzieli wszystko o władzy i bezsilności.

Nie miałam swoich kosmetyków, to też było zakazane, ale za ich używanie groziła mi niewielka kara. Pożyczałam je od Marity.

Marita wchodziła do budki pierwsza i wyjmowała z kieszeni kurtki kosmetyczkę; małą, kwiecistą, z okuciem z łuszczącego się złotego metalu. Ostrożnie kładła ją na półeczce na książki telefoniczne i wyciągała lusterko. Moim zadaniem było je trzymać, kiedy robiła sobie makijaż.

Nie trwało to długo. Najpierw pokrywała piegi brązowym kremem, potem malowała usta blad różową pomadką, tak że wyglądały jak białe, i obrysowywała oczy grubą czarną kredką. Na koniec pluła na szczoteczkę, pocierała nią mocno o czarny tusz w kamieniu i kiedy jej długie rzęsy nabierały odpowiedniej objętości, rozmawiałyśmy o tym, co się naprawdę liczyło: o chłopcach w czarnych skórzanych kurtkach, z wypomadowanymi włosami. - Przysięgam, że Glenn Nilsson ma na ciebie oko

- powiedziała Marita, przyglądając się swoim rzęsom.

- W zesłą sobotę bez przerwy się na ciebie gapił, ale bał się podejść po tym, jak załatwiłaś Henrika.

Przygryzłam wargę i milczałam; nie chciałam do tego wracać.

Marita włożyła lusterko do kosmetyczki i znów wyjęła brązowy krem. Zamknęłam oczy i podniosłam grzywkę, żeby miała dostęp do wszystkich czterech newralgicznych punktów na mojej twarzy.

-Chyba rozumiesz, że się spietrał... jak zobaczył, że walisz faceta w nos. I wszyscy rechoczą... Staralam się mówić, nie napinając mięśni twarzy.

-Nie mam zamiaru bić Glenna. Jestem w nim zakochana. Marita wyjęła pomadkę i westchnęła.

-Cecylia, załapże wreszcie! - powiedziała wolno i wyraźnie, jak do nierozgarniętego dziecka. - Nie przywała się chłopakowi pośrodku Sódra Torget, kiedy inni patrzą! Jak chcesz, żeby ci wypaliło z Glennem, musisz być miła dla wszystkich facetów. Chcą się z tobą całować, to się z nimi całuj, po kolei, aż w końcu podejdziesz i Glenn... Stój spokojnie, bo się rozmaże.

Odwróciła się po konturówkę. Otworzyłam oczy i patrzyłam na jej plecy. Strategia, którą proponowała, była odpychająca, ale sprawdzona. Przetestowała ją osobiście trzy tygodnie wcześniej, kiedy załatwiła nam miejsce w jasnoniebieskim fordzie fairline z Malmbacku. Stałam przy samochodzie i udawałam, że mam okres, a Marita traciła cnotę na tylnym siedzeniu.

-Chodzi mi o to - podjęła Marita i napluła na szczoteczkę - że w życiu by mi nie wyszło z Lassem, gdybym tak nie zrobiła. Zaczynałam mieć dosyć jej przechwałek o utraconym dziewictwie.

-Ty z Lassem? - stwierdziłam kąśliwie. - Od tamtej pory w ogóle się nie pokazał...

Otworzyła tusz.

-I co z tego? - odparła z nieznośną pewnością siebie. - Z czasem pojawi się na Sódra Torget. I ja będę tam na niego czekać. A póki co, są inni... Obejrzałam swoją czarno-białą twarz w lusterku. Zdziwiło mnie, że nie było na niej widać zazdrości.

Tak, Marita, zazdrościłam ci. Zwłaszcza w tamtych ostatnich tygodniach. Zazdrościłam, kiedy chichotałaś na tylnych siedzeniach samochodów, zazdrościłam, kiedy dłonie chłopców wślizgiwały się pod twój sweter, i zazdrościłam, słysząc chrzęst rozsuwanego zamka błyskawicznego w twoich spodniach. Siedziałam wtedy z przodu, wyprostowana i nieprzyjazna, z zaciśniętymi pięściami i fikcyjną, niekończącą się menstruacją. Też chciałam wzbudzać pożądanie, chciałam być równie pożądana jak ty, na niczym innym tak mi nie zależało. W końcu znalazłaś broń przeciwko światu, twarz ci pojaśniała, oczy błyszczały. Wyglądałaś jak święta, jak czarnooka madonna z tapirowanymi włosami. Dopięłaś swego. Nareszcie byłaś chciana.

Czego myśmy się właściwie nauczyły w tym okresie swobody, Marito? Jedyne różnych postaci cielesnych uciech, magicznych tricków lubieżności. I tak to trwało, przynajmniej w moim wypadku, choć, rzecz jasna, z upływem lat poznałam więcej takich tricków.

Dopiero dzięki Butterfieldowi zrozumiałam, że erotyka to nie tylko gra o władzę i variétés.

Zabierał mnie do splądrowanych sari-sari-stores i zrujnowanych domów. Milcząc, przyciskał mnie do chropawych cementowych posadzek lub jedwabście miękkich desek ścian. Był panem mojego pożądania. Wiedział o tym i ani trochę go to nie peszyło. Chwytał mnie za włosy, pocierał twardym członkiem mój brzuch i nie reagował, kiedy jęczałam, przekonany, że jęczę z rozkoszy, a nie z bólu. Przywierałam policzkiem do jego zarośniętej twarzy i nabrzmiałe wargi sromowe nabrzmiewały jeszcze bardziej. Głaskałam siwe włosy na jego piersi i coraz mocniej wilgotniało mi podbrzusze. Osuwałam się przed nim na kolana, muskałam dłońmi żołądź i czułam, jak pulsuje mi krew między udami; gorąca, paląca. Erotyka jest mszą, Marita. Pożądanie ma swoją liturgię. Tego się nauczyłam, kiedy Butterfield Berglund raz po raz zamieniał mnie w dziewicę.

W miarę upływu szarych dni Ricky stawał się coraz bardziej milczący. Ile razy przychodziłam z Butterfieldem do domu, wydawał się zażenowany. Nie patrzył na mnie, uciekał spojrzeniem, dopóki nie postawiłam na stole butelki tanduaya. Pił w zapamiętaniu; dopiero kiedy poczuł rum w żyłach, zaczął mówić o tym, o czym nieustannie myślał. O powrocie do domu.

Rozważaliśmy mnóstwo nierealnych możliwości Butterfieldowi marzyły się sanki. Moglibyśmy je zrobić z plastiku, którym wyłożony był bagażnik, a uprząż z pasów bezpieczeństwa. Położylibyśmy na saniach Dolores, Ricky i ja byśmy je ciągnęli. On niośłby prowiant w zdrowym ręku.

A co z nieznajomym? - spytałam. - Zostawimy tutaj, żeby umarł z pragnienia?

Ricky'emu marzyło się uruchomienie samochodu. Gdyby tylko zdobył benzynę, na pewno udałoby się go zapalić.

- Pkase, Ricky - powiedziałam. - Spójrz prawdzie w oczy. Nie ma już dróg! Nie lepiej poszukać jakiegoś wózka? Albo roweru?

- W tej paciai nie uciągnie się żadnego wózka - odparł Butterfield. - A na rowerze nie pomieścimy Dolly i tego tam. Odpada. Nie możemy mieć niczego na kołach. I Ugrzęźniemy gdzieś i tyle...

„Ten tam” - mówił Butterfield. „Nieznajomy” - mówiłam ja. „That man” - mówił Ricky.

Rzadko o nim rozmawialiśmy; jakbyśmy się łudzili, że się rozplynie i szczeźnie, jeśli tylko dostatecznie długo będziemy go ignorować. Nie cierpieliśmy go i lękaliśmy się. Każdy na swój sposób i z różnych powodów. Ricky dlatego, że przez niego nie mogliśmy ruszyć w drogę.

Dolly dlatego, że jemu także musiałam poświęcić trochę czasu; kiedy jęczał, obrzucała go zazdrosnym spojrzeniem i wczepiała się w moją spódnicę, żeby mnie zatrzymać.

Butterfield obawiał się zagrożenia, jakie stwarzał nieznajomy. Często stawał w drzwiach i intensywnie wpatrywał się w deszcz. Chyba podejrzewał, że gdzieś w pobliżu ukrywają się towarzysze broni NogNoga. Ja go nie znosiłam, bo przypominał mi o innym świecie. Cierpienie NogNoga psuło mi zabawę w dom dla lalek.

Zbliżał się wieczór. Butterfield i Ricky znowu przepatrywali miasteczko w poszukiwaniu jedzenia i jakiegoś sensownego rozwiązania. Siedziałam w otwartych drzwiach i przyglądałam się szarości.

Dolores pojękiwała we śnie, budziła się.

Po deszczu w pokoju zrobiło się jaśniej. Dopiero teraz było widać, jaka jest brudna. Pogłaskałam ją po włosach.

- Musimy cię umyć, Dolores.

Postawiłam miednicę na podłodze w kuchni i uniosłam jej głowę. Leżała nieruchomo, z szeroko otwartymi oczami, kiedy zmoczyłam jej włosy, i leciutko pociągnęła nosem, kiedy nalałam szamponu. Podsunęłam jej butelkę pod nos, żeby lepiej poczuła zapach. Uśmiechnęła się.

Po pierwszym płukaniu woda mineralna była czarna i tłusta. Przejaśniała po czwartej porcji szamponu.

Na umycie dziewczynki zużyłam sześć butelek. Siedziała oparta o nieheblowane deski kuchennej ściany: uśmiechnięte, świeżo wymyte dziecko, owinięte w mój pasiasty ręcznik kąpielowy.

Podrapała się nim po nosie i ostrożnie pokiwała palcami zdrowej stopy. Ciągle szarawe.

Dolores stała się małą dziewczynką.

Jestem malutka i idę z mamą żwirowym chodnikiem. Mama uszyła mi niebieski płaszczyk z aksamitnym kołnierzykiem. Do bucików wpadł mi żwir, balansuję na jednej nodze, kiedy mama opróżnia najpierw jeden bucik, a potem drugi. Obok przechodzi jakiś pan, ma duże buty i patrzy na mnie.

- Mamo, dlaczego wszyscy duzi się ze mnie śmieją? - pytam.

- Nie śmieją się - odpowiada mama. - Uśmiechają się. Uważają, że jesteś słodka. To dlatego.

Znów idziemy, ramię mi się wyciąga, bo mama się spieszy.

- Marita ma loki - mówię.

- Mmm. Ale to nie są prawdziwe loki. Ma trwałą.

- A dlaczego ja nie mam trwałej?

- Bo jesteś za mała.

- Marita też jest mała.

-Tak, ale jej mama uważa inaczej niż ja. Według mnie wyglądasz bardzo ładnie bez loków. Jeśli ktoś jest grzeczny, loki nie mają większego znaczenia. Najważniejsze, żeby częściej myśleć o innych niż o sobie.

Jest mi wstyd, potykam się. Ja najczęściej myślę o sobie. I o lokach.

Wyjęłam z walizki żółtą jedwabną bluzkę; to będzie jej sukienka. I białe bawełniane figi z malutką czerwoną kokardką na gumce w talii. Były zdecydowanie za duże, ale ona je uwielbiała. Zadzieriała bluzkę i obmacywała kokardkę. Przyniosłam perfumy. Zachichotała i spłoszyła się, kiedy rozpyliłam je na jej nadgarstku. Potem zademonstrowałam, jak powinna je wcierać, żeby uzyskać właściwy zapach, powąchałam jej dłoń i wzniosłam oczy ku niebu. Dolores zrobiła to samo i zaśmiała się ochryple.

Sama mogła wybrać biżuterię. Z plastikowej torebki wysypałam jej na kolana naszyjniki i klipsy. Kiedy zrozumiała, że ma wolną rękę, zastanawiała się w skupieniu. Zdecydowała się na ceramiczne korale w jaskrawych kolorach i łańcuszek ze sztucznego złota. Był lekki, jak z plastiku, ale bardzo błyszczący. Podsunęłam jej lusterko. Spojrzała na swoje wystrojone odbicie i znów się zaśmiała.

W drzwiach stanął Butterfield.

-Co robicie? Nie było na to słów, w każdym razie nie takich, które mówiłyby o powadze tej zabawy.

Odłożyłam lusterko i skorzystałam z wyświechtanej frazy.

-Spójrz, jaka Dolores jest słodka! Wyniosłam ją z kuchni. Stała w pokoju na jednej nodze, trzymając mnie za ramię. Kulawa, na wpół łysa istotka o niedomytych stopach. Żałosne. Ale nie tylko. W tej budzącej litość postaci przeświecało prawdziwe piękno i Dolores o tym wiedziała. Uśmiechnęła się półgębkiem, spuściła wzrok i pogłaskała jedwab bluzki. Butterfield i Ricky zareagowali spontanicznie. Stanęli metr od niej i powiedzieli, że jest słodka. Niesamowicie słodka. Jak mityczna Maganda! W nagrodę przyniosłam im po piwie.

Włosy to pierwsza radość z bycia kobietą. Dorośli już się ze mnie nie śmieją, a loki Marity się prostowały. Jej mamie odechciało się chodzić z nią do fryzjerki, poza tym to za dużo kosztuje.

Zdecydowanie za dużo. Teraz Marita nosi półdługie włosy. Zanim jej urosły; może miała pazia. Ja czeszę się w koński ogon. Jest długi! nad czołem piętrzy się grzywka. Staję na sedesie, przed lustrem, i oglądam go w lusterku, które trzymam za głową. Przypomina miedzianą rzekę; jest ładny. Chłopcy w szkole szybko przestali mi dokuczać z powodu koloru. Z dumą potrząsam moim wspaniałym ogonem, wydaje mi się, że lśni w słońcu. Ale najbardziej się cieszę wieczorami. Rozbieram się, idę do łazienki, siadam na sedesie i rozpuszczam włosy. Spływają mi po plecach. Patrzę w sufit i lekko potrząsam głową. Chcę, żeby mnie pieściły. Codziennie sprawdzam! palcami ich długość. Łopatki zakrywają już dawno, niedługo sięgną talii.

Chciałabym, żeby cały świat zobaczył moje rozpuszczone włosy, chciałabym biec i czuć, jak się rozwiewają. Ale w ciągu dnia nie wolno mi ich rozpuszczać. To wygląda niechlujnie.

Mama ma nową fryzurę: włosy gładkie i loki nad uszami. Uszyła sobie turkusowy kostium z miękkiej wełny. Spódnica jest rozkloszowana. Kiedy mama przede mną kuca, żeby spojrzeć mi prosto w oczy, układa się jak u księżniczki.

- Ale ty wyglądasz! - mówi. - Zdejmij ten sweter, jest cały w plamach. I jak od ciebie zalatuje. Fuj. Znowu się zsikałaś. Rozpacz mnie ogarnia, moje dziecko.

- Cholera, co za ohyda! - dodaje rutynowo Lars-Góran.

- Nie klnij - upomina mama. - I to właśnie teraz, Cecylia, kiedy się spieszę. No, trudno, sama będziesz musiała sobie poradzić, w szafie są czyste ubrania. Lars-Góran, pomóż Cecylii coś wybrać... I powiedz tacie, że nie wrócę późno, jedzenie jest w piekarniku. Drzwi się zamykają, obcasy stukają na schodach.

Wchodzę do toalety i rozpuszczam włosy. Wiem, że jest środek dnia i że to zabronione. Długo się czeszę, potem staję na sedesie, z lusterkiem w rękę, żeby zobaczyć się z tyłu. Rude włosy połyskują i nareszcie sięgają talii.

Lars-Góran nie słyszy, kiedy się wymykam z domu, coś czyta, jest w innym świecie, w którym nie ma ani mnie, ani mojego poplamionego sweterka, ani zasikanych majtek.

Jest kwiecień, powinnam włożyć czapkę, ale co tam. Idę z gołą głową do Eksjöberget i czuję, jak wiosenny wiatr podnosi mi włosy. Jestem absolutnie szczęśliwa, mimo że w lesie nikogo nie ma, mimo że tylko drzewa mogą podziwiać ich piękno.

Włosy Dolly po wyschnięciu nabrały jedwabistej miękkości. Położyła głowę na moich kolanach i głaskała się po jedwabnym brzuchu.

- Czy Emma miała długie włosy? - spytałam.

Nie. Nikt nie mógł nosić długich włosów w fabryce. Tak zdecydował mister Carubian po tym, co się stało. On pierwszy opuścił fabrykę. Kiedy zaczęło się ściemniać, polecił dwóm dorosłym robotnikom z gręplarni wynosić po kolei wszystkie rzeczy z biura. W tkalni i w przędzalni maszyny ciągle pracowały, ale ludzie byli niespokojni, co chwila znajdowali jakiś pretekst, żeby przejść obok drzwi i wyjrzeć na dziedziniec. Gęsty mrok w środku dnia. To było nienaturalne, ale przecież nie można ot tak po prostu wyjść, bo jak wyleci się z pracy, to co wtedy... Dzieci też zwolniły tempo. Dolores już nie biegła, kucnęła i zatopiła się w miarowym łoskocie maszyn. Kobieta z którą pracowała, stała wraz z innymi przy drzwiach i patrzyła, jak mister Carubian wsiada do obładowanego samochodu i każe szoferowi uruchomić silnik. Robotnicy zatrudnieni do wynoszenia rzeczy z biura o coś go zapytali. W odpowiedzi uczynił kilka pełnych irytacji gestów, po czym wcisnął guzik podnoszący szybę i położył rękę na uchwycie powyżej. Chciał odjechać. Już. Natychmiast.

Mężczyźni z gręplarni przecięli dziedziniec i podeszli do stojących przed przędzalnią kobiet. Zamienili z nimi parę słów, wszystkich ogarnęło wahanie, popatrzyli najpierw na czerniejące niebo, potem na siebie i wzruszyli ramionami.

Nie musieli podejmować żadnych trudnych decyzji. Zostały podjęte za nich. Wysiadł prąd i maszyny stanęły. Z biura przybiegł jakiś młody mężczyzna, obowiązkowy i zdeterminowany, szybko jednak spuścił z tonu. Nie mógł się przecież wyklócać z elektrycznością, a innego sposobu wznowienia produkcji nie znał. Stanął w drzwiach, opuścił ramiona, w końcu z rezygnacją machnął ręką. Dorośli ruszyli do wyjścia, tłoczyli się, nagle zdjęci paniką, porażeni lękiem. Chcieli do domu, do swoich chat i szop. Wszyscy myśleli o dzieciach i starcach, których trzeba ratować przed tymi nienormalnymi ciemnościami i podmuchami wiatru, zwiastującymi rychłe nadejście orkanu.

Zostały jedynie fabryczne dzieci. Gromadka obdartusów stała w drzwiach mrocznej przędzalni i patrzyła za biegnącymi dorosłymi. Jakiś chłopczyk rozplakał się i wołał mamę. Coś w nich drgnęło, nie chcieli tego słuchać, rzucili się na chłopca, pobili go i zatkali mu usta nie gręplowaną bawełną.

Kiedy ją wypuścił i oczyścił palcem podniebienie, nikogo nie było. Jakby wszystkich zdmuchnęła szalejąca wichura.

Emma chwyciła Dolores za rękę. Inne dzieci rozproszyły się w okamgnieniu, ale Dolores i Emma trzymały się razem. Mknęły, co sił obok siebie, ręka w rękę, prosto w ciemność i popiół.

-Gdzie chciałyście biec?

-Do mamy Emmy. Do Floridablanki. Emma myślała, że zna drogę. Ale żadnych dróg nie było. Wmieszały się w uciekający tłum, przez chwilę biegły wraz z innymi i nagle się rozdzieliły. Przerazona Dolores zaczęła głośno krzyżeć, Emma odkrzyknęła w odpowiedzi, odnalazły się, wczepiły w siebie i odłączyły od reszty. Chciały pójść inną, własną drogą. Szły, dopóki mogły się utrzymać na nogach. Orkan czasami się z nimi bawił, wyrastał przed nimi jak niewidzialna ściana, by w sekundę później dąć im w plecy. Emma dostała w głowę kamieniem, zabolalo ją, upadła, ale zaraz się podniosła, przebiegła kilka metrów, znów upadła i pociągnęła za sobą Dolly. Kiedy leżały, ciągle trzymając się za ręce, ziemia zaczęła się poruszać, falować jak ocean, potrząsać nimi i szarpać; o wiele mocniej i dotkliwiej niż wtedy, gdy tarosili je dorośli. I nagle Emma zniknęła. Dłoń Dolores była pusta, ona sama wyzuta ze słów i myśli. Emma zniknęła. Przestała istnieć. Dolores krzyczała, pełzała po rozkołysanej ziemi i wołała przyjaciółkę, wyciągała ręce w czarną nicość.

- Ona płacze, madame - z wyrzutem powiedział Ricky. - Nie powinna pani tyle pytać. Ale ja musiałam wiedzieć. A potem? Co było potem?

Płacę i wstydę się, że płacę, szydzi ze mnie pewna myśl, mówi, że wszystko jest kłamstwem i zmyśleniem, inna myśl każe mi się zastanawiać nad tym, co robię, nie wolno się całkowicie obnażać, zwłaszcza przed dziennikarzami. Nawet dziennikarzami ze „Smalands Dagblad", bo a nuż napiszą coś mdłego i sentymentalnego, i już nigdy więcej nie sięgnie się po tę gazetę...

Żadne myśli mi nie pomagają; łzy płyną ciurkiem, płacz wydobywa się z gardła jak lawa.

Katarina Söderberg staje się nieporadnie macierzyńska. Widząc, że moja chusteczka jest wilgotna i nie do użytku, idzie do kuchni po papierowy ręcznik. Kiedy mi go podaje, dzwoni telefon.

-Odebrać? - pyta.

Kiwam głową, nic nie mogę powiedzieć, ale myślę z krystaliczną jasnością, rejestruję wszystko.

-Halo? Cisza.

-Tak, jest, ale, niestety, nie może teraz rozmawiać. Czy mogłaby oddzwonić? Cisza.

-Co mam przekazać? Aha, dobrze, proszę spróbować za pół godziny.

Wraca bezgłośnie. Pewnie dlatego, że ma grube skarpety. Staje przede mną, podnosi filiżankę ze stołu, nie zamierza siadać, chce tylko dopić kawę.

-Kto to był? - pytam przez łzy.

-Jakaś kobieta. Chciała z panią rozmawiać, ale nie chciała się przedstawić. Powiedziała, że może znowu za chwilę zadzwoni. Marita. To na pewno Marita.

Odprowadzam ją do drzwi, z papierowym ręcznikiem pod pachą.

-Przykro mi, że panią zdenerwowałam - mówi, wkładając skórzaną kurtkę.

- Nie miałam takiego zamiaru. Czuję się nieswojo, chcę się jej jak najszybciej pozbyć, ale jak zwykle wypowiadam stosowne frazy:

-To nie pani wina, tylko sytuacji. Po prostu coś we mnie pękło. Proszę mi wybaczyć, nie chciałam.

-Nic się nie stało. Kiwam głową i otwieram drzwi, obu nam zależy, żeby jak najszybciej zakończyć spotkanie. Kiedy jest już w ogrodzie, nie wytrzymuję.

- Jaki miała głos? - pytam. - Ta osoba, która dzwoniła? Katarina Söderberg zastanawia się chwilę, wzrusza ramionami i odpowiada jednym słowem:

-Szorstki.

Muszę wyjść, za dziesięć minut mam być w zakładzie pogrzebowym. Mimo to nastawiam uszu, dopóki nie zamknę za sobą furtki, gotowa na dźwięk dzwonka natychmiast wrócić i odebrać telefon.

Ale słyszę tylko swoje kroki.

Mężczyzna z zakładu pogrzebowego wszystko załatwił. Pozostaje mi jedynie powiedzieć „tak”, „nie”, „aha” i złożyć podpis na jakimś formularzu. Odezwali się socjaldemokraci z gminy. Chcieliby wystawić w kościele poczet sztandarowy. Czy się na to zgadzam? Zgadzam się.

I jak pewnie zauważyłaś - yhm, to znaczy, jak zapewne pani Lind zauważyła - „Smalands Dagblad” nie zdążyła zamieścić nekrologu w dzisiejszym numerze. Czy mamy go przeredagować, uzupełniając o dzień i godzinę pochówku? Tak. Czy możemy zaproponować skromne przyjęcie po pogrzebie w „Hoteli Hógländ”? Kawa, sherry i kanapki? Na siedemdziesiąt pięć osób? Kiwam głową i całkowicie zdaję się na niego. Na pewno wie lepiej ode mnie, ile osób zamierza przyjść. Potem idę do Domu Mody Grens i kupuję czarny lniany kostium. Nie jest mi w nim do twarzy. W czarnym nigdy nie było mi do twarzy.

Czekam czterdzieści pięć minut, ostatnie chwile tuż obok telefonu i w palcie. Cisza. Kilka razy podnoszę słuchawkę, żeby sprawdzić, czy się nie popsuł, ale nie, wszystko w porządku.

Nie ma mnie w domu przez całe popołudnie. Po pewnym czasie zapominam, kim jestem i jak powinnam się zachowywać. Reklamówka Grensa obija mi się o nogę jak tornister. Zapewne dziwnie wyglądam, ale mało mnie to obchodzi. Nie myślę, tylko patrzę. Przyglądam się miastu które budowali moi rodzice: mama swoimi decyzjami, tata dosłownie.

Nassjó przypomina przedszkolaka, wymytego malucha w wypranym ubranku, zadbanego i uczesanego na wodę, ale niekochanego. Wszystko lśni czystością, niczego tu nie brakuje, ale nic nie jest ładne.

Świeżość. Widzę to słowo, bardzo szwedzkie, którego w żadnym dialekcie nie da się wymówić całkowicie naturalnie. Świeży, świeższy, najświeższy. Pastelowe słowa, przypominają trzy kulki lodów: truskawkowych, pistacjowych i cytrynowych. Ludzie są podobni do swojego miasta: czyści i świeży, ale nikt nie jest naprawdę ładny. Może to kolory przydają im brzydoty? Piaskowe włosy i blade oczy. Albo cieniutka skóra. Są przezroczyści jak rybki akwariowe; twarze zaognione od zimna, na skroniach najmłodszych prześwitują niebieskie żyły. Skóra. Odgarniam grzywkę z czoła, żeby się pozbyć wszelkich myśli o białej skórze.

Zwykle piątkowe popołudnie, na długo przed erupcją wulkanu i popiołu.

Spędziłam je w dzielnicy rządowej w Quezon City i wracając do Manili, ugrzęźliśmy w jednym z niekończących się korków. Upał, powietrze stało, tęczowo połyskiwały spaliny. Niecierpliwiłam się, chciałam być jak najszybciej w domu, w basenie pod palmami, marzyła mi się samotna kolacja na tarasie. Westchnęłam i popatrzyłam przez szybę.

- Że też może być tyle samochodów, Ricky... I tyle ludzi. Wzruszył ramionami.

- Będzie lepiej, jak wyjedziemy na dużą avenu, madame. W Europie, na przykład w pani kraju, na pewno jest gorzej. Uniosłam brwi.

-Co masz na myśli? Machnął ręką.

-W Europie wszyscy są bogaci, dlatego więcej tam samochodów i większe korki. Zapaliłam papierosa.

-Wcale nie. Korki są mniejsze. Nie wierzył mi. Widziałam to w jego plecach i karku, bo się wyprostował i usztywnił. Znałam tę reakcję. Jego plecy wyglądały identycznie kilka tygodni wcześniej, kiedy mu powiedziałam, że w Szwecji niedźwiedzie przesypiają zimę. Myślał, że się z niego nabijam, ale, rzecz jasna, nie mógł mi otwarcie zarzucić kłamstwa. Dąsał się przez dwa dni, dopóki mu nie dałam anglojęzycznej broszury o zwierzętach w Szwecji. Potwierdziła moją absurdalną konstatację i uzyskałam wybaczenie. Mądrzejsza o wcześniejsze doświadczenia, próbowałam mu to tak wyjaśnić, żeby się nie obraził.

-W Szwecji nie mieszka dużo ludzi. Miasta są małe i dlatego nie ma aż takich korków...

-Jasne - powiedział Ricky. - Family planning.

-Mmmm. Nasze rodziny są nieliczne. Rzadko się zdarza więcej niż troje dzieci.

-Troje to w sam raz... Albo czworo. Cicho westchnął, zdjął nogę ze sprzęgła i przejechaliśmy kilka centymetrów. W ciągu pół godziny zaliczyliśmy może z dziesięć metrów. Ricky też zaczął się niecierpliwic. Spotniały mu plecy, często przesuwiał dłońią po włosach Dałam mu paczkę papierosów, wyłuskał jednego i pstryknął zapalniczką

-Dziękuję, madame - powiedział, zwracając mi paczkę przez ramię. - Czasami wydaje mi się, że cała różnica polega na planowaniu rodziny...

-Jaka różnica?

- Między bogatymi, a biednymi krajami. Nie chodzi o to, że jesteście biali, Japończycy nie są, ale są bogaci. Bo planują liczebność rodziny. Popatrzył na mnie we wstecznym lusterku, nasze spojrzenia spotkały się. Pokręciłam głową.

-Nie. To zaledwie jedna różnica. I chyba nie najważniejsza. Puścił sprzęgło, nie odrywając ode mnie wzroku. Przetoczyliśmy się metr.

-A jaka jest ta najważniejsza różnica? Spojrzałam w szybę. Na jeepie stojącym na sąsiednim pasie była wymalowana cała story. Wnikliwie się jej przyglądałam, byle tylko nie patrzeć na Ricky'ego.

- Wydaje mi się, że przemysł. Fabryki. Mamy dużo nowoczesnych fabryk...

Zerknęłam we wsteczne lusterko i nasze spojrzenia znów się spotkały. Podejrzewał, że nie jestem szczerą. Odwróciłam głowę. Nie, to zbyt przytłaczające, skomplikowane i nie do końca przemyślane. Nie sformułuję tego, tkwiąc w korku w upalne piątkowe popołudnie. Ricky wzruszył ramionami i spojrzał na zatłoczony chodnik. Popatrz na swoje życie, Ricky, pomyślałam, spoglądając na jego spocone plecy. Popatrz na swoje życie i na moje. Popatrz na tysiące katastrof, które spotykają ciebie i twoich znajomych, na tę permanentną katastrofę, jaką jest wegetacja w biednym kraju. Twój ośmiomiesięczny syn upadł na cementową podłogę i do końca życia będzie kulawy. Samochód twojego sąsiada, który utrzymywał ośmioro dzieci, zżarła rdza. Teraz wszyscy głodują. Twoja kuzynka straciła córkę, bo nie miała w domu elektryczności ani bieżącej wody. Kuchenka spirytusowa się przewróciła, na trzyletniej dziewczynce zapaliło się ubranko. Matka musiała biec do kranu do sąsiedniej dzielnicy i nie zdążyła. Mała zmarła. Popatrz na choroby, na niemożliwe do opłacenia chesne, na zniszczone ubrania i buty, które się zdzierają, zanim się zarobi na nowe... Popatrz na to i pamiętaj, że kiedy ciebie i twoich najbliższych dosięgają katastrofy, ja siedzę sama na moim tarasie. W ciemnościach przemykają nietoperze, okrażają lampę i roztopiają się w czerni, wieczór za wieczorem, noc za nocą. Ale już się do nich przyzwyczaiłam, już o nich nie myślę. Myślę o tym, że mam suchą skórę i że powinnam się odchudzać.

-Wybory - powiedziałam i Ricky natychmiast spojrzał w lusterko.

-Sorry, madame. Nie słyszałem. Pochyliłam się i zgasłam papierosa w popielnicze.

-A, nic takiego. Myślałam głośno po szwedzku...Jak mu powiedzieć, że o różnicy decydują wybory, przed którymi stajemy? Czy posłać siedmiolatka do pracy, żeby czterolatek miał co jeść? Czy głodzić dziewczynkę i karmić chłopca? Czy nastolatka powinna się sprzedawać, żeby nas było stać na lekarstwa dla mamy? Komu pozwolić żyć, komu pozwolić umrzeć? Kto ma najbardziej cierpieć: starzy czy młodzi, mężczyźni czy kobiety?

Chodzę po Nassjó i widzę, co odmalowano i odświeżono, gdzie usunięto splekania i ślady zniszczeń spowodowanych upływem czasu. W końcu zatrzymuję się przed sklepową witryną na Storgatan - kwieciste materiały zasłonowe na białym tle - zamykam oczy i żałuję, że wtedy nie powiedziałam Ricky'emu prawdy. Ta wielka różnica, Ricky, to nie zasłonki ani tapety, nie samochody, rowery ani stereo, nawet nie jedzenie ani nie lekarstwa. Ta wielka różnica polega na tym, że wy bez przerwy jesteście wystawiani na próbę, że każdego dnia stajecie wobec problemu życia i śmierci, dobra i zła.

My, z bogatego świata, kupujemy sobie bezpieczny dystans, luz. Ale kiedy muśnie nas rzeczywistość i pieniądze nie są już w stanie zapewnić nam obrony, załamujemy się. Wiesz o tym, Ricky. Wiedziałaś, że się załamie.

Zachodziło słońce. Kończył się trzeci szary dzień. Zjedliśmy trochę owoców, wypiliśmy trochę kawy. Ricky ulokował się w kącie pokoju, z gazetą na twarzy. Od kilku godzin milczał; jak zwykle zadreślał się losem Zosimy i dzieci. Butterfield wykorzystał inną gazetę. Przykrył nią mokry popiół na najwyższym stopniu schodów.

-Chodź - powiedział. - Chodź, popatrzymy na zmierzch. Przyszłam z Dolores na rękach i usiadłam obok niego. Delikatnie podniósł jej okaleczoną stopę i położył sobie na kolanach.

- Not afraid of me any more? – zapytał? Uśmiechnęła się.

- No, sir.

- Why were you afraid of me? Zawstydziała się i spuściła wzrok.

- You big boss. Nice big boss. Zaległa cisza. Wypełniła nas łagodna szarość.

-Chciałabym, żebyśmy mogli tu zostać - powiedziałam po chwili. Butterfield pogłaskał mnie po plecach.

-Też bym tego chciał. Objął mnie. Oparłam głowę na jego ramieniu. Dolores westchnęła i wtuliła się we mnie.

Zapadły ciemności. Różowe kwiatki błyskawicznie zwiędły i spadły na nas deszczem.

-To dziwne, że nigdy się nie spotkaliśmy w Nassjó - powiedział Butterfield.

- Mmm. Czy Marita nic ci o mnie nie mówiła?

- Może. Nie pamiętam. Nie była zbyt rozmowna.

- Poznałeś jej rodziców?

-Teściową widziałem tylko raz. Przyszła na porodówkę, kiedy Peter się urodził. Była zadowolona i radosna. Przynajmniej wtedy... Według mnie była lekko szurnięta. Pogłaskałam go po udzie.

- Czy mama Marity była szurnięta? - spytał. Zastanowiłam się. „Szurnięta?” Nie, to nie to.

- Nie, była niedojrzała.

- Dziecinna?

-Nie, niedziecinna, lubię dziecinnych ludzi. - Zdumiała mnie żarliwość własnych słów. - Mama Marity przypominała płód. Była na swój sposób nieosiągalna. No wiesz, taki niedojrzały człowiek.

-A tata?

-Tata był po prostu zły. Samolubny, tępy i zły jak każdy pijak. Lubił dręczyć i straszyć ludzi. Zwłaszcza małe dziewczynki. Butterfield westchnął. Usiedliśmy jeszcze bliżej siebie. Niebo było czarne, nigdzie księżyc ani gwiazd. Długo milczeliśmy, a kiedy się odezwałam, mówiłam szeptem:

-Często cię widywałam, Butterfield. Wiedziałam, kim jesteś. I byłam w namiocie tego dnia, kiedy wjechałeś tam z Kometą...

Ochłodziło się, o północy zaczęło padać. Butterfield i Kometa, bohaterowie tego dnia, stali na Sódra Torget i oparci o rumaka Komety, przyjmowali należne im hołdy i wyrazy podziwu. Butterfield, który nie miał najlepszych notowań z powodu rodzinnych koligacji, teraz się zrehabilitował.

-A on ściąga gacie i wypina tyłek - powtórzył po raz dwudziesty zachwycony Kometa. - Co za gość. Dobra robota, Buttis. Butterfield uśmiechnął się skromnie.

-Ciekawe, co powie twój stary, jak wrócisz do domu? rzucił ktoś sceptycznie.

Kometa spojrział w tamtą stronę z wyraźną pogardą. Czy ten sukinsyn nie chodzi w kurtce z galonami? Ludzie w takich kurtkach nie powinni podskakiwać.

-Buttis nie pozwoli się nikomu tknąć. Nawet staremu, zakarbuuj to sobie!

Butterfield zmrużył oczy i popatrzył na galonowego sceptyka. To wystarczyło: chłopak zaciągnął suwak pod brodę i powiedział, że spada do domu.

-Mmmm, czas się zbierać - przyznał Butterfield.

-Podrzucisz mnie, Kometa? Trochę mi brakuje do pełnoletności...

-Jasne - odparł Kometa. - Nie ma sprawy.

Ale nie podwiózł go pod dom. Butterfield chciał się przejść i Kometa zatrzymał się przed starym kościołem w Gamlarpie. Nie wyłączył silnika, zależało mu na tym, żeby jak najszybciej wrócić na Sódra Torget do nowej dziewczyny o białych ustach i czarnych kreskach wokół oczu. Butterfield stał chwilę pod cmentarnym murem i wsłuchiwał się w cichnący odgłos motocykla.

Zbliżał się do domu od tyłu. Tak było rozsądniej. Zanim wejdzie, sprawdzi, co i jak. Między wygodką a drwalką rosły maliny, tam się spokojnie rozezna w sytuacji.

Była cicha czerwcową noc. Szara od mżawki. Butteifield zwrócił twarz ku niebu i pewnie dlatego nie zauważył, co się dzieje na podwórku, dopóki nie wszedł między; krzaki. Co to jest?

Mrugał powiekami. Na żwirowym placu za domem ktoś stał. Upłynęło trzydzieści sekund, zanim zrozumiał. To Wenus z Gottlósy. Naga Wenus z Gottlósy, z rozpuszczonymi włosami i strużką krwi na brodzie. Chwiała się. Po chwili trzasnęły kuchenne drzwi i wychynął Jefferson.

Ciągle miał na sobie białe spodnie, ale zdjął marynarkę i poluzował krawat. W rękę trzymał owinięty wokół zaciśniętej dłoni pas, który wił się w powietrzu, kiedy wymachiwał ramionami.

-Widziałem! - krzyknął. - Ruszyłaś się, dziwko! Ja, narzędzie Boga, wszystko widzę i wymierzam karę!

Smagnął ją przez plecy. Zatoczyła się. Podniósł z ziemi patyk i obrysował jej stopy.

-„Tutaj czeka cię kara”, mówi Pan! Jedną noc i jeden dzień masz tu stać i nie wolno ci przekraczać granic, które On wyznaczył. W dobroci swojej chcę ci uzmysłowić ich istnienie, żebyś zrozumiała, cholerna dziwko, co przystoi małżonce i matce! Ale czy ty możesz być matką? Czy ty możesz być żoną? Ty, pustynia, ty, pęknięte naczynie? - Chwycił się tej myśli, znów smagnął ją przez plecy i podniósł głos.

- Bóg w swojej dobroci oszczędził mi nadmiaru czarciego pomiotu! Alleluja! Wiedział, co robi, kiedy wydał przyzwolenie lekarzom, żeby cię wyjałowili! Chciał mi oszczędzić, mnie, słudze Bożemu, diabelskich potomków. Alleluja! Dzięki, umiłowany Panie, dzięki! Jak taka ladacznica mogłaby urodzić dobrych synów? Zło rodzi zło, ale Bóg oszczędza sługi swoje, alleluja, amen.

Zmęczył się, z kieszeni spodni wyjął chusteczkę i otarł twarz, zauważył, że pada, i spojrzął przez ramię na otwarte drzwi i ciepłe światło w kuchni.

-Bóg wodzi nas na pokuszenie - powiedział normalnym głosem, wkładając chusteczkę do kieszeni.

- Mnie poddał próbie dzisiejszego wieczoru, używając do tego celu Butterfielda, a teraz ciebie.

Bądź mu posłuszna! Bóg wie, co dla ciebie najlepsze i jeśli ruszysz się choćby o milimetr, przeniosę cię do wieczności. Zrozumiałaś? Skinęła głową. Nie patrzyła na niego.

-To dobrze - kontynuował. - A czarcim pomiotem zajmę się, jak tylko przyjdzie. Jasne?

Przytaknęła. Zdzielił ją pasem po udach.

- Podziękuj Panu, dziwko!

- Dzięki ci, Panie - powiedziała Wenus z Gottlósy.

- I co zrobiłeś? - spytałam Butterfielda.

-Schowałem się w lesie. Wiedziałem, że następnego dnia z samego rana przyjdzie Aron. A on nie był zachwycony pobożnością Jeffersona. Wcześniej, kiedy matka obrywała, nie protestowałem, ale kiedy Jefferson został kaznodzieją, od czasu do czasu wtrącał swoje trzy grosze. Poza tym Jeffersonowi brakowało wytrwałości. Przypominał alkoholika: prał matkę, po czym zasypiał, a jak się obudził, wszystko wracało do normy. Jakby nic się nie stało, wolno jednak było o tym napomknąć, musieliśmy udawać że jest tak jak dawniej, czyli okej. Podniosłam zwiędły kwiatek i dałam go Dolores.

-To musiało być wyjątkowo przykre... Zdjął rękę z mojego ramienia.

-Owszem, było, ale nie dla mnie, tylko dla niej. To wtedy zaczęła mamrotać. Nigdy już nie powiedziała zrozumiale ani jednego słowa. Mamrotała. Przynajmniej w domu. A w ostatnich miesiącach zaczęła się włóczyć po mieście. Milczałam. Tak, pamiętam, snuła się tam i z powrotem Storgatan, ze zmarszczonym czołem, z długimi rozwianymi włosami. Ja byłam już dość duża i na jej widok odwracałam wzrok, ale mali chłopcy nie odstępowali jej, szli w jej tempie i małpowali ją, robili miny i wymachiwali rękami,! jakby przeganiali niewidzialnych wrogów. Butterfield znów położył mi rękę na ramieniu.

-Zawiodłem ją. To wszystko była moja wina. Ten cały kram. Chciałem udawać twardziela, ale wcale nie byłem twardy. Powinienem wtedy sprać Jeffersona, powinna zobaczyć, że stoję w jej obronie.

-Przecież byłeś tylko chłopcem...

-Ale mógłbym mu przywalić. Wiedział o tym i dlatego wyżywał się na matce.

-To dlaczego tego nie zrobiłeś? Uśmiechnął się w ciemności.

-Bo myślałem, że może on naprawdę jest narzędziem Boga. Albo samym Bogiem w jakimś cholernym sensie.

Dolores ziewała w moich objęciach. Wniosłam ją do pokoju, przygotowałam posłanie pod stołem, zdjęłam z niej żółtą bluzkę i włożyłam jeden z moich t-shirtów. Kiedy ją przykryłam pasiastym ręcznikiem kąpielowym, od razu owinęła jego kawałeczek na palcu i zaczęła się drapać w nos.

Butterfield objął mnie; staliśmy w milczeniu i patrzyliśmy na małą. Pamiętam, co myślałam: jest doskonała. Tylko jedno usprawiedliwia Boga: pozwala dzieciom przychodzić na świat i istnieć. To jego pokuta wobec ludzi.

Tego wieczoru kochaliśmy się w samochodzie. Klęczeliśmy naprzeciwko siebie na tylnym siedzeniu i powoli nawzajem się rozbieraliśmy. Choć ledwie go widziałam, bo otaczały nas gęste ciemności, czułam jego kolory. Z opalenizną ostro kontrastowała biel w talii, uda były czarnoszarobezowe, a członek brązowoczerwony i ciepły. Objął mnie i wstrzymał oddech. Nigdy nie spotkał mnie piękniejszy komplement.

Potem chichotaliśmy jak nastolatki, daremnie próbując ułożyć się obok siebie na siedzeniu. Było za ciasno. Leżałam z brzegu i bez przerwy zsuwałam się na podłogę. Kiedy się podnosiłam, Butterfield przesunął łokieć o centymetr i znowu zaczynałam zjeżdżać.

-Przestań! - zachichotałam, leżąc na podłodze. - Jesteś dojrzałym mężczyzną i powinieneś się zachowywać z godnością.

-Naprawdę? Ja, stały bywalec więzień?

-Nie przesuwaj łokcia! Nawet fałszerze pieniędzy powinni kiedyś wydorośleć. Zaśmiał się pod nosem.

- Oby nie.

- Jak to robiłeś? Czy to było trudne?

-Kopiowałem. Łatwizna. Wymagało tylko dokładności i skupienia. Nilsson mnie nauczył na swoim aparacie. Był jednym z pierwszych właścicieli kolorowych powielaczy w tym kraju.

-Kto?

-Rolf Nilsson. Ma trzy bary w kurewskiej dzielnicy. Albo miał. Nie wiem, czy jeszcze tam jest. Skrzywiłam się. Oczywiście znałam Rolfa Nilssona. Alfonsowaty typ z baczkami, tak antypatyczny, że kwiaty wędły, kiedy wchodził do jakiegoś pokoju. Ale Bengt i Lidia go lubili: był kimś w rodzaju kapusia, telefonował do ambasady i donosił o niezbyt chlubnych poczynaniach, Szwedów w Manili. Podejrzewano mnie, że czasami do niego dzwonię; nigdy tego nie robiłam, wyobrażałam sobie, że jego lepki głos przyklei się do przewodów.

-Brrr! Jak mogłeś się z kimś takim zadawać? Butterfield roześmiał się.

-Ślubu z nim nie brałem. Pracowałem u niego, prowadziłem mu jeden z barów.

-A powielacz? Butterfield położył dłoń na moim pośladku i przycisnął do siebie.

-No właśnie. Obsługiwałem powielacz. Dlatego to ja trafiłem do więzienia, a nie Rolf Nilsson, co zdaniem prokuratora było jak najbardziej słuszne. Dostał od Rolfa prawdziwe banknoty. Możesz się uspokoić?

Lizałam go po szyi. Smakował migdałami. Chwycił mnie za włosy, przeciągnął po nich palcami i wtulił w nie twarz. Jeszcze raz zatopiliśmy się w sobie. Tej nocy Butterfield opowiedział mi, jak pociął obraz

ołtarzowy. Czy tobie też o tym mówił, Marito? Czy usłyszałaś to samo co ja? E, tam. Nieważne.

Butterfield stoi w atelier, gdzie panuje artystyczny nieład. Ma nóż w ręku. Wygląda groźnie, a jednocześnie zasługuje na współczucie. Wyraz jego twarzy jest równie nienaganny jak wypomadowana fryzura, kunsztownie ułożone loki opadają na czoło, lekko się uśmiecha.

Wallin stoi w drzwiach. Rozłożył ramiona, żeby przeszkodzić Butterfieldowi w jego ewentualnej ucieczce. Boi się, ale jest gotowy na wszystko, nawet na to, żeby dać się pociąć na kawałki, tak jak przed chwilą został pocięty jego blond Jezus.

-Zadzwoń na policję - mówi zdyszany. - Zadzwoń na policję...

Butterfield nie odpowiada. Wypuszcza nóż z dłoni. Ostrze znaczą plamy farby, trzonek jest czerwony i okrągły. Zanim znieruchomieje, odbija się lekko od drewnianej podłogi.

-Powinienem był to zrozumieć - mówi Wallin. - Powinienem był zrozumieć, że nie ma dla ciebie ratunku... Dwa lata pracy! Całe moje życie!

Te słowa zawierają w sobie wiele opowieści. Przede wszystkim opowieść o obrazie, który nosił w sobie od lat i który nareszcie stworzył. Jest tam ciemność i światło, nadzieja i rozpacz, śmierć i zmartwychwstanie; jest tam malarz Wallin i jego religijne myślenie o świetle. Słowa te odnoszą się także do jego wstydlivych marzeń o całkowicie świeckim uznaniu i artystycznej przynależności, co pocięty obraz w końcu by mu zapewnił. Wreszcie - opowiadają o jego udęczonej sumieniu, które kazało mu, acz niechętnie, zaopiekować się najgorszym cygańskim pomiotem w Nassjó. Dlaczego? Po prostu nie mógł nie zauważyć, że miasto oferuje niektórym swoim synom kamienie zamiast chleba i węże zamiast ryb. Takiej właśnie odpowiedzi udzieliłby malarz Wallin, gdyby ktoś zadał sobie nieco trudu, by go o to zapytać. No i jeszcze ta historia z mamą chłopca. Wallin tego nie widział, dowiedział się o wszystkim z plotek, ale czuł! się współwinną jej śmierci i doszedł do wniosku, że powinien coś zrobić.

I zrobił. Czekał na Butterfielda w samochodzie pod bramą zakładu wychowawczego, a potem zabrał go do siebie, do atelier. Zauważył, że chłopak jest utalentowany, kiedy dorabiał jako nauczyciel rysunku w Szkole Głównej. Butterfield milczał, wiele miesięcy pracowali w ciszy, intensywnie, robiąc jedynie krótkie przerwy na herbatę i naukę. Obrazy chłopca wypełniały teraz połowę pracowni. Wallin, stojąc w drzwiach niczym więzienny klawisz, widział, że te płótna żyją, śmieją się i krzyczą, pojękują o tym, co było, i śpiewają o tym, co będzie. No i to: pocięty obraz ołtarzowy, zniszczony Jezus. Dwa lata pracy. Całe życie.

-Zadzwoń na policję! - powtórzył Wallin. Butterfield przysiadł nonszalancko na krawędzi stołu i zapalił papierosa. Na przeciwległej ścianie wisiało lustro, przyglądał się sobie zza dymu. Dobrze. Dobrze wygląda. Może powinien postawić kołnierz skórzanej kurtki...

- Zadzwoń na policję!

- No to dzwoń! Zrób to wreszcie...

Kątem oka dostrzegł ruch Wallina; biały fartuch poplamiony olejną farbą zamigotał w pokoju. Butterfield skupił się na swoim odbiciu w lustrze i postawił kołnierz. Tak jeszcze lepiej. Uznał, że wygląda niemal jak James Dean.

Weszliśmy do domu i położyliśmy się pod stołem. Ricky pochrapywał kawałek dalej.

-Ale dlaczego?- spytałam szeptem.- Dlaczego zniszczyłeś jego obraz? Przecież on cię nauczył malować.

Pomógł ci.

-Z powodu jego pieprzonej uprzejmości. Nie podobało mi się to, że mam być ścierką polerującą jego koronę...Milczeliśmy.

-Ktoś, kto buduje slumsy, musi ponieść konsekwencje - odezwał się po chwili. - Pewnie to chciałem wtedy powiedzieć Wallinowi, ale nie umiałem tego sformułować. On nie rozumiał, że swoją dobrocią zrobił ze mnie wiecznego mieszkańca slumsów. Nie zamierzałem być jego pokutą. Chciałem być Butterfieldem Berglundem, cokolwiek to znaczy, a nie jakimś cholernym symbolem Bóg wie czego. Żyłem obok niego, istniałem jako jednostka, osoba, człowiek, ale on widział we mnie cygana i łobuza i zachłystywał się tym swoim humanizmem dla ubogich. Gdybym mu pozwolił to ciągnąć dalej, na pewno bym marnie skończył. Bez względu na to, ile i czego mnie uczył, nigdy by mnie nie dopuścił do prawdziwej sztuki, do tego, żebym go kiedykolwiek przerósł. Tak było. Nie miałem wyboru. Musiałem to ukrócić.

Butterfield leżał na boku, przytuliłam się do jego pleców i objęłam go. Czułam pod palcami ciepły, miękki i odrobinę pulchny brzuch; za dotykaniem takiego brzucha tęskniłam całe życie. Kiedy zasnął, długo słuchałam jego oddechu, posapywałam Ricky'ego i mamrotania Dolly. Może jednak zasnęłam

- Nie wiem. Wiem tylko, że zadrzałam ze strachu, kiedy NogNog w końcu się odezwał.

NogNog się odezwał. W końcu NogNog się odezwał. Broń, pomyślałam. Butterfield schował jego kałasznikowa. Może jest zły. Strach pulsował mi w skroniach, nie poruszyłam się, leżałam nieruchomo i usiłowałam zrozumieć, co on mówi. Niestety. Wygłosił długą orację w niezrozumiałym tagalskim. Ale w jego głosie pobrzmiwały sztywne, konstatujące tony, których

się nasłuchiwałam podczas niejednej nocy. Ulf często mówił przez sen. To mnie uspokoiło. Na pewno śpi, majaczy albo coś mu się śni.

Postanowiłam rzucić na niego okiem. Wypełzłam spod stołu, wymacałam zapalniczki i zapaliłam świecę. Kiedy na ścianach pojawiły się chybotałe cienie, NogNog umilkł. Powinno było do mnie dotrzeć, że nie śpi, wstrzymuje oddech i czeka. Ale nie dotarło, w ogóle się nie zastanawiałam nad tą nagłą ciszą.

W ciemnościach, ze świecznikiem w ręku, sunęło całkowicie niegroźne stworzenie, bosonoga kobieta, w t-shircie, której ciało było miękkie i tklive od miłości. Wydaje mi się, że się uśmiechałam.

A mimo to NogNog krzyknął na mój widok.

To był piskliwy krzyk, który po chwili przeszedł w głęboki mroczny wrzask autentycznego przerażenia.

Dźwignął się do pozycji siedzącej, przywarł do ściany, skulił i zasłonił głowę rękami. Głos mu się łamał, zmieniał tonację, ale wykrzykiwał tylko jedno słowo. Powtarzał je w nieskończoność.

- Kanos! Kanoos! Kanoos! Jakbym była potworem. Jakbyśmy wszyscy byli potworami.

Równo cztery miesiące po upadku muru berlińskiego zrozumiałam, że Ulf zamierza ode mnie odejść.

Gościliśmy szwedzkich eksporterów. Zabraliśmy ich do Czerwonego Fortu w Delhi. Nie byli szczególnie zachwyceni. Cały tydzień negocjowali, czas wolny chcieli wykorzystać na zakupy. Szwed, który zawita do Indii, musi wypchać walizkę połyskującym jedwabiem i pachnącym drewnem sandałowym. Ale, rzecz jasna, byli dobrze wychowani. Skoro ambasador chciał im pokazać siedzibę Mongołów, pozostawało im jedynie przytaknąć i podziękować. Oboje z Ulfem byliśmy opętani Czerwonym Fortem, ale z różnych powodów. Ulf podziwiał architekturę i szczerze ubolewał, że mury niszczeją, wzdychał nad wietrzącymi mozaikami, popękana posadzką i pustymi sadzawkami, bez złotych rybek. Mnie budynki nie interesowały, chciałam wejść na wschodni mur, żeby popatrzeć z góry na trawiaste zbocze. Zbierali się tam połyskacze ognia i zaklinacze węzów, akrobaci i fakirzy. Jeden z nich lewitował. Leżał pod dużym brezentem i nagle się dźwigał, on i brezent spokojnie unosili się metr nad ziemię. Złudzenie było absolutne. Pod brezentem dało się rozróżnić zarysy jego rąk i nóg.

Jego sztuka czarnoksiężska robiła wrażenie na wszystkich Szwedach. Ta delegacja nie stanowiła wyjątku. Jak on to robi?

- Chyba się na czymś podnosi - powiedział dyrektor „Agi”, zapalając cygaro. - Może podpira się rękami. Na pewno jest fantastycznie wygimnastykowany...

- A brezent? - spytał mężczyzna z „Electroluksu”. - Nie, to niemożliwe. Musi mieć pomocnika. Na pewno wykopali doły, po jednym w każdym rogu i jeden pod nim. I stoją tam ludzie, i go podnoszą...

Lewitujący zaczął powoli opadać na ziemię. Rzuciłam na brezent jedną rupię, dając biznesmenom do zrozumienia, czego się od nich oczekuje. Szukali drobnych po kieszeniach.

- Sześć osób miałyby się dzielić datkami? - zdziwił się mężczyzna z „Agi”, spowijając mężczyznę z „Electroluksu” chmurą niebieskiego dymu. - Nie, na tym się nie utuczają...

Rzucił monetę szerokim łukiem, odwrócił się i odszedł. Nie widział, że trafił nią lewitującego w czoło. Ten zamknął oczy i opadał na ziemię w tym samym, niespiesznym tempie. Zostałam do końca. Wylądował, natychmiast się wyczołgał spod brezentu i zaczął zbierać monety.

Ulf opowiadał zgromadzonym wokół niego biznesmenom o władczych Mongołach. Przy nim stała młoda kobieta, szlachcianka i zdolna negocjatorka Związku Hurtowników, i intensywnie się w niego wpatrywała. W przeblysku olśnienia zrozumiałam, że coś między nimi zaszło i że to nie koniec. W sylwetce, w postawie Ulfa było coś w rodzaju wyznania. A w jej spojrzeniu - świadectwo.

Miałam dwojakie uczucie: głębokiego smutku i wielkiej ulgi. A więc niedługo stanie się to, czego się zawsze spodziewałam. Byłam na to przygotowana. Tysiąc razy obiecywałam sobie, że zniosę upokorzenie z godnością, tysiąc razy mówiłam sobie, że stanie się to dla mnie wyzwoleniem, tysiąc razy ostrzegałam samą siebie, że wszystko się dokona w pierwszej sekundzie, w której sobie to uświadomię. Właśnie wtedy, Cecylio, właśnie teraz, w tym momencie musisz wyprostować plecy i pewnie patrzeć przed siebie, mimo smaku krwi w ustach. Pamiętaj, że Cecylia zniesie wszystko: ciemności, słoiki z gruszkami i opuszczenie.

Szlachcianka położyła dłoń na ramieniu Ulfa i zadała mu jakieś pytanie. Jego oczy się śmiały, kiedy się lekko pochylił i odpowiedział. Odwróciłam się do nich plecami wykrzywiając pogardliwie górną wargę. Przyciągnął moją uwagę połtykacz ognia; z ust buchnął mu płomień. Podeszedł do mnie mężczyzna z „Electroluksu”, oparł się o mur i uśmiechnął.

-Pani mąż jest bardzo biegły w historii. Zdziwiłam samą siebie, odwzajemniając się absolutnie szczerym uśmiechem. Mój mąż odejdzie ode mnie. Who cares!

- Tak, jest bardzo biegły...

- A co mówi teraz, kiedy historia się skończyła? Roześmiałam się. W piersiach chlupotała lodowata

woda.

-Co pan mówi? Historia się skończyła? Spojrzał na połykacza ognia.

-Nie słyszała pani? Piszą o tym u nas w każdej gazecie. Kiedy runął blok wschodni, historia się skończyła. Wszyscy będziemy teraz żyli długo i szczęśliwie i nic się już nie wydarzy...

Połykacz ognia przeplukał usta płynem do rozpałki i przygotował pochodnię.

- A ci ludzie? - powiedziałam, wskazując na niego. Mężczyzna z „Electroluksu” wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Nic o nich nie ma w gazetach. Może to nie należy do historii...

Popatrzyłam na niego z zainteresowaniem. Nietypowy gość jak na przedstawiciela biznesu: rzutki i bystry, wyzbyty tej spazmatycznej potrzeby negocjowania realiów doczesnego świata.

Wyszczrzył się i położył swoją dłoń na mojej. Zirytował mnie. A więc to takie proste: zobaczył, że zostałam porzucona i od razu postanowił zbecześcić małżeński grób. Powiatowy buhaj. Don Juan od odkurzaczy. Tacy faceci przypominają bańki mydlane; uwodząc, lśnią pożądaniem i czułością, a kiedy się odwinie kołdrę i zaprosi ich do łóżka, pękają. Są do niczego. Nie nadają się nawet do tego, żeby ich wykorzystać w akcie zemsty. Odsunęłam się i zaczęłam szukać papierosów w torebce. Połykacz ognia przesuwiał pochodnię po rękach i piersi; żebra odcinały się cieniami od płomieni.

- Proszę popatrzeć! - powiedział mężczyzna z „Electroluksu”, chwytając mnie mocno za ramię i zapominając nagle o wszystkich planach uwiedzenia.

- Widzi pani?! Tam, w grupie żebraków, siedzi biały człowiek. Ten rudy, tam, ten z długimi włosami...

Zapaliłam papierosa i poszłam za jego spojrzeniem. W pewnej odległości od połykacza ognia siedziała gromadka szarych stworzeń. Ich ciała były tak samo zniszczone jak ich ubrania. Choć mieli otępiały wzrok, widzieli, że są obserwowani. Jeden wyciągnął ku nam poranione kikuty rąk, drugi, bez nóg, oparł się kłykciami o trawę i wyprostował, trzeci podniósł się na kolana i czekał, jakby uzgadniał z samym sobą miarę naszej ewentualnej hojności.

Miał bardzo szczególne kolory; brudnobiałą skórę i matowo miedziane włosy, zmierzwione i poskręcane.

Mężczyzna z „Electroluksu” mocniej chwycił mnie za ramię, wyraźnie podniecony swoim odkryciem.

-Widzi pani? Jakim cudem Europejczyk mógł zostać żebrakiem w New Delhi? Myśli pani, że to ktoś w rodzaju hippisa? Uwolniłam rękę i powiesiłam torebkę na ramieniu.

-E - powiedziałam. - Gdyby pan widział jego źrenice, zobaczyłby pan, że są czerwone. To nie jest Europejczyk. To albinos.

Tak.

Butterfield miał rację.

Konsekwencją slumsów jest nienawiść.

Konsekwencją nienawiści jest przemoc.

Konsekwencją przemocy jest śmierć.

Ten, kto buduje slumsy, musi ponieść konsekwencje.

Przez pięćset lat Europa budowała slumsy.

NogNog był konsekwencją tych slumsów.

Nieznajomy krzyczał w nieskończoność. W jego głosie pobrzmiwały na przemian przeraźliwa panika i głuchy lęk, jedno słowo - kanos - obijało się o ściany jak owad uwięziony w lampie.

Butterfield, potykając się, podszedł do mnie, Ricky coś mówił sennym głosem pod stołem, Dolly się rozplakała. Powietrze wibrowało od krzyku. Na próbę zrobiłam krok naprzód, głos podniósł się o historyczną oktawę, szybko się więc cofnęłam, odsuwając jednocześnie Butterfielda.

Dopiero kiedy Ricky wygramolił się spod stołu i nieznajomy zobaczył jego twarz, krzyk zmienił się w piskliwe pojękiwanie. Bez słowa wręczyłam Ricky'emu świecznik i weszłam w strefę ciemności i cieni. Niewiele brakowało, żebym nadepnęła na Dolly, która wypełzła na środek pokoju i leżała, zatykając dłońmi uszy. Schyliłam się i podniosłam ją z podłogi. Uspokojenie go zajęło dużo czasu. W końcu słyszeliśmy tylko głuche mamrotanie Ricky'ego. Siedział przed nieznajomym, świecznik postawił obok. Wysoki jasny płomień już nie migotał.

- Jedzenie - powiedział Ricky, kiedy nieznajomy zamilkł na dobre.

- On musi coś zjeść, madame. Ale proszę się nie zbliżać, bo się boi.. Butterfield poszedł ze mną do kuchni, trzymając Dolly na zdrowym ramieniu. Podgrzałam na kuchence resztki ryżu, wyjęłam trochę konserwowych owoców i to, co zostało z warzyw Ricky'ego. Dolly pociągała nosem, ale zaczęła się uspokajać. Postawiłam jedzenie na podłodze, w ciemnościach. Ricky podniósł się i zerknął na to, co przygotowałam. - I piwo - rzucił. - Musi mieć piwo. Skinęłam głową. Kiedy wróciłam z piwem, Butterfield zdążył otworzyć drzwi i usiąść na najwyższym stopniu. Oparty o futrynę, palił papierosa. Dolly leżała w jego objęciach i patrzyła w noc przytomnym, wszystkowidzącym spojrzeniem. Przysiadłam się, wyciągnęłam do niej ręce, zwinęła się na moich piersiach i westchnęła. Po kilku minutach spała.

Długo tam siedzieliśmy, Butterfield i ja, wpatrując się na przemian w ciemności nocy i ciemności pokoju.

Najpierw słyszeliśmy tylko głos Ricky'ego, ale po chwili odezwał się nieznajomy. Rozmawiali ze sobą.

Na pewno jest w szoku, pomyślałam. Albo mający w gorączce. Inaczej nie mówiłby tak szybko i tak piskliwie...Głos NogNoga rósł i opadał, chwilami był lamentujący i jasny, chwilami gorzki i ostry, chwilami aksamitnie miękki i szepczący. Czasami się śmiał; przenikliwie, kanciasto. Dwa razy załkał i umilkł, zastygł w bezruchu i patrzył na płomień. Migotało, świeca się dopalała, na twarzy NogNoga kołysały się cienie. Kiedy znowu się odezwał, przesunął dłońmi po policzkach. Nagle przyspieszył, palce kreśliły w powietrzu niezrozumiałe litery, słowa wylewały się strumieniami, ale po chwili uwięzły mu w gardle, stłoczyły się, było ich za dużo. Ucichł. Skrzyżował ręce nad głową, jak wtedy, kiedy mnie pierwszy raz zobaczył, przybrał pozycję płodu i zaczął skomleć. Ten dźwięk był ostry jak drut kolczasty.

W końcu umilkł i zasnął. W końcu Ricky się podniósł i podszedł do nas.

- Co on mówi? - spytałam.

- Co to za jeden? - spytał Butterfield. Ricky usiadł po turecku.

-Mówi, że nazywa się NogNog. Ale nie chciał powiedzieć, czy jest w NAL-u, czy nie. Może jest. Nie wiem...Poczęstowałam Ricky'ego papierosem. Zapalił i głęboko się zaciągnął.

-A o czym on tak długo opowiadał? - zapytałam

- Co mówił? Ricky obrzucił mnie niepewnym, sondującym spojrzeniem.

-On się boi, madame - odparł i przesunął ręką po twarzy. - Pani...Uśmiechnęłam się i zmieniłam pozycję. Ciężyła mi Dolores.

-Boi się mnie? Dlaczego? Ricky spuścił wzrok.

-Bo pani jest kano. Mówi, że wszyscy kanos są niebezpieczni...

-A Butterfield? Czy Butterfielda też się boi?

-Nie widział mister Berglunda. Nie wie, że tu jest... Widział tylko panią i to pani się boi.

-Ale dlaczego? Co ja mogę mu zrobić? Świeca zgasła, ledwie rozróżnialiśmy zarysy naszych sylwetek w ciemnościach. Ricky miał spięty, udręczony głos.

-On myśli, że pani mu zabrała kałasznikowa... W brzuchu poczułam motylki niepokoju.

-Boże, Ricky, chyba mu nie powiedziałaś, że znaleźliśmy broń?! Mogłaś powiedzieć, że jej nie było, że jej nie widzieliśmy...Ricky milczał. Butterfield odchrząknął.

-Powiedziałaś mu? - spytał cicho. - Powiedziałaś, że znaleźliśmy jego broń? Żadnej odpowiedzi.

-Do jasnej cholery, Ricky! - Butterfield podniósł głos. - Mamy na karku szaleńca, a ty mu mówisz, że wzięliśmy jego broń?! Ricky nieudolnie majstrował przy zapalniczce, próbując zapalić świecę. Ogarek był zbyt mały, płomyk zamigotał i natychmiast zgasł.

-A co miałem powiedzieć, mister Berglund? Miałem skłamać? Butterfield nabrał powietrza, na moment zaległa cisza

-Okej, Ricky. Co powiedziałeś? Dokładnie, co do słowa. Papieros Ricky'ego intensywnie się rozżarzył.

-Powiedziałem tylko tyle, że znaleźliśmy broń...

-A powiedziałeś, że ją schowaliśmy? Powiedziałeś, gdzie ją schowaliśmy? Ricky poczuł się dotknięty.

-Nie. Przecież nie wiem, gdzie jest broń, bo mi nie powiedzieliście... Butterfield chwycił paczkę papierosów i zaklął po szwedzku:

-O, kurwa, co za fart! Mrówki lęku przebiegły mi po skórze. Muszę mówić, muszę uspokoić Ricky'ego i Butterfielda, żeby samej się uspokoić. Dotknęłam ramienia Butterfielda.

-Nie mów do niego w ten sposób... To tylko pogorszy sprawę...Twarz Butterfielda rozjaśnił płomyk zapalniczki.

-Są pewne granice!

-Ale mimo wszystko... Niecierpliwie wzruszył ramionami. Przeszłam na angielski.

-Nic się nie stało, Ricky. Jest okej. Powiedz coś więcej. Dlaczego on się mnie boi? Był ledwo widocznym konturem, żar jego papierosa pociemniał, głos mu drżał.

-On myśli, że pani chce go zabić, madame. On myśli, że pani chce go zabić i wyciąć mu serce. Zaległa cisza, kompletna cisza. I bezruch. Butterfield i ja nawet nie drgnęliśmy.

-On mówi, że pani jest kanibalem, madame. Że wszyscy kanos to kanibale. Że rozplątujecie takich jak my i kradniecie nam serca. Zamilkł. Czekał na reakcję. Siedzieliśmy z Butterfieldem jak skamieniali.

- Jak kurczaki, madame. Tak powiedział. Że wypruwacie z nas wnętrzności, jakbyśmy byli kurczakami.

Znowu zamilkł i czekał. Kiedy nie odpowiedzieliśmy, podniósł się i wszedł do domu. Po chwili wrócił z trzema butelkami mojego ulubionego piwa „San Miguel”. Pochylił się, postawił butelkę koło mnie i po raz pierwszy odruchowo, spontanicznie chwycił mnie za ramię.

- I'm sorry, madame - powiedział stłumionym głosem.

- I'm sorry. Ale tak właśnie powiedział...

Podjęłam decyzję, zanim ją na własny użytek sformułowałam: nigdy więcej takiej nocy jak ta. Proszki mi pomogą. Wracam do domu na długo przed zachodem słońca i od razu idę na piętro. W popołudniowym świetle sypialnia mamy lśni złotem i różem. Na nocnym stoliku ciągle stoją jej lekarstwa, na półce leży stare wydanie FASS (FASS (Farmaceutiska Specialiteter i Sverige) - wykaz leków dostępnych w Szwecji (przyp. tłum.) Zaczynam przeglądać. Wolałabym się nie pomylić.

Łykam po jednej tabletkę nasennej każdego rodzaju. Czuję się bezpiecznie. Tej nocy nie chowam się w łazience. Buduję schron w sobie. Jest równie pewny. Nie dostaną mnie...

Śpię w swoim pokoju. Śpię siedemnaście godzin i ani żywi, ani umarli nie są w stanie mnie obudzić.

Kiedy się wreszcie wynurzam na powierzchnię, mrugam powiekami i patrzę na swoją dłoń na poduszce. Jest biała i przezroczysta. Skóry mam ciut za dużo, zaczynam się starzeć.

Już wiem, co mnie obudziło. Telefon. Wygrzebuję się z łóżka, potykam, wchodzę do sypialni mamy. Tak, czekam na czyjś telefon, ale czyj? Nie pamiętam.

- Mamo, co się dzieje? Dzwoniłam wczoraj wieczorem i dzisiaj całe przedpołudnie... Gdzie byłaś?

Głos Sophie brzęczy i chrzęści. Świat się przeobraża, wyostrajają się kontury, wszystko staje się wyraźne i jasne, oczywiste i proste. O szybą stuka gałąź. Tak, to tylko gałąź i nie ma tu ani duchów, ani cieni. Muszę jednak głęboko odetchnąć, żeby odnaleźć w sobie maminy ton.

- Niepotrzebnie się przejmujesz, dziecinko, musiałam się wyspać i przyciszyłam dzwonek telefonu. Przykro mi, nie chciałam cię martwić, już doszłam do siebie... A co z tobą, staruszek? Chyba nie rozpaczasz z powodu babci, wiesz jak cierpiała, i że to najlepsze, co mogło się stać... Jak tam sprawdzian z matematyki? Dostałaś piątkę? Świetnie, zawsze jesteś dobra. No to widzimy się w środę, wyjadę po ciebie na dworzec, będziemy miały parę dni dla siebie, zanim zwali się Lars-Góran z rodziną. Weź biały kostium, no wiesz, ten letni. Oddaj go do chemicznego prania, będzie ładny... Aha, już to zrobiłaś? To dobrze... Między mną a córką jest dużo słów, ale niewiele o sobie wiemy. Przez ostatnie lata w Delhi dystans się powiększał, aż w końcu miałam wrażenie, że jej miejsce przy stole znajduje się gdzieś na horyzoncie. Ilekroć wyciągałam rękę, żeby ją przysunąć, wyżebrać odrobinę przyjaźni i wskrzesić naszą bliskość z okresu jej dzieciństwa, wyslizgiwała się i umykała z wdziękiem spłoszonej ryby.

Ledwie odłożyłam słuchawkę, telefon znowu dzwoni. Przenikliwy dźwięk rani uszy, każe mi zamknąć oczy. To Gunilla, ale nie ta z przedwczoraj.

- Mam - mówi z dziwną przekorą.

- Co masz?

- Numer telefonu do Marity. Pomyślałam, że chciałabyś...Nie odpowiadam. Gunilla podnosi głos.

-Masz coś do pisania?

Maminy pojemnik na pióra jest z toczonej brzozy Przychodzi mi na myśl, że na pewno kupiła go u rękodzielników.

- Tylko nie kombinuj - mówi Gunilla. - Jesteś na górze? W sypialni mamy?

- Mmmm...

- No to są tam pióra. Zapisz numer. Ona mieszka w Göteborgu...Odkłada słuchawkę bez słowa pożegnania. Siedzę przy biurku i patrzę na cyfry, które nabazgrałam na podkładce. Ledwie mogę je rozczytać.

Uczę się tak dawkować mamine proszki, żeby sen był czarny, a dni w kolorze ciepłej szarości.

Przez cztery dni spowija mnie chmura, czuję się w niej jak w ślicznej, jedwabnej lub szyfonowej sukni, rozkloszowanej, znakomicie się układającej. Piszę listy do moich przyjaciół i do przyjaciół mamy, odbywam szybkie spacery do skrzynki, poza tym nigdzie nie wychodzę. Cały czas omijam sypialnię mamy. Nie chcę oglądać tych cyfr na biurku.

I nadchodzi wtorek, i już po odpoczynku. Jutro przyjeżdża córka, nie mogę jej przywitać w tabletkowej chmurze; jest równie spostrzegawcza jak w dzieciństwie. Staję przed lustrem i próbuję na siebie spojrzeć jej oczami, złuszczony lakier na paznokciach, włosy bez połysku. powieki mam opuchnięte, ale to normalne, pomyśli, że płakałam. Mimo to idę do kuchni, napęlam plastikowe torebki kostkami lodu i kładę się na swoim łóżku, z lodem na oczach.

Ciekawe, czy Marita przejmuje się swoim wyglądem. Czy ciągle próbuje się zrobić na bóstwo? Czy tak jak Gunilla stała się niewidoczna, przywdziewając strój naszego pokolenia: dzinsy i sweterek.

Usiłuję sobie przypomnieć, jak wyglądała mama Marity. Pamiętam tylko fartuszek i białe ramiona.

Nagle stoję w drzwiach kuchni rodziny Olssonów, dziwi mnie, że widzę wszystko bardzo wyraźnie, dużo wyraźniej, niż gdybym się znalazła w naszej kuchni. Jest lato, co łatwo poznać po papierowej makatce na ścianie. Mama Marity zmienia makatki z każdą porą roku, kupuje je w sklepie kolonialnym i to jest wydarzenie; wiele dni zastanawia się nad wyborem motywu. Tym

razem zdecydowała się na pole: złociste, ciężkie od kłosów zboże czeka na żniwa, a chłop siedzi ze swoją młodą żoną na plamce zieleni obok. Ona ma na sobie niebieską kraciatą chustę i lśniąco biały fartuszek i nalewa kawę ze staroświeckiego dzbanka, takiego jaki Olssonowie też mają. U nas mama zaczęła parzyć kawę w nierdzewnym dzbanku. Pani Olsson prycha na takie nowości i mówi, co o tym myśli, a ja przekazuję to mamie.

- Pani Olsson mówi, że chcesz zwrócić na siebie uwagę, mamó. Mówi, że parzenie kawy zamiast gotowania to bufonada...Mama pokręciła blond włosami. Tata kupił jej elektryczną kuchenkę, która stała na żelaznym piecu, Dobrobyt był tuż-tuż.

-Nie pleć, Cecylio. Dlaczego miałyby ci to mówić, przecież jesteś tylko małą dziewczynką. Ja nigdy nie opowiadam takich rzeczy twoim koleżankom. Jak wytłumaczyć mamie, że pani Olsson rozmawia z nami jak dziewczynka, że ma dwa głosy i dwa zasoby słów, jeden dla świata dorosłych i jeden dla świata dzieci.

- Tak powiedziała, mamó. Że chcesz zwrócić na siebie uwagę...

- Dosyć, Cecylio. Nie wiem czemu zawsze musisz zmyślać, jesteś wystarczająco duża, żeby odróżniać fantazję od rzeczywistości. Nie wolno mówić o ludziach, co ślina na język przyniesie, bo można im sprawić przykrość.

-Ale ona tak powiedziała...

-Myślę, że pani Olsson byłoby bardzo przykro, gdyby cię słyszała. Bądź cicho i zjedz wreszcie, żebyś mogła wyjść na dwór...

Znów stoję w drzwiach kuchni Olssonów i odrywam wzrok od makatki. Jestem kamerą, która wszystko rejestruje. Zapomniany dzbanek do kawy połyskuje miedzią na czarnym żelaznym piecu, w oknie brzęczy mucha, pod zlewem leży pomięty szmaciak, ktoś po nim przeszedł szurając nogami i tak zostawił.

Marita siedzi na kuchennej sofie i obejmuje się za nogi; jest boso, ma na sobie letnią niebieską sukienkę. Wyrosła z niej, próbuje wsunąć stopy pod falbankę, ale bez powodzenia, sukienka jest za krótka. Po ostatniej trwałej zostały jej resztki loków, u góry włosy są proste, na łopatkach lekko się skręcają. Ma bladą twarz. Rozchyliła wargi i pokazuje mleczone zęby. Oczy Marity są wyjątkowo duże, wytrzeszcza je i w ogóle nie mruga. Chyba mnie nie widzi, wpatruje się w rodziców. Stoją przy skołtunionym szmaciaku, śmieją się i nachylają, patrzą na coś szarego i bezkształtnego, co porusza się na podłodze. Olsson jest pijany, to słyszeć w jego głosie. Chwieje się i chwyta żonę za ramię. Pani Olsson wybucha śmiechem i podnosi stopę. Ma kłocowate nogi, dziwne, że porusza się

z takim wdziękiem, bo ta stopa na pewno jest bardzo ciężka. Pani Olsson dostrzega mnie i w jej oczach pojawiają się błyski. Może też jest pijana? Nie, kobiety się nie upijają, mogą być co najwyżej szalone. Może pani Olsson jest szalona. Cudacznie wygląda, kiedy na mnie patrzy i mówi coś do męża. Olsson chichocze, pochyla się żeby nie upaść, przytrzymuje się jedną ręką nogi żony, a drugą niezdarnie próbuje podnieść z podłogi to coś szarego. To coś owija się wokół siebie i odpełza, małżonkowie rozmawiają, ale nic nie słyszę, widzę tylko, jak pani Olsson chwytła męża w pasie, żeby miał obie ręce wolne. Przez chwilę Olsson obmacuje podłogę i klnie, w końcu udaje mu się złapać to coś za ogon. Wolno prostuje plecy i odwraca się. Teraz widzę wyraźnie. W życiu bym nie przypuszczała, że są takie wielkie i grube żmije. Żmija bez przerwy się rusza, wije i kąsa powietrze. Olsson zaciska brązowy kciuk tuż za jej głową i puszcza ogon. Gad dynda. Ledwie się mieści w dłoni, po bokach wylewa się jego cielsko. Rozmawiają, nadal nic nie słyszę; widzę, że Olsson porusza ustami i uśmiecha się, widzę, jak podnosi stopy w zwolnionym tempie i rusza ku drzwiom, w których stoję. Potyka się na szmaciaku, ale się nie przewraca. Wypuszcza tego, co wije się w jego dłoni, całą wieczność idzie do mnie dużymi krokami. Próbuję go zaczarować spojrzeniem, „umrzyj, dziadu, umrzyj natychmiast!"; nic z tego, nie umiera, jest coraz bliżej. Staje naprzeciwko mnie, podnosi żmiję na wysokość mojej twarzy i trzyma ją tuż pod moim lewym okiem, tak blisko, że mogłaby mnie ukąsić, ale ja tego nie wiem, nawet gdybym wiedziała, nic bym nie zrobiła. Nie jestem w stanie się ruszyć, na swój sposób umarłam.

Żmija i sześćioletnia Cecylia patrzą na siebie, przez moment na siebie patrzą i Cecylii się wydaje, że współczują sobie nawzajem. Tak. Serce dziewczynki rozsadza trwoga i rozpacz z powodu żmii, myśli, że gad wie, że wkrótce umrze, i tak bardzo jej go żal, że zapomina o własnej śmierci, o tym, że jej serce już nie bije i płuca nie oddychają. Żmija na moment napotyka jej spojrzenie, wysuwa język i otwiera paszczę w szkaradnym uśmiechu, mogłaby połknąć całego szczura...Cecylia widzi siekacze i zmartwychwstaje, nie może jeszcze mówić ani krzyczeć, ale odzyskała władzę w nogach, wychodzi na klatkę i tam wraca jej słuch. Słyszy swoje kroki, kiedy zbiega po schodach, i zapijaczony głos Olssona:

- Kurde, Cecylia, nie znasz się na żartach?

Biegnę przez górny hall, przyciskając ręce do ust, wpadam do łazienki, zamykam drzwi i przywieram plecami do chłodnych bezpiecznych kafelków. Dłonie mi drżą, rwie się oddech, dyszę.

Splukuję twarz zimną wodą, żeby zmyć to odległe w czasie wspomnienie. W mokrej, nagiej twarzy lustrzanego odbicia nie ma już szyderstwa ani pozy.

-To niemożliwe - mówię. - To nie może być prawda.

-Dlaczego? - pyta moje odbicie. - Oczywiście, że może. Puzzle pasują. Przecież pamiętasz, że pobiegłaś do lasu i znalazłaś drzewo pocieszenia. To musiało być właśnie wtedy...

-Ale dlaczego nie poszłam do mamy? Dlaczego nie poprosiłam mamy o pomoc? Ona by ich zabiła, miałam przecież tylko sześć lat. Odbicie lekko się uśmiecha i wzrusza ramionami.

-Wierzysz w to, Cecylio? Naprawdę wierzysz, że by ich zabiła? Opieram się o umywalkę i spuszczam głowę, mrugam kilka razy, żeby przegonić łyzy.

-A Marita? - szepczę. - Jeśli zrobili coś takiego mnie, to jacy byli wobec niej?

Podnoszę głowę i patrzę odbiciu prosto w oczy. Wykrzywia twarz. Przysuwamy się jednocześnie, dotykamy policzkami i płaczemy bezradnie, każde po swojej stronie lustra.

Stoimy na baczność w sali gimnastycznej. Lekarz szkolny będzie oglądał nasze plecy, żeby sprawdzić, czy rośniemy prosto. Wszystkie jesteśmy rozebrane do pasa, wszystkie z wyjątkiem Marity. Nie chciała zdjąć koszuli, mimo perswazji naszej pani i szkolnej pielęgniarki. Lekarz zatrzymuje się przed nią i trąca ją wiecznym piórem.

- Ściągaj koszulę, młoda damo. Nie mamy czasu na głupstwa!

Tym razem nie śmie się sprzeciwić, zdejmuje koszulę, zwija ją i przyciska do piersi.

Dorośli milkną, widzą coś, czego my, dziewczynki, nie widzimy, bo stoimy w szeregu na baczność i nie wolno nam kręcić głową.

- Hmmm - mówi po chwili lekarz. - A to co?

- Upadłam na kaloryfer, kiedy się bawiliśmy... - odpowiada Marita ochrypłym głosem.

- Hmmm. Ach, tak. Aha. Musiał być bardzo gorący. Opuść ręce! No, przynajmniej kręgosłup jest w porządku. Mamrocze coś do pielęgniarki, pielęgniarka pochyla się i szepce do Marity, żeby się ubrała. Dorośli patrzą na nią, kiedy wkłada koszulę i obciąga na biodrach. Potem lekarz szarpie ją lekko za włosy na szyi.

- Coś mi się zdaje, że jesteś niegrzeczną dziewczynką. Popraw się! Grzecznym dziewczynkom jest łatwiej. Odwracam głowę i zerkam na nieruchomy profil Marity. Układa usta w słowo, które zostaje niewypowiedziane. „Pierdziele”.

Muszę się wziąć w garść, nie mogę całego dnia przesiedzieć w łazience. Mam dużo pracy, zawsze mam dużo pracy. Idę jednak do swojego pokoju i rzucam się na łóżko, I mimo że do zachodu słońca jeszcze daleko. Myślę wyłącznie o spaniu. Już się nie boję ciemności i umarłych. To żywi są straszni, dosłownie budzą strach. We śnie dosiadam białego konia i cwałuję w kierunku muru.

Kiedy się budzę, jest ciemno, ale wydaje mi się, że niedługo będzie świtać, i nie patrząc na zegarek, schodzę do kuchni i przygotowuję sobie śniadanie. Chce mi się jeść; zanim zagotuje się woda na kawę, palaszuję dwie kanapki. Po śniadaniu robię porządek z naczyniami, które od kilku dni suszyły się w zlewie, po czym oblatuję parter ze ścierką i wyjmuję odkurzacz. Zaczynam od garderoby z czystej rozkoszy dla ucha; lubię słuchać chrzęstu żwiru w rurze odkurzacza. Upewnia mnie, że robię coś pożytecznego. Potem ustawiam w rzędki, pod ubraniami, buty mamy i moje botki.

Wiele godzin później, kiedy wschodzi słońce, panuję nad wszystkim. Pomalowałam paznokcie na dyskretny brązowawy róż, wymodelowałam włosy suszarką. Każda rzecz w domu jest na swoim miejscu. Bidula też. Stoi w głębi maminej szafy, pod stosem kartonów po butach. Córka będzie za sześć godzin. Jestem przygotowana.

Zalewa mnie fala miłości, kiedy Sophie wysiada z pociągu: jest młodziutka i wygląda tak poważnie. Ma na ramieniu skórzaną torbę, drogą, markową, którą Ulf kupił jej w Londynie. Poprawia pasek i rozgląda się za mną. Szybko przemierzam peron, prawie biegnę. Dopiero teraz uświadamiam sobie, jak dotkliwie mi jej brakowało.

- Ach, Sophie - mówię. - Ach, Sophie, jak wspaniale cię widzieć!

Jest głodna, nie starczyło jej pieniędzy na posiłek w pociągu. Idziemy do pobliskiej pizzerii. Po drodze plotę coś przemądrzale, Sophie odpowiada monosylabami. W restauracji składamy zamówienie i milknę; nie znajduję już żadnych, równie błahych tematów. Na stoliku stoją plastikowe krokusy, żółte i niebieskie. Pocieram płatek palcami i czekam, aż Sophie coś powie. Odzywa się dopiero wtedy, kiedy przynoszą nam pizzę.

-Tata chce, żebym mieszkała u niego w Nowym Jorku - mówi, patrząc na calzone.

- Twierdzi, że tam są lepsze szkoły. Odkładam sztuce, nagle straciłam apetyt. Mój lęk ma kolor krwi.

-A ty chcesz? - pytam i słyszę, że mam ochrypy głos. Wypija łyk mleka.

-Nie. Właściwie nie. Chcę mieszkać w Szwecji, chciałabym wreszcie być Szwedką. Zwyczajną. Mieć zwyczajną pracę i mieszkać w zwyczajnym domu. Skończyć z podróżami. Chwytam sztuce.

-Więc nie pojedziesz ze mną do Canberry? Spuszcza wzrok.

-Nie. Mam nadzieję, że nie będzie ci przykro, mamo, ale ja już nie chcę nigdzie jeździć. Kiedy dorosnę, zamierzam korzystać wyłącznie z windy jako jedyne go środka komunikacji. Chcę

mieszkać w Szwecji, tu jest cicho i pięknie. Kiwam głową. Napotyka moje spojrzenie. Widzę, że się boi.

-Czy myślisz, że tacie będzie przykro? Dziwi mnie to pytanie. Nawet mi do głowy nie przyszło, że Ulfowi mogłoby być przykro. Ale wobec niej jest inny niż wobec mnie.

-Nie sędzę. Zresztą to nie ma nic do rzeczy. Zrobisz, co zechcesz. Sophie trochę ulżyło, ale nie wyzbyła się obaw.

- A jeśli będzie mu przykro? Jego nowa żona może pomyśleć, że to przez nią i jej też będzie przykro.

- Porozmawiam z nim, Sophie. Nie martw się. Nie musisz jechać do Nowego Jorku. Zostaniesz w Sigtunie, dopóki nie zdasz matury. Oczywiście wyłączając ferie i wakacje. Kiwa głową i uśmiecha się z pewnym znużeniem.

-Lato w Nowym Jorku, a Boże Narodzenie w Canberze?

-Nie wiem, Sophie. Nie wiem. Może nie wyjadę. Na razie nic nie wiem o przyszłości.

Z oddali Ricky woła zdławionym, stłumionym głosem: „Przyszłość, madame, czy ona kiedykolwiek nadejdzie?”.

„Kanibal”? „Morderca”?

Czułam się dotknięta i znieważona, czułam lęk i wściekłość, ale tego nie okazałam, byłam jak zwykle układna i gładka. Przynajmniej na początku.

- Puść moje ramię, Ricky - powiedziałam. - Uspokój się! - Mój głos brzmiał dobitnie i wyniośle. - Położymy Dolly i rozsądnie o tym porozmawiamy. Ricky i Butterfield milczeli, żaden z nich się nie ruszył, i sama musiałam się podnieść, z małą w objęciach. Udało się, acz nie bez pewnego wysiłku.

Było gorąco, goręcej niż kiedykolwiek, roztapiałam się, miałam wrażenie, że moje ciało zamienia się w płynny metal. Wróciłam do nich i otarłam pot z czoła t-shirtem. Na gładkiej powierzchni zaczęły się pojawiać rysy i pęknięcia, drżałam.

-Ten człowiek ma gorączkę, Ricky - powiedziałam, siadając. - Jest poważnie chory. Majaczy. Ricky odchrząknął.

- Sprawdziłem, madame. Nie jest rozpalony.

- Tego nie da się sprawdzić dotykiem. Nie w takim stanie. Ricky cofnął się głębiej w strefę cieni. Nie widziałam jego twarzy ani nawet konturów. Milczał i czekał, co jeszcze bardziej mnie zirytowało.

-A więc miałabym was zabić - podjęłam i wypiliśmy łyk piwa; było ciepłe i gorzkie. - Miałabym wyrwać wam serca. bo jestem biała. To przecież idiotyczne. Do jasnej cholery, to szczyt idiotyzmu!

-Nieważne - odezwał się Butterfield, zapalając świeczkę. - Sraj na to. Płomień omiół twarz Ricky'ego. Pokręcił głową i już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, ale nie miał szans; teraz ja mówiłam, nie mogłam się powstrzymać.

-Dlaczego tak na mnie patrzysz, Ricky? Zamieniłam się w potwora? Wyrosły mi kły, szpony i garb?

- Łyknęłam gorzkiego piwa. - Kradzież ludzkich organów. Pewnie o to mu chodzi. Krąży mnóstwo przedziwnych opowieści o kanos, którzy kradną oczy, płuca i co tylko się da. Słyszałam o tym tutaj i w Indiach. Ricky przesunął dłonią po twarzy.

-Wiem - przyznał. - Też słyszałem i widziałem w telewizji. Kiedy byłem taksówkarzem w Manili, miałem kolegę, który sprzedał swoją nerkę kano . Dostał za nią przeszło dwa tysiące dolarów...Kiwnęłam głową.

- Jasne, to się zdarza. Wszyscy wiedzą, że kanos przyjeżdżają do Manili i kupują organy od biedaków. Kupują, Ricky! Może to niemoralne, ale nie ma mowy o zabijaniu. Te opowieści o morderstwach i kradzieżach są kompletnie niedorzeczne. Nikt nie strzela do ludzi na lewo i prawo, to by nie przeszło... Stek kłamstw i wymysłów!

- Nieważne - powtórzył Butterfield. Ricky zapalił papierosa i nic nie mówił. Jego milczenie podsyciło mój gniew.

-Nic bardziej mnie nie wkurza niż oskarżenia o coś, na co nie mamy wpływu - powiedziałam.

- Chcę być postrzegana jako jednostka, nie jako biała, kobieta albo Szwedka I nie jestem kano, Ricky, jestem Europejką. A to ogromna różnica. Zrozum to, Ricky! Zrozum to wreszcie!

Posunęłam się za daleko. Butterfield chwycił mnie za nadgarstek i ścisnął tak mocno, że z bólu wypuściłam z dłoni butelkę piwa.

-Zamknij się, Cecylio! Milcz! Cofnął rękę i dał mi kuksańca. Niemal straciłam równowagę. Złość usztywniła jego ruchy.

-Czasami jesteś beznadziejna! Ricky jest skazany na ubóstwo, bo jest tym, kim jest. Dolly jest skazana na pracę, bo jest tym, kim jest. Ja jestem skazany na bycie cyganem. Dzisiejszej nocy tobie dostało się za to, że jesteś kano. Jeden jedyny raz osądził cię jakiś szaleniec. Co to, do cholery, ma za znaczenie?

Zamrugałam powiekami, uświadomiłam sobie, że mówiłam do Ricky'ego z pozycji kogoś, kto ma władzę. Obnażyłam dzielącą nas przepaść. Wstyd ma gorzki smak. Chciałam to naprawić, ale jak?

-Przepraszam, Ricky - szepnęłam, patrząc na kolana. - Nagadałam głupstw. Bardzo przepraszam. Nie wiem, co mnie napadło. Za późno. Ricky, który mógłby zostać moim przyjacielem, gdyby przyjaźń była w ogóle możliwa, patrzył w ciemności.

-Jasne, madame - odparł bezdźwięcznie. - Okej. Never mind. Od tamtej chwili nigdy się już do mnie nie uśmiechnął. Długo siedzieliśmy w milczeniu, upał narastał i gęstniał. Nie oddychaliśmy już powietrzem, tylko parą. Oparłam głowę o futrynę. Krew pulsowała mi w skroniach.

-Ważne jest to - odezwał się w końcu Butterfield - kim on jest. Mówił coś o tym? Słyszałam, jak Ricky ociera pot z czoła.

-Powiedział, że jest dzieckiem Wietnamu... Odwróciłam głowę w jego stronę, ostrożnie, żeby nie obudzić bólu czającego się w okolicach czoła.

-Co to znaczy? - spytałam. - Jest Wietnamczykiem? Ricky zaśmiał się sucho.

-No, madame. To znaczy, że jest synem amerykańskiego żołnierza, który był tutaj podczas wojny wietnamskiej.

- Wobec tego on też jest kano. Przynajmniej w połowie. Ricky westchnął.

- On na to tak nie patrzy, madame. Butterfield pochylił się do przodu.

- Czy jego ojciec był czarny? Dlatego nazywa się Nog-Nog? Ricky odrobinę się odsunął i wzruszył ramionami.

-Nie wiem. Nie pytałem o to. Powiedział, że nigdy nie widział swojego ojca...

-Pochodzi z Olongapo? Ricky pokręcił głową. Zaczęły się wyłaniać jego kontury; niedługo będzie świt.

-Nie, z Angeles...

-To co tu robi? - zdziwiłam się. - Skąd się wziął w naszym samochodzie? Znowu wzruszył ramionami; nagle wydawał się bardzo zmęczony.

-Powiedział, że jechał dżipem razem z kilkoma innymi. I nagle zaległy ciemności, posypały się kamienie i utknęli na dobre...Umilkł, napił się piwa, czekaliśmy niecierpliwie na dalszy ciąg.

- Rozdzielili się. W deszczu popiołu odłączył się od kolegów i zabłądził. Szedł wiele godzin, w końcu wylądował w samym środku trzęsienia ziemi, tym, o którym opowiadała Dolly...

- Przesunął dłonią po twarzy i spojrział w niebo; było ciężkie od deszczowych chmur, za którymi przeczuwaliśmy światło poranka. - Nie zauważył tego domu, madame i nie ma pojęcia, gdzie jesteśmy.

- Łyknął piwa i zamknął oczy. - Nie wie, jak długo się błękał podczas szalejącego orkanu, kiedy nieoczekiwanie natknął się na samochód. Nie wie, ile godzin w nim przeleżał. Wszedł do środka, żeby się schronić przed popiołem i kamieniami! Powiedział, że bez trudu otworzył drzwi. A to by znaczyło, że zjawił się zaraz po naszym przyjeździe, jak wbiegliśmy do domu... Na chwilę zaległa cisza. Butterfield odstawił pustą butelkę.

- No i co? - powiedział. - Myślisz, że on jest w NAL? -Ricky wstał i otrzępywał spodnie.

- Tak. Chyba tak.

- Dlaczego tak myślisz? - spytałam bez tchu.

-Dlatego, madame, że kiedy mówił o swoich kolegach używał słowa „patrułya”. W tym dziupie jechał patrol. Włożył ręce do kieszeni i patrzył w szarość. Poszła za jego spojrzeniem. Czy będzie mgła? Czy to para wylania się z popiołu?

- Ale pewien nie jesteś - powiedział Butterfield stłumionym głosem.

- Nie.

- Czemu?

- Bo dużo mówił o Bogu i aniołach...

-E tam - zachnął się Butterfield. - To o niczym nie świadczy. Ludzie z NAL-u są na ogół dobrymi katolikami.

- Tak - przyznał Ricky. - Możliwe. Ale katolicy nie uważają się za aniołów, prawda? - Wyjął ręce z kieszeni i przesunął nimi po twarzy. - A on mówi, że jest aniołem, mister Berglund. Więc pewnie ma pan rację. To człowiek szalony, kompletnie szalony.

NogNog obudził się, drgnął, szybko usiadł, omiół spojrzeniem ściany i popatrzył na nas. Jedliśmy śniadanie, siedzieliśmy przy stole na naszych stałych miejscach, zmęczeni i senni. Wzrok NogNoga prześliznął się po mnie, potem po Dolly i Rickym i zatrzymał się na Butterfieldzie. Znieruchomieliśmy i czekaliśmy. Nie, nie krzyknął. I nic nie powiedział.

Przyniosłam mu talerz ryżu z suszoną rybą i postawiłam na podłodze w pewnej odległości od jego legowiska. Rzucił okiem na jedzenie, potem na mnie i sztywno skinął głową.

Wróciłam do stołu, usiadłam obok Dolly i pogłaskałam ją po plecach. Kawa tego ranka miała wyjątkowo obrzydliwy smak. Marzył mi się kawałek chleba. Padało gorzej niż zwykle, było tak samo parno i duszno jak w nocy. Ubrania lepiły się do ciała, spociłam się jak mysz. Po śniadaniu poszłam do kuchni, rozebrałam się, z ręcznika zrobiłam sarong, wzięłam mydło i szampon i boso wparadowałam do pokoju.

- Co chcesz zrobić? - spytał zdumiony Butterfield.

- Wykąpać się. Warto skorzystać z okazji, dopóki leje... Wyszczерzył się w uśmiechu i lekko pokręcił głową.

- Zwariowałaś... Wcale nie zwariowałam. Kąpiel w deszczu była rozkoszna. Duże krople nie rozpryskiwały się, lśniły na mnie przez moment jak szklane paciorki, po czym opadały na stopy i znikwały w popiele. Stałam za domem, namydliłam całe ciało i poddałam je dokładnym oględzinom. Wydawało mi się, że wygląda inaczej i chciałam to sprawdzić. Wyjątkowo uważnie obejrzałam sutki i skutecznie przekonałam samą siebie, ależ ja byłam wtedy żalosna, Marito! - że ich jasnobrażowy kolor, typowy dla wczesnego wieku średniego, nabrał młodzieńczego różowego odcienia. Wyciągnęłam ramiona ku szaro-czarnemu niebu i patrzyłam, jak napina się skóra; biała, błyszcząca i gładka jak kość słoniowa. Na ułamek sekundy, nie dłuższy od oddechu, poczułam się boginią, po czym szybko opuściłam ręce

" Dla kogoś, kto naprawdę spotkał boginię, ten gest był bluźnierstwem".

Pierwsze, co pamiętam, to dźwięk. Na ulicy zagrzechotała muszla.

-Co to było? - spytałam.

-Pewnie samochód po czymś przejechał - powiedziała Marita. - Nieważne. Starczy ci na kielbasę?

Wyjęłam portmonetkę. Żaden problem. Złoty z wielką przyjemnością dawał mi pieniądze.

-Dla mnie jedna specjalna - powiedziała łakomie Marita. - Masz tyle, żeby kupić dwie?

Wtedy jeszcze nie wiedziałyśmy, że to nasz ostatni, wspólnie spędzony wieczór, a nie najnormalniejsza sobota, jedna z wielu. W mieście były puchy, wyznawcy tak zwanego niezależnego kościoła siedzieli w swoich świątyniach, inni dorośli zostali w domu. Nassjó należało do nas, młodych, choć - prawdę mówiąc - niewiele to znaczyło, mieliśmy dla siebie kilka kafejek i kiosk z kielbaskami na Sódra Torget. Przyjeżdżali tam raggare, okrążali plac i parkowali swoje maszyny. Niedługo zacznie się gra, do której się z Maritą przyłączymy...Ale przedtem chciałyśmy zjeść gorące kielbaski. Był koniec października, marzyliśmy w cienkich zamszowych kurtkach, bo nie włożyłyśmy pod spód żadnych swetrów. Jak by to wyglądało?! Marita nie miała nawet rękawiczek. Wsunęła dłonie pod pachy, żeby je ogrzać, czekając na swoją specjalną: chleb, kielbasę z grilla, trzy łyżki wodnistego puree i odrobinę keczupu.

Znów coś zagrzechotało i zgrzytnęło, ale zagłuszył te odgłosy ryk harleya davidsona Komety, króla Sódra Torget. Miał dziewiętnaście lat i krążyły o nim najróżniejsze mity. Na razie nie miałyśmy odwagi nawiązać z nim kontaktu. Ani z jego motocyklowym gangiem.

Ciągle pamiętam smak drewnianej łyżeczki, małej chropawej szpatułki, którą się dostawało do puree. Właśnie włożyłam ją do ust, kiedy po raz trzeci usłyszałam brzęk.

-Spójrz - powiedziałam do Marity. - To Wenus z Gottlósy...Szła chodnikiem, wyglądała dokładnie tak samo jak przez ostatnie miesiące; coś do siebie mamrotała, marszczyła czoło, jej długie włosy rozwiewał wiatr. Ale tamtego wieczoru nie gestykulowała, bo miała zajęte ręce. Marita zlizwała keczup z górnej wargi.

-Co ona za sobą wlecze? Przyciągnęła uwagę wszystkich nastolatków, zebranych na Sódra Torget. Na kilka sekund zaległa cisza, po czym nabraliśmy pewności, że coś się wydarzy. Coś niezwykłego.

Trzaskały drzwiczki samochodów, z motocykli wyjmowano kluczyki. Pamiętam te głosy i okrzyki.

-Co ona, kurde, robi?

-Co ona wlecze?

- Muszla! Jasny gwint! Rąbnęła muszlę „Shella”.

- Pieprzona cyganka! Na cholere jej ten szajs?!

- Ale się Abrahamsson wkurzy! Chodźcie, zobaczymy! Marita i ja mocno chwyciliśmy nasze specjały i pobiegliśmy razem z innymi do zamkniętej stacji benzynowej Abrahamssona.

-O, cholera! Patrzcie, drabina! Wlazła po drabinie i odkręciła!

- Cygańskie ścierwo podpieprzyło muszlę „Shella”!

- Wariatka!

- Oszalała!

- Kompletnie obłąkana!

Marita ciągle ścisnęła w rękę kielbasę, ja swoją zgubiłam. Wenus z Gottlósy dotarła do rogu ulicy, stanęła przed pasami koło siedziby Armii Zbawienia i czekała nie wiedząc na co, bo w zasięgu wzroku nie było ani jednego samochodu. W obu dłoniach trzymała żółtą blaszaną muszlę. Wreszcie weszła na jezdnię i muszla znowu zagrzechotała.

-Idzie na wiadukt nad torami... Kometa objął dowództwo.

-Zachować dystans! - wrzasnął. - Nie podchodzić za blisko! Ile nas było? I kto? Dwudziestu, może dwudziestu pięciu przyszczatych chłopców i siedem jedwabistów miękkich dziewcząt, jasnookich, puciołowatych małolatów, okrzykniętych później za zgrają szakali. Wenus z Gottlósy zatrzymała się pod latarnią na wiadukcie. Puściła muszlę; przewróciła się z łoskotem i kołysała lekko na wybruszonej powierzchni. Przechyliła się przez poręcz, popatrzyła na tory, zerknęła na zegarek i pokiwała głową. Potem chwyciła swój skarb obiema rękami i dźwignęła go nad balustradę. Staliśmy kilka metrów od niej. Nikt nie miał odwagi krzyknąć, chłopcy, i tylko oni, mówili ściszym głosem.

- Co ona kombinuje?

- Pewnie chce ją rzucić pod pociąg...

- Ocipiała, czy jak? Przecież może się wykoleić.

- Powinno się ją zamknąć w domu wariatów...

- Cholera, i ktoś taki chodzi luzem...

- Patrzcie, kładzie muszlę na tych wystających prętach... Wenus z Gottlósy, stękając z wysiłku, położyła muszlę na dwóch metalowych wysięgnikach. Cały wiadukt był nimi upstrzony, nie wiadomo po co, sterczały w metrowych odstępach. Wydawało mi się, że są tam wyłącznie dlatego, żeby tacy jak Olsson nie zlatywali na peron, ilekroć nasza ich ochota na rzyganie z wiaduktu. Jeśli o mnie chodzi, można się było bez nich obyć. Wenus z Gottlósy kucnęła, poprawiła muszlę, żeby się nie chwiała na prętach, podniosła się, obejrzała rezultat, znów zerknęła na zegarek i uspokoiła się. Jednym ruchem odpięła stary płaszcz przeciwdeszczowy, zdjęła go, złożyła w kostkę i położyła na chodniku. Wyprostowała się. Miała na sobie zapiętą pod szyję białą bluzkę i szeroką spódnicę, którą rozdymał wiatr. Odwróciła głowę i popatrzyła na nas. Mocno chwyciłam Maritę za ramię. Wenus z Gottlósy patrzyła na mnie, na Maritę, na nas wszystkich. W tej jednej sekundzie jej spojrzenie było całkowicie przytomne, wydawało się, że naszą obecność uważa za coś oczywistego. Uśmiechnęła się lekko, przytknęła palec do ust, tajemniczo i z rozbawieniem nas uciszając. Pst! Może wyglądaliśmy nieco komicznie: zbici w gromadkę, jak chaszczki splecione ze sobą czarnymi gałęziami. Zaczęła rozpinąć bluzkę. W chaszczach powiał wiatr, cicho zaszumiały, poruszyły się i zamarły. Zdjęła bluzkę, starannie ją złożyła, pochyliła się i ostrożnie umieściła na płaszczu. Była w białej nylonowej halce, wykończonej na piersiach zniszczoną koronką.

Wiatr pochwycił spódnicę, ledwie zdążyła ją położyć na bluzce. Patrzyła za nią przez chwilę, po czym wzruszyła ramionami i ściągnęła halkę. Trzymała ją nonszalancko w dłoni, okręciła parę razy w powietrzu szorstkim gestem i puściła. Halka pofrunęła w ciemność w kierunku Akershall.

Rozpięła biustonosz, ujęła piersi w dłonie, coś wymruczała, roześmiała się i zzuła buty. Biustonosz wisiał luźno na ramiączkach, kiedy się schyliła, żeby ustawić buty na baczność. Były niemodne, podobne do tych, które mama od lat przechowywała w Biduli.

Wenus z Gottlósy zdjęła pas do pończoch i gorset, model z lat pięćdziesiątych, satynowy, z drutami, zbyt ciężki, by porwał go wiatr. Zrolowała gorset, rzuciła na chodnik i zaczęła zwijać pończochy.

Została jej ostatnia część garderoby, staroświeckie łososiowe majtki, sprane i znoszone. Wsunęła palec w dziurę tuż pod gumką w talii, pokręciła nim, a potem jednym ruchem ściągnęła majtki. Była naga. Wspięła się na palce i podniosła ramiona ku niebu. Wiatr bawił się jej długimi, sięgającymi pasa włosami. Światło latarni przydało jej blasku. Była niczym kolumna z kości

słoniowej i miedzi, przerażająco piękna, niesamowita w swojej doskonałości. Potem mówiło się, że ją podjudzaliśmy, że krzyczeliśmy i szydziliśmy z niej. To nieprawda. Nie krzyczeliśmy. Wcześniej tak, ale nie tam i nie wtedy. Nikt się nie ruszył. Nikt nie odezwał się słowem. Oniemieliśmy, do tego stopnia porażeni jej białą skórą i rozwianymi włosami, że nawet przestaliśmy żuć gumę. Powietrze nagle zgęstniało od chłopięcych tęsknot, które wypuściły pąki i rozkwitły niczym kwiaty na nagich gałęziach chaszczy. My, dziewczynki, spuściłyśmy wzrok, przytłoczone jej nieodpartą i niedościgłą kobiecością. Na pewno przeszła przez balustradę i stanęła na kołyszącej się muszli, ale tego nie pamiętam. Pamiętam tylko ten moment, kiedy wyciągała ramiona ku niebu, na chodniku, i ten, kiedy chwiała się lekko na muszli. Odrzuciła głowę w tył, popatrzyła na gwiazdy, potem ją opuściła i nasłuchiwała. Pod wiaduktem rozspiewały się tory. Nadjeżdżał pociąg z Katrineholmu. Wierzyłam, że poleci. Widząc, jak robi krok naprzód, byłam przekonana, że wyrosną jej z łopatek ogromne skrzydła, zagłuszą łopotem dudnienie pociągu i uniosą ją wysoko nad tory i miasto. Ale Wenus z Gottlósy nie miała ukrytych w plecach skrzydeł. Już w powietrzu zamachała ramionami, jakby się nagle rozmyśliła, i wydając bardzo ziemski krzyk, runęła w dół, tuż przed pociągiem z Katrineholmu. Wydawało się, że koła coś przeżuwiają.

Ręcznik naturalnie przemókł na wylot, od biegu w popiele miałam czarne nogi.

Stojąc w drzwiach, wystawiłam na deszcz najpierw jedną, potem drugą, żeby splukać resztki brudu. Dolly parsknęła śmiechem, Butterfield też się roześmiał. Ricky leżał na podłodze, z gazetą na twarzy, nieznajomy odwrócił się do ściany i chyba spał.

- Zbikowałeś - powiedział Butterfield. - W życiu nie wyschniesz w takiej parowie...

- Spokojnie, moja w tym głowa. Możesz mi podać t-shirt, jest pod stołem... Ubrałam się w kuchni i wytarłam włosy. Na kuchence spirytusowej szumiała woda. Zrobiłam kawę, wniosłam ją do pokoju i kucnęłam obok Ricky'ego. Narzucałam mu się, żeby wszystko naprawić.

- Śpi? - spytałam, pokazując głową na NogNoga.

- Mmmm - wymruczał Ricky. Wstałam i podeszłam do stołu.

- Obudź go - poprosiłam. - Musimy się naradzić. Możemy już ruszać w drogę. Jeśli chce, niech idzie z nami albo niech tu zostanie, jego wola... Ricky zmienił się na twarzy; jakbym zrobiła mu prezent. Oparł się o podłogę, żeby się podnieść, ale Butterfield go powstrzymał.

- Jeszcze nie - powiedział. - Nie teraz. Rozlałam kawę, kiedy zrozumiałam sens tych słów.

Nie wiem, kim Butterfield był dla ciebie, Marito. Nie wiem, co sobie daliście i czego się pozbawiliście.

Ale wiem, kim był dla mnie. Spełnioną ciszą, niemą powagą, uczciwym brakiem słów. Nie mącił naszych intymnych zbliżeń fałszywymi, zapewnieniami, po orgazmie nie szeptał, jak nakazuje obowiązek, o miłości. I bardzo dobrze. Gdyby powiedział, że mnie kocha, odeszłabym, zostawiając go w popiele. Te słowa byłyby kłamliwe. A Butterfield nie kłamał. Ale mnie lubił, Marito. Naprawdę mnie lubił i nie chciał stracić. Kiedy sobie to uświadomiłam, przestraszyłam się i rozlałam kawę na stół.

Dolly położyła głowę na moich kolanach i bawiła się koralami; podniosła je pod szare światło wpadające przez otwarte drzwi i jednym okiem przyglądała się każdemu z osobna.

-No to kiedy wyruszymy, mister Berglund? – spytał Ricky. - Kiedy? Butterfield spojrzał w bok i milczał.

-Dzisiaj za bardzo pada - powiedziałam bez przekonania.

-Właśnie - zgodził się Butterfield. Ricky pochylił się nad kawą.

-Jutro też będzie padać. Jest pora deszczowa, do cholery!

- No i chyba powinniśmy się zaopatrzyć w prowiant - dodałam.

- Właśnie - powtórzył Butterfield. - Trzeba wziąć dużo prowiantu, przede wszystkim wodę. Nie wiemy, jak długo będziemy musieli iść, zanim trafimy na wodę...

- Otóż to - przyznałam. - I powinniśmy ustalić, w którą stronę pójdziemy.

- Na południe, do diabła! - krzyknął Ricky. - Albo na południowy zachód! Olongapo leży na północ od Manili, a my pojechaliliśmy na wschód od Olongapo!

- Nie klnij - powiedziałam.

Musieliśmy jednak rozpocząć przygotowania. Butterfield napręzał jedwabny obrus, z którego zrobiliśmy nosidło, a Ricky powoli wkładał do środka Dolores. Z trudem udało się umieścić jej skaleczoną nogę na wysokości mojej talii.

-I jak? - spytał Butterfield.

-Powinno być dobrze... - powiedziałam. - Nie jest ciężka. Jeśli będę ją podtrzymywać, tak żeby nosidło nie uciskało mi szyi, powinno być dobrze...Butterfield poprawił węzeł, Dolly zaśmiała się i wwierciła głowę w mój kark.

-Co z nią zrobisz, kiedy będziemy w Manili? - spytał Butterfield. Przesunęłam ją trochę wyżej.

-Adoptuję. To oczywiste.

-Wyglądamy jak swoje negatywy - mówi Sophie. Stoimy obok siebie przed lustrem w hallu i przymierzamy ubrania na pogrzeb. Ma rację. Wyglądamy jak swoje negatywy: ona w bieli i

czarnej jedwabnej apaszce, ja w czerni i białej apaszce. Rozwiązuje apaszkę, odwraca się do mnie plecami i nagle mówi jak dorosła: - Chcesz zatrzymać dom? Wzruszam ramionami.

-Nie wiem. To zależy od tego, czego chce Lars-Góran... Opiera się o futrynę i patrzy na mnie.

- Fajnie mieć brata. Zdejmuję apaszkę i próbuję tak złożyć powiewny biały jedwab, żeby go nie pognieść.

-Taa... Właściwie nigdy się zbyt dobrze nie znaliśmy.

-Nie szkodzi. To wspaniale mieć kogoś, kto, że tak powiem, wie o tobie wszystko... Kogoś, komu nie trzeba wiele wyjaśniać. W szklanej miseczce na stoliku leży złoty naszyjnik mamy. Wyjmuję go i przykładam do szyi.

-Nie wiem. W dzieciństwie właściwie nigdy nie byliśmy razem. Może dlatego, że on był chłopcem, a ja dziewczynką. No i różnica wieku...

Nachodzi mnie wspomnienie. Lars-Góran jako świeżo upieczony minister siedzi przy stole moich rodziców i wraca myślami do swojego dzieciństwa.

- Bullerbyn - mówi. - Jakbym dorastał w Bullerbyn, wśród czerwonych domków pod lasem. Zdumiona, roześmiałam się na cały głos, szyderczo. Umilkłam dopiero pod wpływem spojrzenia polityka komunalnego w osobie mojej mamy.

Wkładam naszyjnik do szklanej miseczki.

- Poza tym z tą wszechwiedzą to też nic pewnego. Bardzo różnie różne rzeczy się pamięta. No, wiesz, it's all in the eye of the beholder.

- Może i tak - mówi Sophie. - Ale byłoby miło mieć siostrę...

Moje odbicie w lustrze patrzy na nią i drwiąco się uśmiecha. Chcesz wiedzieć, Sophie, co twoja mama zrobiła z twoją siostrą? Poproś ją, niech ci opowie! Odwracam się od lustra i posyłam córce zupełnie inny uśmiech.

-Pójdziemy do kwaciarni, żeby zobaczyć, czy mają bez? Babcia uwielbiała bez. Ustawimy duży bukiet w salonie. Będzie ładnie.

-Adoptuje ją pani? - odezwał się NogNog. - Chce ją pani adoptować? Ricky i Butterfield wyszli po wodę mineralną. Butterfield nie chciał mnie zostawiać samej z nieznanym, ale Ricky go zapewnił, że NogNog jest niegroźny, a poza tym śpi tak głęboko, że przed ich powrotem się nie obudzi.

Lekko się zaniepokoiłam, ale przecież musieliśmy mieć wodę, położyłam więc rękę na piersi Butterfielda i delikatnie wypchnęłam go za próg.

- Spokojnie - powiedziałam głosem Złotego. - Jeśli się wygłupi, to mu przyłożę...

Zajęłam się Dolores. Pociła się i mrużyła oczy, jak zawsze, kiedy zbyt mocno dokuczał jej ból stopy. Wolałam jej nie aplikować proszku przeciwbólowego Butterfielda, bo po pierwsze, musieliśmy coś mieć podczas długiego marszu, a po drugie, już połknęła swoją poranną porcję. Dałam jej aspirynę i kawałek czekolady. Potem kołysałam ją i śpiewałam wszystkie szwedzkie piosenki dla dzieci, jakie tylko przyszły mi do głowy. Nie zauważyłam, że NogNog usiadł, dopóki się nie odezwał.

-Ta piosenka - powiedział - jest o małych żabkach, prawda?

Wyglądał jak czarny cień w mroku, cień o chorowitym głosie. Doskonale mówił po angielsku, jakby się urodził w Kalifornii. Poczułam, jak napinają mi się mięśnie szyi. Miałam się na baczności.

- Tak - odparłam. - O małych żabkach...

- Po tagalsku też się ją śpiewa. Kim jest ta dziewczynka?

-Nie bardzo wiem. Znaleźliśmy ją samą na drodze w czasie erupcji wulkanu...

-I co zamierza pani z nią zrobić? Podniosłam wzrok, próbując dostrzec wyraz jego twarzy. Nic z tego, w pokoju było zbyt ciemno.

- „Zrobić”? Co masz na myśli?

- Wydawało mi się, że wspomniała pani o adopcji. Dolores leżała spokojnie w moich ramionach, z szeroko otwartymi oczami. Modliłam się w duchu, żeby nie rozumiała, co on mówi. Odgarnęłam jej grzywkę z czoła. Była mokra od potu.

-Aha, słyszałeś? Myśleliśmy, że śpisz. Udawałeś? W jego głosie dały się wyczuć nieprzychylne tony.

-Odpoczywałem. - Zrobił krótką pauzę. - Więc zamierza ją pani adoptować? Do czego ona pani? Prychnęłam z irytacją, ale na tyle cicho, żeby tego nie słyszał.

- O co ci chodzi? Adoptuję ją. Dam jej jedzenie, własny pokój, będzie chodziła do szkoły. To tyle.

- Jedzenie, własny pokój, szkoła... - powiedział z ironią. - Oh, madame, the goodness of your heart!

Nigdy nie umiałam reagować na czyjeś szyderstwa, zawsze mnie obezwładniały. Siedziałam w milczeniu na chropowatej kanapie i przygryzałam górną wargę.

NogNog chwiejnie się podniósł i oparł o ścianę był wyższy i chudszy, niż myślałam.

- Jesteś głodny?

- No, madame. Niedawno jadłem, nie przywykłem jeść tak często jak wy, kanos. Ale chciałbym wiedzieć, do czego ona pani? Przesunęłam się i luźniej objęłam Dolores. Sprawiała wrażenie przestraszonej, ale nic nie mówiła i nie płakała. Krzesło, pomyślałam. Jeśli cokolwiek zrobi, zdzieję go krzesłem w głowę, a jeśli się nie uda, ugryzę go w ramię albo w udo, albo w nos, w cokolwiek.

W zwolnionym tempie ruszył przez pokój. NogNog. Ciemny. Pasowało do niego to imię. Zobaczyłam jego twarz dopiero wtedy, kiedy stanął przy stole.

-Napiję się - powiedział, biorąc colę. Podniósł butelkę do ust i pił długimi, hałaśliwymi łykami. Potem otarł wargi wierzchem dłoni i spojrzał na mnie.

-No, madame. Do czego ona pani? Nagle zebrało mi się na płacz, chciałam zatkać Dolores uszy, żeby nie musiała tego słuchać.

-Nie rozumiem, o co ci chodzi... Jak to, „do czego”? Lubię ją, chcę jej pomóc, nie adoptuje się dzieci do czegoś...NogNog roześmiał się.

-Oh, madam - powiedział swoim najpiskliwszym głosem. - The goodness ofyour heart, the goodness ofyour kind!

- Odwrócił się, podszedł do drzwi i oparty o futrynę, patrzył w deszcz. - The goodness ofyour kind...

Chwyciłam Dolores za rękę.

-Co ty wiesz o ewentualnej dobroci mojego serca? Co ty wiesz o mnie i ludziach mojego pokroju? Włożył ręce do kieszeni szortów i jeszcze bardziej obniżył głos. Wszystko, madame - powiedział bardzo cicho. - Wiem o was wszystko. Też byłem kiedyś adoptowany. Przez kano. Popatrzył na mnie.

- Bardzo dobrze wiem, do czego potrzebne kanos małe brązowe dzieci. Żeby je wieszać na drzewach i zbierać jak owoce. Dolores krzyknęła i zasłoniła uszy dłońmi.

Cholerny NogNog! Przeklęty, cholerny NogNog! Ile razy myślę o nim i jego opowieściach, zaciskam

pięści i wykrzywiam się. Powinam mu była pozwolić umrzeć z pragnienia, powinam była go uderzyć albo wymierzyć do niego z kałasznikowa i zmusić do milczenia. Oczyma wyobraźni widzę, jak podnoszę broń i celuję w gardło...Ale nie jestem w stanie strzelić, opuszczam broń. Umarło już wystarczająco dużo ludzi.

-Co ci jest, mamó? - pyta Sophie. - Źle się czujesz?

-Jestem odrobinę zmęczona - odpowiadam, pochylając się nad bzem. Białe grube kwiatki wyglądają jak z wosku i nie pachną. Ani trochę nie przypominają wiejskiego bzu, który mama tak lubiła. Ale Złoty z pewnością by je kupił.

-Ile kosztuje? Ekspedientka uśmiecha się z zażenowaniem.

- O tej porze roku jest dosyć drogi... Wzruszam ramionami.

- Bierzemy wszystko.

Dolly wtuliła się we mnie, zaciskając pięści, przywarła twarzą do mojej szyi, od czasu do czasu wstrząsał nią suchy szloch. Nosiłam ją jak niemowlę, chodziłam po pokoju i szeptem opowiadałam o wszystkim, co ją czeka w Manili. W nijakim pokoju gościnnym w mojej willi będą białe mebelki i lalki, domek dla lalek i serwisy w kwiatki dla lalek.

-I dostaniesz tyle sukienek, ile tylko zechcesz. Różowe, błękitne i żółte, z falbankami i kokardkami, a do tego jedwabne buciki. Zjemy śniadanie na tarasie, a potem popływasz w basenie z zieloną i przyjemnie chłodną wodą...Jej plecy drżały, wiedziałam jednak, że słucha.

-A w sobotę wyładujemy nasz duży samochód - w Manili kupię nowy czerwony samochód - jedzeniem i prezentami, ty włożysz najpiękniejszą z najpiękniejszych sukienek, zaplotę ci warkocze, bo włosy już ci odrosną i będą bardzo długie, i pojedziemy do Floridablanki, do twojej mamy i twojego taty i do twoich sióstr i braci. Wszyscy wyjdą przed dom i będą się zastanawiać, kim jest ta śliczna dziewczynka w pięknym samochodzie, a wtedy ty wysiądziesz i zaczniesz im rozdawać prezenty, każdy dostanie od ciebie prezent...Przestała szlochać. A mnie tak wciągnęły te krzepiące wizje, że nie mogłam przestać. Potrzebowałam ich w takim samym stopniu co ona.

- I przyjdzie Ma, twoja babcia, i kiedy cię zobaczy, klaśnie w ręce i powie: „Wiedziałam, wiedziałam, że Dolly to najśłodsza dziewczynka na świecie!". A my zabierzemy babcię do Manili, zamieszka w naszym domu, całymi dniami będzie siedzieć na tarasie i patrzeć, jak się bawisz. Może kupimy jej kota albo pieska i kilka papużek... Zasypiała, oddychała głębiej.

-A potem - mówiłam ciszej - pójdziesz do szkoły, gdzie spotkasz miłą panią, pachnącą perfumami. Wieczorami będziemy siedziały na tarasie i będę ci czytała bajki... Spała. Powoli przyklęknęłam i położyłam ją na jej legowisku pod stołem. Kiedy się podniosłam, NogNog stał tuż obok i składał dłonie w bezgłośnym aplauzie.

- Beautiful, madame - powiedział z krzywym uśmiechem. - Bardzo piękne i bardzo wzruszające. Problem polega na tym, że to dziecko nie ma pojęcia, o czym pani mówi. Nie wie, co to lalka, falbanki i bajki. Szkoda takich wspaniałych obietnic.

- Jak mogłeś! - Więcej było we mnie złości niż lęku. -Żeby tak straszyć dziecko. To karygodne!

Wykrzywił się.

-Oh, accuse me, missus! Przepraszam, proszę mi wybaczyć! Ach, gdybym tylko mógł cofnąć to, co powiedziałem! Gdzie on się nauczył tak mówić? To mnie zaniepokoiło. Wyciągnęłam rękę po papierosy leżące na stole, ale nie zdążyłam ich wziąć, bo chwycił mnie za nadgarstek.

-Nie powinna pani tyle palić, madame... Zabrałam rękę.

-A to co? Jesteś kaznodzieją od zdrowia? Myślałam, że jesteś aniołem. Albo partyzantem...

Natychmiast pożałowałam tych słów, szydzenie z niego mogło się źle skończyć. Wytrąciło go to z równowagi, ale tylko na moment. Błyskawicznie się opanował i uśmiechnął.

-W partyzantce dużo się można nauczyć, madame. Między innymi tego, żeby nie mieć nawyków, które się potem mszczą. Palacza łatwo złamać. Kiedy złapie go policja albo wojsko, pozwalają mu zatrzymać papierosy, ale zabierają zapałki. To niewielka udręka, są o wiele gorsze, ale jednak...Trzeba unikać wszystkiego, co ułatwia innym znęcającym, się nad nami. Chwyciłam papierosy, zapaliłam i demonstracyjnie się zaciągnęłam.

- Nie jestem żołnierzem, nie muszę się bać policji ani wojska.

Wzruszył ramionami, odwrócił się, jakby nagle stracił do mnie serce, i ruszył do swojego posłania pod ścianą. Powaga przydała mojemu głosowi głębi, kiedy przemówiłam do jego pleców:

-Kim ty właściwie jesteś, NogNog? Znowu wzruszył ramionami.

-Już powiedziałem. Jestem aniołem i żołnierzem. Jestem dzieckiem Wietnamu. Dzieckiem, które kiedyś powieszono na drzewie.

Nagle dom jest pełen ludzi. Przyjechała Yvonne, Lars-Góran i jego synowie z pierwszego małżeństwa, Mattias, Max i Markus, karmione proteinami olbrzymy w wieku nastoletnim. Kiedy hałaśliwie wchodzą po schodach, patrzę na ich buty. Wygląda to tak, jakby w garderobie mamy osiadła na mieliźnie hiszpańska armada.

- Musimy porozmawiać - mówi Lars-Góran.

- O czym?

- O domu, meblach i wszystkich praktycznych sprawach...Idę przed nim do salonu i siadam przy kominku. Lars-Göran sadowi się w fotelu taty i odchrząkuje.

-Jedno trzeba ci wiedzieć, Cecyljo. Chciałbym to załatwić przyzwoicie. Wszystkie podatki spadkowe i od zysku przy zbyciu mienia powinny być uregulowane szybko i w terminie, bez żadnych machlojek i sztuczek, bez żadnych prób zniżenia podatku. To absolutnie konieczne. Gazety na pewno będą się gorszyć i oburzać, że odziedziczyłem fortunę, dlatego nie może być

mowy o żadnych nieprawidłowościach... - Wyjmuje z wewnętrznej kieszeni marynarki jakiś papier i poprawia okulary.

- Z gotówką i akcjami nie ma problemu, to prosty podział. Następna sprawa to majątek ruchomy. Mattias znalazł mieszkanie i potrzebna mu zastawa i bielizna pościelowa. Może przydałoby się łóżko i jakieś meble. Yvonne ogromnie się podoba pluszowa kanapa i fotele, i... futra. Bardzo chciałaby mieć norki i coś ze złotej biżuterii dla małej... jako pamiątkę. Poza tym rozmawialiśmy z Yvonne o tych parcelach pod miastem, zastanawialiśmy się, co z nimi zrobić...

Yvonne, Yvonne, Yvonne. Irytuje mnie jego tchórzostwo, zasłania się Yvonne, żeby ukryć własną chciwość. Ma taki sam stosunek do przedmiotów i pieniędzy jak świętoszek do seksu; chce tego czy nie, zawsze się ślini.

- Mój drogi - mówię chłodno i przyglądam się paznokciom, w geście równie kłamliwym jak na zdjęciach w tygodnikach ilustrowanych.

- Musimy z tym kilka dni poczekać. Nie zdążyłam jeszcze poczynić tylu planów co ty. Czy nie moglibyśmy się tym zająć po pogrzebie? Nie słyszy mnie. Jak wszyscy władczy mężczyźni wyrobił sobie selektywny słuch.

-I dom - kontynuuje. - Trzeba go sprzedać. Ale za ile? Ile można za niego dostać, jak myślisz? Wydaje mi się, że co najmniej półtora melona. Wstaję, sztywna z irytacji.

-A Bidula? - pytam. - Pomyślałeś o niej? Kto odziedziczy Bidulę? Nareszcie reaguje. Zsuwa okulary na czubek nosa i patrzy znad oprawek.

-Bidula? O czym ty mówisz? Mogłabym pójść na górę po karton, położyć mu go na kolanach i powiedzieć: „Zobacz, to jest nasze prawdziwe dziedzictwo. Najważniejsze, co dostaliśmy. Świadomość istniejącej przepaści. Co zamierzasz z tym zrobić?”.

Ale nie idę. Wiem, jak by się zarzekał. „Źle mnie zrozumiałaś, Cecyljo, wcale tak nie jest. Bidula! Uff. To tylko śmieci, coś, co przechowują stare kobiety”...Decyduję się na złośliwość. Siadam na krześle, uśmiecham się i wspieram głowę na dłoni.

-Widziałam cię wczoraj w telewizji. W „Aktuell”... Jest zadowolony, przesuwa okulary na miejsce, zapomniał o Biduli.

-Mmmm. W „Rapport” też byłem. I w TV4. Nasz projekt spotkał się z przychylnym odzewem...

-Kogo próbujesz naśladować? Gunnara Stranga? (Gunnar Strang (1906-1992) - weteran ruchu robotniczego, w różnych okresach rządów socjaldemokracji piastował m.in. urząd ministra rolnictwa, ministra ds. socjalnych i ministra finansów (przyp. tłum.)

Peszy się. To mnie zachęca.

-Jeśli tak, powinieneś zrezygnować z tenisa. Autorytet wymaga okrągłej postury, nie można mieć płaskiego brzucha, jak się chce grać Gunnara Stranga. Zwłaszcza, że nie brakuje chętnych do tej roli.

Składa papier i chowa do kieszeni.

-Nie wiem, o czym mówisz. Czasami trochę się o ciebie martwię, Cecylio. Masz takie dziwaczne pomysły. Śmieję się z niego. Złapałam go na haczyk i sprawia mi to niekłamaną przyjemność

-A ten twój dialekt! Tylko w telewizorze mówisz z tak wyraźnym smalandzkim akcentem. Jakbyś był pastorem, który nie wierzy w Boga. No, wiesz, najgorszym z możliwych...Urażony, wyjmuje chusteczkę do nosa i ociera czoło.

-Czy chodzi ci o norki, Cecylio? Czy to dlatego wygadujesz te brednie? Uśmiecham się od ucha do ucha.

-No cóż, drogi Larsie-Góranie, ktoś kiedyś musi ci powiedzieć prawdę. A kto jest ci bliższy niż twoja rodzona siostra? Mówisz jak pastor, mimo że - co zresztą wiem -próbujesz udawać Gunnara Stranga. Przydałby ci się nauczyciel aktorstwa. I jakiś ekspert od retoryki. Wkłada chusteczkę do kieszeni.

- Przestań, Cecylio. Możliwe, że nie jestem medialny, ale nic na to nie poradzę. Nigdy nie udawałem. Jako polityk staram się uczciwie pracować, koncentruję się na kwestiach merytorycznych, liczy się obiektywizm i nie zamierzam tolerować żadnych napaści personalnych, ani twoich, ani czyichkolwiek...

Podnoszę się i staję za jego fotelem. - Kwestie merytoryczne - mówię bardzo wyraźnie.

-Obiektywizm. Łysiejesz, wiesz o tym? Prycha i milczy. Pociągam go za cieniutkie włosy.

-Tak, obiektywizm. Nie ma lepszego słowa, kiedy chce się zamulić rzeczywistość... Bo rzeczywistość jest beznadziejnie nieobiektywna. Ludzie popadają w obłęd, zakochują się, nienawidzą i tak dalej.

Głaszczę się po głowie, żeby się pozbyć mojej ręki.

- Droga Cecylio, wiem, że ten ostatni rok był dla ciebie wyjątkowo trudny. Może powinnaś skorzystać z terapii. Ale, na Boga, wytrzymaj jeszcze przez kilka najbliższych dni! Weź się w garść, pomyśl o mamie...

Pochylam się, chwytam go za gardło i wciskam głowę w oparcie fotela.

- Uważaj - szepczę. - To ty zwariowałeś, nie ja. Źle zapomnieć o Biduli!

Wprowadzała kogoś do domu. Nie było tak źle. Oboje o tym wiedzieliśmy. Nie kazałaby mi tam nocować, gdybym miał z tego powodu cierpieć, była miłą mamą...NogNog podciągnął kolana,

położył na nich wyprostowane ręce; kołysały się jego szczupłe dłonie. Uśmiechnął się z przekąsem do swoich wspomnień.

-Prawie zawsze w psiej klatce na podwórku były szczeniaki, popiskiwały, niegroźnie gryzły i bawiły się. Suka traktowała mnie jak jednego z nich. Jeśli rozrabialiśmy w środku nocy, tarmosiła mnie tak samo jak swoje dzieci, a kiedy układaliśmy się do snu, lizała mnie...

- Podniósł głowę i popatrzył na mnie. - W psiej klatce zawsze było czysto. Sprzątałem ją codziennie rano, przed pójściem na targ, gdzie sprzedawałem plastikowe torebki. Mimo, że to nie były nasze psy, tylko pewnej kobiety, u której wynajmowaliśmy pokój. Nie mogliśmy narzekać, mieliśmy swój kąt w prawdziwym domu. W innych pokojach gnieździły się liczne rodziny...

- Oparł głowę o ścianę i zamknął oczy.

- Ale nie spędzałem z psami całej nocy. Kiedy kano mamy wychodził - nigdy nie pozwalała im zostawać na całą noc - wносиła mnie z klatki i tuliła do siebie, tak jak pani tę dziewczynkę. Prawie zawsze się wtedy budziłem, ale udawałem, że śpię, bo wspaniale się czułem w jej ramionach. I tak ładnie pachniała. - Otworzył oczy i przesunął dłonią po czole. - Wszystkim się wydaje, że mój tata był Murzynem. Ale ja myślę inaczej. Mama miała ciemną skórę, ciut ciemniejszą niż moja. Może płynęła w niej krew Aetów albo pochodziła z Negros, gdzie ludzie są tak samo ciemni jak ja...

-Nie wiesz tego? - spytałam przytłumionym głosem.

-Nie wiesz, skąd pochodziła twoja mama? Omiótł mnie spojrzeniem.

-Nie, nie wiem. Nawet nie wiem, jak się nazywała. Wiem tylko, że była call-girl w Angeles i że umarła, kiedy miałem około sześciu lat. NogNog utkwiał wzrok w drzwiach i patrzył na deszcz. Zapadła cisza.

- I? - spytałam po chwili.

- Co „i”?

- Co się stało, kiedy twoja mama umarła? Kto cię adoptował? Wykonał nieokreślony gest.

- Nikt. Sam musiałem o siebie zadbać.

- Ale powiedziałeś...Uciszył mnie spojrzeniem, spuścił wzrok i wzruszył ramionami.

- Kiedy mama umarła, przez cały dzień siedziałem i gapiłem się na schody. Przerażony i kompletnie dezorientowany. Nie miałem pojęcia, co robić. Potem pojawiła się jakaś banda i przeraziłem się w dwojnasób. Nie znałem ich, ale wiedziałem, kto zacz, kręcili się na obrzeżach targowiska i kradli, co się dało...

- Zamknął oczy i odchylił się do tyłu. - Krążyły o nich najróżniejsze pogłoski. Duzi chłopcy mówili, że dzieci ulicy mają w ustach żyłki i że gotowe są zabić za jednego peso. Ale nie dlatego

się ich bałem. Nie całkiem dlatego. Chodziło o ich głosy. Zawsze uważałem, że strasznie chrypią...

- Otworzył oczy i wykrzywił się w uśmiechu. - Z czasem ja też ochryplem...

-Zostałeś dzieckiem ulicy? Zamknął oczy.

-Jasne. Poszcęściło mi się, bo akurat potrzebowali małego słodkiego dzieciaka. Kogoś, kto mógłby zebrać... A żeby zebrać, trzeba być małym i słodkim. - Roześmiał się. - To zasada numer jeden: the survival of the cutes. przeżyje najśłodszy. Miałem fart, byłem uroczy...

- Wyszczrzył się w uśmiechu. - I ciągle jestem, prawda? Przeciągnęłam się, byłam spięta i dawała mi się we znaki nieprzespana noc. Uśmiechnęłam się w odpowiedzi.

-Bardzo. Jesteś czarujący. Ale jak wyglądało życie na ulicy? Powtórzył mój gest, może też był senny i zmęczony albo chciał uniknąć dalszych pytań.

-Ech, dzieci ulicy otacza jakaś cholerna romantyka. W NAL-u są tacy, którzy uważają, że są awangardą rewolucji, że wszystko zaczną. Ale to bzdury. Pieprzenie w bambus. W tym kraju nigdy nie będzie rewolucji. - Zastanawiał się przez chwilę. - Bycie dzieckiem ulicy to coś trochę bardziej parszywego, niż się pani wydaje. Bardziej i mniej jednocześnie. Przeważnie się nudziliśmy. Bo czyż to nie nudne robić na okrągło to samo? Żebrać i kraść, szukać jedzenia po śmietnikach i opowiadać bajki.

-Bajki?

-Tak, bajdurzyliśmy o tym, kim jesteśmy i skąd pochodzimy. Najczęściej byłem synem reżysera filmowego z Hollywood. Chciał mnie odnaleźć za wszelką cenę, a ja nie zamierzałem się ujawniać. Miałem wszystkiego po dziurki w nosie, pragnąłem odpocząć od życia w luksusie. Ale w każdej chwili mogłem wrócić do Hollywood. Niejednokrotnie powtarzałem, że pojedę tam w przyszłym tygodniu ze względu na mamę, która bardzo za mną tęskni...

- Uśmiechnął się szyderczo. - Niestety, zawsze coś mi stawało na drodze...Uśmiechnęłam się. - Szkoda.

Położył się na boku i wsparł głowę na rękę.

-I nikt ci nie dokuczał? - spytałam. - Czy inne dzieciaki nie robiły ci wstrętów? Przecież łatwo było cię przejrzeć. Potrząsnął głową.

-Nie. Każdy miał swoją bajkę. I te bajki były święte nikt nie mógł ich kwestionować. Byliśmy wobec siebie nielojalni, ale nie w tym wypadku. Położył się na plecach i patrzył w sufit.

-Mów dalej - powiedziałam. - Opowiedz coś jeszcze.

- Nie. Jest za gorąco. Jestem zmęczony. Podniosłam głos.

- Jak zostałeś adoptowany? Przez kogo?

- Nic pani do tego...

-Nic?! Straszysz Dolly, oskarżasz mnie, że chcę ją skrzywdzić, więc chyba mam prawo zajrzeć w twoje karty.

-Get off my back. Milczałam przez chwilę, rzeczywiście było gorąco, temperatura wydawała się rosnać z godziny na godzinę. Wstałam i podeszłam do drzwi. Ściana deszczu. Gdzieś tam był Ricky i Butterfield, pewnie się schronili w jakimś domu albo sari-sari-store, żeby przeczekać najgorszą nawałnicę.

NogNog przypominał święd, nie dawał mi spokoju. Odwróciłam się i spojrzałam na niego. Leżał na plecach, z zamkniętymi oczami.

-Więc nie wierzysz w rewolucję - powiedziałam. - To dlaczego jesteś w NAL-u? Żeby się zahartować na łonie przyrody? Westchnął, nie otwierając oczu.

- Co pani ma na myśli?

- Sam powiedziałeś, że w tym kraju nie będzie żadnej rewolucji, więc dlaczego jesteś w NAL-u? Otworzył oczy.

-Powiedziałem, że jestem w NAL-u?

-Tak, powiedziałeś, że jesteś partyzantem...

-Nigdy tego nie mówiłem - odparł obojętnym, sztucznym tonem. - Uważam, że NAL to szajs. Walczą od blisko czterdziestu lat i niczego nie osiągnęli. Nikt nie chce ich pieprzonej rewolucji. Ludzie chcą czegoś innego. Dlatego powstają nowe grupy, nowe oddziały, o których tacy jak pani, z eleganckich dzielnic Manili, nie mają bladego pojęcia...Blefuje, pomyślałam. Kiepski blef.

-Aha - powiedziałam głośno. - To z jakiego jesteś oddziału? I o co wam chodzi, skoro nie chcecie rewolucji?

-O zemstę. - Uśmiechnął się. - Wyłącznie o zemstę. A propos, gdzie schowaliście mojego kałasznikowa?

-Czy on cały czas spał? - spytał Butterfield, wskazując na plecy NogNoga. Pokręciłam głową. Nie byłam w stanie niczego wyjaśnić. Na samą myśl ogarniało mnie zmęczenie. Źle się znosi pytania, na które trudno znaleźć odpowiedź.

- On nie śpi - odparłam po szwedzku. - On się czai... Butterfield otarł pot z czoła. Źle mnie zrozumiał.

- Czai się?!

-Ech - zachnęłam się. - Ricky, jak myślisz, czy będziemy mogli wziąć z sobą gotowany ryż?

Wiedziałam, co powie. Zapytałam tylko dlatego, żeby wyciągnąć do niego rękę i zasypać dzielącą nas przepaść.

-Tak, madame - przytaknął z kamienną twarzą. - Świetnie. Weźmiemy dużo ryżu i wody mineralnej, i w drogę... Ostatni raz kochaliśmy się bez słów. Nie mieliśmy sobie nic więcej do powiedzenia.

Nim zostaliśmy sami, zrobiło się późno, przez wiele godzin gotowałam ryż, część zjedliśmy na kolację, a potem ustalaliśmy, co mamy ze sobą zabrać. W apteczce znalazłam puszki z peklowaną wołowiną, doskonałe na śniadanie przed wymarszem, ale żeby nie tracić czasu, trzeba je było natychmiast otworzyć. Długo uderzałam w nie ostrym kamieniem i dziobałam nożyczkami, a kiedy wreszcie udało mi się je przedziurawić, Ricky podważał wieczka. W tym czasie byłam już pochłonięta wrywaniem czystych kartek z samochodowej instrukcji obsługi. Napisałam długi list z przeprosinami do właścicieli domu. Ze oczywiście pokryjemy koszty ewentualnych szkód, niech się łaskawie skontaktują ze szwedzką ambasadą w Manili... Do listu dołączyłam wizytówkę i kilka banknotów dolarowych, po czym postawiłam na tym wszystkim upiorną plastikową Madonnę. Dolly przewracała się z boku na bok, zestresowana tym zamieszaniem, skarżyła się na ból stopy i domagała się jedzenia, mimo że byliśmy tuż po kolacji.

Dałam jej długopis i samochodową instrukcję obsługi, powiedziałam, żeby coś narysowała, na przykład domy i ludzi, ale nie wiedziała, o co mi chodzi, i rozplakała się, kiedy jej pokazałam, jak trzymać długopis. Bała się, że zrobi coś źle. Jej płacz przyprawił mnie o wyrzuty sumienia, nie miałam pojęcia, jak ją pocieszyć, w końcu przyniosłam z kuchni napoczętą tabliczkę czekolady i tak się wykupiłam.

Byliśmy gotowi dopiero przed zmierzchem. Dolly nareszcie zasnęła, pakunki piętrzyły się przy drzwiach. Ricky związał dwie torby plastikowe z dwunastoma butelkami wody mineralnej. Miał je zawiesić na szyi, na piersi, a na plecach miał taszczyć worek ryżu. Butterfieldowi przypadła apteczka i torba z lekami, papierosami i kawą, mnie- Dolly.

NogNog przez całe popołudnie w ogóle się nie odezwał, nie poruszył i nawet nie tknął ryżu, który mu postawiłam w miseczce tuż za jego plecami. Uzgodniliśmy, że proponujemy mu nazajutrz, żeby się do nas przyłączył. Chyba żywiliśmy złudną nadzieję, że odmówi. W każdym razie trzymałam za to kciuki. Byłoby dużo łatwiej, gdyby został. Ricky położył się pod ścianą, z ręką na czole, i patrzył w sufit. Nie wiedziałam, o czym myśli. Dopiero później zrozumiałam, że właśnie wtedy podjął decyzję.

Chciałam usiąść na schodach i zapalić, ale tak lało, że zanim zdążyłam pstryknąć zapalniczką, papieros ociekał wodą.

-Chodź - powiedział Butterfield, widząc, co się dzieje. - Chodź do mnie...Siedział przy stole. W świeczniku płonęła świeca. Pochyliłam się nad nią z papierosem. Butterfield milczał.

-Ciekawe, gdzie będziemy jutro o tej porze - powiedziałam. Spojrzał na mnie.

-Ty pewnie w swojej rezydencji w Manili. Może w basenie...Zmarszczyłam czoło i strzepnęłam popiół.

-Ba! Ta wędrownica na pewno trochę potrwa. Powinniśmy się cieszyć, jeśli za tydzień będziemy się mogli wykapać w moim basenie...Butterfield pocałował mnie w rękę.

Sądzę że; !meWyk, PiCW, "0imb-" Cecylio. Chwyciłam jego dłoń.

- Gdzie?

- Gdzie indziej...Teraz ja pocałowałam go w rękę

- Polm nt" powiedziałam, - Co tam deszcz... I potem nic już nie mówiliśmy.

Rano w dniu pogrzebu jemy śniadanie w jadalnym. Wstałam wcześniej, przykryłam stół białym adamaszkowym obrusem, postawiłam srebrne świeczniki, a pośrodku - białe bzy w wazonie Alvara Aalto. Yvonne zatrzymuje się w progu i szepce, że wygląda to wspaniale, że obrus jest śliczny i że nigdy nie widziała równie pięknych świeczników. Chyba jej się zdaje, że się tego nauczyłam w Krainie Dyplomacji. Guzik prawda. To moje nakrycie jest raczej czymś w rodzaju repliki skierowanej do mamy, próbą uzyskania ostatniego słowa w cichej rozmowie, którą od dawna prowadziłyśmy. Chcę w ten sposób powiedzieć, że uroda przedmiotów i praca kobiet nie zasługują na pogardę. Ale ty tak myślałaś. Tata i polityka nauczyły cię w to wierzyć. Wyglądam obrus i patrzę na ogród; też srebrny i adamaszkowy jak obrus, po kilku wilgotnych, deszczowych dniach wrócił szron.

Kocham naszą planetę, mamó. Jest piękna. A piękno uśmierza ból i ucisza niepokój. Na pewno o tym wiedziałaś. Musiałaś wiedzieć, bo inaczej nie walczyłabyś o fotel „Pernilla” i o wazon Alvara Aalto.

Ale to było dawno, lata mijały, przedmioty traciły na znaczeniu, wiedły, na twoim oku pojawiła się ślepa plamka, świat się skurczył. Mogłabym napisać opasły słownik zawierający wszystkie hasła, których sobie odmawiałaś: „dobroć”, „dusza”, „piękno”, „miłość”, „współczucie”...

Lars-Góran chrząka w drzwiach. Obrzuca mnie przelotnym spojrzeniem, oboje pamiętamy, że chwyciłam go za gardło. Poprawia krawat i wczuwa się w rolę pierwszego żałobnika. Nawet w takiej sytuacji potrzebna mu hierarchia. Po śniadaniu zostajemy sami w kuchni. Lars-Góran chowa jedzenie do lodówki, ja wkładam talerze do zmywarki. Przez chwilę szuka nakrętki do słoika z marmoladą. Leży przede mną na blacie, podaję mu ją.

-Czy jest dla ciebie coś pięknego, Lars-Góran? - pytam. - Czy obchodzi cię piękno? Wzdycha głęboko i zakręca słoik.

- Cecylia, proszę, nie teraz... Za dwie godziny pochowamy mamę.

- Nie teraz? Tylko teraz! Mama wiedziała, czym jest piękno, ale szybko o tym zapomniała.

Dlaczego?

- Wcale nie...

- Wcale tak. Wy wszyscy zapomnieliście. A jeśli założyć, że estetyka jest matką etyki, to brak estetyki w polityce obraca wszystko wniwecz...

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Mówię o pięknie i cnocie...

- Piękno i cnota - powtarza Lars-Göran, z trzaskiem zamykając lodówkę. - Nabij mnie na cholernie długi pal!

Pochyliłam się nad umywalką i muskam wargi pomadką. W takim dniu nie mogę przesadzać.

Pogrzeby powinny być czymś wyjątkowo intymnym, pastor powinien stać za kotarą, a żałobnicy powinni wchodzić osobno, jeden za drugim i w samotności celebrować czyjąś śmierć. To się nazywa godne pożegnanie. Godne i szczerze. Bo jak można sobie pozwolić na szczerą pod ostrzałem setek oczu?

Opuszczam głowę i zamykam kosmetyczkę. Patrzę w lustro - i nie mam pomadki. Zdążyłam ją zlizać. Sztywnieję, kiedy taksówka podejżdza pod Skogskyr-kogården, przeraża mnie liczba zaparkowanych samochodów. Stanowimy małą, czarno-białą grupkę tych najbliższych.

Przestępujemy z nogi na nogę na chrzęszczącym żwirze. W milczeniu, kiwając głowami, mijają nas jacyś żałobnicy. Yvonne rozdaje kwiaty, oczywiście czerwone róże i kiedy wręcza je młodym ludziom, delikatnie głaszcę Larsa-Görana po rękawie.

-Przepraszam - mówię szybko. - Przepraszam, że się ciebie czepiam...Wzrusza ramionami, nie patrzy na mnie. Szuka w kieszeni chusteczki do nosa.

-Teraz - mówi przedsiębiorca pogrzebowy i otwiera drzwi do kaplicy.

Ależ tu ludzi! Kaplica jest wypełniona do ostatniego miejsca, z tyłu kilka osób siedzi na rozkładanych krzesłach. Dostrzegam parę znajomych twarzy. W trzecim rzędzie są koleżanki mamy z klubu kobiet, po drugiej stronie przejścia wodzi palcem po tweedowej cyklistówce przewodniczący socjaldemokratów w gminie. Z lewej widzę zatroskaną twarz Berit. Obok niej stoi doktor Alexandersson i pocieszająco kiwa głową. Że też przyszedł... A tam jest Gunilla.

Wykonuje jakiś dziwny ruch. Nie tyle mnie pozdrawia, ile chce mi coś pokazać. Nie mam jednak czasu patrzeć, muszę iść dalej. Lars-Göran i Yvonne siadają w pierwszym rzędzie. Nareszcie mogę zobaczyć wszystkie kwiaty, górę kwiatów wokół trumny.

Większość wybrała wieńce i bukiety z czerwonych róż, jest mnóstwo czerwonych róż i kilka białych lilii. To dobrze. Za trumną widzę dwuosobowy poczet sztandarowy. Stoją na szeroko rozstawionych nogach, lewe ręce założyli na plecy. Trzymają stare jedwabne czerwone sztandary z białymi i złotymi haftami. Też dobrze. Na ceremonii siedzę sztywno, mam suche oczy, nie płaczę nawet podczas składania bukietu na trumnie. Robię tylko lekki grymas, który powtarzam, kiedy sztandary pochylają się nad mamą. Wszyscy mnie widzą! Jak mogłabym płakać, kiedy wszyscy mnie widzą? W takich chwilach socjaldemokracja ma w sobie coś bardzo religijnego, myślę, prostując plecy. To irytujące. Wszystkie religie ukrywają twarz Boga. Ziemskie religie ukrywają twarz człowieka.

Później, kiedy goście, szepcząc i mrucząc, stoją przed kaplicą, ukradkiem wracam. Szybko podchodzę do trumny, przytulam policzek tam, gdzie powinna być mamina głowa. Mamusiu - mówię cicho - daj Dolly trochę czekolady i pomóż jej odnaleźć Emmę...

Kiedy wychodzę, przed kaplicą zostało niewielu gości. Większość jest w drodze do „Hoteli Hógländ”. Sophie stoi w drzwiach taksówki i czeka na mnie, tuż obok widzę Gunillę, z rękami głęboko wsuniętymi w kieszenie płaszcza. Nie patrzą na siebie. Starłam z twarzy smugi tuszu, pół biegnę do samochodu i wkładam rękawiczki. Naturalnie zatrzymuję się naprzeciwko Gunilli i podaję jej rękę.

- Dziękuję, że przyszłaś - mówię. Patrzy na czubki swoich botków.

- Nie ma za co. Dzwoniłaś?

- Dzwoniłam?

- Do Marity. Kręcę głową.

- Nie. Nie zdążyłam...

- A zadzwonisz?

- Nie wiem. Zobaczymy. Chcesz się z nami zabrać do hotelu? Czy masz swój samochód? Potrząsa głową.

- Nie, nie pojedę. Nie przyjdę do hotelu... Kładę dłoń na rękawie jej płaszcza.

- Dlaczego?

- Ach, będzie mnóstwo komunalnych polityków, lekarzy i tak dalej. I twój brat. Nie, nie chcę...

Dobrze

jest, jak jest. Cofam rękę, wiem, że jej nie przekonam.

-W każdym razie dziękuję, że byłaś w kaplicy...

-I ja dziękuję - odpowiada Gunilla, poprawiając torbę na ramieniu. - Widziałas go? Zatrzymuję się w pół kroku.

- Kogo?

- Ojca Marity. Olssona. Siedział tuż za tobą.

Białe obrusy, kwiaty i świece. Zdjęcie mamy w srebrnej ramce. Za oknem szara zimowa mgiełka. Lars-Góran i ja witamy gości. Zdążyłam poprawić makijaż, Lars-Góran przepłukał zimną wodą zapuchnięte od płaczu oczy. Ja nie znam prawie nikogo, Lars-Góran zna wszystkich. To jego okręg wyborczy, to ci ludzie przyczynili się do jego kariery. Chwyta ich dłonie obiema rękami, patrzy głęboko w oczy i przyjmuje kondolencje. Ja tylko kiwam głową i poruszam ustami, żeby wyglądało to tak, jakbym cicho dziękowała. Mam zimne dłonie. Berit chce mnie pogłaskać po policzku, ale udaje mi się nieznacznie odsunąć i zamiast mnie dotyka powietrza.

-Dziękuję, że przyszedłaś - mówię swoim najuprzejmiejszym głosem, po czym zwracam się do doktora Alexanderssona: - Tobie też dziękuję i dziękuję za wszystko, co zrobiłaś dla mamy! On dyga z powagą, jak uczeń, i tak mnie ten ukłon fascynuje, że nie dostrzegam grożącego mi niebezpieczeństwa. Nagle moja twarz ląduje na czyjejs marynarce i jestem uwieczona w czyichś objęciach.

-Słodki Boże... - odzywa się nad moją głową płaczliwy głos. - Słodki Boże, że też Dagny odeszła tak wcześnie, ale teraz w ramionach Zbawiciela i na łonie Boga jest jej dużo lepiej... Alleluja, teraz jest u Pana, a On jej wybaczy, On wybacza wszystkim grzesznikom!

To odrażające! Uwalniam się gwałtownie, chwieję się lekko na wysokich obcasach i poprawiam włosy. Mężczyzna cofa się o krok.

-Nie pamiętasz mnie, Cecylio? Mieszkaliśmy po sąsiedzku, kiedy byłaś mała. Zmieniłem się, spotkałem Jezusa! Odzywa się we mnie zadawniony strach i nienawiść. Pieprzony zgred! Postarzał się sukinsyn i zrobił religijny.

-Ach, tak - mówię obojętnie. - Możliwe. I odwracam się do następnego gościa.

Goście siedzą przy osobnych stolikach, a nasza rodzina zgromadziła się przy dużym okrągłym stole pośrodku sali, do którego zaprosiliśmy pastora, komunalnego polityka i doktora Alexanderssona. Wiele osób wygłasza mowy, z każdym słowem mama staje się coraz mniej wyraźna i coraz bardziej nierzeczywista. Usiadłam ostatnia, starannie wybrałam swoje miejsce, plecami do Olssona, twarzą do foyer. Widzę tam dwa cienie, jeden rozpoznaję, to Katarina Söderberg. Kiedy przytłumione żałobne szepty przechodzą w normalny gwar, idę do niej. Na mój

widok Katarina Söderberg szybko podnosi się z fotela. Jej fotograf nie wstaje. Jest w dżinsach, szeroko rozstawił nogi.

- Dzień dobry - mówię przyciszonym głosem, żeby sprawiać wrażenie osoby opanowanej.

- Nie wejdziecie? Zapraszam na poczęstunek.

- Dzień dobry - odpowiada Katarina Söderberg. - Hm, sama nie wiem. Chciałam tylko zobaczyć, kto przyszedł. Ze względu na relację z pogrzebu. Pålsson z „Fonusa” ma mi podrzucić listę mówców...

-Świetnie. Jest tu pani nowa, więc nie może pani znać wszystkich. Uśmiecha się.

-O, nie, znam większość. Zgromadził się tutaj cały establishment. W takim niewielkim mieście nie jest on zbyt liczny...Odwzajemniam uśmiech.

-To prawda. Ja nie znam połowy... Podchodzi bliżej drzwi.

-Rozumiem. Długo pani tu nie było. Poza tym nie wszyscy są z establishmentu. Widzi pani tego mężczyznę w srebrnym krawacie? Idę za jej spojrzeniem. Olsson. Jego brwi przypominają odwróconą literę „V”. Taki się zrobił łagodny i pełen namaszczenia.

-Co to za jeden? - pytam półgłosem. Katarina Söderberg badawczo mi się przygląda. Uśmiecham się do niej zachęcająco.

- To pijaczyna - mówi - który spotkał Jezusa na zwirowce w Hunsebergu i od tamtej pory chodzi na wszystkie pogrzeby.

- Kiedy tu przyjechałam, myślałam, że będzie podobnie jak w Göteborgu - mówi Katarina Söderberg - tylko w mniejszej skali, i że łatwiej uda się wszystko ogarnąć...

Ustawiliśmy się w kącie foyer, powiedziałam, że nie wypada mi palić na sali, w rzeczywistości chcę się czegoś dowiedzieć o nawróceniu Olssona. Zaciąga się głęboko moim papierosem.

-Tymczasem jest zupełnie inaczej. Mój chłopak mówi, że przypomina mu to południe Ameryki. Ma rację. Tu jest rzeczywiście jak na południu Ameryki. To miasto wydaje się odizolowane od reszty świata...

Potakuję zachęcająco, byle tylko mówiła dalej.

-Chciałam się odpowiednio przygotować i pierwszego dnia przejrzałam mnóstwo starych gazet. I własnym oczom nie wierzyłam! Oczywiście nie wszystko było dziwne, przeważały teksty, których pełno w lokalnej prasie, sprawozdania z działalności różnych stowarzyszeń, kroniki wypadków i takie tam. Znalazłam jednak kilka artykułików kompletnie niedorzecznych. O cudach. Nie było w nich cienia krytycyzmu, żadnego dystansu. I ten człowiek maczał palce w tych cudach...

Tamy puściły, teraz nic jej nie powstrzyma. Wykrzywia się i strzepuje popiół do doniczki.

-Szczerze mówiąc, to on jest jak pryszcz na dupie. Prawdziwa zaraza.

-A co takiego robi?

-Wygląda na to, że przez całe życie zdrowo tankował i na tydzień przed moim przyjazdem spotkał Jezusa... Szwendał się na obrzeżach miasta, kiedy nagle z naprzeciwka nadszedł Jezus. Obaj byli nieźle zamuleni, oczywiście każdy inaczej. Dziadek mimo wczesnej pory, było wpół do dwunastej, zdążył obciągnąć dwie flaszki wina. A Jezus był przezroczysty. Opisał go jak ducha z komiksu...

- Wzrusza ramionami. - Wtedy zobaczył światło, wyznał swoje grzechy i wytrzeźwiał. A potem, zgodnie z tutejszym obyczajem, poleciał do „Smalands Dagblad”...

- Gasi papierosa w doniczce i wzdycha. - Chyba mu się spodobało, że napisali o nim w gazecie, bo od tamtej pory wpada do redakcji świątek piątek, między jednym pogrzebem, a drugim.

Przedwczoraj chciał, żebym zamieściła informację o kluczach...

-O kluczach? Jakich kluczach?

-Zwykłych kluczach do mieszkania. Gdzieś je zawieruszył i jak tylko pomodlił się do Boga, od razu się znalazły. Według niego to była wiadomość na pierwszej stronie. Pozbycie się go z redakcji zajęło mi dwie godziny...Chichoę.

- Zyskałaś moją sympatię - rzucam na odchodne.

- Dziękuję. Może mi się przydać!

Sophie wyszła do toalety, jej miejsce przy stole jest puste. Znakomicie. Siadam tam, kładę torebkę na kolanach, wspieram brodę na splecionych dłoniach i wpatruję się w Olssona. Zachowuję kamienną twarz, mrugam tylko wtedy, kiedy to absolutnie konieczne. Wieloletnie opilstwo spowolniło jego reakcje. Rozmawia z kimś, je kanapkę, w kącikach ust zebrała się ślina. Dopiero po trzydziestu sekundach czuje moje spojrzenie, nieruchomieje, rozgląda się. No, proszę.

Zauważył mnie.

Sili się na coś, co ma przypominać uśmiech, rozciąga wargi i liczy na to, że też się uśmiechnę. Nic z tego. Siedzę z kamienną twarzą, nie mrugam i patrzę na niego. Spuszcza oczy, podnosi szklankę i wypija łyk, jakby miał nadzieję, że ta banalna czynność skieruje moje spojrzenie w inną stronę. Figa z makiem. Kiedy w sekundę później zerka na mnie, znów napotyka mój wzrok. Cześć, Olsson, mówi moje spojrzenie. Pamiętasz mnie? Swoją małą zdobycz? Rozmowa przy stoliku Olssona zamiera. Jego sąsiedzi zauważyli, że coś się dzieje, odwracają głowy, kiedy szuka wzrokiem ich pomocy. Uwięziłam go w swoich źrenicach, które nie przestają mówić. Wszystko zasadza się na prawdopodobieństwach, Olsson. Byłam bezsilna wobec ciebie, dlatego że to, co zrobiłeś, wydawało się absolutnie nieprawdopodobne. Dorośli mężczyźni nie postępują w ten sposób z dziećmi. Miałeś alibi: swój wiek i płeć. Ale teraz role się odwróciły. Teraz to ja jestem

myśliwym, a ty zwierzyną. Teraz mam alibi, bo jestem kobietą z Krainy Dyplomacji, a tobie brak wiarygodności, bo jesteś starym pijakiem. Tak to bywa na tym świecie. Hop-siup i nagle bezsilny ma władzę...Nad górną wargą Olssona perli się pot. Wygląda dużymi dłońmi serwetkę, którą położył na kolanach. Nie ma odwagi na mnie spojrzeć. Mogę zrobić z tobą, co zechcę, szepcą moje oczy. Mogę cię zabić. Nikomu by się nie śniło mnie podejrzewać, nawet gdybyś zdążył mnie przed śmiercią oskarżyć. Podnosi głowę i czyni błagalny grymas. Nie popuszczam. Wpijam się wzrokiem w jego gąbczastą twarz. Mam cię, Olsson. Jesteś w moich rękach. Jeśli za godzinę ciagle będziesz oddychał, jeśli jutro twoje serce nadal będzie biło, to tylko dlatego, że na to pozwoliłam. Jesteś na mojej łasce. Składa serwetkę, kładzie ją obok talerza, mruczy coś do sąsiadów przy stoliku. Śledzę go spojrzeniem, wije się w jakichś podziękowaniach i pożegnaniach, które kieruje w naszą stronę. Nie poddaję się. Siedzę nieruchomo, z brodą wspartą na dłoniach, dopóki nie opuści sali.

-Co ty wyprawiasz? - pyta Lars-Góran. Kładę ręce na kolanach i uśmiecham się do niego z lekkim roztargnieniem.

-Co? - mówię. - O co ci chodzi?

- Uspokój się, Cecylio - mówi Marita. - Przestań! Wyglądasz jak wariatka...Stoi pod tą samą latarnią, która przed niespełną godziną oświetlała Wenus z Gottlösy. Ściągnęłam chustkę z głowy i wycieram nią makijaż.

-Gliniarz zrobi swoje i po krzyku! Nie ma się czego bać. Już ją zabrali, głowę też, sama widziałam...

Chwyta mnie za kurtkę. Odpycham ją.

-Zostaw! Nie dotykaj mnie! Mówię ochryple, dyszę, tryskam śliną.

-Spokojnie. Masz pietra, że starzy się dowiedzą, że byłaś? Że wystajemy na Sódra Torget? Gwałtownie kręcę głową i przyciskam chustkę do ust. Jest poplamiona tuszem i kremem.

-Jej się boisz? Już ją zabrali, widziałam, położyli ją na noszach, a głowę wrzucili do kartonu... Opuszczam rękę i wymachuję chustką.

-Przestań! Przestań, ty pieprzone ścierwo! Ty śmierdzielu! Cofa się o krok i przęłyka ślinę.

-Coś ty powiedziała? - mówi bardzo cicho. - Jak mnie nazwałaś? Wypluwam słowa:

-Ty śmierdzielu! Zaciska dłonie w kieszeniach kurtki i uśmiecha się szyderczo.

-I kto to mówi? Gluty ci wiszą do kolan, włosy masz w strąkach. Może się na dokładkę zsikałaś? Wycieram nos chustką i staram się zachować w miarę godnie.

-Nie, Marita, nie zsikałam się. Dobrze wiesz, że od dawna tego nie robię... Chcę iść do domu.

Marita przedrzeźnia mnie.

-Ona chce iść do domu - mówi płacząco i wykrzywia się. - Jest dopiero wpół do ósmej - dodaje ciszej.

- Co będziesz robiła w domu? Liczyła pieniądze w skarbcu? Czy słuchała, jak Złoty lutuje twoją starą?

Zmęczona i zrezygnowana, wpycham zmiętą chustkę do kieszeni. Nie mogę przecież powiedzieć prawdy. Nie zostanę tu, Marita, bo to śmiertelnie niebezpieczne. Jeśli zostanę, będę taka jak ona.

Wbijam wzrok w ziemię i milczę.

- Co będziesz robiła w domu?

- Nie wiem. Wypiorę majtki...

- Wypierzesz majtki? W sobotę? Zwariowałaś. Kompletnie ci odbiło. Podnoszę głowę i patrzę na nią.

-Miałaś frajdę, co? Cieszyłaś się, widząc, jak wkładają jej głowę do kartonu...Wyjmuje ręce z kieszeni, cofam się, przez moment wydaje mi się, że mnie uderzy. Ale nie, pluje tylko na moją zamszową kurtkę.

-Jesteś nienormalna, Cecylio. Od początku to wiedziałam!

Żegnam się z ostatnim gościem i coś się dzieje z moimi oczami. Nie mogę na niczym zatrzymać wzroku. Coś się nieustannie porusza na obrzeżach pola widzenia, coś, czego nie jestem w stanie zobaczyć. Mysz biegnie po podłodze, wiewiórka wspina się po ścianie, chmara czarnych motyli krąży pod sufitem. Odwracam głowę, próbuję je ogarnąć spojrzeniem, ale nic z rem Ok. c i P^gladal Sic „, pIacie W PIySkÓW' ^ 4 rfiM przyjaciófti ma™ tw v f T™" m'di S°4 moich oculi* "f k01** Ś™< -«Wł * „„

W ciemnej sypialni doktor Alexandersson świeci mi w oczy małą lampką. Zamykam powieki i widzę płomienie. Czuję się bezpiecznie. Lubię ogień, bo wszystko wypala do czysta. Po chwili gaśnie, pryzmatu już nie ma, zanurzam się w jakąś węzową mgłę. Pełzną wielobarwne żmije, są w kolorze kamieni, mchu i śmierci. Zlewają się i rozdzielają siwo-czarne, siwo-brązowe i siwo-zielone cętki.

W tle unosi się szept Yvonne:

- Odwarstwienie siatkówki? Czy to może być odwarstwienie siatkówki?

Oddycham ciężko i przyciskam do oczu zaciśnięte dłonie. Nie tylko oczy mnie zawodzą. Nie mogę pochwycić własnych myśli, pierzchają jak stado spłoszonych ptaków, ilekroć usiłuję odtworzyć ostatnią noc i ostatni poranek.

Staram się, Marito, ale nie mogę. Myśl broni się i umyka na samo wspomnienie trzaskających drzwi i odgłosu pospiesznych kroków na schodach.

Bezimienne miasteczko rozplywa się i nagle widzę twarz Zosimy. Pochyliła się nad moim szpitalnym łóżkiem w Manili.

- Gdzie on się podział, madame Gdzie jest mój Ricky? Splatam dłonie na kołdrze, zamykam oczy, żeby się ochronić przed jej spojrzeniem, i zastanawiam się, co powiedzieć, nie dając się jednocześnie przyłapać na kłamstwie.

- Nie wiem, Zosima. Rozdzieliliśmy się, po prostu zniknął. To niemal prawda, mam czyste sumienie.

- Ale dlaczego pani wróciła, madame, a on nie?

- Nie wiem, Zosima. Może poszedł w drugą stronę, nie wiem. Otwieram oczy i patrzę na nią. Ma podkrążone z głodu oczy.

- Przyjdzie, Zosima. Na pewno jest w drodze. A do tego czasu dopilnuję, żeby tobie i twoim dzieciom niczego nie zabrakło. Dam ci pieniądze. Prostuje się, zaciska usta - kreska pogardy. - Nie chodzi o pieniądze, madame. Chodzi o Ricky'ego. Była pani tam, gdzie szalał lahdr. Czy pani zdaniem Ricky przeżył? Czy myśli pani, że Ricky wyszedł cało z płonącego cementu? Zamykam oczy, udaję wyczerpaną. Pielęgniarka ujmuje Zosimę pod ramię i delikatnie, acz stanowczo wyprowadza z pokoju.

Zanim wróciłam do Szwecji, otworzyłam dla niej konto w banku. Wpłaciłam dużo pieniędzy -, roczną dietę ze szwedzkiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Jadąc na lotnisko, poprosiłam kierowcę, żebyśmy zajrzeli do San Juan.

Zosimy nie było; w ciemnym pokoju na cementowej posadzce siedziała jedna z córek i apatycznie bawiła się kamykami. Rozczochrana i brudna, nie miała już ani mundurka, ani butów gimnastycznych.

Położyłam jej na podółku wszystkie moje filipińskie banknoty i monety i szepnęłam, żeby dała je mamie. Zrobiła ze spódniczki torebkę i popatrzyła na mnie w milczeniu. Nie uśmiechała się, miała w nosie dobre wychowanie. Byłam jej za to wdzięczna. Nie zniosłabym uśmiechniętej buzi w tym pokoju.

Ricky nie wrócił.

Czy ja słyszałam trzask drzwi? Czy naprawdę słyszałam, jak wychodzi?

Nie wiem. Może to tylko antycypacja. Może jego i Nog-Noga już nie było, kiedy wróciliśmy z Butterfieldem do domu. Nie zapalaliśmy świecy, poruszaliśmy się w ciemnościach, po omacku. Temperatura ciągle rosła. Pod stołem, gdzie leżałam przytulona do pleców Butterfielda, była nieznośna duchota. Na chwilę przysnęłam, potem usiadłam i zaczęłam się drapać po głowie. Miałam mokre włosy. Nie tylko od potu. Obejmowaliśmy się z Butterfieldem pod awokado, którego rozedrgane liście wylały na nas swoją zawartość. Deszcz ustał. Odwróciłam głowę i nasłuchiwałam. Tak, nie padało. Słyszałam jedynie ciche oddechy śpiących. Przypuszczałam, że to oddechy czterech osób. Bo niby jak miałam się zorientować, że tylko dwóch? Wygramoliłam się spod stołu i szukałam coli, którą postawiłam gdzieś obok. Nie chciałam otwierać puszek w pokoju, żeby nie budzić innych, cicho podeszła drzwi i ostrożnie je za sobą zamknęłam. Tej nocy było wyjątkowe światło. Słabe, siwe jak dym jakby emanowało znikąd, jakby popiół lekko fluoryzował. Dużo później zrozumiałam, że pochodziło z tego samego źródła co dławiący upał, ale wtedy jeszcze tego nie wiedziałam, wtedy żaden człowiek na świecie nic nie wiedział o lahr. Rozłożyłam gazetę na najwyższym stopniu, usiadłam i zanurzywszy stopy w przesyconej deszczem mazi, otworzyłam colę.

Długo siedziałam w tej samoświecącej, dymnej szarości i marzyłam. Budowałam dla Dolly domki dla lalek i wyobrażałam sobie gorzko-słodkie spotkanie z Butterfieldem w Manili. Musiałam marzyć, żeby nie myśleć o następnym dniu i czekającej nas wędrówce. To było zbyt przytłaczające, nie mogłam sobie pozwolić na niepokój, miałam przecież nieść Dolores. Nagle w ciemnościach po lewej rozległ się gwizd, a w sekundę później, po prawej, zaskrzypiał czyjś głos: - Oh, madame! Watch out! Beware of the darkness...

Ktoś mnie dotyka. Rozpoznaję dłonie Yvonne, są tak samo lekkie i zwiewne jak jej szept. Ale akurat w tym momencie nie ma nic gorszego niż delikatne muśnięcie. Uderz mnie, szarp ostrymi kłami, zmiażdż mi kości i zetrzyj je na proch, tylko mnie nie muskaj, jak płaz w ciemnościach! Odpycham jej rękę, zwijam się w kłębek, zasłaniam stopy koszulą nocną, wsuwam dłonie w rękawy. Chowam się w swojej ślicznej jedwabnej koszuli; jest czysta, biała i śliska jak lód. Doktor Alexandersson wie, jak trzeba dotykać. Chwyta mnie za ramiona, chroni. Wtulam się w jego pierś i łapię n poły marynarki. Nie krzyczę. Z moich ust nie wydobywa się żaden dźwięk.

Skrzyżowałam ramiona.

-Daj spokój, NogNog - powiedziałam w ciemność. - To nie jest zabawne. Połyskliwą szarość przeszył chichot, zamrugałam powiekami, żeby wyostrzyć wzrok.

-Daj spokój i wyjdź! W odległości kilku metrów od schodów zatrzepotał rozmazany cień i znów rozległ się chichot. Zapaliłam papierosa. To był błąd. Kiedy płomyk zapalniczki zgasł, szarość zgęstniała i cień zniknął.

-Przestań. Nie bądź dziecinny. Cisza. Oddychałam z coraz większym wysiłkiem. Upał, pomyślałam, ocierając pot z czoła. Brak tchu to wina upału. Nie boję się. Dlaczego miałabym się bać? Jest nas troje, on tylko jeden, Butterfield schował broń. Poza tym w żadnym razie nie wolno okazywać lęku. Nigdy.

-Powinieneś spać, NogNog - odezwałam się pewnym głosem. - Jutro czeka nas daleka droga. Chorowałeś, musisz odpocząć, nabrać sił...NogNog wyłonił się z ciemności, dostrzegłam jego kontury, stał na szeroko rozstawionych nogach, bosy, niedaleko schodów. Ciągle nie widziałam jego twarzy ani tego, co znalazł.

-Droga? - powiedział swoim najłagodniejszym głosem. - A gdzie ja mam iść?

Westchnęłam, jakbym rozmawiała z nadąsanym dzieckiem.

-Musimy iść, NogNog. Dolly i mister Berglund potrzebny jest lekarz. Musimy się jak najszybciej znaleźć wśród ludzi. Powinieneś się z nami zabrać, w grupie jest bezpieczniej...

NogNog zanurzył się w dymną szarość, jego głos unosił się w upale jak srebrna nitka.

-Zostanę. Mam inne plany. Na chwilę zapadła cisza. Oparłam się o drzwi i zamknęłam oczy. Dlaczego jest tak gorąco?

-Jak zrobiłeś tę sztuczkę, NogNog? - zapytałam najzwyczajniejszym tonem. Zdałam sobie sprawę, że coś usłyszałam, dopiero wtedy kiedy dźwięk zamarł; słaby odgłos czegoś, co ocierało się o metal.

-Jaką sztuczkę?

-No, kiedy próbowałeś mnie nastraszyć. Wyglądało to tak, jakbyś był w dwóch miejscach jednocześnie...

Dźwięk się powtórzył. NogNog czegoś dotykał.

-Fruwałem, madame. Mówiłem przecież, że jestem aniołem...To nie było śmieszne. Nie miało takie być. Powiedział to spokojnie, nie żartował. Mimo upału zadrzałam. Ricky i Butterfield mają rację, pomyślałam. On jest szalony. Nie zamierzam siedzieć w nocy sam na sam z szaleńcem.

Wstałam, żeby wejść do domu.

- Nie - mówi doktor Alexandersson - nic nie wskazuje na odwarstwienie siatkówki. Ale, rzecz jasna, nie mam wszystkich niezbędnych narzędzi, żeby dokładniej to zbadać...Biorę się w garść,

puszczam poły jego marynarki, kładę się na plecach i zamykam oczy. Tysiące jasnych kropek przeszywa ciemność. Nieważne. Nie są groźne. To elektrony, fotony, protony. Patrząc w materię i jestem zupełnie spokojna.

-Zabierzemy ją do szpitala? - szepce Yvonne.

-Nie. Jeszcze nie. Wydaje mi się, że to reakcja na pogrzeb. Poza tym jest przemęczona, opiekowała się Dagny, a to pod wieloma względami było bardzo wyczerpujące. Musi odpocząć. Słyszę, jak grzebie w swojej torbie.

-My nie mogliśmy - szepce Yvonne. - Dzieci. Mamy małe dzieci... Bawi mnie jej poczucie winy. A jeszcze bardziej bawi mnie to, że Alexandersson ignoruje jej prośbę o rozgrzeszenie. Jestem złym człowiekiem, Marito. Powinnam z nią porozmawiać, powiedzieć, że nigdy jej tutaj nie potrzebowałam, że w niczym nie zawiniła i że ja wcale nie jestem przemęczona. Ale milczę i posłusznie otwieram usta, kiedy doktor kładzie mi na języku proszek nasenny.

NogNog nie kłamał, Marito. On umiał latać. Nie jak anioł, tylko jak tygrys. Ledwie położyłam rękę na klamce, dopadł mnie jednym bezgłośnym susem. Straciłam równowagę, ześlizgnęłam się z najwyższego stopnia i przewróciłam. Poczułam piekący ból w kości ogonowej. Dlaczego to zrobił? Czy chciał mnie powstrzymać przed wejściem do domu?

Nie wiem. Później, kiedy leżałam w bezpiecznym klimatyzowanym pokoju szpitalnym w Manili, wysnułam pewną teorię. Bramy czasu były dla NogNoga w ciągłym ruchu otwierały się i zamykały, nigdy jednak nie zamknęły się do końca. Przemieszczał się między wieloma światami, wślizgiwał z czasu i wślizgiwał doń, był na przemian dzieckiem i dorosłym, ofiarą i mścicielem. A my, ludzie z jego otoczenia, mieliśmy w jego oczach coraz to inne twarze.

Nie był szalony. W żadnym razie. Po prostu za dużo widział. Za dużo obrazów wryło mu się w pamięć.

Tacy ludzie atakują, Marito. Myślą, że w ten sposób się wyzwolą.

Nie ukrywam, że ja też się zmieniłam. Kiedy NogNog mnie uderzył, chciałam mu oddać. Pierwszy sekretarz ambasady, Cecylia Lind, podniosła się, zdyszana i skupiona, i zacisnęła pięści.

Strach minął. Cieszyłam się, Marito, cieszyłam się, że nareszcie mogę się odpłacić za mój lęk i wściekłość. Targałam go za ucho równie mocno, jak on szarpał mnie za włosy, wbiłam mu łokieć w gardło, kiedy chciał mnie chwycić za szyję, tłukłam go otwartą dłonią i pięściami. Był silny, ja też byłam silna. Był bezwzględny, ja byłam bezwzględniejsza. Drapanie i gryzienie uwłaczało jego męskiej godności, ale nie mojej. Gdybym nie ogryzała paznokci, rozorałabym mu twarz. Wpiłam

się zębami w jego ramię i nie puszczałam, dopóki nie poczułam w ustach smaku krwi. Nagle uderzył mnie pięścią w skroń, oczy zasły mi łzami. O mojej porażce zdecydowała być może sekunda dekoncentracji albo brak treningu i techniki. W każdym razie, kiedy celowałam w jego krocze, odsunął się, kopnęłam w powietrze, straciłam równowagę i upadłam. Moment później klęczał nade mną. Chwycił mnie za nadgarstki, przycisnął je do ziemi, po czym stanął kolanami na moich ramionach i usiadł mi na klatce piersiowej.

- Puść - powiedziałam. - Duszę się. NogNog milczał i nie puszczał. Pochylił się i pocałował mnie. Mogłabym skłamać, Marito. Kłamstwo wydaje się w tym wypadku bardzo nęcące.

Mogłabym powiedzieć, że zdesperowana, zatrzepotałam alabastrowymi rączkami i wijąc się w mękach, wybuchnęłam płaczem. Ale chyba sama rozumiesz, że kiedy rozchyliłam usta i uległam pod naporem jego warg, zadawałam sobie tylko jedno i to samo pytanie: Kim ty właściwie jesteś, NogNog?

Jestem NogNog, odparło jego ciało. Jestem NogNog i jestem słony jak ocean.

„A potem?”

Niemal cię słyszę, Marito. Słyszę twój bezgłośny szept, jak przed laty: „A potem? Co się stało potem?”.

Zamrugałam powiekami, otworzyłam oczy i spojrzałam w niebo. Ale nieba nie było, niczego nie było, nie widziałam nawet pochylającej się palmy kokosowej, jeszcze do niedawna w zasięgu mojego wzroku, przy skamieniałym samochodzie. Wszędzie szarość. I para. Tak, Marita to nie była mgła, tylko para. Jak myślisz, co zrobiłam? Oczywiście zaczęłam się rozglądać w tym mokrym cmokającym popiele za papierosami. Znalazłam je tuż pod schodami, na paczce elegancko leżała zapalniczka. Wróciłam do NogNoga, znów byłam sobą, wyciągnął się na ziemi, wyglądał jak nieboszczyk, usiadłam koło niego, oparłam się plecami o palmę i zaciągnęłam papierosem. Myślałam, że się poddał. Myślałam, że nareszcie zwyciężyłam. Sądziłam - kompletna idiotka! - że mogę mu zadać pytanie, którego dotąd nie miałam odwagi zadać.

- Dlaczego tak krzyczałeś, NogNog? Dlaczego krzyczałeś na mój widok? Uklęknął i kazał mi zapalić zapalniczkę. A potem podciągnął koszulę. Na piersi miał piętno niewolnika.

Nie śpię. Ale teraz jest czarno, nic się nie porusza pod powiekami. Czas się zatrzymał, wszystko znieruchomiło. To dobrze. Tylko w ciemnościach i w bezruchu możemy przyjrzeć się temu, co się wydarzyło w bezimiennym miasteczku. Kto jest właścicielem dziecka, Marito? Czy ty to wiesz? Odpowiedź ma gorzki smak. Obie nie możemy się silić na obłudną słodycz. Obie wiemy, że dziecko samo o sobie nie decyduje. Musi się odgradzać wysokim murem, żeby mieć siebie dla

siebie. Nie wszystkie mogą. Tak więc właścicielem dziecka jest ten, kto rości sobie do niego prawa, ten, kto mówi, że je posiada. Właścicielem NogNoga był Donald.

Płomyk zapalniczki migotliwie oświetlał jego pierś, głębokie okrągłe blizny układały się w ujętą w koło literę „V”. Mówił szybko i cicho, musiałam się nachylić, żeby cokolwiek usłyszeć. Mówił o tym, że dzięki toczącej się w Wietnamie wojnie do Angeles zawitało coś w rodzaju dobrobytu. On i jego banda zaczęli się przyzwyczajać do coraz lepszych resztek jedzenia, plain rice i zgniłe warzywa nie były już rarytasem. Zdarzało się, że amerykańscy żołnierze rzucali im garść monet, zdarzało się, że zakochani we własnej dobroci, zabierali ich do baru na hamburgery.

-Ale jedzenie nie było dla nas najważniejsze - szepnął NogNog. - Mogliśmy się obyć bez hamburgerów, chipsów i coca-coli. Tak jak moglibyśmy się obyć bez innych rzeczy, gdybyśmy w tym nie zasmakowali. Uzależniliśmy się...

-Dawali wam narkotyki? Małym dzieciom? Ciągłe klęczał przede mną z podciągniętą koszulą. Pokręcił głową.

-Nie. Oni nas po prostu widzieli. Dzięki nim staliśmy się realni. Dużi, władczy kanos zapamiętali nasze imiona i rozmawiali z nami. Zawsze się z nami witali, kiedy się wyłanialiśmy z bram i zaułków, wołając na przykład „Jimi, Joef. Przedtem czuli się jak widma, przezroczyste duchy, straszące dorosłych. Ich świat składał się z rąk, które ich odpychały, ze złych głosów i tupiących nóg. Wszystko zmieniło się na lepsze, kiedy w kraju po drugiej stronie morza zaczęły się naloty dywanowe.

- Ci żołnierze nigdy nie widzieli takich jak my, przyjechali przecież prosto ze Stanów. Uważali, że jesteśmy zabawni, że pachniemy przygodą. Chyba byliśmy dla nich czymś w rodzaju marzenia, tak jak oni dla nas. Spuścił głowę i popatrzył na swoją pierś. Głębokie blizny wyglądały w płomyku zapalniczki jak mroczne cienie.

-Bardzo chcieliśmy, żeby dorośli znali nasze imiona. Nagle zaczęło nam się wydawać, że mamy ojców, że nasze bajki się zmaterializowały. Moim tatą był Donald. Zamilkł i opuścił koszulę. Zgasiałam zapalniczkę.

- Kim był Donald? Po co spytałam? To przecież oczywiste, że Donald był duży i biały. Bohater z B-52. Dzień za dniem z hukiem przelatywał nad Wietnamem. Ale miał dobre serce. Co wieczór zapraszał NogNoga na hamburgery i szybko przywykł do tego, że ledwie zdążył wyjść z bazy, przyłączał się do niego mały cień. Twarz NogNoga była całkowicie bezbronna, nic nie zostało z jego kanciastej męskości. Miał usta dziecka i mówił jak dziecko.

-Polubił mnie. Polubił do tego stopnia, że stałem się jego maskotką. Podniósł dłonie, jakby chciał przegonić wiszącą między nami parę, po czym je opuścił zrezygnowanym, niemal kobiecym gestem.

-Wziął mnie do bazy w charakterze maskotki - powiedział bezbarwnym głosem. - Maskotki jego załogi. Czyściłem im buty, biegałem na posyłki, wykorzystywali mnie na tysiące sposobów. Nauczyłem się przyrządzać drinki i prać skarpety, leczyć kaca i szorować kible. Robiłem wszystko, nawet się modliłem do Boga, żeby zachował ich przy życiu. Rewanżowali się resztkami ze stołu i jeśli dopisywał im humor, dawali mi dolara. - Westchnął i usiadł, popiół zacmokał pod jego pośladkami. - Właściwie byłem kimś w rodzaju służącego, parobka. Ale wtedy tak tego nie odbierałem, rozpierała mnie duma, że mówią o mnie maskotka". Znałem swoje miejsce, dobrze wiedziałem, kiedy zejść im z oczu. Znow umilkł, siedzieliśmy twarzą w twarz, bardzo blisko siebie.

-A gdzie mieszkałeś? W bazie? Wzruszył ramionami.

-To jasne, że nie w koszarach. Ale istniało mnóstwo innych możliwości. Najróżniejsze schowki, klatki schodowe i piwnice. Poza tym nie byłem sam. Prawie każda załoga miała swoją maskotkę, w bazie nie brakowało Filipińczyków, dzieci i dorosłych. Dopóki wiedzieliśmy, w czym rzecz, i nie zbliżaliśmy się do hangarów i samolotów, wszystko było okej. Mnie nikt nie mógł podejrzewać o szpiegostwo ani o sabotaż, byłem przecież taki mały...

-Ile miałeś lat? Wzruszył ramionami.

-Nie wiem. Donaldowi powiedziałem, że osiem. Nie wiedziałem dokładnie. Nie przejmował się takimi drobiazgami. Najważniejsze, że byłem milutki. Milutki, uroczy łobuziak. I o to mu chodziło.

Wstrzymałam oddech.

-Wykorzystywał cię seksualnie? NogNog zachnął się.

-Ale skąd! Donald i jego kumple przygarnęli mnie z innych powodów. Byłem raczej czymś w rodzaju zwierzątka, szczeniaka albo kotka, czymś, z czego można się pośmiać i z czym się można pobawić.

Spojrzał w niebo, utkwił wzrok gdzieś w mgłach i chmurach. Aż jęknęłam, ciekawa, co dalej.

Splunął w popiół.

-Nie miałem pojęcia - podjął ostrzejszym tonem - że zaliczałem się do tej samej kategorii co kurwy. Wierzyłem że Donald zawsze będzie się mną opiekował, że jestem jego chłopakiem. Raz wytarł mi nos, jak prawdziwy tata. I dawał komiksy, a kiedy pokazywałem palcem litery, wszystko wyjaśniał...

-Nauczył cię czytać? Wzdrygnął się z irytacją.

-Sam się nauczyłem. Byłem cholernie bystry. Nauczyłem się czytać i mówić jak oni, podkradałem ich słowa... - Splunął w popiół. - W ogóle się nie połapałem, kiedy coś zaczęło się psuć. I nie wiedziałem, dlaczego. Po prostu się zmienili, mieli wszystkiego dosyć i tęsknili za domem. Chyba się bali. Wielu ich kolegów nigdy nie wróciło. Może z tego powodu mnie znienawidzili...Odwrócił się i sięgnął po coś w ciemności. Podniósł podłużny cień i położył go na kolanach. Kałasznikow. Znalazł swoją broń. W zamyśleniu pogłaskał kolbę. Bałam się odezwać i poruszyć, wstrzymałam oddech.

- Stałem się chyba zanadto przymilny - powiedział cicho. - Bardzo mi zależało na ich sympatii. Zwłaszcza Donalda. Ciągle miałem nadzieję, że zabierze mnie do Ameryki, że będę jego chłopakiem.

- Zniżył głos i popatrzył na karabin. - Tego wieczoru objąłem go za szyję. Chciałem się przytulić i usiąść mu na kolanach...

Nie widziałam tego, ale widzę.

Donald odsuwa się z grymasem niechęci, chłopiec nie ustępuje. Zgubił swój wewnętrzny kompas, nie trzyma się z daleka, kiedy nikt sobie nie życzy jego obecności. Usiłuje wejść dorosłemu mężczyźnie na kolana, udając niesfornego szczeniaka, mimo że jest na to za duży i już się nie nadaje do tej roli. Nie ma łagodnie zaokrąglonych policzków ani czystych, ufnych oczu, w jego spojrzeniu kryje się odrobina premedytacji i wyrachowania. Cierpliwość Donalda ma swoje granice.

- Puść mnie - mówi. Chłopiec zdaje się tego nie słyszeć. Donald, który codziennie widzi płonące wioski i nosi w sobie krzyki wielu ludzi, nagle nie jest w stanie znieść tej głuchoty, tego bezgranicznego oddania, tej psiej miłości. I nachodzi go pewna myśl: Jak ktoś, kto urodził się w niewoli, może się stać wolnym człowiekiem? Ta myśl doskwiera mu bardziej niż ramiona chłopca. Sięga po nóż, który ma u pasa, bardzo ostry nóż, i chwyta chłopca za włosy. Od dawna nikt go nie strzygł, ma bujną czarną czuprynę. Donald trzyma ją mocno, odsuwa dzieciaka na odpowiednią odległość i przykłada mu nóż do gardła...

Mężczyźni podnoszą wzrok znad książek i listów, rozmowy cichną, ktoś wyłącza telewizor. W pokoju unosi się zapach dzikiej zwierzyny.

- Jesteś niewolnikiem - mówi Donald. - Naszym niewolnikiem. I żebyś nigdy o tym nie zapomniał, naznaczymy cię, zrobimy ci znak na piersiach...Ktoś wybucha śmiechem, ale czym prędzej milknie. Pięciu mężczyzn ustawia się w półkole. Widzą, że chłopiec nie jest taki słodki jak dawniej, że już się nie nadaje na maskotkę. Jeden z nich wyjmuje papierosa. Jak długo go niosą?

Nie ma pojęcia. Wie tylko tyle że znajduje się poza dobrem i złem, w wiecznych ciemnościach, które wszystko mówią o świecie i jego w nim miejscu. Kiedy wiążą mu ręce skórzanym paskiem i wieszają na drzewie, nie pyta, dlaczego. Wieje wiatr, jego ciało kołysze się wolno. Mężczyźni - krótko ostrzyżeni, muskularni, w identycznych, białych podkoszulkach i szortach khaki widzą nagle samych siebie. Wojna odcisnęła się na ich twarzach.

Mają rozbiegane spojrzenia, boją się siebie nawzajem. W końcu się rozchodzą, każdy w swoją stronę, chcą zapomnieć o istnieniu chłopca i o swoim istnieniu. Ktoś usiłuje umknąć przed własnym cieniem, inni niespiesznie zanurzają się w noc. Zostaje tylko Donald. Czarna nieruchoma sylwetka. Nie może oderwać wzroku od kołyszącego się na wietrze owocu. Na zachód leci bombowiec. Jęk przeradza się w krzyk.

Ma tego dosyć. Dlaczego nigdy nie jest cicho? Dlaczego właśnie on musi wysłuchiwać tych krzyków, bólu całej ziemi? Wyciąga pasek z szortów i uderza na próbę w powietrze. Potem chłoszcze ciemności, drzewo i owoc, dopóki! wszystkie krzyki nie umilkną.

Dotknęłam NogNoga. Mój dotyk wyrwał go z odrętwienia. Znow zaczął mówić.

-Ktoś mnie znalazł - powiedział głosem siwym jak mgła - i zaniósł do zakonnicy. Kiedy rany się zabiły, zostałem ich służącym. Nie musiałem być milutki, wymagano ode mnie wyłącznie milczenia.

- Opuścił głowę i spojrzał w popiół. - Zakonnice miały dużo książek. Mogłem czytać, to było moje wynagrodzenie. Jak już wszystko przeczytałem, nie widziałem powodów, żeby dłużej tam siedzieć i zaszłem się w górach, gdzie nie groziło mi żadne niebezpieczeństwo ze strony kanos.

Dotknęłam czołem jego czoła, zapomniałam o kałasznikowie. Długo tak siedzieliśmy i oddychaliśmy w tym samym rytmie; moje płuca wypełniały się oddechem NogNoga, jego płuca - moim. Wydawało mi się, że czas się zatrzymał. W bezimiennym miasteczku nastał świt.

NogNog chyba coś usłyszał, bo uniósł głowę i znieruchomiał, ze wzrokiem utkwionym gdzieś w dal.

Czas znowu otworzył swoje bramy. NogNog wstał, wyprostował się i szykował do wejścia w inną rzeczywistość. Zachwiał się, błyskawicznie odzyskał równowagę, przewiesił broń przez ramię i przytknął do ust stulone dłonie.

- Idę, Donaldzie! - zawołał niskim męskim głosem. - To ja, NogNog! Idę do ciebie!

Mrugam powiekami, przede mną unosi się coś jasnego. Widzę znacznie lepiej.

- Dzień dobry, mammo - mówi Sophie. - Jak się czujesz? Podciągam się na łóżku i przecieram oczy. Jej twarz jest jasną plamą, chociaż nie, nie całkiem, bo trzy plamy są ciemne; dwie to pewnie jej oczy, a trzecia, ruchoma - to usta.

-No jak? Lepiej się czujesz? Przytakuję. Muszę się wziąć w garść. Ze względu na Sophie.

-Nic mi nie jest - odpowiadam i od razu odchrząkuję, żeby mój głos zabrzmiał pewniej. - Wszystko w porządku, słyszałaś, co mówił doktor, jestem tylko trochę przemęczona...Podnosi rękę, chce mnie dotknąć, ale w sekundę później rozmyśla się.

-Lepiej widzisz? - szepce. Ma niewyraźny głos, tak jak niewyraźne są kontury jej twarzy. Boi się, nie chcę, żeby się bała.

-Dużo lepiej - mówię. - Czuję tylko piasek w oczach, to przejdzie. Ulżyło jej, odsuwa się ode mnie, jej twarz niknie, ale widzę, że ma na sobie coś żółtego.

- Która godzina? - pytam. - Czy jest rano?

- Tak. Zrobiłam ci śniadanie. Stawia mi coś na kolanach. Aha, stolik. Na pewno maminy.

-Yvonne chciała zaparzyć herbatę, ale powiedziałam, że wolisz kawę. Czy tak? Uśmiecham się do jej rozmazanej twarzy.

- Tak. Właśnie kawy mi trzeba... Niewyraźna biała dłoń porusza się nad tacą.

- Tu jest kawa, tu sok, tu jajko i kanapka...

- Dzięki. Wspaniale. Lata temu jadłam śniadanie w łóżku.

- Yvonne mówi, że nie wolno ci dzisiaj wstawać i nie powinnaś się krzątać po domu. Jej zdaniem masz odwarstwienie siatkówki. Aż mnie trzęsie z irytacji. Yvonne nie ma prawa straszyć Sophie.

-E tam, przesadza. Doktor nie stwierdził żadnych objawów odwarstwienia siatkówki. Powiedz jej, że moim zdaniem to tylko infekcja. Zwykła, banalna infekcja, którą można w ciągu kilku dni wyleczyć roztworem soli kuchennej. Sophie ciągle jest zaniepokojona.

-Czy posiedzieć przy tobie? - pyta po chwili milczenia. - Mogę się tu uczyć, jutro mam sprawdzian.

Wcale nie ma na to ochoty, po prostu uważa, że musi. Ja właściwie też nie mam. Sennie wzdychając, zwalniam ją z tego przykrego obowiązku.

-Chyba nie, dziecinko. Chciałabym wypocząć, po śniadaniu chwilkę się zdrzemnę. A ty się poucz w pokoju babci. Ale przedtem spytaj Yvonne, czy jej w czymś nie pomóc. Na przykład w przygotowaniu lunchu.

- Jasne - odpowiada z wdzięcznością i wygładza mi koc na nogach. - Jasne, mammo.

- Dzięki za śniadanie, Sophie. Nachyla się i głaszcze mnie po policzku wierzchem dłoni. Zamykam oczy. Wstydzę się. Nie zasługuję na to.

Jest letni dzień. Sophie ma dwa lata. Jesteśmy gdzieś na szwedzkiej prowincji, białe zasłonki w otwartym oknie wydyma wiatr, na błękitnym niebie ani chmurki, powietrze przypomina przejrzystością szkło. Na trawniku przed domem bawią się dzieci, ale Sophie tam nie ma, śpi głębokim poobiednim snem, leży na moim ramieniu z otwartymi ustami i mokrą od potu grzywką. Zawsze się poci tuż przed zaśnięciem.

Położyła rączkę na moim policzku. Pulchniutka rączka dwuletniej dziewczynki. Nie ruszam się, odpoczywam i wiem, że tę właśnie chwilę chciałabym zapamiętać do końca życia. Tak się jednak nie stanie. Przed śmiercią pomyślę o dłoniach innego dziecka, obejmujących mnie za szyję. Szorstkich i spracowanych.

Wróciłam do domu z manilskiego szpitala i po raz pierwszy odbyłam rozmowę z moim lustrzanym odbiciem. Ona i tak by umarła, powiedziałam. Zginęłaby w popiele, gdybyśmy jej nie zabrali, przedłużyliśmy tylko jej życie o kilka dni. Umarłaby, nawet gdyby nie doszło do wybuchu wulkanu, gdyby została w fabryce. Była w kiepskiej kondycji fizycznej, niedożywiona i wycieńczona pracą. Lekarze z pewnością stwierdziliby u niej niejedną chorobę. Może miała robaki. To dosyć typowe. I coś z płucami. Czasami kasłała. Przędzalnie bawełny są wyjątkowo niesprzyjającym miejscem dla dzieci, unoszący się tam kurz powoduje pylicę, a konkretniej - bisynozę. Wynurzyłam się na powierzchnię, przyszłam do siebie dzięki zaprzeczeniom i faktom. W szpitalu zapoznałam się z trzema raportami o pracujących dzieciach. Potwierdziły moje nabożne życzenia. I tak by umarła. Ale kiedy przedstawiłam te fakty lustrzanemu odbiciu, patrzące na mnie oczy pociemniały i szczyły.

-Musisz mnie dobrze zrozumieć - powiedziałam. - Nie twierdzę, że jestem bez winy. Jest wielu winnych.

Popatrzyła na mnie pustymi oczodołami.

-Za co jesteśmy odpowiedzialni? - odezwała się po raz pierwszy. - Co jesteśmy im winni?

Pochyliłam głowę.

-Wszystko. Wszystko jesteśmy im winni.

Bardzo wolno jem śniadanie, ostrożnie obmacuję tacę w poszukiwaniu jajka i soku. Boję się, że coś przewrócę albo rozleję i Sophie będzie jeszcze bardziej zaniepokojona. Dom jest pełen dźwięków. Jeden z chłopców zbiega po schodach, jakby się staczała lawina. W jadalni pomrukuje Lars-Göran, drugi chłopiec śmieje się z czegoś, co powiedział ojciec, w kuchni rytmicznie stukają obcasy Yvonne.

Nigdy dotąd nie paliłam w sypialni, ale co tam. Spuszczam stopy na chłodną podłogę, po omacku podchodzę do okna, otwieram je na oścież, wpuszczam do środka zimę, po czym wracam do łóżka po kawę i koc. Owijam się kocem i siadam na wiklinowym krześle. Filiżanka stoi obok, na biurku, jak w czasach mojej młodości, tyle że teraz muszę sprawdzać blat dłonią, żeby wiedzieć, gdzie mam ją postawić. Niedobrze, myślę. Niedobrze, że tak kiepsko widzę... Odchylam głowę do tyłu. Krzesło trzeszczy. Siadałam tutaj, kiedy wpadała Marita. Ja na krześle, ona na łóżku. Powiedziała, że moje imię znaczy ślepa. Mam w nosie łacinę. Moje imię znaczy pajęczyna. Wiem o tym, zawsze to wiedziałam.

Co się właściwie stało z Rickym? Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Przypuszczalnie poszedł swoją drogą. Tak myślę, taką mam nadzieję, mimo że jakakolwiek nadzieja wydaje się niedorzeczna. Leżąc w szpitalu, wyobrażałam sobie, że się pojawi, że nagle stanie w pokoju i z uśmiechem będzie skubać wąsy. Wyszłyby na jaw niektóre moje kłamstwa, ale byłam na to przygotowana. Zniosłabym wszystko, bylebym znowu mogła usłyszeć, jak opowiada o wiecznie zrządzającej Zosimie i butach gimnastycznych dla dzieci. Ale nie przyszedł.

Wbiegłam do domu i potknęłam się o worek z gotowanym ryżem. Leżał samotnie pośrodku pokoju, nie zauważyłam żadnych innych pakunków. Nie miałam pojęcia, co to oznacza, patrzyłam, nie widząc. Dopiero później dotarło do mnie, że zniknęły torby z dwunastoma butelkami wody mineralnej.

Na pewno wziął je Ricky. Wydaje mi się, że je wziął i nocą wyruszył w drogę. Kto wie, czy nie stało się to wtedy, kiedy byłam z Butterfieldem pod awokado. Może obawiał się, że znajdziemy jeszcze jakiś powód do przesunięcia terminu wymarszu. Może Zosima myślała o nim tak intensywnie, że nie mógł dłużej czekać. Tak. Chyba tak się sprawy miały. Zosima zarzuciła na niego sieć rozpalonej tęsknoty i szarpnęła za nią, musiał wstać, ciągnęła z całych sił, nie mógł zrobić nic innego, jak udać się w długą wędrówkę do pokoju z cementową podłogą w dzielnicy San Juan w Manili. Opuszczenie domu tamtej nocy było błędem. Ciężkie od chmur niebo i gęsta mgła uniemożliwiały orientację w terenie. Dlatego myślę, że Ricky wszedł z popiołu prosto w ogień.

Chłup. Słyszę ten komiksowy dźwięk, ilekroć myślę o lahdr, dźwięk, który wydaje smocze niemowlę, wymiotując mlekiem matki. Lahdr ma niemal identyczny kolor, ale jest gęściejszy i bardziej zawiesisty, jak kleik. Składa się ze szlamu i lawy, przypomina płonący, ciekły cement.

Ogromne jego ilości wypłynęły z krateru Pinatubo w jakiś czas po pierwszej erupcji. Obecnie pokrywa duże połacie wyspy Luzon.

Lahdr osiąga temperaturę trzystu stopni, wszystko wypala, unicestwia wszelkie życie. Nie ostał się ani jeden las, wioska czy miasto, które znalazły się na jego drodze, zatopił je cement. Tysiące pól zaląa metrowej grubości warstwa. Nadal nie można tam podejść, lahdr wychładza się powoli, żeby zastygł, trzeba dziesięcioleci. Za setki lat, kiedy wiatr, deszcz i orkany zrobią swoje, będzie tu bardzo urodzajna ziemia...Suche fakty niczego nie załatwiają. Przyciskam pięści do oczu, żeby przegonić ten obraz - obraz Ricky'ego, którego pochłania lahdr.

Yvonne zamyka okno z pełnym irytacji trzaskiem i wymachuje rozmazanymi rękami, zaganiając mnie do łóżka.

-Powinnaś się zastanowić, co robisz, Cecylio. Jest za zimno na siedzenie w koszuli nocnej przy otwartym oknie...Coś się stało z jej głosem. Już nie szeptem, mówi inaczej, nieco ochryple. Ciągłe ma niewyraźne kontury, ale kolory nabrały intensywniejszych odcieni. Teraz jest pielęgniarzką, a nie bratową.

Co mam jej powiedzieć? Chcę być lodową królową, Yvonne. Chcę, żeby na moich włosach iskrzył się szron i żeby oczy zamarzły mi w szkło.

- Nic mi nie jest - mówię. - Przecież słyszałaś, co powiedział doktor.

- Powinnaś pójść do szpitala i poddać się gruntownym badaniom okulistycznym. Jest zła, niedobrze, trudniej będzie mi zachować spokój. Oddycham głęboko, w nadziei, że tego nie zauważy. Łatwo sobie wmówić, że jest się niewidzialnym, kiedy się prawie nie widzi.

-Bzdura - odparowuję pewniejszym głosem. - Nic mi nie jest, poleżę przez chwilę, zdrzemnę się. Potrzebuję trochę odpoczynku i samotności. Jej obcasy stukają z dezaprobatą. Podchodzi do drzwi.

- Tak, tak. Tylko niech ci się nie zdaje, że będziesz sama dzisiejszej nocy. Zostaniemy do jutra, już załatwiłam opiekę nad małą. Nie możesz być sama w takim stanie.

- To nie jest konieczne.

- Lars-Göran i ja nie zostawimy cię samej - mówi i zamyka za sobą drzwi. Wykrzywiam się. Wtulam twarz w poduszkę i zamykam oczy. Nie mogę uciekać od wspomnień. Jeśli ciągle będę się ich bała, to jak opowiem o wszystkim Maricie? Muszę się przemóc. To nawet dobrze, że Yvonne i Lars-Göran zostają. Wspominając, powinnam słyszeć wokół siebie ludzkie głosy i ludzkie kroki. Będzie mnie chronić banalność czyichś słów i zachowań. Ale to trudne, Marito. Trudno mi to wyznać. Mózg się buntuje, obrazy zaszywają się w najczarniejszych otchłaniach, nie mam odwagi tam zajrzeć. Jeszcze nie.

Żeby się tam dostać, myślę o lahdr. Widzę go i pamiętam. Czuję nawet jego zapach i słyszę trzask łamiących się drzew. Widziałam, jak lahdr unicestwia plantację kokosów. Siedziałam na nagim zboczu, kiedy dolinę zalewał parujący szlam. To było drugiego lub trzeciego dnia wędrówki. Miałam wrażenie, że w moich żyłach płynie lepka, ciągliwa krew. O tym wtedy myślałam. O krzepnącej krwi. Nie przejmowałam się splekanymi wargami, opuchniętym językiem ani poranionymi stopami. Najpierw pojawił się siarkowy wiatr; był gorący i pachniał. Rozproszył mgły unoszące się nad doliną, dobrze mi znane mgły lahdr. Potem rozległy się dźwięki. Drzewa drżały, gięły się pod naporem wiatru, niektóre waliły się z trzaskiem, trzeszczały gałęzie, głucho uderzały o ziemię orzechy kokosowe. Palmy szumiały bezradnie, kłaniały się zboczu, na którym siedziałam, jakby się z nim żegnały, prostowały się, po czym w sekundę później znów się pochylały, szepcząc: „oooooch, oooooch, oooooch”.

Dzień był pochmurny, tak jak wszystkie dni mojej wędrówki, ledwie widoczne słońce wyglądało jak cienka srebrna tarcza. Nagle wszystko pojaśniało i nabrało blasku. Kilka drzew stanęło w ogniu. Płonący męczennicy. Po chwili dolinę zalał lahdr, jednym potężnym fosforyzującym chlustem, który wszystko obrócił wniwecz. Drzewa poddały mu się z pokorą, popychały się wzajemnie i przewracały jak kostki domina. A kiedy gorący szlam wszystko pochłonał i znieruchomiał, zaległa głęboka cisza. Nad doliną unosiła się para, kłębiła się w niespiesznym tańcu, gęstniała. Nic nie zostało. Nie było już na co patrzeć.

Wstałam i pochylona do przodu, podpierając się o zbocze, ruszyłam w dalszą drogę. Na południe. Przez góry. Niedługo będzie noc, pomyślałam. Mam nadzieję, że niedługo będzie noc. Mimo to szłam dalej.

Oczywiście, że poznałam ten zapach i mgły. Już w bezimiennym miasteczku czułam nutę siarki. Tak.

Tak to było. Zamykam oczy i przywołuję tę chwilę, kiedy dotknęłam czołem czoła NogNoga. Czy to nie wtedy pomyślałam o ogniu i lawie? Owszem, ale złożyłam to na karb jego opowieści. Choć nie tylko. Na pewno zbliżała się fala lahdr. Wydaje mi się, że bezimienne miasteczko znalazło się pod cementem, że to takie małe Pompeje, tak jak przeczuwałam. Wyobrażam sobie naukowców, którzy za ileś tam lat pochylą się nad odlewami dwóch mężczyzn i dziewczynki. Dziwne.

Dlaczego nie uciekli z innymi? Dlaczego zginęli? Chcę wyciągnąć rękę w przyszłość i szepnąć: -Słuchajcie, panowie! Słuchajcie! Oni zginęli z dwóch powodów. Pierwszy: bo ich zawiodłam. Drugi: bo świat jest rozdarty.

Ciche pukanie do drzwi; to Sophie. Ma rozmazane kontury.

-Pociąg odjeżdża za czterdzieści pięć minut - mówi, siadając przy mnie na łóżku. - Lars-Góran podrzuci mnie na dworzec...Podnoszę się do pozycji półsiedzącej.

- Z czego masz jutro sprawdzian?

- Z historii. O „Eddie”, Snorrem i tym, no.Niflheimie? - mówię znakomicie neutralnym głosem. Wzdryga się.

-Uff, tak. Jestem zdziwiona.

-Dlaczego „uff”? W pustce Niflheimu krył się nieodparty urok...Sophie robi jakiś gest, chyba odgarnia włosy z twarzy.

-Owszem, na samym początku. Ale nie wtedy, kiedy stał się królestwem umarłych. O ścianach splecionych z jadowitych węży. Uff. Składam dłonie na kocu i zamykam oczy.

-Na pewno porządnie się przygotowałaś. Sophie poklepuje koc, gdzieś na wysokości moich kolan.

-Zawsze porządnie się przygotowuję, mam - mówi wesoło. - Zadzwoń jutro. - W jej głosie pobrzmiwa niepokój. - Mam nadzieję, że będziesz już lepiej widzieć. Uśmiecham się do jej zamazanych konturów.

-Nie wydawaj na mnie pieniędzy, Sophie. Ja do ciebie zadzwonię. Jutro wszystko będzie dobrze. Po jej wyjściu opadam na poduszkę. Jestem wykończona, zapomniałam, że jutro też będzie dzień.

- Idę, Donaldzie! To ja, NogNog! Idę do ciebie! Potykając się, zrobił kilka kroków, zatrzymał się i nasłuchiwał. Uklękłam, popatrzyłam na jego plecy, usłyszałam jego głos i nagle zrozumiałam, że nie istnieję dla niego, nigdy nie istniałam. Do dzisiaj nie wiem, kim byłam w jego oczach, kogo we mnie widział. Kano, to jasne. Ale przecież nie tylko, bo nigdy nie doszłoby między nami do tego, do czego doszło. Dla niego nie istniałam, Marito, istniałam dla siebie, w tym momencie goręcej niż kiedykolwiek płonęłam chęcią życia. Nie byłam człowiekiem, pierwszym sekretarzem ambasady, eks żoną Ulfa Linda, matką Sophie ani kochanką Butterfielda Berglunda, tylko kawałkiem życia. Bryłką kurczowo wczepionych w siebie komórek, wibrujących niezłomną wolą, które niczym tysiącgłosowy chór raz po raz śpiewały: „Życ! Musimy żyć! Tu jest śmierć, ale my będziemy żyć!”.

Cichy szcęk, metal otarł się o metal. NogNog odbezpieczył broń. Powoli zanurzył się w mgłę, lufą szukał celu, przesuwając ją to w lewo, to w prawo. Ostrożnie odpełzłam na bok, przykucnęłam i zaczęłam się wymykać. Mazisty popiół zacmokał pod stopami. Cholera, to się nie może powtórzyć! Życ, musimy żyć! Wyprostowałam się, wspięłam na palce i lekko unosząc nogi,

pobiegłam przed siebie. Zatoczyłam szeroki łuk, gęsta mgła zapewniała mi ochronę, a jednocześnie stwarzała zagrożenie, że zabłądzę.

Musimy odnaleźć dom, śpiewały komórki. Życ, musimy żyć! Oddychałam przez nos, krótkie oddechy, nie powinien słyszeć mojego sapania. Tam! Schody! Coś trąciłam, zadrżała gałąź, na moim ramieniu usiadł bladnoróżowy woskowy kwiat w kształcie dzwonka. Oprzytomniałam, znów stałam się sobą, pokonałam schody trzema susami, otworzyłam drzwi, z trzaskiem je zamknęłam i niewiele brakowało, żebym się przewróciła na torbie z ryżem. Wylądowała na środku pokoju. Obok nie było żadnych innych pakunków.

NogNog znowu się odezwał. Niskim męskim głosem, który się po chwili załamał, przechodząc w piskliwy krzyk:

-Drzewo urodziło owoc, Donaldzie! Twoje drzewo urodziło owoc! Coś stuknęło na schodach. Czyżby chciał wejść? Nie, odgłos się nie powtórzył. Może to kamień? Może rzucił w dom kamieniem.

Butterfield usiadł pod stołem tak gwałtownie, że uderzył głową o spód blatu.

-Au, cholera - powiedział, zaspany. - Co jest grane? Pokazałam na drzwi, skąd dobiegały wrzaski NogNoga. Znów coś stuknęło, tym razem w futrynę. NogNog był coraz bliżej.

-Listen to me, pig-face! - krzyczał piskliwie. - Zabiję cię! Zabiję cię na sto lat i całą wieczność będziesz się smażył w piekle razem z innymi kanos. Smaż się, Donald, smaż! Burn!Burn! Tak jak my się smażyliśmy, tak wy się będziecie smażyć...Butterfield wyczołgał się spod stołu, wstał i zdezorientowany, przesunął dłonią po twarzy.

-Co jest grane? - powtórzył. Milczałam, wyciekły ze mnie wszystkie słowa.

-Gdzie jest Ricky? - spytał, rozglądając się po pokoju. - Gdzie jest Ricky? Jeszcze raz odpowiedziałam gestem. Nie ma. Nie wiem. Niebezpiecznie. Spojrzał na mnie, zmienił się na twarzy, objął mnie i delikatnie pogłaskał po włosach.

-No, nie bój się. Cokolwiek to jest, nie ma mowy o niebezpieczeństwie. Pomylił się. NogNog wszedł na pierwszy stopień, niebezpieczeństwo było tuż-tuż.

Muszę jeszcze trochę odpocząć, Marito, muszę zaczerpnąć tchu. Chętnie bym się podniosła i popatrzyła na spokojny niedzielny zmierzch za oknem. Ale nic z tego. Przecież nie widzę. Nie widzę nawet róż na ścianie. Ale je pamiętam. Są na wpół rozchylone jak dłonie śpiącego dziecka.

Dolores leżała na plecach, z rękami nad głową, spała bardzo głęboko, ledwie można było usłyszeć jej oddech. Na odwróconej na bok głowie widniała chropowata blizna. Uwolniłam się z objęć

Butterfielda i weszłam pod stół. NogNog pokonał cztery stopnie. Kiedy potrząsnęłam małą, był na szóstym, a kiedy zamrugała powiekami, na ósmym.

- Wskakuj mi na plecy, Dolly - szepnęłam. - Szybko. Tak jak to robiłyśmy wczoraj...Choć nie wiedziała, co się wydarzyło tej nocy ani co się miało wydarzyć, od razu zrozumiała powagę sytuacji. Po niedawno odzyskanym dzieciństwie nie było śladu, na jej twarzy przez sekundę pojawiła się panika, po czym zmrużyła oczy, skoncentrowała się i bez najcichszego nawet jęku, który zawsze z siebie wydawała, ilekroć poruszyła okaleczoną stopą, zarzuciła mi ramiona na szyję. Chwyciłam ją pod nogi, wypełzłam na podłogę i wstałam. W tym momencie NogNog otworzył drzwi. Był czarną sylwetką w świetle brzasku, czarną sylwetką dzierżącą karabin w dłoniach.

- Wychodź, Donald! - wrzasnął. - Wychodź! Butterfield odwrócił się do mnie. Nagle zauważyłam, że jego chusta temblakowa jest bardzo brudna. Prawie czarna. Czyste było jedynie osłupienie malujące się na jego twarzy.

-Donald? Kim, do cholery, jest Donald? - spytał po szwedzku.

Kwiaty. Tak. Wolę pomyśleć o kwiatach. Kiprzyca i trybula, krokus i tulipan, róże i orliki, cokolwiek to jest, błękitne niezapominajki i żółte komonice, zawilec, przylaszczka, podbiał, peonia, bławatek, ładniczka...

I sto różowych kwiatów, które spadły chmurą za plecami NogNoga, kiedy z karabinem w rękę zmusił Butterfielda do wyjścia z domu.

Tak wygląda, Marito, okrucieństwo rozpaczy.Nie miałam pojęcia, że Butterfield zna tagalski. Dowiedziałam się o tym dopiero w ostatnich minutach. Mówił bez przerwy, jednym tchem. Potoki tagalskich słów. Choć czasami mu ich brakowało i przechodził na angielski, znakomicie sobie radził. Mówił niemal płynnie. Ooooch, szumią drzewa w moim wspomnieniu. Ooooch.

Siadam na łóżku, podciągam kolana, opieram o nie głowę i chowam twarz w kocu. To, co powiedziałam o języku, nie jest ważne, Marito. Chcę w ten sposób zagłuszyć w sobie pamięć o tym, co się naprawdę stało. Jak Butterfield prosił o darowanie mu życia. Jak my wszyscy przeraźliwie krzyczeliśmy.

Stanełam jak wryta, z Dolly na plecach. Na sekundę mnie zamurowało. A potem krzyknęłam, wrzasnęłam na całe gardło, szeroko otwierając usta. Ten ryk, zaledwie jedna bezsilnie wibrująca

samogłoska, wprawił Dolores w panikę. Zaszlochała, wtuliła twarz w mój kark, na włosach poczułam jej łzy i ślinę. Dotyk szorstkich, spracowanych rącek na szyi. Dolly, pomyślałam, krzyżąc, Dolores, moja ptaszyna. Wróciły słowa i energia. Ruszyłam za NogNogiem, właśnie schodził z ostatniego stopnia z bronią wycelowaną w plecy Butterfielda, i popchnęłam go. Zachwiał się lekko i kiedy uderzyłam go ramieniem, odwrócił głowę i spojrzał na mnie szeroko otwartymi oczami.

- Nie! - krzyknęłam. - Niiiee! To nie jest Donald! NogNog łagodnie się do mnie uśmiechnął. To mi dodało otuchy, myślałam, że mnie słyszy i rozumie. W tle monotonicznie brzmiał głos Butterfielda. Stał twarzą do nas, zebrał i błagał w nieznanym mi języku. Podniosłam Dolly trochę wyżej, tak mocno trzymała mnie za szyję, że ledwie mogłam mówić. Ale mówiłam, Marito, mówiłam jak najęta.

-Posłuchaj, NogNog. To nie jest Donald. On nawet nie jest kano. Pochodzi z Europy, ze Szwecji, z małego państwa w Europie. Nie możesz go zastrzelić, on nie jest kano, nigdy nie był żołnierzem, nigdy nikogo nie zabił, jest tak samo bezsilny jak ty, ja i Dolly. Zostaw go! Chyba widzisz, że nie jest Amerykaninem, nie jest kano, to widać na odległość...NogNog rozciągnął usta w uśmiechu i lekko wzruszył ramionami.

-Oni wszyscy wyglądają jednakowo - powiedział pewnym głosem. - Trudno ich odróżnić. Ale to bez znaczenia, bo wszyscy zasługują na śmierć. I podniósł broń.

-Oooch - westchnęła Dolly na moich plecach. - Oooch...Wwierciła głowę między moje łopatki, jakby już zaczęła lamentować. Niebo nad nami zadrzało, wyszło słońce i siwe mgły na moment poróżwiały.

Butterfield, pomyślałam, nie umieraj. Nie zostawiaj mnie... Patrzył mi prosto w oczy nieobecny spojrzeniem, jakby nie wiedział, kim jestem. W sekundę później padł pierwszy strzał. Kiedy znowu zaległa cisza, w czarnym popiele połyskiwała poszarpana chmura brzasku.

A Butterfield Berglund był gdzie indziej.

Nie wolno ci pytać, Marito, ani o ostatni krzyk, ani o strzały. Mogę ci podsunąć kilka słów kluczy, to wszystko. Oko. Krater. Czerwień. Wyobraź to sobie, jeśli potrafisz, ale nic nie mów.

Wiedziałam, że chcę umrzeć w ciszy. Bez krzyków, bez szlochu, bez głosów paniki. I bez strzałów. Tylko nie to, pomyślałam, wchodząc w mgłę. Żadnych strzałów. Żadnej następnej serii. Nie strzelać.

Nie wiem, ile czasu upłynęło, zanim usłyszałam płacz Dolly. Pojawił się nagle, jak ból ucha. Coś mi się kojarzyło, że trzeba biec zygzakiem, miotałam się niezdarnie, skacząc to w lewo, to w prawo. Dolly trzymała mnie kurczowo za szyję, ledwie mogłam oddychać, i tak głośno beczała, że nic innego nie słyszałam. Nie wiedziałam, czy NogNog nas ściga. Ścigał. Zagłuszył na moment płacz Dolly, w jego głosie pobrzmiwała panika.

- Thechild!- wołał. - Dziecko! Nie możesz zabrać dziecka, przeklęta biała dziwko! Biegłam przed siebie, popiół zgęstniał, dom został daleko w tyle, brnęłam w głębokiej mazi, cmokała, chciała mnie zatrzymać, unieruchomić, wepchnąć w ramiona hałaśliwej śmierci. „Chcemy żyć, musimy żyć!” - śpiewały moje komórki, jawiąc mi się przed oczami jak białe błyskawice.

- Kanoos! - krzyczał NogNog. - Nie możecie zabrać dziecka! Będę strzelał!

Musi być ciemno, kiedy ci o tym opowiadam, Marito. Nie możesz zobaczyć mojej twarzy.

Nie możesz mnie dotknąć, nie możesz się odezwać, nie możesz nawet westchnąć.

Kiedy będziesz słuchać mojego wyznania, musi być cicho i ciemno jak w grobie.

W końcu strzelił. Po nieskończone długim czasie oddał jeden jedyny strzał w mgłę. Nie trafił, nie wiem, czy w ogóle do nas mierzył, czy cokolwiek widział w tej szarości. Mimo wszystko strzał okazał się celny.

W sekundę później puściłam nogi Dolores, zdjęłam jej dłonie z szyi i szybkim ruchem zrzuciłam ją z pleców. Zrobiłam to. Tak właśnie zrobiłam.

- ...posiedzenie komisji o dwunastej...

- ...Alexandersson... zajrzy do ciebie...

- ...będzie dobrze...

Tańczą białe plamy. Głosy. Aetowie? Zabłądziłam w ciemnościach.

Czarny Nazarejczyk stał samotnie na placu w wyludnionej wiosce, jakby mieszkańcy zostawili go podczas procesji i rzucili się do ucieczki. Popiół i deszcz przydały purpurowemu płaszczowi chłodnego niebiesko różowego odcienia. Żurawina z mlekiem. Najbrzydszy kolor, jaki znam.

Otrzepałam go z popiołu, wygładziłam materiał i usiadłam przed Nazarejczykiem.

-Dlaczego na to pozwoliłeś? - spytałam.

-Dlaczego ty sama na to pozwoliłaś? - odpowiedział, unosząc głowę. Odwróciłam od niego oczy.

Kiedy znów spojrzałam, pochylił głowę i tak jak zawsze patrzył w ziemię, na wpół klęcząc, z krzyżem opartym o ramię. Pogłaskałam go po twarzy. Stężała w drewno. W oddali przetaczały się

grzmoty, niebo pociemniało, pierwsza kropla deszczu spadła mi na czoło. Położyłam się na wznak i otworzyłam usta. Byłam bardzo spragniona.

-Cecylio, musimy już jechać... Dłoń Larsa-Göрана na moim ramieniu. Potrząsa mną.

-Jest rano, Cecylio - szepce gdzieś w głębi Yvonne. - Musimy jechać. Lars-Göran ma posiedzenie komisji o dwunastej...Otwieram oczy, mrugam.

- Co z twoim wzrokiem? - grzmi Lars-Göran.

- Dziękuję, dużo lepiej - odpowiada ktoś cichutko moim głosem. To prawda. Kontury Larsa-Göрана i Yvonne są tylko odrobinę rozmyte. Ich kolory zlewają się z tłem, ale rozróżniam twarze.

- Mam róże na ścianie - rozlega się mój głos.

- Co? - dziwi się Lars-Göran. - A, tak, tak. To dobrze, że widzisz. Musimy się zbierać, podróż do Sztokholmu zajmie nam cztery godziny.

- Śniadanie zostawiłam ci na biurku - szepce Yvonne. - Ale nie musisz teraz jeść. Pośpij jeszcze, jest bardzo wcześnie. Kawę masz w termosie, jajko zawinęłam w łapkę do gorących naczyń, żeby nie wystygło...

- Tak - mówi mój głos. - Dziękuję. Dobrze.

- Rozmawialiśmy z doktorem Alexanderssonem -szemrze Yvonne. - Odezwie się po południu... Lars-Göran podchodzi do drzwi.

-Rozmawiałem z radnym Johanssonem. - Jego potężny głos wypełnia cały pokój. - Obiecał, że przyśle do ciebie kogoś z opieki.

- Zadzwonimy wieczorem - szepce Yvonne w progu. - Trzymaj się, Cecylio. Drzwi się zamykają, słyszę kroki na schodach. Znowu jestem sama.

Biegłam w nieskończoność, Marito. Biegłam całą wieczność, byle dalej od bezimiennego miasteczka.

Najpierw długim, posuwistym krokiem, lekko i zwiewnie jak Diana, potem coraz cięższym i bardziej przyziemnym. Bolały mnie płuca, gardło się zwęziło, z sykiem dały o sobie znać dziesiątki tysięcy wypalonych papierosów. Na ten dźwięk moje komórki umilkły, nastroszyły się, pojawiały się i wracały w coraz to innych formach, i szeptały do siebie: „Co ona zrobiła? Co ona zrobiła?!“.

Nie słuchałam ich, biegłam, potykałam się, przewracałam, podnosiłam i biegłam dalej. Przestrzeń zaludniały najróżniejsze odgłosy, za moimi plecami trzeszczały drzewa i krzaki, gdzieś zawyło z

bólu jakieś zwierzę. Rozsadzało mi płuca. Biegłam w nieskończoność. Biegłam, dopóki nie straciłam przytomności.

Nocą obudził mnie deszcz. Duże krople, ciepłe i miękkie, jak wargi Butterfielda. Moją świadomość, niczym dźwięk fletu, musnął wiersz: „Całuj mnie mokrymi ustami... Chciałam się podnieść, położyłam dłoń na żwirze i popiele, ale dałam za wygraną i przytuliłam policzek do szorstkiej powierzchni. Dolly. Dolores. Moja ptaszyna.

Wściekłość NogNoga przetaczała się z łoskotem po niebie. Grzmiało. Ukłękłam i nasłuchiwałam.

W szpitalu próbowałam ułożyć coś w rodzaju grafiku: kiedy dojechaliśmy do bezimiennego miasteczka, kiedy stamtąd wyszłam, jak długo biegłam i ile dni zajęła mi wędrówka. Ludzi z ambasady, którzy przyszli mnie odwiedzić, poprosiłam o dostarczenie mi wszelkich możliwych materiałów: wycinków prasowych, sprawozdań i zarejestrowanych na taśmie serwisów informacyjnych. Chciałam wiedzieć wszystko o erupcji wulkanu i pracy dzieci.

Nocami czytałam sprawozdania, w ciągu dnia przeglądałam materiały filmowe. Raz po raz cofałam taśmę, wnikliwie wpatrywałam się w popiół i zniszczenia, wysłuchiwałam setek wypowiedzi o dendze szalejącej w obozach dla uchodźców, o dziesiątkach tysięcy ludzi, którzy stracili domy i źródła utrzymania, i o tym, jakie to dziwne, że tak silna erupcja wulkanu pochłonęła zaledwie sto ofiar.

Plus cztery, pomyślałam, wciskając guzik pilota. Plus cztery.

W końcu lekarz kazał usunąć telewizor z mojego pokoju, bo miał na mnie zły wpływ. Bengt i Lidia, którzy akurat przyszli z wizytą, skwapliwie przytaknęli. Tak, tak, Cecylio, po tym wszystkim, co przeszłaś, to ci tylko szkodzi. Twarz Bengta pojaśniała, kiedy mu powiedziałam, że nie zostanę w Manili, chcę wrócić do Szwecji i objąć inną posadę. Lidia obiecała pomóc mi w pakowaniu. Bali się mnie. W mojej twarzy było coś, co ich przerażało. Kiedy wyszli, poprosiłam o lusterko. Ale nie miałam odwagi w nie spojrzeć.

Osiem dni. Tyle czasu utrzymywałam się przy życiu, pijąc deszczówkę, jedząc dzikie banany i wszystko, co udało mi się znaleźć w opuszczonych wioskach. Nie pamiętam uczucia głodu, pamiętam jedynie pragnienie i biały pałacy śluz na opuchniętym języku. Deszcz był moim wybawieniem. Ilekroć zaczynało padać, kładłam się na wznak i szeroko otwierałam usta. Czasami siadałam i łapałam krople w dłonie i spijałam je łąpczywie, głośno przy tym siorbiąc. Przestałam myśleć, myszkowałam po cudzych mieszkaniach i wszystko, co jadalne, natychmiast wkładałam do ust. Dopiero w wiosce Czarnego Nazarejczyka uświadomiłam sobie, że powinnam się rozejrzeć

za kubkiem albo szklanką do deszczówki. Ale ledwie o tym pomyślałam, już zapomniałam. Coraz częściej morzył mnie sen. Ostatniego dnia przeszłam może kilkaset metrów. O zmierzchu ciągle widziałam zbocze, na którym się rano obudziłam.

Gdyby nie Aetowie, spałabym bez przerwy.

Coś czuję. W pokoju śmierdzi. Obwąchuję poduszkę. Nie. To nie poduszka, nie pościel, nie materac.

To na pewno ja. Boże, wieki minęły, kiedy się kąpałam. Siadam, odrzucam koc i stawiam na podłodze najpierw jedną, a potem drugą stopę. Co to ja miałam zrobić? Aetowie.

Pochylały się nade mną ciemne, błyszczące od deszczu twarze. Jakaś kobieta dotknęła moich policzków, po czym się odwróciła i spojrzała na stojącego z tyłu mężczyznę. Jego nóż był dłuższy niż przepaska na biodrach. Za nim majaczyli inni mężczyźni i inne kobiety.

Mówiłeś mi, Ricky, pomyślałam, że oni obcinają ludziom głowy, że je kolekcjonują... I zaraz się ze mną rozprawia.

Nie zostałam uśmiercona, napoili mnie mlekiem kokosowym, w nocy ułożyli się tuż obok mnie, a rano dźwignęli na nogi i zarzucili moją rękę na ramiona młodej dziewczyny. Często się śmiała i bez przerwy coś mówiła, jeszcze nie musiała milczeć, jak starsze kobiety.

Przez ostatnie godziny naszej wędrówki patrzyłam dużo przytomniej. Szliśmy powoli, rytmicznie i miękko. Mężczyźni przodem, lekkim krokiem, wyprostowani, nieśli broń i narzędzia. Kobiety z tyłu, zgarbione, uginające się pod ciężarem tobołków i śpiących w różnobarwnych nosidełkach dzieci. Nagie maluchy biegały tam i z powrotem, dołączały do grupy i zostawiały ją, żeby dać nura w przydrożną roślinność...

Dzięki nim zauważyłam zieleń. Jakiś chłopczyk zniknął w bambusowych zaroślach, zakołysały się wysokie trawy. Patrzyłam za nim apatycznie, nagle się ocknęłam i zatrzymałam. Pod stopami trawa. Wokół soczyste zielone drzewa. Ani śladu popiołu.

Młoda dziewczyna roześmiała się głośno i pociągnęła mnie za sobą. Nie rozumiałam, co mówi, rozpoznawałam tylko jedno słowo. Kano. Szczupłą dłonią wskazała na dolinę. Na obóz dla uchodźców.

Kolejna fala smrodu.

Uff, ależ ty cuchniesz. Znowu się zsikałaś? Cholera, co za obrzydliwy bachor. Ooooj, śmierdzisz, że hej. Muszę się wykapać, muszę się wyszorować. Umyję się i odór zniknie. Na pewno się uda.

Zapalam światło w łazience i zasłaniam lustro ręcznikiem, żeby nikt mi nie przeszkadzał. W szafce są nowiutkie mydła, w zeszłym tygodniu kupiłam całą paczkę...Zrywam papier i wącham. Ładnie pachnie, czysto, naprawdę ładnie. Gdzie jest szczotka?

Dziewczyna podprowadziła mnie aż do żwirówki. Inni zostali wśród zieleni. Uwolniła się ode mnie, ustawiła pośrodku drogi jak lalkę i błyskawicznie się ulotniła. Odwróciłam głowę, żeby na nią popatrzeć, i figa z makiem. Kołysały się krzaki i bambusy i nigdzie śladu człowieka. Zrobiłam pierwszy krok, od ostrego żwiru zapiekły mnie poranione stopy.

- Kano! - odezwał się jakiś głos. - Kano... I wróciłam do znanego mi świata.

Gdzieś musi być jakaś szczotka, niekoniecznie do mycia, jakakolwiek.

Schodząc po schodach, mocno trzymam się poręczy, kręci mi się w głowie, ale nie mam zamiaru się przewracać, bo muszę znaleźć szczotkę, żeby się porządnie wyszorować.

Mama i Złoty obejmują się w salonie. - Nie wiecie, gdzie jest szczotka w tym domu? - pytam kwaśno.

Chyba mnie nie słyszą, stoją jakby nigdy nic, normalka. Przepatruję szafkę pod zlewem. Leży tam tylko stara szczotka do mycia naczyń, szara od brudu i rozczapierzona, nie do użytku. Łąduje na podłodze obok płynu do mycia naczyń, ścierki i tego, co w ferworze poszukiwań zdążyłam wyrzucić.

Musi gdzieś przecież być.

Ludzie, ręce, okrzyki, głosy. Kiedy nadbiegli, stałam w rozkroku, próbując utrzymać równowagę. Nie było to takie łatwe. Obstały mnie dzieci i dorośli, uchodźcy i służby pomocnicze. Na ramieniu poczułam mocny uścisk czyjejś dłoni i na coś się osunęłam, zapewne na nosze, bo po chwili znalazłam się w szpitalnym namiocie. Ktoś usiłował mnie umyć, ale się sprzeciwiłam, chciałam się wykapać bez niczyjej pomocy. I tak się stało. Potem zataszczono mnie na noszach do amerykańskiego śmigłowca, który miał mnie zawieźć do Manili. Kto jak kto, ale kano nie mógł zostać w obozie, gdzie szalała denga i brakowało żywności. Rotor terkotał, a ja zamknęłam oczy i zaczęłam wymyślać w miarę prawdopodobne kłamstwa. Ricky i Butterfield przepadli bez śladu, kiedy zaczęło sypać popiołem. Udali się na poszukiwania jakiegoś domu i nie wrócili. Leżałam w samochodzie, dopóki się nie przejaśniło. Wtedy wyszłam i błąkałam się po okolicy. W końcu pomogli mi Aetowie. Nigdy nie wymieniłam innych imion, ich imion. NogNog? Dolores?

Jakich imion? A to kto? Czas zamknął za nimi swoje bramy.

A w szafie gospodarczej? Tak, powinna tam być jakaś porządna szczotka. Cholera, ale tu gratów, żeby się do niej dostać, muszę wyjąć odkurzacz i wiadro. Kurza twarz! Szczotka jest płaska i miękka. Odrzuca mnie jej zapaszek, zbiera mi się na wymioty, za chwilę się uduszę. Muszę się umyć! Gdzie mam szukać?

W Biduli. Jasne. Teraz sobie przypominam, mama włożyła tam szczotkę.

Siedzę na podłodze w hallu na piętrze, z Bidulą między nogami, i wywalam przez ramię jedną rzecz po drugiej. Ogarki świec. Stare nylonowe pończochy. Buty z lat pięćdziesiątych o zdartych podeszwach. Sweter z szorstkiego akrylu i...Jest! Przesuwam dłonią po druczianych włosach. Szczotka do kuchenki. Mama czyściła nią fajerki. Świetnie. Nareszcie się wyszoruję.

Dobrze się myśli pod prysznicem. Gorąca woda to rozkosz. Przyjemny zapach szamponu dość skutecznie zabija odorek. „Oooch” - szumią drzewa w moim wspomnieniu. „Oooch”.

Pocieram białe mydło dla dzieci o mosiężne, żółte włosy szczotki. No, teraz się umyję, że hej. Przyłóż się, Cecyljo! Wiem, mam. Piana na moim ramieniu jest różowa. Przedziwne. Patrzę na szczotkę. Przecież nie farbuje. Metal nie farbuje. Plastik też nie. Przyglądam się swoim rękoma. Czerwona piana. Krwawię. Ale nic nie czuję. Choć to nie boli, zbiera mi się na mdłości. Pewnie z powodu tego zapachu. Nie mogę się go pozbyć. Muszę go usunąć. I dociskam szczotkę. Mocno. Mocniej.

Para. Gorąca woda i para. Łazienkę spowija gęsta mgła, która przez otwarte drzwi łazienki wysnuwa się do hallu. Niedługo zasnuje cały Bananowy Dom i ktoś, kto chciałby zajrzeć przez okno do środka, nic nie zobaczy. Nagle się wzdrygam, czuję lekki podmuch. Otworzyły się drzwi na dole. Słyszę, jak się po chwili zamykają i tup--tup-tup, kroki na schodach, obłoki pary w hallu...Żadnych odwiedzin. Sorry. Biorę prysznic.

-O mój Boże!

Gunilla opiera się o futrynę i patrzy na mnie. Mydło wypada mi z dłoni, po chwili na dnie wanny z hukiem ląduje szczotka.

-Cecyljo - mówi Gunilla - coś ty najlepszego zrobiła?! Ona wie. Ona mnie oskarża. Pochylam głowę pod strumieniem gorącej wody.

-Niestety, nie mogę ci nic powiedzieć. Nie tobie. Nic nie słyszy, szybko podchodzi do kranu. Z niekłamaną ciekawością patrzę na rękaw jej kurtki, który powinien przemoknąć na wylot. Nic z tych rzeczy, kropelki miękko lądują i spływają. Aha, impregnacja. Dobra impregnacja.

Gunilla ściąga z wieszaka ręcznik kąpielowy i owija mnie nim.

-Chodź - mówi. - Chodź, Cecylio. Już się umyłaś. Węszę i nic, nic nie czuję. Chyba ma rację, nie jest źle.

Jeśli będę się często kąpać, któregoś dnia ten zapaszek zniknie na amen. Na dzisiaj wystarczy.

Mogę wyjść z wanny. Gunilla chce mnie objąć, ale ją odpycham. Żadnych poufałości! Nie poddaje się, wyciera mnie do sucha i okręca ręcznikiem. Patrzę na białe frotte. Jak pięknie! Na moim ciele rozkwitają pąki czerwonych róż.

- Ach, Cecylio - posapuje Gunilla. - Ach, Cecylio, gdybym wiedziała, gdybym tylko wiedziała...Po czym otacza mnie ramieniem i wyprowadza do hallu.